

KATARZYNA
BERENIKA
MISZCZUK

Jagga

*Ona sama
przeciwko światu,
a właściwie
dwóm światom*

Katarzyna Berenika Miszczuk

JAGA

Seria: KWIAT PAPROCI



Copyright © by Katarzyna Berenika Miszczuk, MMXIX

Wydanie I

Warszawa, MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Prolog

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

[27.](#)

[28.](#)

[29.](#)

[30.](#)

[31.](#)

[32.](#)

[33.](#)

[34.](#)

[35.](#)

[36.](#)

[37.](#)

[38.](#)

[39.](#)

[40.](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Powieść tę dedykuję wszystkim fanom cyklu *Kwiat paproci*, którzy, tak jak ja, nie potrafią pożegnać się z jego bohaterami!

Prolog

W chatce pachniało kwiatami i świeżymi ziołami. Pomimo jesiennego chłodu, który usiłował się zakraść przez lekko nieszczelne okna, we wnętrzu było ciepło i przytulnie. Na okrągłym stoliku leżał czysty, kłujący w oczy swoją bielą obrus. Brzegi miał tak mocno wykrochmalone, że zamiast opaść w dół, sterczały na boki. Stojący na stoliku zgrabny wazon z różowego szkła pełen był gałązek jarzębiny, uginających się od czerwonych koralii owoców.

Podłogę w chacie niedawno wymieniono. Krzywe, trzeszczące przy każdym kroku deski odeszły w przeszłość. Nowa klepka była z kolei tak dobrze polakierowana, że można było się na niej poślizgnąć, dlatego krzątająca się po chatce kobieta miała na stopach antypoślizgowe kapcie. Podśpiewywała pod nosem skoczną wiejską przyśpiewkę, przecierając kuchenny blat ścierką w kratkę, chociaż nigdzie nie było widać ani drobinki kurzu czy plamki oleju.

W piecu wesoło hulał ogień. Jego blask i migotanie świec skutecznie rozpraszały mrok, który napływał do domku przez okna. Czerwony czajnik postawiony na kuchni kafłowej zaczął gwizdać.

Szeptucha złapała przez ścierkę czarną rączkę i zdjęła go z płyty. Zalała zioła, które wcześniej nasypała sobie do kubka.

– Gałgan, jak myślisz, przyjedzie dzisiaj? – zapytała kota leżącego na podłodze w pobliżu pieca. – Wspominała w kartce pocztowej, że pojawi się niedługo.

Mruczek o utraconym uchu nie zaszczycił jej nawet jednym spojrzeniem. Leżał zwinięty w ciasny kłębek, z pyskiem schowanym pod własną pachą. Kobieta była pewna, że zwichnął sobie wszystkie stawy, żeby ułożyć się w taki sposób. Fascynowało ją też, w jaki sposób oddycha, bo była przekonana, że jego klatka piersiowa w ogóle się nie porusza.

– Czasem się zastanawiam, Gałganie, czy ty aby na pewno jesteś zwykłym kotem.

Nagle zwierzak podniósł głowę i miauknął ostrzegawczo. Wbił spojrzenie w drzwi wejściowe. Nie minęło pięć minut, a te zadrzały, gdy ktoś zastukał w nie trzy razy.

– Ty to masz słuch – skwitowała szeptucha. – Proszę! Otwarte!

Tajemniczy gość nacisnął klamkę i wszedł do środka, wpuszczając ze sobą chłód wieczoru. Kobieta odstawiła kubek. Na jej ustach pojawił się szeroki uśmiech. Szczęśliwy kot także zerwał się ze swojego miejsca i na nieco sztywnych od snu nogach podreptał do wejścia.

– Gałgan! – zagruchała starsza kobieta od progu. Pochyliła się, żeby podrapać go za uchem. – Tęskniłeś za mną?

Kociak zamruczał głośno i o mało się nie przewrócił podczas szaleńczego ocierania o jej nogi.

– Przez pierwszy miesiąc nie chciał jeść. Potem, gdy protest głodowy już go zmęczył, zaczął sikać na stół, żeby pokazać mi swoje niezadowolenie – powiedziała szeptucha, z rozbawieniem obserwując pokaz czułości postrachu bielińskich psów. – Na szczęście doszliśmy w końcu do porozumienia. Jago, ja też za tobą tęskniłam.

Staruszka wyprostowała się z lekkim westchnięciem. Zamknęła za sobą drzwi, a następnie wyswobodziła się z grubego płaszcza i kolorowej chustki, która zakrywała jej niemal całą głowę. Uścisnęły się serdecznie.

– Okropna pogoda – stwierdziła. – Strasznie zmarzłam. Na szczęście Nowakowa mnie podrzuciła z centrum Bielin.

Przez głowę młodej szeptuchy przemknęła myśl, że jakkolwiek część Bielin trudno określić szumną nazwą „centrum”, ale w porę ugryzła się w język.

– Gdybyś wcześniej zadzwoniła, odebrałabym cię z dworca kolejowego w Kielcach – zauważyła.

– Eee tam. Tylko kłopotu bym wam narobiła. Poza tym nie byłam pewna, czy jednak dzisiaj wrócę.

– Mogłaś zadzwonić.

– Od komórek dostaje się raka.

Baba Jaga usiadła przy stoliku i oparła dłonie na śnieżnobiałym obrusie. Krytycznym spojrzeniem zmierzyła wnętrze swojej chatki, a także wygląd młodej szeptuchy.

– Widzę, że trochę tutaj zmieniałaś – zauważyła twardym tonem.

Po plecach Gosi przebiegł dreszcz niepokoju. Miała nadzieję, że mentorce spodobają się drobne unowocześnienia, a także remont ścian i podłogi. Sądziła, że zostanie raczej pochwalona, a nie skarcona.

– Nie podoba ci się? – zapytała.

– Tego nie powiedziałam. Cieszy mnie, że zmieniałaś podłogę i że jest tak czysto... ale pachnie dziwnie.

– Dziwnie?

– Przyznaj się. Zamiast myć naturalnymi środkami, użyłaś jakiegoś świństwa ze sklepu.

Gosia uciekła spojrzeniem. Myślała, że zapach wywietrzeje, zanim Baba Jaga wróci.

– No jakby to powiedzieć... – zaczęła. – A może naleweczki? Pewnie zmarzłaś w podróży. Pogoda teraz taka brzydka.

Rzuciła się pędem do kredensu i wyjęła butelkę z likierem poziomkowym. Po chwili namysłu ją odłożyła i wyjęła nalewkę malinową. Znowu się zawahała. Malinówka także wróciła na swoje miejsce. Gosia wyciągnęła mocną nalewkę z czarnego bzu i dwa kieliszki.

– Kaptcie w kształcie różowych jednorożców są nieakceptowalne – skrytykowała Baba Jaga.

Gosława zerknęła na swoje stopy. Ogromne, futrzane kaptcie faktycznie dość mocno rzucały się w oczy. Niemniej Gosia bardzo je lubiła. Głównie dlatego, że dostała je od Mieszka na ich pierwsze Szczodre Gody, które spędzili w trójkę.

– Poza tym jednorożce nie istnieją. Nie było patriotycznych kaptci? Z jakimś ludowym ornamentem? – narzekała dalej Jaga.

– No niestety, wersji gnijącego utopca nie produkują – mruknęła młoda szeptucha.

Gałgan wepchnął się na kolana Baby Jagi. Kobieta złapała mruczącego kocura pod pachy i uniosła go do twarzy. Powąchała futro ulubieńca.

– On też jakoś dziwnie pachnie.

Gosia czym prędzej napełniła kieliszki. Przeniosła wazon z jarzębiną na szafkę koło pieca, a na stole postawiła upieczone tego dnia ciasto drożdżowe i małe talerzyki.

Jaga nadal wachała swojego kota. Po chwili odstawiła go na ziemię i dokładnie przyjrzała się swoim dłoniom.

– I nie brudzi, jak się go dotknie... – mruknęła podejrzliwie. – Ja rozumiem, że uprałaś obrus

i firanki, ale kota też?

– Miał pchły i robaki. Poszłam z nim do weterynarza, dostał szczepionki, leki na odrobaczenie, a potem razem z Mieszkiem umyliśmy go specjalnym szamponem dla kotów.

Jaga zerkała podejrzliwie na zwierzę, które zdołało podporządkować sobie wszystkie bielińskie dachowce. Nie było miłym, kolankowym kotkiem, który pozwala się czesać i przycinać pazurki.

– Pozwolił ci się umyć? – zdziwiła się.

– Powiedzmy, że musiałam w tym celu użyć pewnego delikatnie usypiającego specyfiku. – Gosława usiadła na krześle i wsunęła stopy pod stół, żeby kapcie przestały kłuć w oczy Babę Jagę.

– Ale po co?

– Gard się z nim bawi. Lepiej odrobaczyć kota, niż wiecznie odrobaczać dziecko i wyciągać mu pchły z włosów.

Jarogniewa pokiwała głową. Doszła do wniosku, że nie powinna aż tak dużo narzekać. Teraz to Gosia była bielińską szeptuchą. Do niej należała chatka i ogródek ziołowy. A jeśli chodzi o opiekę nad Gałganem, to Jaga sama go jej powierzyła, kiedy wyjechała na ponad roczną podróż po świecie. W rzeczy samej kocur wyglądał zdrowiej niż zwykle. Jeszcze nigdy smoliste futro aż tak się nie błyszczało. Poza tym Jaga wyraźnie czuła po jego ciężarze, że zwierzak w żadnym razie nie był zabiedzony.

– Może to i dla Gałgana zdrowiej – przyznała ugodowo. – A co u Mieszka i oczywiście u Garda? – Sięgnęła po kieliszek i jednym haustem go opróżniła. – Gard... To imię zupełnie nie pasuje do waszego syna. Rozumiem, że tak się nazywał jakiś dobry przyjaciel Mieszka, ale na bogów... Nie miałaś nic do powiedzenia w sprawie imienia własnego dziecka? Powinien nosić jakieś dobre, słowiańskie imię. W końcu ciąży na nim duża odpowiedzialność.

Gosława także wypila nalewkę i szybko napełniła ponownie kieliszki. Jeśli miały rozmawiać o przyszłości Garda, to zdecydowanie musiała się napić. Drżała na samą myśl o tym, co może kiedyś spotkać jej syna. Dobrze wiedziała, że bogowie cały czas na nich patrzą i czekają. Bała się. Mały Gard już teraz zaczynał zdradzać zdolności, których nie powinno mieć zwyczajne trzyletnie dziecko.

Bogowie... nawet zapalki nie były mu potrzebne, żeby narobić zamieszania. Gosia nie chciała myśleć, co będzie później.

– Mnie się podoba imię Gard – odpowiedziała. – Poza tym podczas postrzyżyn wybierzemy mu coś nowego, bardziej pasującego do jego charakteru.

Spojrzenie Jarogniewy złagodniało. Kobieta skarciła się w myślach za to, że znowu naskoczyła na Gosię.

– Przepraszam cię, to wszystko przez Nowakową. Ta kobieta naprawdę potrafi napsuć człowiekowi krwi. Wystarczyło piętnaście minut w jej samochodzie, żeby straciła dobry humor na miesiąc – próbowała się wytłumaczyć.

– Nie ma sprawy. – Część napięcia, które odczuwała Gosia, zniknęła. – Może poczęstujesz się ciastem? Sama piekłam.

– Ty spróbuj pierwsza, skarbie. Obie wiemy, jak gotujesz.

Gosława nawet nie protestowała. Kuchnia nigdy jej nie lubiła (z wzajemnością), to był znany wszystkim fakt. Na szczęście ciasto, chociaż odrobinę suche, okazało się bardzo smaczne.

– Bez rodzynek? – zapytała Jaga, oglądając swój kawałek z każdej strony.

– Rodzynki w cieście są obrzydliwe.

– Ech... ty i te twoje pomysły. No cóż, trudno. To opowiadaj! Działo się coś ciekawego, kiedy mnie nie było? – zapytała Jarogniewa.

– Nie, wszystko miałam pod kontrolą. Z szeptuchowaniem chyba też coraz lepiej daję sobie radę. Mieszkańcy wydają się mi ufać. Nikt nie pluje na mój widok. Przychodzą całkiem chętnie. Kiedy czegoś nie wiedziałam, dzwoniłam do szeptuchy z Huty Nowej.

– Ach, do Mirosławy? Co tam u niej słychać? – ucieszyła się Jaga.

– Tak, do Mirosławy. Wszystko u niej dobrze. Ciągle ma koszmary po tamtej nocy, kiedy zaatakował ją spaleniec, ale trzyma się całkiem nieźle jak na swój wiek.

– Jest tylko pięć lat starsza ode mnie... Nie przesadzaj z tym wiekiem.

Gosia pokiwała głową. Bardzo polubiła Mirosławę. Staruszka była nadzwyczaj sympatyczna, zawsze chętnie służyła jej dobrą radą i pomocą. Poza tym uwielbiała dzielić się przy każdej okazji ciekawostkami z życia Jarogniewy. W młodości spędziła z nią sporo czasu. Mimo że Baby Jagi nie było w pobliżu przez ostatni rok, Gosława dowiedziała się o niej bardzo, bardzo dużo. Nie była tylko do końca pewna, które historie są prawdziwe, a które to tylko bajania starszej pani cierpiącej na umiarkowaną demencję, ponieważ część z tych opowieści brzmiała nieprawdopodobnie.

– Wspominała mi trochę o tobie i waszych wspólnych czasach – powiedziała młoda szeptucha.

– Och, doprawdy, Mirka coś opowiadała?

Jaga wypila kolejny kieliszek. Na jej ustach pojawił się melancholijny uśmiech.

– Tak, moja młodość była dosyć ciekawa – przyznała po chwili zadumy.

– Kiedyś obiecałaś, że mi o niej opowiesz, a ja mam dzisiaj wolny wieczór – zaproponowała Gosia.

– Moi chłopcy pojechali na weekend do Warszawy, do mojej mamy. Nigdzie mi się nie spieszy. Jeśli miałabyś ochotę na powspominanie starych czasów...

– Oj, nie aż takich starych! – zachnęła się Baba Jaga.

Tylko udawała gniew. Jej dobry humor, który wydawać by się mogło, że bezpowrotnie zniknął podczas kontaktu z Nowakową, powrócił. Nie miała nic przeciwko spędzeniu wieczoru, a może nawet i nocy, na pogawędce.

Tak naprawdę przez całą swoją podróż po świecie skrycie tęskniła za domem i za Gosią, którą pokochała jak własną córkę albo wnuczkę. Myślała, że zwiedzanie krajów, o których słyszała tylko z książek i telewizji, sprawi jej dużo przyjemności, ale przekonała się, że samotne podróże wcale nie są takie miłe.

– Chyba że jesteś zmęczona, to rozmowę możemy przełożyć – szybko dodała Gosława. – Długa droga za tobą...

– Och, w żadnym razie! – przerwała jej Jaga. – Wynudziłam się w tych pociągach i samolotach. Brakowało mi... brakowało mi Bielin. Naprawdę. Nie spodziewałam się, że aż tak będę tęsknić za tym miejscem. Kiedyś zastanawiałam się poważnie, czy z niego nie uciec. Teraz, po latach, wiem, że podjęłam wówczas dobrą decyzję.

Wzruszyła się. Przetarła szybko oczy, udając, że wpadł jej do nich jakiś paproch.

– Skoro już mamy plotkować, to chodźmy do mnie. Łap butelkę i ciasto. Ja wezmę Gałgana i usiądziemy sobie wygodnie przy kominku – zaproponowała.

– Piżama party! – ucieszyła się Gosia.

– Powiedzmy. Tylko weź dużo alkoholu. To nie są historie do opowiadania na trzeźwo. W sumie to przydałyby nam się zioła, które palił w ognisku Mszczuj. Wtedy byłaby dobra zabawa. Jak kiedyś. Gdy zasiadły przy ogniu, Baba Jaga rozpoczęła swoją opowieść...

1.

Stara zniszczona walizka była praktycznie pusta. Z ubrań zapakowałam tylko kilka koszul, jedną sukienkę, bieliznę, a także lekko znoszone sandały. Dołożyłam kilka książek ze studiów, które mogły mi się przydać, oraz zeszyt mojej babci z przepisami i zaklęciami. Księgi były dla mnie ważniejsze od ubrań. Z nich mogłam czerpać wiedzę, gdy o czymś zapomniałam. Resztę swojego dobytku zostawiłam w domu rodzinnym. Postanowiłam, że po ubrania jesienne i zimowe przyjadę w wolnym czasie. Nie było sensu zabierać wszystkiego za jednym razem.

Taszcząc walizkę, przeszłam całą drogę pieszo, od PKS-u aż do chatki babci, bez żadnego problemu. Spacer był tak przyjemny, że chętnie pokonałabym jeszcze kilka kilometrów. Cieszyłam się każdym krokiem przybliżającym mnie do mojego nowego domu, dlatego nawet gdy jeden z gospodarzy zaproponował mi podwiezienie furmanką, odmówiłam. Im bliżej znajdowałam się chaty mojej babci, tym doroślejsza się czułam. Wyjazd do stolicy na studia był wystarczającym testem na dojrzałość, jednak dopiero teraz poczułam się panią swojego losu. Wreszcie rodzice mieli przestać się wtrącać w to, co robię. Wreszcie sama mogłam o sobie decydować.

Wbrew ich narzekaniom zamierałam rozkręcić dobrze prosperujący biznes, zamiast wieść życie przykładowej pani domu. Nie wierzyli w mój sukces. Zwłaszcza ojciec, który uważał, że miejsce kobiety jest w domu. Poza tym oboje byli przekonani, że powinnam wyjść za Bratomiła, który zalecał się do mnie od kilku lat. Innych kandydatów do mojej ręki nie było, więc tego jedyne go hołubili jak własnego syna.

Z Bratomiła był naprawdę miły chłopak, choć uparty jak osioł. Sama zresztą byłam sobie winna. Pozwoliłam mu się całować w jedno ze świąt, kiedy jeszcze chodziliśmy do szkoły. Od tamtej pory ubzdurał sobie, że bogowie spleli naszą przyszłość. Większej głupoty nie słyszałam...

Mimo że kilkakrotnie mu mówiłam, że nie chcę zostać jego żoną, cierpliwie czekał, aż skończę studia, żeby dosłownie na następny dzień przyjechać do mojego ojca z butelką miodu i prosić o moją rękę. Pewnie miał na to wpływ moment mojej słabości, gdy podczas którychś ferii dałam mu się zaciągnąć do stodoły. Niemniej przeszłości nie naprawię. Było, minęło.

Gdy udał się do mojego ojca, nie zapytał mnie wcześniej oczywiście o zdanie, krew mnie zalała. Przyszłość z Bratomiłem z całą pewnością byłaby spokojna i bezpieczna, ale nie tego oczekiwałam od życia. Niech moi bracia spełniają marzenia rodziców o trzódce wnuków. Ja chciałam sama decydować o swojej przyszłości. Nie wykluczałam, że kiedyś wyjdę za mąż i urodzę córkę, która przejmie po mnie rodzinne tradycje. Z całą pewnością nie miałam jednak ochoty, żeby nastąpiło to szybko.

Bratomił musiał obejść się smakiem. Odprawiłam go wtedy, przez co ojciec nie odzywał się do mnie przez tydzień. Matka też się boczyła, ale ona w przeciwieństwie do taty wiedziała od dawna, jaką przyszłość sobie wymarzyłam. Nie była nią zachwycona, ale zdawała sobie sprawę z tego, że nawet gniew bogów nie zdołałby odwieść mnie od wybranego celu. To dlatego pewnego dnia wymknęłam się z walizką z domu, gdy tylko ojciec i moi bracia poszli na pole. Pożegnałam się jedynie z mamą.

I w taki oto sposób trafiłam do Bielin.

Postawiłam walizkę na poboczu. Mój marsz dobiegł końca. Dotarłam do chatki babci. Zatrzymałam się przy płocie i chłonęłam ten widok.

– Moja chatka – szepnęłam do siebie i uśmiechnęłam się szeroko.

Nie odstraszał mnie widok zaniedbanego domu. Dach był lekko zapadnięty, niegdyś białe ściany pokrywała gruba warstwa kurzu i pyłu, a ogród zapełniały chwasty. Dobrze wiedziałam, że nie ma bieżącej wody, a w krzywym wychodku prawdopodobnie roi się od pajaków. Niemniej gospodarstwo miało jedną ważną zaletę – było od teraz moje.

Babcia Radomiła nie miała przed śmiercią siły, by zadbać o chatkę i obejście. W ostatnich latach mocno zniedołężniała, mimo to cały czas odmawiała przeniesienia się do moich rodziców, gdzie miałyby zapewnioną opiekę. Wolała umrzeć u siebie, na swoich warunkach.

Ja chciałam być taka sama. Tylko oczywiście nie zamierzałam zbyt szybko wybierać się do świata zmarłych, Wyraju.

Poczułam, jak po moim policzku popłynęła łza. Babcia umarła ledwie miesiąc wcześniej. Ciągłe pamiętałam jej głos i ciepłe, sękaty dłonie, którymi objęła moją twarz tuż przed przekazaniem mi błogosławieństwa, kluczy do swojego domu, a także zeszytu z zaklęciami, jej największego skarbu. Zrobiła to jakieś pół roku temu, kiedy odwiedziłam ją na Szczodre Gody. Chyba przeczuwała, że jej czas już się zbliża.

Wszyscy wiedzieliśmy, że się starzeje, że nie zostało jej dużo czasu. Jednak jej śmierć i tak była dla nas zaskoczeniem. Babcia poruszała się wolniej, ale wciąż sama sobie radziła.

O jej zgonie poinformował nas lokalny żerca. Specjalnie przyjechał do naszego gospodarstwa, by przekazać te smutne wieści, ponieważ nie mieliśmy telefonu. Mnie wtedy nie było w domu, jeszcze nie wróciłam z Warszawy. Gdybym przyjechała dzień wcześniej, mogłabym z nim porozmawiać. Babcię znaleziono podobno we własnym łóżku. Jej ciało odkryła pacjentka, z którą umówiła się na poranek.

Westchnęłam ciężko. Chociaż nie spędzałam z nią dużo czasu, bardzo za nią tęskniłam. Dziwnie mi było ze świadomością, że jej już nie ma.

Chatka babci zawsze wydawała mi się piękna. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak teraz jeszcze pozbawione pąków, rosnące przy ścianie malwy kwitną na różowo. Jak oczyszczona ścieżka prowadzi pomiędzy rabatami do odmalowanych drzwi, a z kominka wydostaje się smużka dymu. Nie mogłam się doczekać, gdy zapalę w piecu święty ogień.

Na zakręcie pojawił się rozklekotany samochód. Robił tyle hałasu, że umarłego postawiłby w jednej chwili na nogi. Jechał w moim kierunku. Oceniałam go wzrokiem. Nie należał do najnowszych modeli, dodatkowo był strasznie brudny. Niemniej i tak pozazdrościłam jego właścicielowi. Zawsze chciałam mieć samochód, ale chyba długo nie będzie mnie na niego stać. W najbliższych latach raczej się nachodzę po okolicznych drogach.

Przestałam sobie zawracać głowę duszącym się autem, bo poza chatką babci, to znaczy moją chatką, w pobliżu znajdowało się jeszcze kilka zabudowań gospodarskich. Samochód pewnie kierował się do któregoś z nich. Może to nawet jakiś mój nowy sąsiad.

Podniosłam walizkę i pchnęłam drewnianą furtkę. Powoli weszłam do ogrodu. Niespodziewanie bagaż zaczął mi ciążyć, a stopy piec od przejścia trzech kilometrów w niewygodnych czółenkach.

Odetchnęłam głęboko. Może, zanim rzucę się do sprzątanania, chwilę odpocznę?

Nagle za swoimi plecami usłyszałam pisk hamulców i szorowanie opon po żwirze. Odwróciłam się.

Niemożliwie ubłocony samochód zatrzymał się tuż obok mnie. Gdzieś przebiegał biały lakier, ale karoseria była tak brudna, że równie dobrze mogło mi się to tylko wydawać. Za kierownicą siedziała otyła kobieta. Chyba nieco starsza ode mnie. Twarz miała na tyle pyzată i mocno umalowaną, że trudno było określić jej wiek.

Cierpliwie czekałam, gdy z lekkim wysiłkiem próbowała wydostać się z małego auta. Trzasnęła drzwiami i stanęła po drugiej stronie mojej furtki. Poprawiła białą bluzkę z perłowymi guziczkami, które poodpinały się na okazałym biuście. Na jej twarzy malowała się ciekawość pomieszana z pogardą. Łatwo było odczytać jej emocje. Zupełnie zresztą się z nimi nie kryła. Mogłam postawić wszystkie swoje pieniądze, że nie spodobały jej się moje buty i walizka. Jedynie zawiązana na mojej głowie jedwabna chustka w czerwone maki zdobyła w jej oczach odrobinę aprobaty.

– To dom szeptuchy! – poinformowała mnie. – Nie wolno wchodzić. Ja się domem opiekuję i o niego dbam.

Zamrugałam. Babcia na łożu śmierci nic nie wspominała o odźwiernej, która będzie pilnowała dobytku. Zerknęłam na zachwaszczony ogród. Zdecydowanie nie nazwałabym go zadbanym.

– Czyli dobrze trafiłam – odpowiedziałam, siląc się na uśmiech. – Jestem szeptuchą, a to teraz mój nowy dom.

Z obcej uszło trochę powietrza. Szybko jednak odzyskała rezon i szarpnęła furtką. Podeszła bliżej i ponownie zmierzyła mnie wrogim spojrzeniem.

Zaczęłam się zastanawiać, ile ta „opiekunka” wyniosła już rzeczy z domu babci, zanim tu przyjechałam. Całe szczęście, że Radomiła podarowała mi swój zeszyt z zaklęciami i przepisami, jej sekretnik, jeszcze za swojego życia. Zapiski stanowiłyby łakomy kąsek dla każdego.

– Pani jest wnuczką naszej babuszki? – upewniła się.

– Tak. Nazywam się Jarogniewa. Teraz ja jestem nową szeptuchą w Bielinach. Dziękuję pani za opiekę nad domem i ogrodem mojej babci... Jestem pewna, że o wszystko pani zadbała – dodałam zjadliwym tonem. – Teraz, jak pani widzi, nie musi się pani już niczym przejmować. Ja zajmę się spuścizną babci.

Jakim cudem tak szybko się dowiedziała, że przyjechałam? Zobaczyła mnie z okna, kiedy szłam szosą?

– A jak pani się nazywa, jeśli wolno wiedzieć? – zapytałam.

– Chwalimira Kiełbasa – odpowiedziała. – Babcia Radomiła często o pani opowiadała. Mimo wszystko spodziewaliśmy się w Bielinach kogoś starszego i bardziej... doświadczonego.

Postanowiłam zignorować ten komentarz. Nie miałam zamiaru się z nią kłócić, bo poniekąd miała rację. Doświadczenia to ja żadnego nie miałam.

– Miło mi panią poznać. Jeśli pani pozwoli, chciałabym wejść do domu i przygotować się do dzisiejszych obchodów Nocy Kupały.

– Tak, tak – odpowiedziała. – Gdyby czegoś pani potrzebowała, to proszę się do mnie zgłosić. Mieszkam niedaleko skrzyżowania.

– Dobrze, dziękuję.

Już miałam się odwrócić, gdy mnie zatrzymała:

– A kiedy zacznie pani przyjmować? Bo chętnie przyszedłabym z córką. Ma fatalną cerę. Przydałaby jej się porada zaprzyjaźnionej szeptuchy. Ja bym przy okazji przywiozła trochę mleka.

Od razu się we mnie zagotowało. Nie zamierzałam pracować za mleko i jajka. O nie! Moja babcia miała zbyt miękkie serce, ale ja nie pozwolę się wykorzystywać. Muszę mieć pieniądze na opał. Jajkami w zimie się nie ogrzeję.

– Nie wiem, kiedy dokładnie zacznę przyjmować. Muszę najpierw zobaczyć, w jakim stanie jest ogród zielny mojej babci, posprzątać w domu. Trudno mi powiedzieć, ile czasu zajmie mi zadbanie o dobytek. Chociaż... jeśli pani się wszystkim opiekowała, to pewnie nie będę miała dużo do roboty...

Pani Kiełbasa spuściła szybko oczy i odchrząknęła.

– To ja będę się dowiadywać.

– Dobrze, do zobaczenia na obchodach Nocy Kupały.

– A trafi pani sama? Może podjechać samochodem? – zapytała.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałam. Głupotą byłoby nie przyjąć propozycji. Zwłaszcza że rzeczywiście nie miałam pojęcia, gdzie odbywają się obchody. Jeśli to miał być jej sposób na odpokutowanie porzucenia ogrodu babci, to powinnam się zgodzić.

– Będę wdzięczna – odpowiedziałam. – O której godzinie się pani spodziewać, pani Kiełbasa?

– Doskonale! Podjedziemy z mężem i córką około siedemnastej. Będzie idealna okazja, żeby zerknęła pani po drodze na cerę córki! Do widzenia!

Zagryzłam zęby. Czyli to tyle z odpłatności za wizytę. Będę musiała się zadowolić darmowym przejazdem.

Patrzyłam, jak Kiełbasa wsiada do swojego samochodu i zawraca na wąskiej drodze. Już po chwili kurz przestał unosić się nad szosą, ale miałam wrażenie, że niesmak po naszej rozmowie zostanie ze mną dłużej.

Mocniej zacisnęłam palce na rączce walizki i odwróciłam się do chatki. Z każdym krokiem walizka robiła się coraz cięższa. Ponadto czułam, kolokwialnie mówiąc, że nogi zaraz wejdą mi w tyłek. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie dostanę się już do środka.

Sięgnęłam do kieszeni i wyciągnęłam klucze. Postawiłam walizkę na ziemi i wsunęłam największy klucz w zamek. Spróbowałam go przekręcić, ale okazało się, że drzwi już były otwarte.

Wysunęłam klucz. Razem z nim odpadł zamek. Po prostu wysunął się z rozbitego drewna. Tak. Zdecydowanie ktoś zadbał o majątek babci...

2.

Po krótkim odpoczynku ułożyłam swoje rzeczy troskliwie na łóżku, rozebrałam się do halki i cienkiej bluzki na ramiączkach, a potem zabrałam do sprzątanía. Wszystkie sprzęty pokrywała warstewka kurzu. Dodatkowo przez niedomknięte drzwi do wnętrza chaty dostało się sporo nieproszonych gości. Samo wyniesienie pajaków i przegonienie myszy zajęło mi bardzo dużo czasu.

Wnętrze ogromnego kredensu babci, w którym trzymała swoje specyfiki, zawsze oznaczone dokładnymi napisami i dokładnie posegregowane, teraz stanowiło obraz nędzy i rozpacz. Ktoś doszczętnie splądrował wszystkie zapasy, pozostawiając tylko słoiki, których zawartości nie był pewien. Jako że sama także nie do końca wiedziałam, co w nich jest, opróżniłam je i dokładnie wymyłam wodą ze studni. Zamierzałam je wyparzyć, gdy już rozpalę na noc w piecu.

W chacie nie było nawet mydła. Na szczęście złodzieje oszczędzili starą miotłę z ułamanym trzonkiem, dzięki czemu mogłam pozamiatać i zdjąć pajęczyny z krokwi.

Chciało mi się płakać. Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie swój pierwszy dzień w Bielinach. Zaskoczyło mnie, że ktoś poważył się okraść szeptuchę. Nawet po jej śmierci. Przecież powinnyśmy wzbudzać respekt, a nawet strach. Znamy sposoby, jak przegnać chorobę albo urok, ale potrafimy je też przywołać, jeśli ktoś nam zagrozi. Nie jest to wskazane, a nawet bywa piętnowane przez związek zawodowy szeptuch, do którego ja także się zapisałam po wyrażeniu chęci przejęcia praktyki babci, niemniej była taka możliwość.

Zaczęłam przerzucać zawartość szuflad kredensu. Cofnęłam się z obrzydzeniem, odkrywając we wnętrzu jednej z nich martwą mysz. Nadgryzła nieopisane pudełko po zapalkach wypełnione suszonymi ziołami. Postanowiłam wyrzucić ten tajemniczy kartonik.

Z każdą kolejną szufladą i szafką moja złość rosła. Miałam olbrzymią ochotę rzucić urok na całe Bieliny. A żeby chociaż sraczki wszyscy dostali za to, że nie uszanowali domu mojej babci! Nic nie zostawili poza meblami, których nie dało się wynieść, złamaną miotłą, obłuczonym kubkiem, krzywą, metalową miednicą i pościelą, w której babcia zmarła. Aż dziwne, że komuś się nie przydała jej koldra!

Byłam pewna, że w ogródku zielnym babci Radomiły także dokonano spustoszeń. Grządki były opisane, więc jeśli ktoś znał się chociaż trochę na ziołolecznictwie, to na pewno zebrał niezłe żniwa.

W jaki sposób miałam teraz leczyć ludzi? Odbudowanie zawartości kredensu zajmie lata!

Nie rozumiałam tego braku szacunku, braku wstydu. Naprawdę nie czuli przed moją babcią żadnego strachu? Nie bali się, że wstanie z martwych i zemści się za kradzież? Przecież opowiada się takie legendy o szeptuchach.

Ja bym wstała, jak wszystkich bogów kocham, wstałabym z grobu i straszyla tych złodziei do ich śmierci.

Po chwili jednak całe napięcie mnie opuściło. Postanowiłam traktować wszystkie te przeciwności losu jako test. Przecież nie ma rzeczy, z którymi nie dałabym sobie rady. Umiałam utrzymać się sama w Warszawie, gdy wbrew rodzicom wybrałam się na studia? Umiałam. To teraz miałabym sobie nie poradzić z poprowadzeniem praktyki? Wolne żarty!

Przyniosłam wodę ze studni, żeby się odświeżyć przed świętem. Miałam wrażenie, że cała moja skóra klei się od potu i brudu. Przetarłam ściereczką dekolt i pachy. Włosy wyczesalam porządnie i zaplotłam w nowy warkocz. Żałowałam, że nie mam lustra, w którym mogłabym się zobaczyć. Postanowiłam, że to będzie mój pierwszy zakup, gdy wreszcie coś zarobię.

Odrzuciłam sięgający pasa, czarny warkocz na plecy i zawiązałam na głowie moją chustkę w maki. Jedyłą plamę koloru na tle żałobnej czerni. Następnie z wysiłkiem wsunęłam czółenka na opuchnięte stopy. Coś mi się wydawało, że nie będę dzisiaj za wiele tańczyć.

Ledwie zdążyłam się ubrać, gdy dobiegł mnie dźwięk klaksonu. Walizkę z ubraniami i książkami wsunęłam pod łóżko. Zeszyt babci postanowiłam ukryć trochę lepiej. Weszłam na piec i wepchnęłam go pomiędzy ścianę a wyłożony kafelkami komin. Lepiej być przezornym. Zwłaszcza jak nie ma się zamka w drzwiach.

Przed posesją stało już ubłocone auto Chwalimiry. Zobaczyłam za kierownicą wąsatego, otyłego mężczyznę. Z tyłu pojazdu siedziała może sześciolatka dziewczynka. Pokazała mi przez szybę język.

Westchnęłam ciężko i wsiałam do auta. Zająłam miejsce obok dziecka, które nie przestawało pokazywać mi języka. Jej matka miała rację. Na policzkach dziewczynki widać było brzydkie pryszczki, przypominające niemowlęcą kaszkę.

– I jak się nasza szeptucha zadomowiła? – zapytała Chwalimira, wykręcając się do mnie na siedzeniu. – Przedstawiam mojego męża Biezdara i córkę Nielubę.

Przemknęło mi przez myśl, że imiona, które nadają nam rodzice, są jednak w pewnym stopniu stygmatyzacją na całe życie. Matka zawsze mi powtarzała, że do dzisiaj nie wie, co ją podkusiło, by nazwać mnie Jarogniewą. Moje imię oznaczało gniew Jaryły, boga wiosennego przebudzenia, życia, które zapładnia ziemię. Mama twierdzi, że to przez nie jest we mnie tyle złości. Z kolei moja babcia Radomiła... Jej imię sugerowało, że uwielbiała być miła i to niestety także było prawdą. To dlatego ledwie wiązała koniec z końcem i żyła w biedzie.

Najzwyczajniej w świecie była zbyt miła.

Przyglądałam się sceptycznie Nielubie, która dalej stroiła do mnie miny. To imię zdecydowanie do niej pasowało...

– Miło poznać – mruknęłam. – Zadomowienie jak na razie stanowi pewien problem. Dom mojej babci został doszczętnie splądrowany.

Chwalimira zrobiła wielkie oczy. Zerknęłam na jej męża w lusterku wstecznym. On nie był specjalnie zdziwiony.

– Jak to tak? – Kobieta teatralnie westchnęła i położyła dłoń na swoim obfitym biuście. – Okradać szeptuchę? Nie dalej jak wczoraj zajrzałam do domu i wszystko było w najlepszym porządku. To musiało się zdarzyć tej nocy. Z całą pewnością!

Sądząc po ilości kurzu i robactwa, które się zaległo w chatce, szczerze wątpiłam, że nastąpiło to tej nocy. Jednak wołałam, żeby mnie nie wyrzucili z samochodu, więc postanowiłam nie udowadniać jej kłamstwa.

Na razie.

– Nie wiem kiedy, ale skradziono wszystkie jej leki. Nie mam na czym pracować. Nie mówiąc o dobytku. Cud, że łóżka nie wynieśli.

– No, Baba Radomiła w nim zmarła. Nie wiem, czy ktoś by się poważył położyć na trupim jądzie –

zauważyła Chwalimira.

Zagryzłam zęby. Stary przesąd mnie irytował. Zwłaszcza że sama, z braku lepszych rozwiązań, zamierzałam spać w tym łóżku. I w tej pościeli.

– Na pewno szybko zrobi pani nowe leki – pocieszyła mnie Chwalimira.

Byłam przekonana, że do tego momentu zginę z głodu, ale nic nie powiedziałam.

– A zerknie pani przy okazji na buźkę naszej Nieluby? Co to może być? – zagrychała.

Ledwie powstrzymałam się przed warknięciem.

– Od kiedy się utrzymuje? – wycodziłam.

– Pojawia się raz na jakiś czas. Teraz już trzeci dzień ma taką buziuchnę.

– Uczulenie – burknęłam. – Proszę odstawić słodycze ze sztucznymi barwnikami.

– Sztucznymi barwnikami? – zdziwiła się pani Kiełbasa.

– Wszystkie kolorowe cukierki – uściśliłam. – Musi przestać jeść to, co ją uczula. Pewnie szkodzą jej słodycze.

Przyznaję, powiedziałam to nie bez pewnej dozy złośliwości. Widać było, że Nieluba jest solidnie przekarmiona. Dziewczynka, słysząc naszą rozmowę, wykrzywiła buzię w podkówkę i zaczęła zawodzić, gdy dotarło do niej, że nie będzie mogła jeść cukierków.

– Przecież ona nie je słodyczy – zauważył gderliwym głosem mąż Chwalimiry. – Pediatra zabronił miesiąc temu.

To po co mnie pytają o to samo?

– Nieluba, czy ty podjadasz gdzieś cukierki? – zapytała ostro matka.

– No... ja... ja... – Dziewczę się rozplakało.

– Włóczy się wiecznie z tym Nowakowym! – zagrział ojciec. – Pewnie on ją częstuje. Zobaczysz, że same kłopoty z tego będą.

– Same kłopoty, same kłopoty, a sam, stary dziadzie, ciągle gadasz, że ją trzeba z Nowakowym wyswatać, to pola połączymy – odgryzła się Chwalimira. – To wszystko twoja wina!

– To ty ją tuczysz jak świnie! Kto ją weźmie, jak będzie brzydka?!

Poczułam, że jeżeli szybko nie dojedziemy na miejsce, to zwariuję. Kłótnia małżonków stawała się coraz głośniejsza. A Nieluba nadal zawodziła, starając się zagłuszyć rodziców pokazem swojego nieszczęścia.

Jeżeli kiedykolwiek tliła się we mnie chęć posiadania męża i potomstwa, to właśnie zgasała.

Na szczęście samochód w końcu zwolnił i zatrzymał się w pobliżu sporej łąki. Wszędzie porostawiano kramy z jedzeniem i napojami. Mnóstwo ludzi bawiło się w najlepsze.

– Dziękuję za podwiezienie, wrócę na piechotę! – krzyknęłam i wyskoczyłam z auta, zanim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć.

Szybko wmieszałam się w tłum, żeby jak najszybciej ich zgubić. Obawiałam się, że Chwalimira będzie chciała mnie wszystkim przedstawiać, udając jednocześnie, że jest moją najlepszą przyjaciółką. Prychnęłam.

Dość mocno wyróżniałam się na tle kolorowo ubranych ludzi. Czerń mojej żałoby kłuła ich w oczy. Doskonale słyszałam za swoimi plecami szepty. Nie trzeba było długo czekać, żeby domyślili się, kim jestem. Ktoś splunął na mój widok i szepnął: „Czarownica”. Zaskoczył mnie poziom niechęci. Liczyłam się z tym, że część osób uważa szeptuchy za przeżytek, ale nie sądziłam, że aż tak

ich nie lubi. Poczułam, jak policzki mi czerwienieją. Mimo to dalej szłam z wysoko uniesioną brodą. Nie dam się zastraszyć. Mam pięciu starszych braci. Z gorszymi rzeczami dawałam sobie radę.

Przepychałam się przez tłum wyprostowana, nie reagowałam na zaczepki i śmiechy. Po jakimś czasie ludzie niechętnie zaczęli schodzić mi z drogi, choć nie stanowiłam zbyt imponującego widoku. Zwłaszcza że mam metr pięćdziesiąt pięć w kapeluszu. A nie miałam na głowie kapelusza.

Niemniej miło, że nie zagradzali mi już przejścia.

W końcu stanęłam na środku łąki. Scena przede mną była pusta. Ogień ofiarny płonął wysoko, po wrzuconej do niego żertwie dla bogów nie było nawet śladu. Zakląłam pod nosem. Wszystko wskazywało na to, że przegapiłam obchody. Sprzątanie zajęło mi zbyt wiele czasu, na dodatek małżeństwo Kiełbasów przyjechało za późno. Najwyraźniej nie lubili słuchać ceremonii ani brać w nich udziału.

Czy to dlatego nie uszanowali miru domowego mojej babci? Nie wierzą w bogów? Rozejrzałam się po łące. Wydało mi się to dziwne. W mojej rodzinnej wsi wszyscy byli bardzo wierzący. To ja mogłam tam robić za ateistkę. Bieliny były większe, więc i odsetek osób sceptycznych musiał być większy, jednak nie nazwałabym tej wsi metropolią. To nadal jedno z tych miejsc, w których dużą uwagę zwraca się na to, co powiedzą sąsiedzi i regionalne kółko gospodyń wiejskich.

Nigdzie nie mogłam dostrzec wójta ani okolicznego kapłana. Miałam nadzieję, że będę mogła z nimi porozmawiać. Wójta poznałam już wcześniej, kiedy przyjechałam przedstawić mu dokumenty ze związku zawodowego szeptuch. Kapłana nie miałam okazji jeszcze zobaczyć. Byłam przekonana, że krąży gdzieś w pobliżu – przecież nie uciekłyby tak szybko z jednego z najważniejszych świąt w roku.

Zapach jedzenia sprawił, że zaburczało mi w brzuchu. Nie mogłam sobie jednak pozwolić na żaden smakołyk. Musiałam oszczędzać pieniądze. Były ważniejsze rzeczy, które musiałam kupić, jak chociażby papier toaletowy czy mydło. Do głowy mi nie przyszło, żeby zabierać je z domu, więc miałam teraz za swoje.

Nie miałam ochoty podchodzić do stoisk z wróżbami. Uważałam, że poznanie własnej przyszłości nie może przysporzyć niczego dobrego. Wianka także nie chciałam puszczać na Bieliniance, wąskiej rzeczce płynącej przez osadę. Zerknęłam na kilkanaście panien, które czekały w rzędku ze swoimi wiankami, aż będą mogły przystąpić do rzucania.

Poczułam się samotna. Wszyscy stawili się na święto z rodzinami albo przyjaciółmi. Ja nie miałam nikogo. Przez głowę przemknęła mi myśl, że dzisiejszy przyjazd był błędem. Mogłam świętować teraz z rodzicami i braćmi, a w Bielinach pojawić się jutro. Bratomił pewnie upierałby się, żebyśmy poszli razem szukać kwiatu paproci.

Nic tu po mnie. Skierowałam się w stronę ogniska, żeby zabrać jakąś gałązkę z ogniem i pójść do domu. Może przed zmrokiem zdążę jeszcze przyjrzeć się ziołom w ogrodzie babci.

– Przepraszam, szanowna pani...?

Poczułam, jak ktoś stuka mnie w ramię. Odwróciłam się, ale na wysokości swoich oczu zobaczyłam jedynie beżową koszulę kapłana ozdobioną przy dekolcie czerwoną krajką. Zadarłam głowę do góry, by przyjrzeć się mężczyźnie. Wydawał mi się olbrzymi, a efekt ten potęgowała szopa kasztanowych loków, które sterczały mu na wszystkie strony.

Tak, to zdecydowanie kapłan. Świadczył o tym chociażby natchniony wyraz jego twarzy. Nie

przepadam za nimi. Wiem, że powinniśmy trzymać wspólny front. W końcu moje sposoby lecznicze często, a w zasadzie prawie w każdym przypadku, mają odniesienia do wiary i bogów. A kapłani, jakby na to nie patrzeć, tylko tym się zajmują.

Niemniej... nigdy nie można być pewnym, czy kapłan mówi ci prawdę. Jakoś podejrzanie często mają tajemnicze wizje, które znacznie ułatwiają im życie. Poza tym, umówmy się, oni prawie za wszystko biorą pieniądze. Organizacja swańby? Postrzyżyny? Wróżba? Poprowadzenie ceremonii pogrzebowej? A, dokładniej mówiąc, poprowadzenie jakiejkolwiek ceremonii?

Na dodatek jak wróżą, to poza uiszczeniem opłaty trzeba iść do nich z własnym kurczakiem do zabicia. Rzecz jasna, kurczaka potem nie oddają. A mnie to samymi jajkami można płacić.

Wróż zmierzył mnie długim spojrzeniem. Otworzył usta, a następnie je zamknął, zupełnie jakby zmienił zdanie. Mnie za to w brzuchu burczało coraz głośniejsze. Nie chciałam być niegrzeczna, ale miałam ochotę już sobie pójść. Ustalmy jasno, że mój pierwszy dzień w Bielinach nie należał do najlepszych.

Kapłan nadal się we mnie wpatrywał. Zaczęłam się zastanawiać, czy może nie jestem brudna na twarzy. W końcu nie miałam okazji przejrzeć się w lustrze po porządkach.

– Słucham pana? – zapytałam, szykując się na jakąś niegrzeczną zaczepkę.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość, w żadnym razie nie chciałbym się narzucać – zapewnił szybko. – Czy jest pani może nową szeptuchą?

– Proszę nie przepraszać. Tak, jestem nową szeptuchą – mówiąc to, wyprostowałam się dumnie.

Na twarzy żercy, pod rudym, zakręconym wąsem, pojawił się nieśmiały uśmiech. Zaczęłam się zastanawiać, ile ten mężczyzna ma lat. Wydawało mi się, że jest niewiele starszy ode mnie. Chyba też był całkiem nowy w Bielinach.

– Bardzo mi miło! Tak właśnie myślałam, że kojarzę szanowną panią z pogrzebu naszej kochanej szeptuchy, ale wolałam się upewnić. – Szczery uśmiech na jego twarzy jeszcze bardziej się poszerzył. – Nazywam się Mszczuj. Jestem tutejszym żercą. Niezmiernie się cieszę, że od tej pory razem obejmujemy opieką mieszkańców Bielin. Sam pracuję tutaj dopiero od kilku lat i muszę przyznać, że nie jest łatwo. Trafił nam się dość trudny materiał do pracy, he, he. A od śmierci babci szanownej pani nasze małe miasteczko, a w zasadzie wioska, to już zupełnie nie jest takie samo. Bardzo brakuje tu kobiecej ręki i otuchy, jaką może dać tylko i wyłącznie szeptucha.

– Och, mnie także miło pana poznać – odparłam zaskoczona jego wylewnością. – Nazywam się Jarogniewa...

– Jarogniewa? To bardzo piękne imię. Jakaś rodzinna tradycja? Przyznaję ze wstydem, że nie było mi dane poznać imienia babci szanownej pani. Wszyscy zawsze nazywali ją po prostu Babcią albo Babuszką. Niemniej imię Jarogniewa jest bardzo intrygujące.

– Nie, po prostu podobało się rodzicom – zdołałam wtrącić.

Byłam coraz bardziej skołowana jego gadaniną.

– Przepraszam najmocniej, za dużo mówię, gdy się stresuję – zaśmiał się krótko i bardzo nerwowo. – Zauważyłem jeszcze, że nie mówi pani w gwarze. Babka szanownej pani mówiła często tak niezrozumiale, że przeważnie nie wiedziałem, o co chodziło. Jednak mieszkańcy szanowali ją za to, że dbała o okoliczne zwyczaje i przetrwanie gwary.

– Doprawdy?

Wsunął dłonie w kieszenie spodni, najwyraźniej nie wiedząc, co ma z nimi zrobić. Natychmiast wyjął je, zaczerwieniony, gdy dotarło do niego, że nie wypada tak robić podczas rozmowy z kobietą.

Pomimo mojej niechęci do wróżów zaczęłam czuć sympatię do tego mężczyzny. Był całkiem miły.

– Tak, tak, tak. Jeszcze raz przepraszam, że tyle mówię. Chciałbym zaprosić szanowną panią na ognisko organizowane dzisiaj przez okolicznych żerców i szeptuchy na Łysej Górze. Była może już tam pani kiedyś?

– Raz babcia zabrała mnie ze sobą, gdy byłam mała – mruknęłam.

Mgliście przypominałam sobie jakieś ognisko i śpiewy. Rodzice nie pozwalali mi chodzić z babką do lasu na uroczystości. Udało mi się pójść tylko raz. Niestety wspomnienia były zupełnie zatarte. Doskonale pamiętałam natomiast, że tak naprawdę to przez mojego tatę nie mogłam chodzić na te ogniska. Nie chciał, żeby babcia miała na mnie wpływ. Bał się, że mogę zobaczyć na ceremoniach coś, co doszczętnie zniszczy moją dziecięcą psychikę.

Dzięki temu, rzecz jasna, zawsze mnie tam ciągnęło.

– To okoliczna tradycja. Wszyscy, podkreślam, wszyscy żercy i wszystkie szeptuchy zawsze przyjeżdżają na Łysą Górę na najważniejsze święta. Mamy tam specjalne miejsce, w którym możemy się spotkać i porozmawiać. Pani Jarogniewo, postaram się panią odnaleźć za kilka godzin i zabiorę panią ze sobą moim samochodem prawie na sam szczyt. Samochód nie jest zbyt duży ani tym bardziej nowy, ale zapewniam, że dojedziemy cali i zdrowi! Zgadza się szanowna pani?

– Hm... dobrze...?

Wizja spędzenia na głodniaka kilku nadchodzących godzin odrobinę mnie przerażała, ale z drugiej strony strasznie chciałam pójść na ognisko. W mojej głowie ożyły wizje szaleńczych tańców i orgii.

Tak w każdym razie wyglądały te spotkania według mojego ojca.

3.

Kilka godzin później siedziałam w samochodzie żercy. Zerkałam na Mszczuja podejrzliwie. Cały czas zastanawiałam się, czy nie wywiezie mnie na jakieś pustkowie i nie spróbuje zgwałcić. Nie wyglądał co prawda na takiego, niemniej nauki wyniesione z domu nie poszły w las. Ojciec zdołał mi zaszcześcić sporo lęku, pewnie po części irracjonalnego.

W aucie, wyglądającym bardziej jak gruchot niż ekskluzywna limuzyna, było strasznie gorąco. Nawet wiatr wpadający przez uchylone okna nie przynosił żadnej ulgi. Oczy same mi się zamykały, co częściowo było zasługą ciężącej mi w żołądku kiełbasy i miodu pitnego, którego wypiałam spory kubek.

Chwilę po mojej rozmowie z Mszczujem na scenę wszedł zespół z lokalnej remizy strażackiej, a zachęceni muzyką ludzie udali się na parkiet, utworzony z desek położonych luźno na trawie.

Odeszłam na bok, w poblizsze kramów, żeby nikomu nie przeszkadzać. Jeden ze sklepikarzy przywołał mnie do siebie. Przywrócił mi wiarę w ludzi. Nie tylko dlatego, że dał mi jeść, ale głównie z powodu naszej rozmowy. Chyba ze dwie godziny wspominał moją babcię. Jeśli miałam znaleźć złodziei, którzy ogołocili jej dom, to z całą pewnością mogłam go nie podejrzewać.

Trudno mi było teraz utrzymać głowę w pionie. Zmęczenie po całym dniu pracy zrobiło swoje. Zamiast pójść na ognisko, najchętniej położyłabym się do łóżka.

– Niedługo będziemy – oświadczył Mszczuj, przywracając mnie do przytomności.

Wyjrzałam przez okno. Jechaliśmy wąską drogą, pnącą się cały czas w górę. Po obu stronach rozciągał się gęsty, dość ciemny las.

– To Łysa Góra? – zapytałam.

– Tak, zaraz będziemy pod szczytem, gdzie można się zatrzymać – potwierdził.

Miałam nadzieję, że nie trzeba będzie daleko iść. Nogi powoli odmawiały mi posłuszeństwa po całym dniu w czółenkach. Zamierzałam je zdjąć, gdy tylko usiądziemy przy ognisku.

W końcu Mszczuj zatrzymał samochód i z lekkim trudem zaciągnął blokujący się hamulec ręczny.

– Nie odjedzie, jak nas nie będzie? – zapytałam ze śmiechem.

– Mam nadzieję, że nie. Chociaż z drugiej strony, najchętniej bym się go już pozbył. Przynosi więcej kłopotów niż pożytku, a benzyna nie jest najtańsza. To nie był mój najmądrzejszy zakup w życiu.

Niespiesznie ruszyliśmy zacięoną przez drzewa ścieżką. Żerca cały czas opowiadał mi lekko drżącym głosem o Bielinach i o tradycyjnych spotkaniach na Łysej Górze. Zerknęłam na niego spod rzęs. Szedł obok, wyprostowany jak struna. Uparcie wpatrywał się przed siebie. Chyba bardzo go stresowałam. Parsknęłam śmiechem, gdy przyszło mi do głowy, że może on się też w młodości nasłuchał, żeby samemu z dziewczynami nie chodzić do lasu, bo go jeszcze wykorzystają.

– Ekhm, powiedziałem coś śmiesznego? – zapytał ze zdziwieniem.

– Och, nie! Przepraszam. Po prostu pomyślałam o czymś zabawnym.

Zdawałam sobie sprawę, że moje wytłumaczenie było bezsensowne, zwłaszcza że właśnie opowiadał o ceremonii pogrzebowej, którą niedawno poprowadził.

– No tak – odparł speszony.

Chyba żeby zmienić temat, wskazał palcem na odnogę ścieżki.

– Jeśli teraz byśmy skręcili, moglibyśmy dojść do gołoborza. To niesamowita formacja skalna, naprawdę unikatowa.

– Spokojnie, wychowałam się w okolicy. – Puściłam do niego oko. – Co prawda rodzice nie pozwalali mi się tu zbyt często zapuszczać, ale akurat gołoborze odwiedziłam kilka razy w swoim życiu.

– No tak, przecież to bardzo znane miejsce. Atrakcja turystyczna, że tak powiem. To całkowicie zrozumiałe...

– A proszę opowiedzieć mi trochę więcej o samej górze. – Przerwałam mu, bo znowu zaczął się stresować. – Tylko raz byłam na takim ognisku.

– Och tak, ognisko! – Ucieszył się, że zmieniłam temat. – To tutejsza tradycja. W każde święto wszystkie okoliczne szeptuchy i kapłani przyjeżdżają wieczorem na szczyt Łysej Góry. Mamy tam specjalne miejsce na rozpalenie ognia i drewniane pnie, na których można siedzieć. Przeważnie odprawiamy krótką ceremonię pojednania z bogami, składamy ofiary, a potem zaczyna się część, że tak powiem, integracyjna.

– Integracyjna? – Podchwyciłam, widząc oczami wyobraźni te zbereżne orgie.

– Tak, rozmawiamy, co tam u nas słychać, jak się komu mieszka i pracuje. Takie tam ploteczki. Czasem ktoś zabierze skrzypce albo akordeon, więc można potańczyć – wyjaśnił.

Nie do końca takiej dzikiej zabawy się spodziewałam, ale może to nawet i dobrze.

– Dzisiaj z racji objęcia przez szanowną panią stanowiska, zapewne nastąpi oficjalna prezentacja. Wszyscy z chęcią panią poznają.

Poczułam, że po plecach przebiega mi dreszcz. Zdawałam sobie sprawę, że będę musiała ze wszystkimi porozmawiać, ale nie wiedziałam, że ma być jakaś oficjalna prezentacja. Westchnęłam. No nic. Z tym też sobie poradzę. Najwyżej nie zapałają do mnie sympatią. A w takim wypadku to ich strata, a nie moja.

W końcu weszliśmy na płaski szczyt. Był otoczony wałem w kształcie podkowy, zbudowanym z dużych kawałków kwarcytu poukładanych na sobie bez zaprawy. Tuż nad ziemią mur porastał ciemnozielony mech. Pojedyncze kamienne bloki były ogromne. Zaczęłam się zastanawiać, jak silni musieli być budowniczowie.

Przeszliśmy przez bardzo szerokie, bo ciągnące się aż do gołoborza, wejście.

– Po bokach, między drzewami, może pani znaleźć rzeźby przedstawiające naszych bogów – wyjaśnił kapłan. – Część już tylko z grubsza przypomina postaci, ponieważ warunki atmosferyczne nie oszczędzają nawet kamienia, ale osobiście bardzo polecam to miejsce na spacer. Cały teren jest otoczony wałem, więc bezpiecznie można się wybrać na przechadzkę. Mimo że park jest spory, nie ma praktycznie możliwości, żeby się zgubić.

– Zastanowię się nad tym, dziękuję.

Jakoś nie szalałam z ekscytacji na myśl o spacerze po parku pełnym rzeźb. Zwłaszcza po zmroku. Niemniej może kiedyś wybiorę się tu za dnia. To było ważne miejsce dla mojej babci.

– A tutaj się spotykamy! Widzę, że na razie nie ma jeszcze większości osób, ale pewnie niedługo wszyscy dotrą – powiedział Mszczuj.

Weszliśmy na całkiem sporych rozmiarów polanę. Pośrodku jaśniało już ognisko. Otaczał je okrąg z kamieni. Część z nich ozdobiona była jakimiś znakami, których nie rozpoznawałam. Płomienie ożywiały twarze zgromadzonych. Zobaczyłam sporo osób w podeszłym wieku, które wyglądały jak stereotypowe szeptuchy lub żercy, ale było także kilkoro moich równolatków.

Zaskoczyło mnie, w jaki sposób byli ubrani. Kapłani oczywiście założyli tradycyjne koszule z krajkami, ale u niejednego spod sięgającej do połowy ud koszuliny wystawały dzinsy o kroju dzwonów. Kobiety w większości miały na sobie spodnie i kwieciste koszulki. Praktycznie każda zamiast tradycyjnej chustki narzuciła na głowę wianek z żywych, teraz już trochę przywiedłych kwiatów.

Uwielbiałam hippisowską modę ze Stanów! W Warszawie wszyscy się tak ubierali. Nie spodziewałam się, że na Łysej Górze ludzie też podążają za najnowszymi trendami mody. Spojrzałam na swoją czarną spódnicę i bluzkę, a następnie nerwowo poprawiłam chustkę na głowie. Odstawałam od innych. Babcia zawsze się tak ubierała. Myślałam, że tak trzeba, że każda szeptucha tak wygląda.

– Miłej zabawy – powiedział Mszczuj, nie zauważając nawet moich rozterek, i odszedł na drugą stronę polany, żeby porozmawiać z jakimś wysokim kapłanem.

Jego rozmówca miał na sobie o kilka rozmiarów za dużą koszulę, a długa, srebrna broda sięgała mu niemalże do pasa. Ale nie wyglądał na natchnionego kapłana. Spod krzaczastych brwi spoglądały na mnie twarde i bystre stalowe oczy.

Nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Nie wymagałam oczywiście, żeby Mszczuj trwał obok mnie przez cały wieczór i trzymał za rączkę, ale myślałam, że chociaż usiądziemy koło siebie.

Powiodłam spojrzeniem po zaciekawionych twarzach osób, które nie spuszczały ze mnie wzroku. Kilka kobiet zaczęło szeptać. Powinnam czym prędzej zejść z widoku. Większość powalonych pni była już zajęta. Nie chciałam kogoś podsiąść, ale z drugiej strony nie zamierzałam stać jak kołek. Wybrałam pniak, który zajmowała tylko jedna osoba.

Kobieta wyglądała, jakby zeszła z okładki magazynu modowego. Bluzka w różowe kwiaty opadała jej do połowy ud. Na nogach miała bardzo obcisłe legginsy z lycry. Stóпки obute w sandały na koturnie. Pokiwałam głową z uznaniem. Szczerze podziwiałam koleżankę, że zdołała w tych butach dojść na samą górę i nie zabić się o wystające korzenie.

Nie mogłam się już doczekać, kiedy mnie będzie stać na takie ubrania, skoro najwyraźniej nie muszę ubierać się jak babcia!

– Dobry wieczór! – przywitała mnie życzliwie o kilka lat starsza ode mnie kobieta. – Nazywam się Mirosława. Jestem szeptuchą z Huty Nowej, ale zajmuję się też Hutą Szklaną, Starą, Podłysicką i Nową Hutą Cisowską. Tak naprawdę wszystkie te miejscowości są obok siebie.

– Miło mi, Jarogniewa.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie. Mirka przysunęła się bliżej, żeby łatwiej nam się rozmawiało.

– Zastąpisz Radomiłę, prawda? – zapytała. – Z niej to był kawał fajnej babki.

– To była moja babcia – poczułam się w obowiązku wyjaśnić.

– Wiem, przecież wiem. Wszyscy wiemy. Radomiła była bardzo ważna dla naszej społeczności. Sama wiele się od niej nauczyłam.

– W takim razie ci zazdroszczę. Ja niestety nie miałam okazji. Zmarła po tym, jak wróciłam ze

studiów. Nie zdążyłam zacząć u niej nauk.

Bardzo mnie to stresowało. Posiadanie książek i zeszytu babci niestety nie było równoważne ze zdolnościami mądrej baby. Nie miałam doświadczenia w suszeniu ziół, w tworzeniu syropów czy nalewek. Wiedza teoretyczna w żadnym razie nie dawała mi podstaw, by sądzić, że poradzę sobie z praktyką.

– Ojej, to niedobrze!

Na pyzatej buzi Mirosławy pojawiło się szczere zatroskanie. Odrzuciła na plecy długi, bardzo gruby warkocz w kolorze słomy i postukała się palcem w zadarty nosek.

– Wiesz co? To może ja cię podszkolę – zaproponowała. – Albo chociaż przekażę kilka rad, które dostałam od twojej babci.

Poczułam, jak moja twarz rozciąga się w uśmiechu.

– Byłoby świetnie! Na pewno przyda mi się pomoc.

– Przynajmniej masz świetnie zaopatrzoną praktykę – zauważyła. – Nie musisz się przez kilka najbliższych lat nawet zabierać za produkcję leków.

– Z tym akurat jest problem.

Wyjaśniłam jej pokrótce, w jakim stanie znalazłam chatę Radomiły. Dziewczę było przerażone zuchwalstwem złodziei. W błękitnych oczach pojawiło się przerażenie i smutek, a rzęsy zalśniły od łez.

Nie spodziewałam się, że można reagować tak emocjonalnie. Bogowie, jak ona sobie radzi w życiu, skoro płacze z powodu wydarzeń, które nawet bezpośrednio jej nie dotyczą?

– To tragedia! – jęknęła.

– Nie da się ukryć – mruknęłam.

– Ja ci pożyczę moje specyfiki! – zaoferowała się. – Przecież w ogóle nie możesz pracować.

– Ojej, ale ja nie będę robić ci kłopotu – zaprotestowałam.

Naprawdę nie chciałam sprawiać jej problemów. Dodatkowo nie byłam pewna, czy kiedykolwiek się za te specyfiki wypłacę. To właśnie dlatego mi je skradziono. Były wartę fortunę! Oczywiście nie liczoną w jajkach.

– Musimy się wspierać! – odparła z mocą i złapała mnie za rękę. – Życie samotnej kobiety we wsi nie jest proste.

– Dlaczego tak mówisz?

Zmieszała się i cofnęła dłoń. Poprawiła włosy, które nie wymagały żadnych poprawek.

– Powiedzmy, że ludzie traktują nas różnie. Zwłaszcza póki jesteśmy młode. Nikt nam za bardzo nie wierzy, nie chcą korzystać z naszych usług. Wolą jechać do lekarza, nawet jeśli oznacza to wyprawę aż do Kielc.

Wizja moich przyszłych finansów przestała się malować tak różowo, jak początkowo zakładałam.

– Poza tym niektórzy pacjenci bywają... hm... agresywni, dość kłopotliwi. Do mnie często przychodzą pijani ludzie.

Teraz to ja się oburzyłam. Mirka wyglądała na delikatną dziewczynę. Przeraziło mnie, że ktoś chciał jej kiedyś zrobić krzywdę tylko dlatego, że jest kobietą i nie ma siły dwumetrowego chłopca.

– To dlatego powinnaś dobrze żyć ze swoim kapłanem – dodała.

– Z Mszczujem?

Zerknęłam przez ognisko na kasztanowłosego młodzieńca. Głośno się z czegoś śmiał. Jego wystająca grdyka skakała z góry na dół. Chichot nie był tak nerwowy jak wcześniej, podczas naszej rozmowy, ale mężczyzna wciąż wydawał się spięty. Płomienie tańczyły w jego lokach. Popiół z butelki podanej mu przez innego wróża. Przez chwilę intensywnie się mu przyglądałam. Mszczuj nie wyglądał imponująco. Był chudy jak szczapa, lekko zahukany. Widać po nim było, że praca go stresuje. Nawet na wspólnym ognisku nie potrafił się do końca odprężyć.

– Kiedy twoi podopieczni zobaczą, że kapłan otacza cię opieką, będziesz bezpieczna – powiedziała Mirka.

– Nie podoba mi się, że mężczyzna ma być gwarantem mojego bezpieczeństwa.

Byłam wściekła. Zaścianek przeklęty. W jednej chwili zatęskniłam do Warszawy, którą pokochałam na studiach. Tam takie rzeczy byłyby nie do pomyślenia. Kobiety lekarki były powszechnie szanowane w szpitalach. Czemu z kobietami szeptuchami, pracującymi w mniejszych miejscowościach, tak nie było?

Poza tym nie przepadałam za kapłanami. Zawsze wydawali mi się tacy nadęci i ponurzy. Co prawda Mszczuj sprawiał zupełnie inne wrażenie, ale nie cieszyła mnie wizja chodzenia z nim pod rękę, żeby nikt mnie nie napadł.

– Jaga, może ci się nie podobać, ale tutaj tak jest. Dopiero jak na twojej twarzy zarysują się zmarszczki, a czarne włosy zamienią w szary całun, pojawi się szacunek – zawyrokowała Mirka.

– Czyli muszę wyglądać jak czarownica z bajek, żeby się mnie bali? – prychnęłam.

– Coś w tym jest, chociaż brodawki na nosie chyba możesz sobie darować – zgodziła się i podała mi jedną z dwóch butelek, które stały obok jej nóg. – Napijesz się? Półtorak, bardzo dobry. Ja wszystkiego i tak nie wypiję.

Pociągnęłam długi łyk miodu. Zapiekł w gardło, ale był tak słodki, że nie myśląc zbyt wiele, wypiałam duszkiem niemalże pół butelki. Po moim ciele rozlał się ogień. Miłe mrowienie skóry sprawiło, że zdjęłam czarny sweter, a także zsunęłam ze stóp buty. Zanurzyłam nogi w chłodnej trawie i westchnęłam. Uwielbiałam chodzić bosą.

Mirka zaproponowała, żebyśmy się przeszły dookoła ogniska, to przedstawi mnie innym szeptuchom i kapłanom. Bardzo szybko wszystkie imiona mi się poplątały, ale to nie było ważne. Wiedziałam, że w końcu się ich nauczę.

Oto moja nowa rodzina.

Podeszliśmy do Mszczuja i starszego wróża z imponującą brodą. Bieliński kapłan wydawał się przy nim wyjątkowo młody. Trudno aż było uwierzyć, że wypuścili go z seminarium i pozwolili praktykować.

– To kapłan z mojego miasta – szepnęła Mirka. – Przewodzi wszystkim naszym spotkaniom od wielu lat.

Popchnęła mnie do przodu i powiedziała:

– Drogi Bolesławie, poznaj Jarogniewę. Mszczuju, jak mniemam, wy już się znacie.

Bieliński kapłan zapłonął rumieńcem i gorliwie pokiwał głową. Starszy żerca zerknął na niego z delikatną przyganą, a następnie ucałował moją dłoń. Stalowe oczy zdawały się przebijać mnie na wylot.

– Droga Jarogniewo, przyjmij moje kondolencje. Radomiła była ważną częścią naszej społeczności

– oświadczył sędziwy Bolesław, wciąż nie wypuszczając mojej dłoni z uścisku. – Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, zgłoś się do jakiegokolwiek osoby przy tym ogniu. Uzyskasz natychmiast pomoc i wsparcie.

– Bardzo dziękuję – odparłam.

Stary żerca puścił wreszcie moją dłoń. Była mokra.

– Zastanawialiśmy się, czy przyjedziesz – kontynuował. – Radomiła mówiła nam, że poszłaś na studia, zamiast u niej terminować.

Na końcu języka miałam uwagę, że zgodnie z prawem nie można zostać szeptuchą bez ukończenia studiów medycznych. Jeszcze dwadzieścia lat temu powszechne było pobieranie nauki u mądrej baby, a potem objęcie jej stanowiska, ale te miłe czasy dawno minęły. Chociaż ja tak naprawdę wcale tego nie żałowałam. Wyjazd do Warszawy dał mi bardzo dużo. Może byłam przez to gorszą szeptuchą, ale na pewno poszerzyły mi się horyzonty.

– Tak, studiowałam – potwierdziłam.

– Cieszymy się, że przyjechałaś. Szkoda, że nie terminowałaś u niej chociaż przez chwilę. Z całą pewnością będziesz mieć dużo problemów.

Pewność w jego głosie podziałała na mnie jak płachta na byka.

– Myślę, że sobie poradzę – odparłam. – Babcia przekazała mi tyle wiedzy, ile trzeba.

W oczach Bolesława błysnęło coś, czego nie potrafiłam nazwać. Zrobiło mi się głupio. Chyba nie powinnam była wdawać się z nim w dyskusję. W końcu przewodzi temu zgromadzeniu. Jak mu podpadnę, to jeszcze mnie nie zaprosi na kolejne święto.

– Wydaje mi się, że wszyscy już przybyli – zmienił temat. – Jarogniewo, czy będziesz tak miła i przemówisz do naszej społeczności? Jestem pewien, że każdy chciałby usłyszeć twój głos.

Odsunął się ode mnie i spojrzał na resztę uczestników ogniska.

– Och, oczywiście – mruknęłam.

Mirka posłała mi pokrzepiający uśmiech i razem z Mszczujem cofnęła się w cień. Zostałam sama. Poprawiłam szybko chustkę na głowie. Od razu pożałowałam, że zdjęłam ze stóp buty. Przy wysokim Bolesławie wyglądałam jak dziecko.

Żerca podszedł do ogniska i uniósł wysoko ręce. Uwaga wszystkich od razu skupiła się na nim, a przez to także na mnie.

– Drodzy! Nadeszła Noc Kupały. Noc miłości, płodności i urodzaju. Najkrótsza noc w roku, gdy nie wypada spać, gdy nie wolno być samemu, gdy trzymając się za ręce, można skoczyć razem w ogień. Chyba wszyscy lubimy to święto najbardziej, prawda? – zaśmiał się.

Zebrani dookoła ognia grzecznie zaśmiali się z dowcipu. Ja, mając ciągle w głowie przestrogi o orgiach, jakoś nie potrafiłam.

– Piękne panie, mam nadzieję, że przepasałyście się bylicą, by nie porwały was utopce. Panowie, mam nadzieję, że jesteście gotowi na poszukiwanie kwiatu paproci. Dzisiaj uczymy Noc Kupały. Pojednamy się z bogami, zajrzemy za cienką zasłonę ludzkiej rzeczywistości. Usłyszcie muzykę zaświatów, poznajcie słodki smak Nocy Kupały.

Sięgnął do kieszeni i wrzucił do ognia garść jakichś ziół. Płomienie od razu zabarwiły się na fioletowo i wystrzeliły wysoko do nieba. Przestraszona, cofnęłam się dwa kroki. Poczułam zapach palonych ziół. Lekko drażnił nos, ale jednocześnie sprawiał, że dużo łatwiej mi się oddychało.

Bolesław ani drgnął. Dobrze wiedział, jak zachowują się płomienie. Ponownie uniósł ręce do nieba.

– Białobogu, Czarnobogu i boskie dzieci. Tej nocy się wam oddajemy. Kupało, przybądź, pobłogosław nas i nasze zbiory. Welesie, zarzuć na nas ochronę od kłamstw. Świętowicie, zapewnij nam ludzką szczodrość. Swarogu, Swarozycu i Dadźbog, ogrzejcie tej nocy nasze serca. Sprawcie, by krew zawrzała w żyłach. Mokosz, obdarz nas płodnością.

Opuścił ręce i ponownie sięgnął do kieszeni. Już wiedziałam, czego się spodziewać, więc nie miałam zamiaru się cofać.

– Przyjmijcie naszą ofiarę – poprosił Bolesław.

W ręku starca załśnił nóż. Patrzyłam zafascynowana, jak nacina skórę we wnętrzu dłoni, a następnie ciska do płomieni kilka kropli swojej krwi. Mimo że była to zwykła krew, płomienie znowu na chwilę zmieniły barwę.

Przez moment, głównie pod wpływem niesamowitego nastroju i połowy butelki miodu pitnego, niemalże wierzyłam, że faktycznie bogowie stanęli między nami.

– Moi drodzy, zanim każde z nas będzie mogło złożyć bogom żertwę, poznajcie nową członkinię naszej wspólnoty. To Jarogniewa, wnuczka kochanej Radomiły. Przejmuje jej praktykę w Bielinach. Jarogniewo, prosimy, powiedz nam kilka słów.

Kiwnęłam głową i podeszłam bliżej ognia. Przeklełam się w myślach. Nie wzięłam ze sobą niczego, co mogłabym oddać w darze bogom. Nie miałam żadnej żertwy. Pozostało mi mieć nadzieję, że Mirosława pożyczycy mi jedno jajko, które będę mogła wrzucić w płomienie.

– Witajcie, nazywam się Jarogniewa. Cieszę się, że mogę być jedną z was – powiedziałam. – Cieszę się, że będziecie moją nową rodziną.

Może nie była to zbyt górnolotna przemowa. Z całą pewnością mogłam bardziej ją rozwinąć, nie zamierzałam jednak niczego więcej mówić. Z każdym kolejnym słowem zwiększała się szansa, że niechący powiem coś, czego nie powinnam.

– Dziękuję. – Skłoniłam głowę i się wycofałam.

Bolesław był nieco zaskoczony, ale wskazał mi dłonią miejsce obok Mirki. Dziewczyna zamachała do mnie, zachęcając, żebym podeszła.

Opadłam na powalony pień i szepnęłam do niej:

– I jak mi poszło?

– Bardzo dobrze. Myślę, że wszyscy docenią twoją oszczędność w słowach. Zwłaszcza że teraz każdy wróż będzie coś gadał i wrzucał do ognia zioła. Jeszcze się tu nasiedzimy, zanim zacznie się dobra zabawa.

– Mirko... – Nie do końca wiedziałam, o co tak naprawdę chciałam zapytać. – Czy wiesz może, jakie stosunki panowały pomiędzy moją babcią a Bolesławem? Wyczuwam w nim pewną wrogość.

Dziewczyna przygryzła wargę i pokiwała w zamyśleniu głową.

– Chyba za sobą nie przepadali – powiedziała w końcu. – Ale nie martw się. Bolesław to naprawdę świetny facet. Na pewno jego kłótnie z Radomiłą nie będą miały żadnego wpływu na to, jak będzie cię traktował.

– Skoro tak mówisz.

– Oczywiście, że tak! Zobaczysz. Wszystko będzie dobrze.

4.

Muzyka skrzypiec i fujarek porywała do tańca. Klaskałam w dłonie z zamkniętymi oczami, kiwając się w rytm melodii. Mirka chyba płała gdzieś dookoła ognia. Chwilę wcześniej widziałam, jak przeskakuje przez płomień, trzymając się jakiegoś kapłana. Potem powieki mi opadły. Czułam ciepło, alkohol huczał w mojej głowie. Gdybym chociaż na chwilę się położyła, na pewno bym usnęła.

Każdy kapłan i prawie każda szeptucha wrzucali do ognia zioła. Dość szybko zorientowałam się, że w sporej większości nie służyły tylko i wyłącznie do zabarwienia płomieni na różne kolory. Miałam wrażenie, że unoszę się w upajającym zapachu. Znowu zaczęłam być głodna, ale skutecznie zagłuszyłam żołądek miodem pitnym od Bogusi. Nie chciałam opuszczać tego miejsca. Bardzo mi się tu podobało.

Nie rzuciłam się do tańca tak jak pozostali. W zasadzie tylko najstarsze osoby, którym zdrowie nie pozwalało, siedziały wciąż na swoich miejscach. Ja byłam w żałobie. Nie miałam pewności, czy babcia Radomiła przypadkiem nie obserwuje mnie przez ogień. Podczas każdego święta, nie tylko w Dziady wiosenne i jesienne, granica pomiędzy światem ludzi a Wyrajem stawała się cieńsza. Nie chciałam zrobić przykrości babci. Uszanuję okres żałoby i zatańczę za rok, na kolejnej Nocy Kupały.

Zresztą nawet jeśli babcia nie miałaby nic przeciwko, to gdyby tylko ktoś doniósł mojej mamie, że miałam czelność dobrze się bawić, suszyłaby mi głowę przez następne dziesięciolecie. Taniec dookoła ogniska nie był tego wart.

– Dobry wieczór, szanowna pani!

Otworzyłam oczy i odwróciłam głowę do Mszczuja, który usiadł obok mnie na pniu. Miał zaróżowione od tańca policzki. Jego oczy rzucały wesołe błyski. Nawet wiecznie ruchoma grdyka przestała na chwilę nerwowo podskakiwać. Odetchnął pełną piersią zapachem dymu. Wreszcie wydawał się zrelaksowany. Najwyraźniej, by osiągnąć ten stopień rozluźnienia, potrzebował alkoholu i ziół. Postanowiłam to zapamiętać.

Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że przez cały wieczór rzucał mi nieśmiałe spojrzenia. Cieszyłam się, że wreszcie odważył się do mnie podejść. W innym wypadku sama bym go chyba zaczepiła. Ile w końcu można czekać?

– A dobry wieczór, szanowny panie! – odparłam i mrugnęłam do niego.

Uśmiechnął się nieśmiało. Położył dłonie na kolanach i pochylił lekko głowę, żeby lepiej mnie słyszeć w gwarze dookoła nas.

Nie mogłam się powstrzymać i stuknęłam go łokciem w bok.

– Ale się zrobiło przyjęcie! Nie spodziewałam się, że wszyscy będą tańczyć. Myślałam, że będziemy siedzieć całą noc, słuchając jakiejś drętwej przemowy kapłana cierpiącego na wieczne zatwardzenie.

Mszczuj od razu stracił całą pewność siebie.

– Och, nie, nie. Szanowna pani wybaczy, ale myliła się pani bardzo mocno – wyjąkał. – Nasze spotkanie raczej należą do wesołych.

– Właśnie widzę.

Potoczyłam spojrzeniem po polanie. Na twarzach wszystkich osób malowała się radość. Zwróciłam uwagę, że większość uczestników zabawy miała lekko nieobecne spojrzenia, zupełnie jakby już dawno przekroczyli cienką granicę picia z umiarem.

Nagle pomiędzy tańczącymi osobami, daleko w cieniu drzew, zobaczyłam jakieś szczupłe sylwetki. Kobiety były całkiem nagie. Tańczyły w ciemnościach do muzyki fletu i skrzypiec. Ich ruchy wydawały się niebywale lekkie. Włosy unosiły się na wietrze.

Złapałam Mszczuja za ramię, cały czas wpatrując się w punkt za ogniskiem. Bałam się, że gdy tylko odwrócę wzrok, tajemnicze kobiety znikną.

– Na wszystkich bogów! Czy pan też to widzi?! – wykrzyknęłam.

– Co takiego? – zaniepokoił się. – Zobaczyła szanowna pani jakieś dzikie zwierzę? W lasach sporo się ich kręci, ale na nasze wzgórze rzadko się zapuszczają.

– Nie, nie! Tam tańczą jakieś nagie kobiety. Tam, tam, pod lasem! Czyżby to rusałki?!

Zatchnęłam się powietrzem przekonana, że oto na moich oczach rozgrywa się prawdziwy cud. Czyżby to mityczne stworzenia, o których opowiadała mi babcia, ukazały się w całej okazałości?

– Szanowna pani...?

Poczułam, że moje palce splatają się ze szczupłymi, chłodnymi, mimo gorącej nocy, palcami mężczyzny. Natychmiast wróciłam do niego spojrzeniem, spłoszona tą niespodziewaną i niepożądaną poufałością.

Dostrzegłam, że Mszczuj po prostu usiłuje delikatnie odgiąć moje palce, które wbiłam mu boleśnie w przedramię. W żadnym razie nie było mowy z jego strony o mrocznych zamiarach. Na moich policzkach od razu zagościł rumieniec o odcieniu zbliżonym do czerwieni chustki, którą miałam na głowie.

– Przepraszam pana! – wykrzyknęłam i szybko zabrałam rękę.

– Szanowna pani, czy coś pani dzisiaj jadła? – zapytał zaniepokojony.

– Tam, niech pan tam spojrzysz! – wskazałam palcem na miejsce za tańczącymi.

Moja dłoń opadła. Nikogo już tam nie widziałam. Mara zniknęła.

– Kobiety, tam tańczyły nagie kobiety – szepnęłam.

– Dziwne – mruknął sam do siebie i rozejrzał się zaniepokojony. – Czyżby ktoś jeszcze czegoś dosypał?

– Co pan tam mamrocze? – zainteresowałam się i jego śladem także zerknęłam na ognisko.

Nie wiem, na co patrzył. Płomienie miały teraz zwykłe kolory. Wróciłam spojrzeniem do lasu. Przysięgłabym na własną duszę, że widziałam gołe baby z zielonymi włosami. Rusałki jak nie!

– Te zioła dosypywane do ogniska mają nie tylko ładnie pachnieć, pani Jarogniewo. – Mszczuj poczuł się w obowiązku to wytłumaczyć.

Domyślałam się, ale byłam ciekawa, co więcej mi zdradzi.

– Nie? – Udałam zaskoczenie.

– Nie. One też mają powodować dobry nastrój.

– Zdecydowanie podoba mi się to całe szeptuchowanie! – oświadczyłam zadowolona.

– Czy szanowna pani nie chciałaby czegoś zjeść? – zaproponował lekko zaniepokojony Mszczuj. – To pomaga, naprawdę. Mam kanapki z jajkiem. Zapewniam, że to najlepszy specyfik na nadmierne

pobudzenie. Chętnie szanowną panią poczęstuję. Od tych oparów może się odrobinę kręcić w głowie. Pamiętam, jak sam przyjechałem po raz pierwszy na święto. Dość długo nie mogłem wtedy dojść do siebie.

– Nie chcę jeść, ale chętnie bym się czegoś napiła. Może pan coś zaproponować, panie wrózu? – Znowu puściłam do niego oko.

Zaczerwienił się po cebulki kasztanowych włosów. Nie mogłam przestać się śmiać w duchu. Był naprawdę uroczy.

– Mam miód... – szepnął niepewnie. – Ale...

– To dawaj pan ten miód! – wykrzyknęłam. – Nie zostawisz pan chyba kobiety w potrzebie, co?

– Nie, nie, oczywiście, że nie – zapewnił prędko. – Ale nie jestem pewien, czy miód to aby dobry...

– Gdzie waćpan masz ten miód?

Zerwałam się z pniaka i pociągnęłam go za sobą. Zakłopotany szybko poprowadził mnie do miejsca, gdzie zostawił napoczętą butelkę. Wyglądało na to, że sam ledwie zamoczył w miodzie usta.

Zmierzyłam go długim spojrzeniem. Miałam nadzieję, że nie jest taki praworządny na co dzień, bo inaczej nasza wspólna przyszłość w Bielinach mogła okazać się dość męcząca.

– Proszę bardzo, szanowna pani. – Podał mi napitek.

Pociągnęłam kilka długich łyków, obtarłam usta wierzchem dłoni i oddałam mu miód. Zawroty głowy, które powoli ustępowały, wróciły z nową mocą. Chociaż może to dlatego, że staliśmy teraz bliżej ognia.

– Niech pan też sobie nie żałuje, bo inaczej się w ogóle pan nie zabawi, panie wrózu.

Mszczuj obracał w dłoniach butelkę. Wahał się. Miał ochotę się napić, ale z jakiegoś powodu się powstrzymywał.

– Och, ja się świetnie bawię, zapewniam szanowną panią – odparł.

– To dlatego przyjechał pan samochodem? Żeby mieć wymówkę i nie pić? – zapytałam.

– Nie, ja po prostu... nie lubię tracić kontroli.

Uniosłam brew i spojrzałam na otaczających nas ludzi. Zdecydowanie nikt nie miał już kontroli nad niczym.

– A pij pan, nie dyskutuj! – Straciłam do niego cierpliwość.

Posłusznie przechylił naczynie i łąpczywie przełknął. Zafascynowana patrzyłam, jak poziom płynu w zielonej butelce powoli spada. W końcu nic nie zostało. Mszczuj odjął ją od ust i posłał mi pełne wyzwania spojrzenie.

Zaśmiałam się głośno. Dobrze mi idzie. Tylko przyjechałam, a już deprawuję jedyne porządne w okolicy.

– A teraz idziemy szukać rusałek! – zakomenderowałam, łapiąc go ponownie za dłoń.

– Słucham? – Był tak zaskoczony, że aż upuścił butelkę.

– Wydaje mi się, że widziałam rusałki. Sama nie pójdę sprawdzić, szanowny pan idzie ze mną – wyjaśniłam.

Schyliłam się i podniosłam z ziemi inną butelkę, chyba nienależącą do Mszczuja, ale co najważniejsze – pełną. Mężczyzna nie zaprotestował. Powąchałam szyjkę. Miód. I bardzo dobrze. Wręczyłam ją kapłanowi. Nie wypadło, żebym to ja niosła alkohol.

Pociągnęłam opierającego się Mszczuja pomiędzy drzewa. Gorączkowo wykręcał głowę, żeby sprawdzić, czy aby nikt nie widzi, jak idziemy w krzaki. Nie wiem, czym się tak przejmował. Połowa towarzystwa już się gdzieś rozlaźła albo była tak rozbawiona, że nie wiedziała, co się dookoła dzieje.

– Żerca Bolesław nie pozwala chodzić młodym kapłanom w krzaki z szeptuchami? – zapytałam. – Bo jeśli tak, to chciałabym tylko panu powiedzieć, że jakąś godzinę temu widziałam, jak udał się na spacer i to na dodatek nie sam, więc może pan być spokojny. Nic nie zauważy.

– Nie, nie, to nie o to chodzi.

– A o co? – drążyłam.

Wędrowaliśmy między drzewami, stopniowo oddalając się od ogniska. Ciągłe dobiegała nas głośna muzyka i śmiechy, ale powietrze było tu dużo czystsze. Miałam wrażenie, że przejaśnia mi się w głowie.

– Mój ojciec zna kilku kapłanów. Wolałbym, żeby mu nic nie mówili.

– Pana ojciec? – zdziwiłam się.

– Kiedyś pani o tym opowiem – uciął.

Przez kolejne kilka minut prowadziłam go pomiędzy drzewami. Nie było tu wyraźnej ścieżki. Czułam, jak w gołe stopy kaleczą mnie gałązki i igły opadłe z sosen. Cały czas czujnie się rozglądałam i nasłuchiwałam, ale nigdzie nie było widać żadnych demonów.

– Szanowna pani, nie jestem pewien, czy powinniśmy się oddalać od ognia – wystękał Mszczuj, potykając się o korzenie.

– Co żeś się pan z tą szanowną panią zaparł jak jakiś osioł? Mówmy sobie po imieniu! Powinniśmy być przyjaciółmi, skoro razem będziemy pracować w Bielinach, czyż nie? Jestem Jaga!

Wyszarpnęłam rękę z uścisku i odwróciłam się do niego tak niespodziewanie, że o mało na mnie nie wpadł. Spojrzał z niedowierzaniem na moją wyciągniętą teraz w uprzejmym geście powitania dłoń. Miałam wrażenie, że jeszcze bardziej go przestraszyłam.

– Jestem Mszczuj. – Ucisnął ją w końcu. – Naprawdę niezmiernie mi miło...

– Tak, tak, to już ustaliliśmy!

Wyrwałam mu rękę i odwróciłam się, usiłując zobaczyć coś przez mrok pomiędzy smukłymi pniami drzew. Przysięgłabym, że widziałam rusałki. Co prawda nigdy wcześniej nie widziałam żadnego upira. Ani dobrego, ani złego. Skoro jednak dzisiaj miała być noc pełna magii, a żerca Bogusław sam stwierdził, że granica między światem widzialnym a niewidzialnym się przesuwają... to może i gołe baby z zielonymi włosami wyłażą ze swoich legowisk.

– A czego w zasadzie szukamy... Jago? – zapytał uprzejmym tonem.

– Rusałek.

– Rusałki nie istnieją, z tego co mi wiadomo.

– Ale ja kogoś widziałam.

– Może... może ktoś musiał skorzystać z wychodka – powiedział ostrożnie i uciekł spojrzeniem w bok.

Chyba domyślałam się, co miał na myśli. Z moich obserwacji wynikało, że w krzaki ludzie udawali się raczej w parach. Mieszanych parach.

Zupełnie jak my teraz.

Parsknęłam śmiechem. Wyraźnie się zmieszał, ale nie miałam zamiaru tłumaczyć mu powodów

mojej wesołości. A niech się zastanawia.

Mszczuj zerknął na butelkę miodu, którą trzymał wciąż w dłoni. Gęsty płyn przelewał się w pękającym wnętrzu przy każdym kroku.

Popił dla kurażu.

Naprawdę ledwie się powstrzymałam od śmiechu. Był starszy ode mnie, a zachowywał się jak zahukany nastolatek. Nikt go nigdy nie zabrał do lasu w Noc Kupały? Nie twierdzą oczywiście, że sama byłam jakoś strasznie doświadczona w tym temacie. Jednak dziwiło mnie, że on się tak peszył.

Stanęliśmy na chwilę obok kamiennej rzeźby. Była wykonana z jednego kamiennego bloku. Przed wieloma laty ktoś ukształtował kamień na wzór czterolicego boga Świątowita. Obeszłam postument dookoła, by lepiej mu się przyjrzeć w mdłym świetle księżyca. Poszczególne twarze boga różniły się stopniem zarostu.

– Sympatycznie to on nie wygląda – stwierdziłam.

– To Świątowit – oznajmił Mszczuj.

– Chociaż jedna z jego twarzy mogłaby się uśmiechnąć. Wyładniałby dzięki temu – odpowiedziałam przekornie.

– Pan piorunów nie ma czasu na ładne wyglądanie. Dogląda całego świata – powiedział.

Odwrociłam się do mężczyzny i przewróciłam oczami.

– Tak, pamiętam z historii. W jego świątyni, w Arkonie, kapłani musieli wstrzymać oddech, zanim weszli do środka. Jeśli faktycznie wymaga takich rzeczy od swoich wyznawców, to nie dziwię się, że nie uśmiecha się nawet na rzeźbach – prychnęłam.

– Pani... ekhm... Jago? Słyszę w twoim głosie przyganę. Powiedziałem coś nie tak?

Byłam zaskoczona, że nie chciał się ze mną pokłócić o Świątowita. Myślałam, że stanie w jego obronie. Wyciągnęłam rękę w stronę Mszczuja. Tym razem się nie wzbraniał. Gdy jego chłodne palce objęły moje, poprowadziłam go głębiej pomiędzy rzeźby.

Bogowie przyglądali się nam w milczeniu. Większość twarzy była trudna do rozpoznania. Deszcze zamazały ich rysy i sprawiły, że wszyscy wyglądali identycznie.

– Kto to? – zapytałam.

Przed nami znajdował się posąg znacznie różniący się od pozostałych. Kibić wyrzeźbionej postaci była wąska, a nagi biust bardzo ponętny i duży. Rozłożyste biodra okrywała ciągnąca się do ziemi, kamienna spódnica. Kobieta wznosiła ręce do nieba.

– To Mokosz – odparł i dodał szybko: – Bogini płodności.

Najwyraźniej po moich poprzednich uwagach zaczął mnie uważać za ignorantkę, która nie odróżnia bogów od siebie.

– Wiem, kim jest Mokosz. Tylko czy ona nie powinna być przedstawiona z ciężarnym brzuchem?

– Zwykle tak się ją pokazuje – zgodził się. – Ale mi się podoba ta wersja. W tej postaci dopiero przygotowuje się do wiosny i lata.

Zerknęłam na niego z ukosa, ale, o dziwo, mówiąc to, nie patrzył na nagi biust kamiennej Mokosz, który był wykonany z dużą dbałością o szczegóły. Dotknęłam piersi bogini. Była wygłaskana przez ludzkie dłonie. Zaczęłam się zastanawiać, ile kobiet i od ilu lat przychodziło tu modlić się do Mokosz o potomstwo.

Minęliśmy rzeźbę. Nagle dostrzegłam coś pomiędzy suchą trawą a połamanymi gałęziami.

Pociągnęłam kapłana za rękę.

– Mszczuju, zobacz! – pisnęłam ucieszona.

– Co to? – Pochylił się.

Ukucnęłam i podniosłam kolorowe zawiniątko. Gdy się prostowałam, niechcący zahaczyłam głową o nos żercy. Mężczyzna jęknął i złapał się za twarz.

Chwyciłam się za potylicę, którą całkiem nieźle przywaliłam w kapłana. Zauważyłam, że otwarta butelka z miodem upadła miękko na ziemię, gdy porażony uderzeniem Mszczuj ją upuścił.

Od razu zapomniałam o bólu głowy. Szarpnęłam szybko za butelkę i uniosłam ją do góry. Na szczęście tylko trochę miodu wylało się na leśny mech, tuż u stóp kolejnego posągu.

– Całyś, Mszczuju? – zapytałam, odwracając się do poszkodowanego.

Mężczyzna odjął ręce od twarzy. Z nosa pociekła mu strużka ciemnej, niemal czarnej w panującym mroku, krwi. Zatrzymała się na chwilę na eleganckim wąsiku i pociekła niżej, na usta. Kilka kropeł spadło na lnianą koszulę, bezpowrotnie znacząc czerwienią beżowy materiał.

Mszczuj wpatrywał się w swoją zakrwawioną dłoń, którą odjął właśnie od nosa. Nawet w ciemnościach zauważyłam, że pobladł.

– Ojej, przepraszam. – Przestraszyłam się. – Dobrze się czujesz?

– Spokojnie, nic mi nie jest – zapewnił mnie, odchylając głowę do tyłu i ponownie zaciskając palce na skrzydełkach nosa. – Po prostu leci mi... krew... z nosa...

Zachwiał się lekko. Miałam wrażenie, że zaraz się przewróci. Złapałam go za ramię i poprowadziłam w stronę przyciętego siekierą pnia, przypominającego niski taboret.

– Przysiadź tutaj, na pniaczku. – Popchnęłam go delikatnie. – Odpocznij przez chwilę.

Zamiast zaczekać, aż doprowadzę go na właściwe miejsce, zaczął od razu siadać. Spanikowany, że pnia nie ma tuż za nim, zamachał rękami i o mało co się nie przewrócił, rozbijając tym razem głowę o drewno. Krople krwi ponownie zrosiły jego koszulę.

Zdecydowanie nie da się jej już uratować.

– Spokojnie! Jeszcze dwa kroki. Jest tuż za tobą! – Staralam się go uspokoić.

Westchnął ciężko i usadził się w końcu na pniaku.

– Wszystko dobrze? – zapytałam.

– Tak, tak, nic mi nie będzie. To raczej zawstydzające niż bolesne... – sapnął.

– Potrzymaj.

Wyciągnęłam w jego stronę butelkę. Złapał ją jedną ręką, gdyż palcami drugiej dłoni znowu uciskał skrzydełka nosa. Wyglądał jak obraz nędzy i rozpacz. Przed oczami stanął mi mój niedoszły narzeczony Bratomił. On nigdy nie dawał sobie w kaszę dmuchać. Gdyby się zaparł, to i z niedźwiedziem stanąłby do zapasów. Mszczuj, delikatny intelektualista, stanowił całkowite przeciwieństwo rolnika.

– Znalazłam wianek na ziemi – poinformowałam kapłana.

Sięgnęłam do włosów i rozplątałam supeł, na który zawiązałam pod warkoczem moją chustkę. Na jej miejsce nałożyłam wianek. Różnokolorowe polne kwiaty nie były w ogóle zwiędnięte. Zupełnie jakby ktoś przed chwilą je zerwał. Rozejrzałam się, ale nigdzie w pobliżu nie widziałam takich roślin. Ktoś musiał znaleźć je na jakiejś łące albo polu i tu przynieść. Pośrodku puszczy na pewno nie rosły.

Na twarzy Mszczuja pojawił się rozmarzony uśmiech, gdy mi się przyglądał. Poczułam, że się czerwienię.

Złożyłam chustę na kilka części i delikatnie odsunęłam jego dłoń od twarzy. Z nosa jeszcze pocięło kilka kropel krwi, ale nie było ich dużo. Uspokoiłam się. Przez moment obawiałam się, że złamałam mu niechący nos. Otarłam zabrudzone krwią policzek i wąsy. Pożałowałam, że nie mam w czym zmoczyć chustki, żeby zrobić mu zimny kompres.

Na szczęście, poza spuchniętym nosem, nie wyglądał tak źle.

– Twoja apaszka... – zaprotestował. – Zniszczy się.

– I tak jest czerwona.

Pogłaskałam go po policzku i zatonełam w czułym spojrzeniu mężczyzny. W jednej chwili wydał mi się jednocześnie bezbronny i silny. Poczułam, że mam w głowie mętlik.

– Za to mam teraz wianek, który mogę założyć na włosy. Po cóż mi chustka? – zaszcebiotałam, żeby przegnać ciszę. – Mogę się założyć, że te piękne kwiaty zgubiła jakaś rusałka.

– Jedną rusałkę widzę właśnie przed sobą – wyszeptał nagle ośmielony. – Piękną nawet i bez wianka.

Serce szybciej mi zabiło w piersi. Na bogów, nie rozumiałam, co się właśnie działo. Czułam się odurzona, zupełnie jakby znowu uderzyły mi do głowy wszystkie procenty, które wypijałam tego wieczoru. Przecież nie miałam wstrząśnienia mózgu. Nie powinnam się tak czuć.

Zanurzyłam dłoń w kwiatkach, z których łądyg skrecony był wianek. Dziwne wrażenie pojawiło się w chwili, gdy go założyłam.

Odetchnęłam głęboko powietrzem przesyconym zapachem lasu. Sięgnęłam po butelkę miodu, którą ciągle trzymał Mszczuj, i się napiłam. Oczywiście nie spodziewałam się, że zacznę mi się od tego lepiej myśleć. Wręcz przeciwnie. Miałam ochotę pozbyć się wątpliwości.

Tak też się stało.

Pochyliłam się i pocałowałam kapłana. Poczułam w ustach smak miodu i krwi. Gdzieś w oddali zaczęła grać muzyka.

5.

Obudziło mnie światło. Padało prosto na moją twarz. Jęknęłam i nakryłam się poduszką. W takiej pozycji nie mogłam jednak oddychać przez gęste pierze, więc znowu musiałam się odkryć. Światło po raz kolejny mnie poraziło. Jęknęłam głośnie. Nie było nawet mowy o dłuższym spaniu. Mam nauczkę, żeby szczelnie zamykać okiennice.

– Ciężkie życie – mruknęłam przez zaschnięte gardło.

Czułam, jak moja głowa pulsuje. Zupełnie jakby ktoś rytmicznie uderzał młotem, idealnie pomiędzy moje oczy. Nie pierwszy raz miałam kaca po alkoholu, ale ten był wyjątkowo dotkliwy.

Spuściłam stopy na chłodną podłogę i o mało nie poleciałam na twarz, gdy świat zawirowało. To, jak się teraz czułam, nie mogło być spowodowane tylko i wyłącznie miodem pitnym. Na pewno zioła palone w ognisku musiały wejść z nim w jakąś reakcję.

Powoli wstałam i podeszłam do okna. Otworzyłam je na całą szerokość, wpuszczając do dusznego wnętrza przesyconego zapachem przetrawionego alkoholu świeże powietrze. Spojrzałam na siebie. Poszłam spać w ubraniu, zrzucając jedynie spódnicę, która skotłowana leżała na ziemi pod łóżkiem. Zdjęłam czarną koszulę i przez chwilę stałam w samej bieliźnie. Poważnie zastanawiałam się nad kolejnym ruchem.

Najchętniej ponownie bym się położyła, ale tak strasznie chciało mi się pić, że musiałam iść do studni po świeżą wodę. Tylko żeby wyjść, musiałabym się ubrać.

Życie jest zdecydowanie zbyt ciężkie.

Wyszarpnęłam spod łóżka walizkę. Wczoraj, pod moją nieobecność, nikt nie włamał się do chaty i mnie nie okradł. Zerknęłam na ubrania. Nie było ich dużo, w żadnym razie nie były też modne. Całe swoje stypendium przeznaczałam na utrzymanie się w Warszawie podczas studiów, a rodziców o pieniądze nie chciałam prosić. Nie miałam teraz zbyt wielkiego wyboru. Mimo że powinnam nosić żałobną czerń, narzuciłam na siebie białą lnianą sukienkę na ramiączkach. Żałobny komplet musiałam uprać, zanim go ponownie założę.

Ziewając, wyszłam na zewnątrz. Nie kłopotalam się zakładaniem butów. Na bosaka doszłam do studni i nabrałam wiadro chłodnej wody. Miałam ochotę wylać ją na siebie, żeby splukać wczorajsze szaleństwo.

Zaraz... szaleństwo?

Wpatrzyłam się w swoje odbicie, a moje ręce, zamiast zaczerpnąć odrobinę wody do wypicia, zawisły w powietrzu.

Kawałki wspomnień zaczęły się układać w logiczną całość. Najpierw był festyn, potem szaleństwo na Łysej Górze. Następnie zobaczyłam między drzewami nagie kobiety. Teraz, po fakcie, gdy odurzenie ziołami i alkoholem przeminęło, doskonale zdawałam sobie sprawę, że to był tylko omam. Jednak wtedy zwidy wydawały się takie realne!

Co było dalej?!

Tak! Poszliśmy z Mszczujem do lasu. Wspomnienia zazgrzytały o siebie. O bogowie! Co ja zrobiłam?! Dotknęłam dłonią podbrzusza i posłałam wiązanek przekleństw, której nie powstydziliby

się mój ojciec. Spłoszone krzykiem ptaki odleciały z pobliskiego drzewa.

Bez żadnego zabezpieczenia! Ze świeżo poznanym mężczyzną! Głupia! Głupia!!!

Złapałam wiadro i pognałam do domu. Szybko przelałam wodę do miednicy, zrzuciłam ubrania i klnąc na brak mydła, zaczęłam się myć. Nie miałam złudnych nadziei, że lodowata woda ze studni zmyje moje wczorajsze występki. Dobrze wiedziałam, że czym prędzej muszę biec na łąkę szukać odpowiednich ziół, bo inaczej może mnie czekać rychle zamążpójście.

Zaczęłam myśleć o Mszczuju i o jego rozmarzonym spojrzeniu. Na litość wszystkich bogów, przecież ja wcale nie przepadam za takimi mężczyznami! Po kiego grzyba zaciągnęłam go do lasu? Znowu zakłęłam. Jeszcze gdyby to chociaż on mnie zaciągnął, a nie ja jego. Mogłabym sobie wmawiać, że mnie uwiódł.

A niestety to ja byłam tą złą w opowieści. Bogowie, miałam nadzieję, że nie będzie sobie teraz wyobrażał nie wiadomo czego. Gdy wczoraj wróciliśmy do szeptuch i źerców, zmierzono nas rozbawionymi spojrzeniami. Jedna z kobiet zapytała, czy przypadkiem nie szukaliśmy razem kwiatu paproci...

Nienawidziłam tego eufemizmu. Przecież to oczywiste, że nikt nie szuka nieistniejącego mitycznego kwiatu, tylko wszyscy idą się obmacywać.

Moja irytacja rosła. Zwłaszcza że po przemyciu się samą wodą wcale nie czułam się czysta. Sięgnęłam do włosów, które wciąż były zaplecione w warkocz. Im także przydałoby się porządne mycie, ale przecież nie miałam mydła...

Złapałam za miednicę i wylałam jej zawartość na rabatę pod chatą. Sukienka narzucona na mokre ciało od razu mnie oblepiła. Podparłam się pod boki i powiodłam spojrzeniem po nielicznych zabudowaniach. Naprzeciwko mojej chaty rozciągała się spora działka porośnięta dziką łąką. Idealne miejsce do poszukiwania rzadkich ziół. Zerknęłam na ogród babci. Najpierw musiałam znaleźć kilka prostszych składników i czym prędzej zrobić z nich napar.

Zakłęłam po raz kolejny, gdy zrozumiałam, że nawet nie mam czajnika, więc nie zaparzę potrzebnego mi eliksiru.

A żeby tych złodziei lichy porwał!

Trochę było mi wstyd iść do wsi, do sklepu, ale przecież nie miałam wyboru. W drzwiach zerknęłam jeszcze na buty i stwierdziłam, że po tym jak wczoraj obtarłam nogi, wolę chyba iść na bosaka.

Bogowie, wyglądałam jak kupka nieszczęścia, a nie poważna szeptucha. Szybko się uczesałam, opilałam wody z kolejnego wiadra, które przyniosłam, i zdecydowałam się iść na zakupy. Musiałam to w końcu zrobić, przecież jutro będę jeszcze brudniejsza niż dzisiaj.

Poza tym potrzebowałam czajnika!

Mamrocząc pod nosem najróżniejsze klątwy, szłam poboczem w stronę centrum Bielin. Przez ramię przewiesiłam torebkę, a w dłoni trzymałam siatkę na zakupy, którą kiedyś sama sobie wydziergałam na szydełku ze sztywnego sznurka.

Miałam nadzieję, że sklep spożywczo-przemysłowy był otwarty po Nocy Kupały. Teoretycznie wszyscy pracownicy mogli odsypiać wczorajszą zabawę.

Kiszki grały mi marsza. Musiałam kupić jeszcze jakieś niepsujące się jedzenie. Życie w domku babci wyglądało trochę mniej romantycznie, niż początkowo zakładałam. Do spokojnych wieczorów

z książką przy lampce oliwnej jeszcze dużo mi brakowało.

Zwłaszcza że nawet lampki nie miałam, a wczoraj zapomniałam zabrać żywego ognia ze święta. Znowu zaczęłam ciskać gromy.

Byłam już w połowie drogi, gdy na myśl o ogniu mnie olśniło. Kolejne wspomnienie z zakrapianej nocy pojawiło mi się przed oczami. Wianek z polnych kwiatów zostawiłam pod posągiem, pod którym Mszczuj chyba stracił ze mną dziewictwo. Chociaż może go nie doceniałam. Może po prostu się tak zachowywał, bo był wstydlivy.

Ten posąg. Nogi kamiennej postaci otaczały płomienie. Przypomniałam sobie symbol wyryty na piersi rzeźby. To był bóg ognia, Swarozyc, syn Swaroga, który wykuł słońce, a brat Dadźboga, opiekuna słońca. O ile jego brat i ojciec nie opuszczali nieboskłonu, o tyle Swarozyc był uważany za boga, który nader chętnie spaceruje pomiędzy ludźmi.

Chociaż było samo południe, a ja szłam po rozgrzanym poboczku, na którym nie było skrawka cienia, zrobiło mi się zimno.

Gdy wróciliśmy z Mszczujem do ogniska, przysięgłabym, że po drugiej stronie płomieni widziałam mężczyznę z rudą brodą i krótko przyciętymi włosami. Tak bardzo różnił się długością fryzury od pozostałych kapłanów, że nie sposób było nie zwrócić na niego uwagi. Kiwnął do mnie głową, a potem gdzieś odszedł. Więcej go nie zobaczyłam. Posturą przypominał postać z rzeźby.

Przed oczami ponownie stanęło mi to, co wyprawialiśmy z Mszczujem pod posągiem swarnego boga. Polała się krew, polał się miód, a potem daliśmy się spalić zmysłom. Można śmiało założyć, że odprawiliśmy z kapłanem pod posągiem mały rytuał.

Pokręciłam głową i machnęłam ręką. Uczucie zimna, które mnie ogarnęło, zniknęło. Mogłam sobie wmawiać wiele rzeczy, ale to oczywiste, że to nie bóg zmusił mnie do zbałamucenia Mszczuja. Sama to zrobiłam, a teraz będę musiała ponieść tego konsekwencje.

Gdy dotarłam do głównej drogi Bielin, szybko się rozejrzałam w poszukiwaniu kasztanowej czupryny Mszczuja. Jego chata, wyglądająca na jeszcze bardziej zrujnowaną od mojej, znajdowała się całkiem niedaleko.

Na szczęście nigdzie go nie było widać.

Kryjąc się w cieniu niczym złodziej, przemknęłam do sklepu. Miałam ochotę krzyknąć ze szczęścia, gdy odkryłam, że jest otwarty.

Szarpnęłam energicznie za drzwi i wskoczyłam do chłodnego wnętrza.

– Dzień dobry! – zawołałam do kasjerki, porwałam metalowy koszyk na zakupy i czym prędzej pobiegłam między regały.

Mimo to i tak czułam między łopatkami jej świdrujące spojrzenie. Na pewno zostanie obgadana w całym Bielinach.

Przeszłam przez cały sklep trzy razy. Dokładnie rozważałam, co jest mi potrzebne na już, a bez czego jeszcze przez chwilę mogę się obejść, o ile nie chcę od razu wydać wszystkich oszczędności. Głównie zainwestowałam w środki czystości, a także najtańsze sprzęty kuchenne i gospodarskie.

Gdy stanęłam przy kasie, sklepikarka wydawała się jeszcze bardziej podekscytowana niż bezpośrednio po moim wejściu.

– Dzień dobry, a z kim mam przyjemność? – zagadnęła, ignorując zawartość mojego koszyka. – Ja nazywam się Bronisława Pajda, ale wszyscy mówią na mnie Bronka.

Spodziewałam się gruntownego przepytania. Oczywiście było, że pani w sklepie musi wiedzieć wszystko o wszystkich. To przecież tradycja. Nie mogłabym tego uniknąć. Poza tym wiedziałam, że warto mieć w sklepie osobę życzliwą. Do mnie także wszystkie plotki dotrą wtedy na czas.

– Miło mi – odparłam i zaczęłam wyklądać produkty na ladę. – Ja nazywam się Jarogniewa...

Zawahałam się, zanim zdradziłam swoje nazwisko. Szeptuchy zwykle ich nie używają. Mówią o sobie Baba, a następnie dodają do tego tytułu imię. Baba oznacza mądrą kobietę. Gdy przypadkiem jakieś szeptuchy o identycznym imieniu mieszkają niedaleko, do tytułu dodaje się nazwę miejscowości, w której przyjmują.

Skoro jestem szeptuchą, to chyba powinnam się przedstawiać tak jak one.

– Jestem Baba Jarogniewa – poprawiłam się.

– Och, czyli Baba Jaga! – Sprzedawczyni się ucieszyła. – Tak właśnie mi się wydawało, że jest pani naszą nową szeptuchą. Bardzo, bardzo mi miło panią poznać. Cieszymy się niezmiernie, że przejęła pani schedę po Babie Radomile. Obawialiśmy się, że nikt nie będzie chciał do nas przyjechać. Ostatnio sporo kobiet po studiach, zamiast zająć się medycyną ludową, wybiera klasyczną medycynę. Według mnie to duże nieporozumienie. Oczywiście wierzę w konwencjonalną medycynę, czasami bez antybiotyku ani rusz! Ale szeptucha zawsze doradzi tak od serca. A wasze syropy i kremy! Są wspaniałe! Radomiła rozpieszczała nas swoimi specyfikami. Jej kremy nie miały sobie równych!

Podczas wesołego trajkotania Bronki, po krótkim namyśle, dołożyłam do zakupów jeszcze solidną łopatę z kubła przy drzwiach.

Nie miałam zielonego pojęcia, jak to wszystko doniosę do domu, ale nie chciało mi się chodzić dwa razy.

Sklepiarka dopiero teraz zauważyła, co zamierzałam kupić. Zmarszczyła brwi. Na jej twarzy pojawił się wyraz konsternacji. Zestaw był trochę dziwny. Mydło, proszek do prania, gąbka, czajnik, kubek, patelnia, garnek, łyżka, widelec i nóż, papier toaletowy, szampon, chleb, kiełbasa, a także... łopata.

– A jak to? – zapytała.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem. Miała lekko wyłupiaste zielone oczy. Przez chwilę przypominała spłoszonego jelonka. Poczułam sympatię do tej kobiety. Na pewno musiała mieć głowę na karku, skoro pracowała w sklepie, ale wydawała się jednocześnie bardzo szczerą osobą. Odniosłam wrażenie, że ma dobre serce. Jakaś iskra w jej oczach, delikatna zmarszczka na czole i tembr głosu sprawiały, że od razu jej ufałam.

Od czasu do czasu zdarzały mi się takie obserwacje. Koleżanki na studiach nazywały to intuicją i śmiały się, że kariera szeptuchy jest mi w związku z tym pisana. Wewnętrzne oko pozwalające zajrzeć na drugą stronę człowieka i widzące jego schorzenia było w końcu naszym znakiem rozpoznawczym.

– Chciałabym kupić te rzeczy – odpowiedziałam.

– Tego się domyślam. – Ocknęła się ze stuporu, w który wpadła. – Zastanawia mnie tylko, dlaczego akurat te konkretne przedmioty?

– Nie mam ich. Potrzebuję czajnika i sztućców, żeby jakoś funkcjonować.

Talerza żadnego niestety też nie miałam, ale żał mi było w tej chwili pieniędzy na zbędne

wydatki. Mogłam jeść prosto z garnka albo patelni.

– Nie rozumiem. – Bronka rozłożyła ręce. – Jak to pani nie ma tych rzeczy?

– Dom mojej babki został okradziony – wyjaśniłam. – Wszystkie potrzebne sprzęty wyniesiono. Cud, że najcięższe meble zostały. Kredens babci jest splądrowany. Cała jej praca z ostatnich dziesięcioleci przepadła. Minie trochę czasu, zanim odbuduję jej apteczkę. W związku z tym prędko nie będę produkowała żadnych kremów.

Sprzedawczyni była wstrząśnięta. Jej dłoń powędrowała do gardła, zupełnie jakby nagle zrobiło jej się duszno. Bardzo zbladła.

– Pani Bronko? – Zmartwiłam się. – Dobrze się pani czuje?

– Ja? – zapytała. – Ja? Tak, tak! Czuję się świetnie! Kto mógł zrobić coś takiego?! Czy pani... dobra szeptucho... wiesz, kto cię okradł?

Wzruszyłam ramionami.

– Jeszcze nie – odparłam. – Ale się dowiem.

– A co wtedy?

– Ta osoba już nigdy więcej nikogo nie okradnie.

Uśmiechnęłam się bardziej do siebie niż do niej i zerknęłam czule na łopatę. Znalazłam już w zeszycie mojej babci zaklęcie, dzięki któremu poznam tożsamość złodzieja bądź złodziei i się zemścić.

Nie mogłam się doczekać, kiedy będę mogła je przetestować.

Bronka zniknęła na chwilę pod ladą. Wyłoniła się spod niej, trzymając w dłoniach kilka dużych płóciennych toreb. Zaczęła wkładać do nich produkty.

– To niewybaczalne okradać szeptuchę! – Jej głos trząsł się z emocji. – Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić! Przecież wszystkich nas teraz może spotkać coś złego. Radomiła była przyjazną osobą, pozytywnie nastawioną do mieszkańców Bielin, ale przecież taki czyn musi zostać ukarany. Bogowie, żeby tylko nie zesłała na nas wszystkich przekleństwa!

– Pani Bronko, spokojnie! – Złapałam ją za dłonie i powstrzymałam od dalszego pakowania. – Zapewniam, że niewinnym mieszkańcom nic się nie stanie. Moja babcia muchy by nie skrzywdziła.

– No ale... no ale powiedziała pani, że złodziej już nigdy więcej nikogo nie okradnie – zauważyła.

– Och, ja się tym złodziejem lub złodziejami zajmę osobiście!

Machnęłam niefrasobliwie ręką, jakby to była bułka z masłem. Nie była. Tak naprawdę nie miałam pewności, że zaklęcie w ogóle się uda. Babcia nie zajmowała się takimi rzeczami. Zapisala w swoim zeszycie przepisy mogące sprowadzić na kogoś nieszczęście, ale – jak mi się kiedyś zwierzyła – ani razu z nich nie skorzystała.

Nie do końca ją rozumiałam. Jeśli komuś należała się kara, to ja nie zamierzałam się powstrzymywać. A niech cierpią. Ku przestrodze.

Pani Bronka wróciła do pakowania. Spojrzała krytycznie na torby, a także na ich zawartość.

– Chwileczkę! – powiedziała i wyszła z za lady.

Zniknęła pomiędzy regałami. Odetchnęłam głęboko i oparłam się o blat. Wizyta w chłodnym sklepie dobrze mi zrobiła. Powoli czułam, że wracają mi siły, by ruszyć w drogę powrotną. Zaczęłam się zastanawiać, czy dojdę z tymi wszystkimi pakunkami.

– Jestem! – Głos pani Bronki wyrwał mnie z zamyślenia.

Postawiła na blacie obok mnie dwie pełne po brzegi torby. Zobaczyłam w środku porcelanę, świece, pudełka herbaty, kawy, opakowania kaszy, ryżu, cukru i mąki.

– Nie rozumiem. Ja nie mam tyle pieniędzy – zaprotestowałam.

– Nie chcę słyszeć o żadnych pieniądzach! To wszystko prezent na rozpoczęcie praktyki. Mam nadzieję, że uda mi się w ten sposób zmazać przykrość, która panią spotkała, szanowna Babo!

– Ale...

– Ze mną się nie dyskutuje! – Pogroziła mi palcem. – Bierze pani wszystko i ucieka do swojej chatki. A ja się kiedyś zgłoszę po poradę.

– Dziękuję.

– Ależ nie ma za co. Na zdrowie, Babo Jago!

6.

– „Złodzieja, który ukradł biednej kobiecie motowidło nici, można ukarać w ten sposób: kilka nitek, pozostałych z ukradzionego motowidła, włożyć do trumny jakiego nieboszczyka, a złodziej będzie truchlał na ciele i wkrótce umrze”¹ – szepnęłam do siebie.

Powtarzałam zaklęcie z zeszytu babci jak mantrę. Miałam wrażenie, że utkwi mi w głowie już na zawsze. Nie byłam do końca pewna, czy urok się uda. Obstawiałam, że jakieś nici prawdopodobnie też ukradziono, ale nie został po nich najmniejszy ślad, nie mówiąc o skrawkach. Wobec tego miałam zamiar użyć niezidentyfikowanych przedmiotów z kredensu Radomiły i to je schować w trumnie jakiegoś nieboraka.

Mocniej schwyciłam nową łopatę i torbę z rzeczami. Słoiczki zabrzęczały o siebie, a ja poczułam, jak panika zaciska chłodne palce na moim gardle. Miałam tak spocone dłonie, że trzonek łopaty cały czas mi się wyślizgiwał. Idąc szosą w stronę bielińskiego cmentarza, czułam się jak złodziej. Założyłam czarne spodnie i czarną koszulę, ale i tak miałam wrażenie, że wszyscy mogą mnie zobaczyć z okien gospodarstw, które stały w równych odstępach koło drogi.

Podziękowałam w duchu bogom, że do Bielin nie dotarła jeszcze moda na latarnie. Dzięki temu moja sylwetka była skryta w mroku. Zdradzić mnie mogło jedynie ujadanie psów, które niestety świetnie mnie słyszały.

To właśnie z ich powodu zdecydowałam się w końcu porzucić srebrną nitkę szosy i pójść na przełaj przez pola. Mniej obawiałam się ukąszenia żmii niż zaciekawionych spojrzeń sąsiadów.

Około pierwszej w nocy znalazłam się na cmentarzu. Liczyłam na to, że mieszkańcy nie byli zbytymi tradycjonalistami i woleli grzebanie ciał od pochówków całopalnych. Te ostatnie były dość drogie. Obecnie mało kto się na nie decydował poza kapłanami, szeptuchami oraz oczywiście osobami z rodziny królewskiej i jej otoczenia. Pozostawało mi mieć nadzieję, że ludzie w Bielinach są praktyczni i oszczędni.

Na cmentarz prowadziła obsadzona krzakami ścieżka. Bezszelestnie i pospiesznie przemknęłam nią do kutej bramy. Cały teren cmentarzyska otoczono żelaznym ogrodzeniem oraz równym szpalerem cisów. Uśmiechnęłam się pod nosem. Ktoś tu najwyraźniej obawiał się, że przodkowie mogą zbyt chętnie wstać z grobu. Dobrze! Bardzo dobrze! Oznaczało to, że na pewno znajdę pod ziemią kilka całych ciał. W końcu ludzie spaleni na proszek i zapakowani w urny raczej nie mają siły do spacerów.

Stanełam przed bramą zwieńczoną ostro zakończonymi słupkami. Poniżej solidnej klamki długości mojego przedramienia znajdowała się lekko zardzewiała dziurka od klucza. Zaklęłam w myślach. Nie wpadłam na to, że cmentarz może być na noc zamykany, bo niby czemu miałyby być? Oceniałam wysokość ogrodzenia. Przejście nie będzie łatwe, ale wykonalne.

Nacisnęłam klamkę. Zgrzytnęła głośno. Serce tłukło mi się w piersiach jak oszalałe. Byłam przekonana, że postawiłam tym dźwiękiem na nogi całą wieś. A nawet jeśli jej mieszkańcy wciąż spali, to pewnie udało mi się obudzić umarłego, z powodu którego tak dokładnie zabezpieczono teren cmentarza.

Odwrociłam się i zerknęłam na śpiące Bieliny. W oknach nie zabłysły światła, nikt nie zaczął dzwonić na alarm. Odrobinę się rozluźniłam.

Klamkę udało mi się opuścić, a zamek szczęknął. Zamrugalam. Brama stanęła przede mną otworem.

– No proszę... – szepnęłam.

Przyznam szczerze, że się zdziwiłam. Sądziłam, że zostanę zmuszona do wspinaczki po żelaznych prętach.

Uchyliłam bramę na tyle, żeby się precyzyjnie zamknęła. Nie zamykałam jej za sobą. Już i tak zawiasy zbyt głośno zaskrzypiały w nocnej ciszy. Nie wiedziałam, czy istnieje jakiś odzwierzytny. Wydawało mi się, że nie. Jednak nie chciałam tego sprawdzać, alarmując go kolejnym dźwiękiem.

Uniosłam głowę. Dzisiejsza noc była idealna. Księżyc o kształcie grubego rogała nie zasłaniała nawet najmniejsza chmurka. Bogini Chors oświetlała mi drogę swoją srebrną tarczą, dzięki czemu nie musiałam zabierać lampy.

Minęłam szybko pierwsze rzędy grobów. Ucieszyło mnie, że na cmentarzysku rosną drzewa i krzewy, które zasłonią mnie przez ciekawskimi spojrzeniami, gdyby ktoś jednak zdecydował się wyrzeć przez okno. Wraz z pokonywaniem kolejnych alejek rósł we mnie niepokój. Wszystkie kwatery były małe. Wyglądało na to, że większość okolicznej ludności wybierała niestety kremację. W takim wypadku miałam problem, bo potrzebna mi była trumna. Urok tego bezwzględnie wymagał.

Dotarłam prawie na sam koniec cmentarza i odetchnęłam. Najwyraźniej podzielono go na części w zależności od rodzaju pochówku. Nie wiedziałam, który grób wybrać. Na pewno nie wolno mi było dotykać tych nowych, bo rodzina zmarłego zbyt szybko mogła je odwiedzić i odkryć, że ziemia została wzruszona. Z kolei w tych najstarszych szansa znalezienia nierozłożonej trumny była dość mała. Sądząc po datach na kamiennych płytach, cmentarz powstał na początku dziewiętnastego wieku. Na pewno nie powinnam zbliżać się do grobów z tego okresu. Pomimo gliniastej ziemi, która zwalniała czas rozkładu, i tak nie było możliwości, by znaleźć w ich środku całe trumny.

Zniechęcona wyszłam z alejki, w której rzędem stały wiekowe mogiły. Przede mną zamajaczyły szpaler cisów. W tej części cmentarza posadzono je z dwóch stron ogrodzenia. Dodatkowo pomiędzy nagrobkami rosło kilka głógów.

Jak głosiły legendy, głóg ma silne działanie ochronne. Posadzony na grobie stanowi silną barierę ochronną pomiędzy światem żywych a zmarłych. Niegdyś w pobliżu tych roślin grzebano samobójców. Przystanąłam przy ziemnym kopcu, przy którym rosły aż dwa głogi. Ich korzenie musiały zagłębić się w ziemi i spleść z ciałem. Niestety napis na kamieniu całkiem się zatarał. Nie byłam w stanie odczytać dat, nawet po zerwaniu z kamienia mchu i osadu.

Poklepałam ziemię. Musiał tu leżeć ktoś bardzo ciekawy, skoro zastosowano aż taką ochronę, by odwieść go od pomysłu wstania z martwych. Nie byłam przesądna, ale zdecydowanie nie zamierzałam go odkopywać.

Jak powtarzała babcia: lichy przecież nie śpi.

Wreszcie znalazłam grób, który mi się spodobał. Wedle napisu ostatnią osobę pochowano w nim niecałe trzydzieści lat temu, więc trumna powinna się zachować. Na dodatek nie wyglądał na zbyt często odwiedzany.

Idealny.

Odłożyłam swoje rzeczy i zaczęłam kopać. Staralam się wyrwać murawę w kawałkach, żeby potem ją ułożyć w taki sposób, by niczego nie było widać. Na szczęście grobu nie przykryto kamienną płytą, którą musiałabym podważyć.

Tak się skupiłam na machaniu łopata, że nie zauważyłam, gdy księżyc schował się za półprzezroczystymi szarymi chmurami, a na cmentarz wypełzła chłodna mgła. Pot ściekał po mnie strumieniami, więc ucieszyłam się, że zrobiło się trochę zimniej, ale zupełnie nie zwróciłam uwagi na to, dlaczego tak się stało. To był mój pierwszy błąd.

Nagle łyżka łopaty uderzyła o drewno. Szarpnęłam, ale utknęła. Przy okazji niechcący przebiłam się na wylot. A niech to piorun trzaśnie!

Sapnęłam z irytacją i usiadłam na brzegu wykopu, żeby przez chwilę odpocząć. W sumie nie miałam po co otwierać trumny. Mogłam wrzucić swoje rzeczy przez dziurę, oczywiście jeśli wyjmę łopatę. Rozejrzałam się po cmentarzu i zadrżałam. O ile wcześniej nie wzbudzał we mnie negatywnych skojarzeń, o tyle teraz wyglądał naprawdę strasznie. Poczułam się nieswojo.

Ponownie zerknęłam na wykopany dół. Żeby odsłonić całe wieko, musiałabym kopać jeszcze dobre pół godziny. Zdecydowanie nie miałam na to ochoty, tak samo jak na oglądanie nieboszczyka, którego grób właśnie zbecześciłam. Rzecz jasna, nie spodziewałam się, że znajdę w środku zaróżowione na policzkach włoki wampiera czy innego demona. Niemniej i zwykłego ciała po trzydziestu latach przebywania w grobie wolałam nie widzieć.

Tak. Dziura od łopaty zdecydowanie mi wystarczy.

Mimo że ręce omdlewały mi ze zmęczenia, wskoczyłam z powrotem do wykopu i zaczęłam szarpać za trzonek. Moje spocone dłonie ślizgały się po drewnie. Ciągnęłam i ciągnęłam, a to uparte cholerstwo ani myślało ustąpić. Nagle zaskrzypiało, zapachniało mocno stęchlizną, dziura poszerzyła się, a ja zdołałam wyrwać łopatę, o mało nie wybijając sobie przy okazji zębów jej metalowym uchwytem.

Ukucnęłam i sięgnęłam do otworu w ciemnym drewnie. Teraz pożałowałam, że nie wzięłam ze sobą lampy oliwnej albo chociażby zwykłych zapalek. Błede światło księżycy nie pozwalało mi dostrzec żadnych szczegółów. Wciągnęłam powietrze, ale poza stęchlizną nie poczułam żadnego dziwnego zapachu. Nawet odór rozkładu już dawno zniknął.

Powinłam sprawdzić, czy dziura aby na pewno jest na wylot. A skoro nie mogę zajrzeć do środka, to powinłam wsunąć tam rękę... Nie miałam chęci, żeby to robić, ale przecież musiałam. Zakłęcie mówiło wyraźnie, że przedmioty należy wsadzić do trumny, a nie pomiędzy drewno a materiałową wyściółkę.

Na trzy! Raz! Dwa! Trzy! Hop!

Szybko cofnęłam dłoń, gdy tylko nie wyczułam żadnego oporu, a ręka wpadła mi aż po nadgarstek do wnętrza stęchłej trumny. Nie mogłam pozbyć się przeświadczenia, że ktoś mnie zaraz za tę rękę złapie, jeśli dalej będę gmerać w środku. Błyskawicznie wrzuciłam przez rzeczoną dziurę resztki zasobów mojej babci i powoli się cofnęłam poza wykop.

Szczerze mówiąc, nie wiem, czego oczekiwałam. Nastrój sytuacji wymagał, żeby złowieszco zagrzmiało albo chociaż błysnęło odległym piorunem. W filmach, zwłaszcza w amerykańskich horrorach, zawsze coś takiego miało miejsce. Nic jednak się nie stało.

Wzruszyłam ramionami. Byłam odrobinę zawiedziona, ale trudno.

– A schnijcie, dziady parszywe! – mruknęłam mściwie i wyobraziłam sobie, jak złodzieje teraz cierpią.

Nie mogłam się doczekać, kiedy porażeni urokiem, o ile ten zadziała, przyjdą do mnie w poszukiwaniu lekarstwa na swoje dziwne schorzenie. Ale im wtedy wygarne!

Zaczęłam spieszenie zasypywać mogiłę. Miałam już po dziurki w nosie tego cmentarza. Szara mgła pełzała mi już na wysokości kolan. Pociągnęłam nosem i zamarłam w bezruchu. Pachniało ogniskiem, żarzącym się drewnem. Wątpiłam, żeby ktoś w czerwcu palił w kominku. Najwyraźniej w pobliżu cmentarnych terenów rozłożyli się jacyś biwakowicze. Niedobrze. Wolałabym nikogo nie spotkać. Dłuższą chwilę nasłuchiwałam. Gdy nic nie wzbudziło mojego zaniepokojenia, wróciłam do zasypywania grobu.

Na szczęście było to dużo prostsze od rozkopywania. Machałam łopatą jak szalona, żeby czym prędzej ukryć swój występki. Następnie ułożyłam wyrwaną murawę i wszystko przyklepałam. Nie wyglądało nawet źle. Oczywiście, jeśli ktoś zacznie się bardzo przyglądać, to zauważy, że w kilku miejscach brakuje trawy i jest nierówno. Niemniej jednak nie widziałam powodów, dla których wybrany przeze mnie grób miałby być obserwowany.

Zadowolona z dobrze wykonanej pracy ruszyłam w drogę powrotną. Marzyłam o tym, żeby znaleźć się wreszcie w swojej chatce. Szkoda tylko, że nie miałam balii, w której mogłabym się wykapać. Wydawało mi się, że całą moją skórę oblepiają drobinki ziemi. Postanowiłam zasięgnąć języka, czy gdzieś w pobliżu jest jakaś rzeczka lub jezioro, w których mogłabym się po kryjomu kąpać.

Docierałam już do cmentarnej bramy, wyjście naprawdę było prawie na wyciągnięcie ręki, gdy w miejscu zatrzymał mnie dźwięk... bicia braw. Ktoś tu był poza mną i właśnie mi klaskał.

To zdecydowanie nie jest odgłos, który chciałoby się usłyszeć grubo po północy na pustym cmentarzu. Mogę się założyć, że dostałabym zawału, gdybym tylko była odrobinę starsza.

Odwrociłam się powoli. Kilkanaście metrów dalej, pomiędzy dwoma wysokimi nagrobkami, stał mężczyzna. Mgła pełzała mu na wysokości połowy ud. Oblepiała go czule, sprawiała wrażenie żywej istoty. On jednak w ogóle się tym nie przejmował. Miał na sobie płócienną koszulę z krawką, ale nie był to strój kapłana. Po prostu ozdobne ubranie.

W mężczyźnie wyczuwałam coś obcego. Może z powodu jego fryzury. Choć panowała moda na długie włosy, był ogolony prawie przy samej skórze, a w oczy rzucała się jedynie jego gęsta, ruda broda.

Nawet w ciemnościach zobaczyłam, że uśmiecha się szeroko, błyskając białymi zębami. Przestał klaskać i posłał mi pełne rozbawienia spojrzenie.

Przez chwilę ogarnęło mnie wrażenie, że już gdzieś go kiedyś widziałam, ale za nic nie mogłam sobie przypomnieć, w jakiej to mogło być sytuacji.

Cała się zjeżyłam. Nie podobało mi się to. Na pewno podglądał mnie od dłuższego czasu. Pytanie: kim był i co zamierzał zrobić. Doniesie gdzieś na mnie? Oskarży mnie o bezczeszczenie zwłok? Zadzwoi na policję? A może nie ma zamiaru nikomu o mnie mówić, bo nie kierują nim prawe pobudki?

Ruszył w moją stronę. Mimowolnie się cofnęłam, na co uśmiechnął się jeszcze szerzej. Teraz to już

naprawdę mnie rozżłościł. Chwyciłam mocno trzonek łopaty, gotowa wybić mu te bielutkie zęby, jeśli tylko spróbuje podejść za blisko.

– Nie minęły nawet dwie noce, odkąd zostałam bielińską szeptuchą, a już włączysz się po cmentarzach? – zapytał.

Miał głęboki, melodyjny głos. Poczułam, że każde wypowiedziane przez niego słowo wibruje gdzieś w moim wnętrzu. Nie wiem dlaczego, ale włoski na karku stanęły mi dęba. W każdym razie mi się to nie podobało.

– A pan to kto? I co pan robi na cmentarzu? – wycodziłam.

Zatrzymał się. Chyba zrozumiał, że w razie potrzeby użyję łopaty. Przygryzłam wargę. Był olbrzymi. Miał jakieś dwa metry wzrostu, a bary takie szerokie, jakby codziennie drwa rąbał. Nie miałam żadnych szans w bezpośredniej konfrontacji, chyba że pierwszym uderzeniem zdołam pozbawić go przytomności albo ogłuszyć.

– Chodzę, gdzie chcę – oznajmił.

Czyli to najprawdopodobniej złodziej. Nie spodziewałam się hien cmentarnych w Bielinach, ale najwyraźniej wszędzie się zdarzały.

– Nie przedstawił się pan – zauważyłam.

– A czy to nie jest oczywiste, kim jestem? – zapytał.

– Bufonem to na pewno – odparłam. – Proszę opuścić teren cmentarza. Będę pana obserwować, jak będzie pan wychodził.

– Byłem tu przed tobą, Jago.

Jego głos zawibrował mi w uszach. Był taki ciepły, hipnotyzujący. Sprawił, że zrobiło mi się ciepło i przyjemnie. Potrząsnęłam głową jak pies. Piorun by go strzelił, jak nic jakiś demon albo gwałciiciel!

– Doskonale, czyli wie pan, kim jestem – odparłam z wyższością. – W takim razie natychmiast proszę opuścić teren cmentarza! Inaczej to bardzo źle się dla pana skończy.

Tylko się zaśmiał.

– Wygadana jesteś.

– Proszę się ze mną nie spoufalać! – krzyknęłam.

Uniósł do góry brew w grymasie zdziwienia.

– Jeszcze nas ktoś usłyszy – zauważył. – Nie jestem pewien, czy na początku swojej służby chciałabyś, żeby ktoś odkrył, że rozkopujesz nocami groby. Sklepiarka już wie, że nie masz pieniędzy. Chcesz, żeby pomyśleli, że okradasz zmarłych? Ludzie chowają do trumien złotą biżuterię, zegarki, dary dla bogów. Można się całkiem nieźle obłowić.

Zmroziło mnie. Miał rację. Nie mogłam sobie pozwolić, żeby ktoś się dowiedział, że biegam z łopata po cmentarzu.

– Kim pan jest?! – syknęłam.

– Musisz poszerzyć swoje horyzonty, Jago. Pomyśl. Kim mogę być?

– Mam dość tej rozmowy – oznajmiłam. – Może mi pan mówić albo nie. Pana sprawa. Ja idę do domu. Proszę się trzymać ode mnie z daleka!

Odwróciłam się i, zerkając na niego przez ramię, ruszyłam w stronę bramy cmentarnej. Szedł moim śladem, ale nie zmniejszał dzielącej nas odległości.

– Jestem Swarożyc – oświadczył w końcu, gdy od wyjścia dzieliły nas dwie alejki. Chyba uznał, że nie doczeka się mojej próby odgadnięcia jego imienia.

Parsknęłam śmiechem.

– Swarożyc? Oczywiście! A ja jestem Mocosz, bogini płodności! – zakpiłam. – Tylko ciężarny brzuch musiałam zostawić w domu, żeby mi nie przeszkadzał w kopaniu.

– Na szczęście w niczym nie przypominasz tej wariatki – westchnął. – Mocosz jest dość specyficzna.

Aż się zatrzymałam. Wbiłam w niego zdumione spojrzenie. Mówił jak potłuczony, ale jednocześnie było w nim coś takiego, co sprawiało, że miałam ochotę paść na ziemię i składać mu pokłony.

Babcia opowiadała mi o bogach, którzy spacerują pomiędzy śmiertelnymi, i o demonach czających się w leśnych ustępach. Jako że jeszcze nigdy nie widziałam żadnej istoty nadprzyrodzonej ani nie spotkałam poza moją babcią nikogo, kto twierdziłby, że je widział, byłam dość sceptycznie nastawiona do tych opowieści.

Wizja pogawędki ze Swarożycem z całą pewnością byłaby niesamowitym doświadczeniem i przygodą. Najprawdopodobniej jednak idący za mną człowiek był tylko szaleńcem.

– Jeśli jesteś Swarożycem, udowodnij mi to – zażądałam.

Znowu się uśmiechnął, ale tym razem na jego twarzy nie było widać życzliwości. Zrobiła się jakaś taka... drapieżna.

– A w jaki sposób? – zapytał. – Czego ode mnie żadasz? Pamiętaj tylko, że nie rozdaję niczego za darmo.

Prychnęłam.

– Skoro jesteś bogiem ognia, wymyśl sam, w jaki sposób udowodnić swoją tożsamość!

– Podobasz mi się – powiedział chyba bardziej do siebie niż do mnie. – Wydaje mi się, że czeka nas ciekawa przyszłość.

– Słucham?

– Uczynię dla ciebie wyjątek. W swoim domu znajdziesz ode mnie prezent. A teraz zegnaj, moja miła.

Cofnął się o kilka kroków i schował we mgle. Tak sobie w każdym razie wytłumaczyłam jego zniknięcie.

Zbita z tropu podeszłam do miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stał. Mgła była dość gęsta, ale nie na tyle, żeby nagle się w niej rozplątał. Zamachałam rękami, usiłując ją rozgonić. Na ziemi nie dostrzegłam śladów jego stóp, ale podłoże było dość twarde, może po prostu delikatnie stąpał. Pociągnęłam nosem. Mgła pachniała ogniskiem.

– A niech to piorun trzaśnie – mruknęłam i uciekłam z cmentarza.

Nie pamiętam zbyt dokładnie drogi powrotnej do domu. Biegłam na przełaj przez pola i łąki, zupełnie nie zwracałam uwagi na to, co dzieje się dookoła. Bałam się, że tajemniczy mężczyzna zaczął się na mnie gdzieś w ciemności. Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że czekał przy drodze, zamiast podążać za mną przez wykroty.

Kiedy dotarłam do swojej chatki, z wrażenia o mało co się nie przewróciłam. Zatrzymałam się przy furtce. Drżałam z wysiłku i przerażenia.

Z komina wylatywał dym...

7.

Z łopata w rękach przeszłam przez ogród i zbliżyłam się na paluszkach do drzwi wejściowych. Okiennice zostawiłam zamknięte, więc nie mogłam zajrzeć do środka. Zaczęłam kląć pod nosem, używając najgorszych określeń z repertuaru moich braci.

Rudy facet z cmentarza musiał jakimś cudem mnie wyprzedzić. Nie dziwiłam się, że dostał się do środka, bo ciągle nie naprawiłam zamka w drzwiach. Wystarczyło je lekko pchnąć, by się otworzyły. Zastanawiało mnie jednak, jak mu się udało mnie przegonić. Naprawdę pędziłam na złamanie karku. Był dużo wyższy, miał zatem i dłuższe nogi, mimo to niemożliwym wydawało mi się tak szybkie przedostanie się na koniec wsi.

Nie mogłam stać całą noc przed własnym domem. Musiałam wejść do środka i modlić się do bogów, żeby w razie czego sąsiedzi usłyszeli moje krzyki.

Szarpnęłam za drzwi i wskoczyłam do chaty z zamiarem ataku łopata. Gdyby ktoś czekał na mnie tuż za progiem, oberwałby metalową łyżką prosto w czoło. Ale w środku nie było nikogo. Napięcie niemalże od razu mnie opuściło. Ulga była tak duża, że najchętniej usiadłabym na środku i rozplakałabym się. Dla pewności zajrzałam jeszcze pod łóżko, ale poza moją walizką niczego tam nie było. Innych miejsc, w których mógłby się ukryć dwumetrowy mężczyzna, nie posiadałam.

Zamknęłam za sobą drzwi, zatarasowałam je krzesłem, a obok postawiłam na podłodze rząddek pustych słoików, mających mnie zaalarmować, gdyby ktoś postanowił wejść do chaty bez pukania, by jeszcze mnie nawiedzić. Dopiero gdy to uczyniłam, podeszłam do pieca kaflowego. Huczał w nim wesoło ogień. Fajerki były lekko odsunięte. W chacie panowało przyjemne ciepło.

Czyli to ma być jego prezent? Rozpalił mi w piecu...? Nie przeczę, miło z jego strony. Zwłaszcza że przytaszczył także narąbanego w równiutkie szczapy drewna i ułożył je obok pieca. Niemniej czynem boskim zdecydowanie bym tego nie nazwała.

Odłożyłam łopata. Wykorzystałam ogień i nastawiłam wodę na herbatę. Żałowałam, że nie mam melisy, bo zdecydowanie przydałby mi się napar na skołatanę nerwy.

Oczy kleiły mi się ze zmęczenia, ale twardo postanowiłam, że dzisiejszej nocy będę czuwać. Bałam się powrotu tajemniczego mężczyzny. Po domyciu się z ziemi rozsiadłam się w łóżku z kubkiem herbaty i zaczęłam wertować zeszyt babci. Zastanawiałam się, co jeszcze mogę zrobić, żeby dokuczyć złodziejom, gdyby dzisiejszy urok nie zadziałał.

Nagle usłyszałam chrobotanie. Brzmiało, jakby po drewnianych deskach przebiegł szczur albo wyjątkowo wyrośnięta mysz. Wbiłam spojrzenie w podłogę. Nie podobało mi się, że gryzonie dostały się do środka. Co prawda zabezpieczyłam chleb i suchą kiełbasę, ale nie oszukujmy się – drewniany chlebak długo nie wytrzyma zmasowanego ataku. Poza tym jeśli to istotnie szczury, moje książki są w niebezpieczeństwie.

Ogień w piecu delikatnie przygasł. We wnętrzu chaty momentalnie zrobiło się ciemniej i nieco złowrogo.

– Musisz zostawić nam dary, inaczej uciekniemy – odezwał się cichy dziecięcy głosik.

Pisnęłam przerażona i rozlałam na siebie herbatę. Głos wyraźnie dochodził spod łóżka, na którym

siedziałam. Złapałam za krawędź drewnianej ramy i wychyliłam się gwałtownie. Mój długi warkocz plasnął o podłogę, a ja spróbowałam przeniknąć wzrokiem ciemność pod łóżkiem.

Tupot małych stópek przeniósł się w stronę kredensu. Potoczyłam spojrzeniem za dźwiękiem, ale niczego nie dostrzegłam. Szpara pomiędzy podłogą a masywnym meblem nie była duża. Może ze dwa centymetry. Mysz pewnie dałaby radę się tam wcisnąć.

Problem w tym, że nie widziałam żadnej myszy biegnącej po klepce. Poza tym myszy chyba nie mają w zwyczaju przemawiać jak dzieci.

Serce łomotało mi w piersiach, ale już nie ze strachu. Miałam dość. Zostałam właśnie doprowadzona do granic wytrzymałości. Najpierw rudowłosy gigant, potem włamanie, a teraz demoniczne głosy spod łóżka. To za dużo nawet jak na mnie.

– Czym jesteście? – zapytałam.

Dłuższą chwilę panowała cisza. W końcu coś zachrobotło pod kredensem.

– Jesteśmy sługami Swaróżyca. Zwią nas ubożęta.

Cienkie, niby dziecięce głosiki dobiegały ze wszystkich ciemnych kątów w chacie. Na moje oko, a raczej ucho, było ich co najmniej pięć.

– Skąd się tu wzięłyście? Mieszkałyście z moją babcią?

– Tak, ale ona umarła. Gdy umiera gospodarz, odchodzimy do naszego pana.

– I teraz przysłał was z powrotem?

– Tak.

Podciągnęłam się i usiadłam z powrotem na łóżku. Czyżbym jednak spotkała prawdziwego boga? Niesłychane. Coraz bardziej podobała mi się praca szeptuchy. Wszystkie opowieści mojej babci, które uważałam za bajdurzenia, nagle nabrały sensu.

– Kto rozpałił ogień w moim piecu i naniósł dREW? – zapytałam.

– Nasz pan. My pilnujemy świętego ognia. Zadbamy, by nigdy ci nie wygasł, jeśli będziesz o nas dbała.

– Rozumiem. A jakiej opieki oczekujecie?

Z tego, co wiedziałam, ubożęta jako dobre duchy rodziny swoją pracę wykonywały w zamian za jedzenie. Nawet w moim domu rodzinnym, chociaż mama za nic nie chciała się przyznać, że wierzy w ubożęta, co wieczór stawiano spodeczek mleka pod kominkiem. Rano spodeczek zawsze był pusty.

Co prawda po chałupie plątały się dwa koty, istniała zatem spora szansa, że to nie domowe demony wypijały mleko.

– Zostawiaj nam wieczorem strawę. Kawalek chleba lub miseczka śmietany wystarczą. Nie jemy mięsa.

Śmietany im się zachciało! No proszę!

– Dobrze, zostawię wam jedzenie, ale w zamian musicie dbać o dom, nie tylko o palenisko. – Usiłowałam się targować.

– Co przez to rozumiesz? – spytał dziecięcy głosik.

– Macie pilnować, żeby myszy i inne szkodniki nie zaglądały do mojej chaty, i żeby pleśń lub korniki nie zatrwały drewna.

– Dobrze. Tylko zostaw jedzenie.

– Chciałabym jeszcze, żebyście ścierały kurz i dbały, by było u mnie czysto. – Spróbowałam

wynegocjować kolejną przysługę.

Cisza przedłużała się, a ja doszłam do wniosku, że chyba przesadziłam.

– Nie – odpowiedział w końcu głos spod łóżka.

– Dobrze, rozumiem. W takim razie tylko ogień i szkodniki.

– Tak.

Wstałam i ukroiłam im grubą pajdę chleba. Położyłam ją na talerzu, który umieściłam na podłodze, w pobliżu pieca. Po chwili namysłu rozsypałam dookoła garść mąki.

Zobaczmy, jak bardzo cieżkie są ubożenia.

Opadłam na miękką pościel i przytuliłam się do poduszki. Sen prawie od razu złapał mnie w swoje szpony. Już nie musiałam czuwać z obawy przed rudobrodym gwałcicielem z cmentarza.

– Dobranoc – szepnęłam jeszcze, ale usnęłam, zanim dotarła do mnie jakakolwiek odpowiedź.

8.

Kolejne dni miały mi niemalże niepostrzeżenie. Większość czasu spędzałam w ogrodzie babci. Staralam się doprowadzić go do jako takiego porządku. Na szczęście nie został splądrowany. Jedynie chwasty rozrosły się do olbrzymich rozmiarów, więc jak najszybciej musiałam się ich pozbyć.

Byłam dumna z postępu prac. Wykarczowałam wszystkie zbędne rośliny, poobcinałam zasuszone badyle, a poszczególne stanowiska ziół pooddzielałam czerwoną nitką, którą przywiązywałam do krótkich drewnianych palików. W efekcie ogród zielny przypominał krzywą szachownicę, ale porządek miałam jak w wojsku. Od razu zauważę, że coś złego się dzieje, a także szybko znajdę potrzebne mi rośliny.

Ogródek warzywny prezentował się niestety dużo gorzej. Szybko plonów się nie doczekam. Wyglądało na to, że nieduże poletko zostało skutecznie rozszabrowane przez zwierzęta. Byłam pewna, że babcia posadziła przed śmiercią trochę roślin, bo zawsze robiła to wiosną, ale prawie nic nie zostało. Postanowiłam zasiać ogródek na nowo. Na szczęście zamięłowanie do grzebania w ziemi było w naszym rodzie wręcz tradycją. Wiedziałam, co i kiedy posadzić, żeby jeszcze nacieszyć się świeżymi warzywami tego lata.

Kwiatami od frontu chałupy w ogóle się nie zajmowałam. Uznałam, że chwasty też potrafią ładnie kwitnąć, jak się je zostawi w spokoju. Poza tym wolałam wydać pieniądze na sadzonki pomidorów niż piwonii. Zadbłam jedynie o malwy, bo może przydadzą mi się na syrop. Na szczęście krzewami nie musiałam się przejmować. Rosnące obok domu jaśmin, głóg i czarny bez poradziły sobie z kwitnieniem bez mojej pomocy.

Zaopatrzeniem kredensu nie musiałam się na razie kłopotać, ponieważ niebawem po Nocy Kupały odwiedziła mnie Mirka ze skrzynią niezbędnych specyfików. Zorganizowała zbiórke u zaprzyjaźnionych szeptuch. Dostałam od nich masę słoików i pudełek. Mogłam przestać się martwić, że nie będę mogła udzielić pomocy klientom.

Jedyny problem był z wspomnianymi klientami, a raczej ich brakiem. Początkowo myślałam, że po prostu po Bielinach rozeszła się fama, że zostałam okradziona i ludzie uznali, że pewnie nie mam czym leczyć. Wybrałam się więc do sklepiku po chleb i zestaw świeżych ploteczek. Powiedziałam właścicielce, że już spokojnie mogę zacząć przyjmować.

Lecz to nie pomogło. Wciąż nikt się do mnie nie zgłaszał. Podobno wszyscy woleli jeździć do lekarza trzy miejscowości dalej albo odwiedzać Mirkę w Hucie Nowej. Rozumiałam, że jeszcze mi nie ufają, i czekałam cierpliwie, aż przyzwyczają się, że to ja zamiast Radomiły będę teraz otaczać ich troskliwą opieką.

Walczyłam właśnie z wyjątkowo upartym kłęczem perzu, które ani myślało wyjść z ziemi obok mojego jedyne go krzaka pomidorów, gdy usłyszałam za plecami chrząknięcie. Odwróciłam się i spojrzałam przez ramię. Za mną stał Mszczuj. Trzymał w dłoniach naręcze mieczyków.

Bukiet w dłoniach mężczyzny to zły omen, bo zwykle oznacza, że chce albo za coś przeprosić, albo o coś poprosić. A w każdym razie tak zawsze powtarzała moja matka i wyjątkowo musiałam się z nią zgodzić.

Naprawdę miałam nadzieję, że młody kapłan wyrzuci wydarzenia Nocy Kupały z pamięci. Przecież to, co się wtedy dzieje, jest... jakby to powiedzieć... jest tajemnicą Nocy Kupały. W żadnym razie nie należy się spodziewać jakichkolwiek zobowiązań.

– Witaj, Jago! – Uśmiechnął się do mnie nieśmiało.

Cholera jasna! Wstałam z ziemi i otrzepałam kolana. Zdałam sobie sprawę, że mam zupełnie czarne ręce. Zerknęłam na ogródek za swoimi plecami, a następnie na ścieżkę prowadzącą do lekko skrzypiącej furtki. Aż tak pochłonęły mnie własne myśli, że go nie usłyszałam?

– Witaj, Mszczuju! – W końcu zdobyłam się na odpowiedź.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział.

Jeszcze raz spojrzałam na swoje brudne ręce.

– Hm... dziękuję – odpowiedziałam.

– Przyniosłem ci kwiaty! Kiedy je zobaczyłem, pomyślałem o tobie, i jakoś tak się nie mogłem powstrzymać. Potem pomyślałem, że pewnie masz dużo kwiatów w swoim ogrodzie, ale już było za późno, bo je kupiłem. Tak więc... mam nadzieję, że i tak się ucieszysz – paplał zestresowany.

Podszedł bliżej. Chyba chciał się pochylić i pocałować mnie w policzek, ale ubiegłam jego zamiary i wyciągnęłam ręce, by wyrwać mu bukiet. Zanurzyłam twarz w kwiatkach i odetchnęłam. W ogóle nie pachniały, ale Mszczuj chyba nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Och, są naprawdę śliczne! Dziękuję! Bardzo lubię mieczyki! Trafiłeś idealnie! – skłamałam.

Osobiście nic nie miałam do mieczyków, ale zdecydowanie nie były moimi ulubionymi kwiatami. Ubóstwiałam maki, które niestety pięknie wyglądały tylko i wyłącznie na łące. Zrywanie ich całkowicie mijало się z celem, ponieważ prawie od razu więdły w wazonie czy w wianku.

– Zostaniesz na herbacie? – zaproponowałam z lekkimi oporami, bo wcale nie miałam ochoty go zapraszać, no ale przecież wypadało.

– Bardzo chętnie! – Cały aż pokraśniał.

O bogowie...

– Idź do domu i się rozgość. Ja tylko zaczerpnę wody ze studni – poinstruowałam go i oddałam bukiet. – Zaraz przyjdę.

– A może ja...

– Idź, idź. Zaraz przyjdę.

Posłusznie się odwrócił i skierował do domku. A ja, pod pretekstem pójścia do studni, miałam czas, żeby się namyślić. Polubiłam Mszczuja, ale zdecydowanie nie miałam ochoty na żadne związki. Młody kapłan chyba zbyt mocno się zaangażował.

Niedobrze.

Gdy z wiadrem wody wparowałam do izby, Mszczuj zerwał się jak oparzony. Niemalże wyrwał mi je z rąk.

– Taki ciężar! – zawołał. – Trzeba było powiedzieć, pomógłbym ci!

I właśnie dlatego, póki co, nie potrzebowałam mężczyzny w swoim życiu. Nie chciałam, żeby ktoś czuł się zmuszony nosić za mnie ciężary. Mimo to oddałam mu bez słowa wiadro i sięgnęłam po duży słoik. Nie miałam wazonu, więc musiał wystarczyć.

Słoik prawie wyslizgnął mi się z mokrych, opłukanych przed chwilą dłoni. Mszczuj rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie, a ja w środku cała się zjeżyłam. Nie będzie sobie wyobrażał, że to

przez niego stałam się taką niezdara. Jeszcze czego!

Gdy już przelał wodę do słoika i czajnika, udało mi się go zmusić, żeby znowu usiadł.

– Nie mam cię czym poczęstować poza herbatą, wybaczone – powiedziałam.

– Och, ale w ogóle nie szkodzi. Nie jestem głodny. Bardzo dziękuję za zaproszenie na herbatę. To bardzo miłe z twojej strony. Zupełnie się nie spodziewałem – wyrzucił z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

Zaczęłam żałować, że zaproponowałam mu tę herbatkę, skoro najwyraźniej spodziewał się, że go wyrzucę. Zapamiętam na następny raz.

– Nie ma problemu...

– A jak ci się podoba w Bielinach? Masz dużo pacjentów? Taka szeptucha jak ty pewnie nie może opędzić się od klientów!

– Jeszcze nikt nie przyszedł.

– Och, naprawdę? – zdziwił się i zamilkł.

Postawiłam przed nim kubek i zajęłam krzesło naprzeciwko. Było za gorąco na herbatę, ale natychmiast chwycił naczynie, żeby zająć czymś ręce.

– Jakoś nie ma chętnych. – Wzruszyłam ramionami. – Może taki sezon. Mało teraz infekcji. Przynajmniej mam czas ogarnąć ogród zielny. Zrobię sobie trochę zapasów, posuszę na spokojnie zioła.

– No tak, no tak. – Pokiwał głową. Upił łyk naparu, ale tylko się oparzył. – A jeśli mogę spytać... oczywiście nie musisz odpowiadać, to po prostu moja ciekawość. Nie chciałbym pytaniem cię obrazić. Po prostu jestem bardzo ciekawy...

– Pytaj – przerwałam mu.

Skurczył się w sobie pod moim spojrzeniem.

– Po co rozsypujesz mąkę na podłodze?

Zerknęłam w stronę, którą pokazał. W kącie pod piecem stał pusty teraz talerz, który otaczała bielutka warstwa mąki.

– Poluję na ubożęta – wyjaśniłam.

– Ubożęta?

– Tak. Codziennie z talerza znika jedzenie, ale nie mogę zaobserwować żadnych odcisków stóp. Zupełnie jakby unosiły się w powietrzu.

Pokiwał głową.

– Moja babcia zawsze zostawiała ubożętom dzem – powiedział.

– Ciii! – syknęłam na niego. – Nie waż mi się mówić takich rzeczy głośno! Moje na razie zadowolają się suchym chlebem. Nie mam zamiaru ich rozpuszczać.

Zachichotał, ale przestał, gdy zrozumiał, że wcale nie żartowałam.

– Och, no tak – zakłopotał się.

– U ciebie nie ma ubożąt? – zapytałam.

Byłam tego autentycznie ciekawa. Fakt, że się do mnie odezwały, był trochę niepokojący. Jak przystało na domowe demony, powinny udawać, że ich nie ma i po cichu zajmować się swoją robotą. Istniała jednak szansa, że z bielińskimi ubożętami jest coś nie tak, skoro były takie skore do interakcji.

– Nigdy nie zauważyłem ich obecności – powiedział.

– Rozumiem... a zostawiasz im jedzenie?

– Nie.

– To dlatego ich u ciebie nie ma – mruknęłam. – To raczej interesowne łajzy.

– Odwiedziłaś już święty dąb? – Zmienił temat.

– Coś mi się o uszy obilo, że istnieje, ale jeszcze tam nie byłam.

– Koniecznie musisz tam pójść na spacer. Wydaje mi się, że spodoba ci się to miejsce. Mieszkańcy składają pod dębem ofiary dla Świętowita. Obok oczywiście wybija źródło. Podobnie woda sama w sobie ma lecznicze właściwości.

W mojej głowie zaczął kielkować plan. Jeśli moje leki miałyby ją w swoim składzie, to ich działanie stałoby się mocniejsze! A już na pewno one byłyby droższe.

– Jak tam dojść? – zainteresowałam się.

– Możemy wybrać się na spacer!

– Czemu nie, ale wytłumacz mi, proszę, jak tam dojść. Możliwe, że nawet dzisiaj wybiorę się zaczerpnąć wody.

Jego entuzjazm opadł, ale posłusznie objaśnił mi trasę.

– Dziwię się, że jeszcze nie masz kolejki pacjentów – powtórzył.

– Podobno jeżdżą do lekarza w innej miejscowości. Trochę to rozumiem, muszę zdobyć ich zaufanie. Nie przypominam babci.

– Nie zgodzę się. Trochę jesteście do siebie podobne z wyglądu. To znaczy, ona oczywiście była już stara i siwa, ale obie jesteście bardzo ładne. To znaczy, ona była ładna, bo już nie żyje. To znaczy...

– Rozumiem, Mszczuju, rozumiem. Dziękuję za komplement. – Postanowiłam wybawić go z kłopotów.

Był uroczy na ten swój niezgrabny sposób. Niemniej jednak mógłby odrobinę mniej mówić. Jego ciągły słowotok był odrobinę męczący.

– Szepnę kilku osobom o tobie – zaproponował. – Kółko gospodyń wiejskich zaprosiło mnie jutro na obiad. Powiem im, jaką jesteś świetną szeptuchą.

– Mszczuju, przecież mnie nie znasz. Może jestem beznadziejna?

– Nie wydaje mi się. Wyglądasz na bardzo zdeterminowaną osobkę. Podziwiam cię, że przyjechałaś tutaj całkiem sama i otworzyłaś własny biznes. To naprawdę odważne.

– Ty także przyjechałeś sam. Przecież was relokują po całym królestwie, kiedy tylko skończycie nauki.

– Niby tak, ale jest pewna możliwość wyboru. Mój ojciec jest żercą. Chciał, żebym przejął po nim praktykę w Gdańsku – wyznał. – Była taka możliwość, o ile złożyłbym odpowiednie podanie.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – zdziwiłam się. – Zamiast mieszkać nad morzem, wolałeś przyjechać do Bielin? Masz tu rodzinę?

– Nie, nikogo tu nie mam.

– W takim razie dlaczego Bielinę?

– Poniekąd trochę uciekłem w ten sposób z domu.

Nic więcej nie powiedział. Dopił herbatę jednym haustem i odstawił ze stukiem kubek. Zaczęłam

się zastanawiać, jaki jest jego ojciec.

– A wracając do Nocy Kupały... Chciałbym tylko powiedzieć, że nie sądziłem, że tak się to skończy. To znaczy, nie żałuję – oświadczył. – Noc Kupały to bardzo specyficzne święto. Święto płodności, miłości, zrzucenia z barków wszelkich trosk. Często jest też początkiem.

Byłam pewna, że zaraz powie coś, czego będę bardzo długo żałować. Postanowiłam go ubiec.

– Ja też nie żałuję – zapewniłam. – Oboje jednak musimy pamiętać, że to była Noc Kupały. Wypiliśmy za dużo, nawdychaliśmy się ziół. Wydawało się nam, że magia unosi się w powietrzu. Coś takiego może naprawdę namieszać w głowie. Miejmy nadzieję, że za rok będziemy bardziej odpowiedzialni.

Z każdym moim słowem z Mszczuja uchodziła pewność siebie. Coraz bardziej kurczył się w sobie, co upewniło mnie, że wcale nie uważał naszej przygody za nic nie znaczące wydarzenie.

Odchrząknął zakłopotany i uciekł ode mnie spojrzeniem.

– Tak, tak – przytaknął. – Powinniśmy być bardziej odpowiedzialni.

– Dokładnie tak – zgodziłam się. – Cieszę się, że to ustaliliśmy.

Kilka minut później pożegnał się i poszedł. A ja zostałam z poczuciem, że chyba zrobiłam coś bardzo nie tak.

9.

Postawiłam puste wiadro w trawie i spojrzałam do góry. Potężny dąb szumiał cicho. Pomimo braku wiatru jego gałązki i tak się poruszały. Drżały lekko i szeleściły zielonymi liśćmi. Wśród nich dostrzegłam kilka szarych leśnych gołębi. Cztery grube konary wyznaczały kierunki świata. Każdy z nich miał w obwodzie więcej niż ja w talii. Pod drzewem leżał olbrzymi kamień, spod którego tryskało źródło krystalicznie czystej wody. Zachodzące słońce barwiło ją na kolory tęczy. Pełna magia.

Bieliński dąb przeszedł już do historii. Opowiadano o nim w szkole na lekcjach. Miał przeszło sześćset lat, a wydawało się, że spokojnie przetrwa drugie tyle. Nie dziwiło mnie, że wcześniej tu nie dotarłam. Moi rodzice unikali miejsc kultu, uważali religię za przeżytek. Chociaż moja mama postępowała tak chyba tylko i wyłącznie na złość babci.

Pochyliłam głowę.

– Sława ci, Świętowie – wyszeptalam.

Odważyłam się podejść bliżej i dotknąć chropowatej kory. Była pełna przebarwień. Gdy położyłam na niej dłoń, poczułam ból, jakby mnie oparzyła. Niemal natychmiast cofnęłam rękę.

Nie wiem, co to było. Czasami zdarzało mi się poczuć dziwne rzeczy, gdy kogoś lub czegoś dotykałam. Jeszcze nigdy jednak nie poczułam fizycznego bólu. Na wszelki wypadek się odsunęłam. Oprócz przebarwień na korze święte drzewo wydawało się okazem zdrowia. Obejrzałam dłoń. Na skórze pełno było odcisków i plam po roślinnym soku, ale nie dostrzegłam żadnych ran ani poparzeń.

Zacząłam się zastanawiać, czy to nie był aby jakiś system obronny, który zapobiegał podniesieniu ręki na święte drzewo. Postanowiłam nie dotykać więcej kory.

Gdy nabierałam do wiadra wody na eliksiry, poczułam na sobie czyjś wzrok. Odwróciłam się szybko. Ukryty w krzakach wysoki mężczyzna stał nieruchomo niczym posąg. Miał na sobie znoszony mundur gajowego. Ciemna zieleń uniformu zlewała się z roślinami, była kamuflażem niemalże idealnym. Gdyby nie siwiuteńka, skołtuniona broda, mogłabym go nie zauważyć.

– Dzień dobry! – przywitałam go i wstałam.

Miałam nadzieję, że nie skrzyczy mnie za czerpanie wody ze źródła. Przecież nie mogło służyć tylko i wyłącznie do popijania za pomocą rąk po odprawionej modlitwie. To byłoby... marnotrawstwo.

Dziadek nie odpowiedział.

– Dzień dobry! – powtórzyłam głośniej, dochodząc do wniosku, że pewnie jest głuchy.

Podeszłam bliżej, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Mężczyzna był bardzo stary. Trochę dziwne, że w tym wieku jeszcze pracował, ale może nie umiał siedzieć w domu na emeryturze. Moja babcia przecież także zajmowała się leczeniem praktycznie aż do swojego końca.

Staruszek uśmiechał się do mnie. Jego blade oczy wydawały się wyprane z kolorów. Z kolei jego źrenice... Bardziej poczułam, niż zrozumiałam, że coś jest nie tak. Mężczyzna wzbudził mój strach. Zupełnie irracjonalny, ale nie mogłam zapanować nad paniką. Umysł gorączkowo szeptał, żebym

natychmiast uciekała.

– Nazywam się Jarogniewa – powiedziałam. – Jestem nową szeptuchą w Bielinach.

Gajowy otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Pochylił głowę i zakasłał w dłoń. Dopiero teraz zauważyłam, że był strasznie wysoki, niewiarygodnie wręcz wysoki.

Zakasłał ponownie i znowu otworzył usta. Spomiędzy żółtych zębów nie wydostał się ani jeden dźwięk.

Strach zaczął wygrywać z rozsądkiem. Dałam krok w tył.

Mężczyzna jeszcze raz otworzył usta. Dobiegł mnie ledwie słyszalny szept:

– Leszszszsz...

– Lesz...? Leszek? Ma pan na imię Leszek? – zapytałam zdenerwowana. Nadal się wycofywałam.

Stuknęłam nogą o wiadro, o mało go nie przewracając. Pochyliłam się i szybko złapałam je za rączkę. Gdy się wyprostowałam, gajowy był tuż obok. Uniosłam głowę i napotkałam jego wodniste spojrzenie. Stał pół metra ode mnie. To było niemożliwe, żeby tak szybko zdołał pokonać odległość, która wcześniej nas dzieliła. Na dodatek zupełnie bezszelestnie!

– Ja... ja... już pójdę – wyjąkałam. – Robi się późno. Powinam wracać. Czekają na mnie.

– Leszszszsz... – wysyczał znowu.

A niech licha porwie konwenanse! Zacisnęłam mocno palce na rączce wiadra i uciekałam w podskokach. Czarna spódnica powiewała za mną na wietrze, gdy gnałam na złamanie karku leśną ścieżką. W którymś momencie źle skręciłam i zamiast wybiec na ślepo zakończoną szosę w Bielinach, zapuściłam się na leśny szlak. Nie rozpoznawałam miejsca, w którym się znalazłam, ale nie robiło mi to najmniejszej różnicy.

Byle jak najszybciej oddalić się od przerażającego mężczyzny! Mógł sobie mieć i ze sto lat, ale miałam wrażenie, że gdyby tylko zechciał, bez wahania uczyniłby mi krzywdę.

W końcu zwolniłam. Połowę wody z wiadra rozlałam po drodze. Dużo ważniejsze było, że gajowy mnie nie gonił.

Postawiłam wiadro na leśnej ściółce i podparłam się pod boki, dysząc ciężko. Las wypełniały zwyczajne odgłosy. Nie słyszałam człapania czy sapania. W oddali na ścieżce nikogo nie było widać.

Postanowiłam zapytać panią Bronkę o tajemniczego mężczyznę. Podejrzewałam, że był to jakiś lokalny wariat. Wierzę w swoją intuicję, a ona kazała mi uciekać. Zdecydowanie coś z tym człowiekiem było nie tak.

– Co się stało? – Głos za moimi plecami sprawił, że krzyknęłam.

Po raz drugi o mało nie potknęłabym się o własne wiadro. W ostatnim momencie uskokczyłam i udało mi się go nie przewrócić.

– Spokojnie. Nie musisz się mnie teraz bać.

Przedemną stał rudowłosy mężczyzna z cmentarza. Jak gdyby nigdy nic opierał się o rosnącą w pobliżu sosnę z rękami założonymi na muskularnej piersi. Nie miał na sobie koszuli. Najwyraźniej po założeniu spodni uznał, że już się wystarczająco napracował.

– Och, jaka ulga! – prychnęłam. – Fakt spotkania pana najpierw w środku nocy na cmentarzu, a potem o zmierzchu w lesie zupełnie mnie nie stresuje.

– Jago, mów mi po imieniu. Liczę, że nawiążemy przyjaźń albo chociażby współpracę.

– Mam mówić bogu po imieniu? – prychnęłam.

Też coś! Taki z niego bóg jak z koziej dupy trąbka. Żaden bóg nie pozwoliłby sobie mówić po imieniu. Chociaż z drugiej strony człowiekiem na pewno nie był.

– Czyli już mi wierzysz. – Pokiwał głową z aprobatą.

– Uwierzyłamby bardziej, gdybyś pokazał magiczną sztuczkę. Ale... ale tak. Jest w tobie coś dziwnego.

Nie kłamałam. Czułam to już na cmentarzu. Miałam wrażenie, jakby zbierało się na burzę, przed którą wewnętrzny głos kazał mi się natychmiast schować. To samo wrażenie odniosłam w obecności gajowego.

– Nie robię sztuczek – mruknął.

– A szkoda.

– Kto cię wystraszył? Nie jesteś osobą lękającą się byle czego.

Odepchnął się od pnia i ruszył w moją stronę. Postanowiłam, że tym razem się nie cofnę. Bóg czy nie bóg, już raz dzisiaj zrobiłam z siebie offermę. Starczy tego dobrego.

– Kojarzysz święty dąb? – zapytałam.

– Trudno byłoby nie kojarczyć. Świętowit ledwie kiedy z niego złązi – zakpił.

Och! Warte zapamiętania. Świętym zwierzęciem piorunowego boga o czterech twarzach był biały gołąb. Być może nawet siedział na gałęzi pod jego postacią, gdy tam dotarłam.

Tylko że te, które widziałam, raczej wszystkie były szare.

– Spotkałam tam dziwnego... dziwną osobę – powiedziałam.

– Jak wyglądała?

– Starszy mężczyzna. Miał na sobie mundur gajowego, ale staroświecki i zniszczony. Leśnicy chyba noszą teraz trochę inne uniformy.

– No proszę. A czemu uważasz, że to nie był człowiek? – zaciekawiał się i dał kolejny krok do przodu.

Przeklinając swój wzrost, musiałam zdrzeć do góry głowę, by spojrzeć mu w oczy. Irytowało mnie, że bogowie poskąpili mi centymetrów.

– Miałam takie przeczucie – odparłam.

– Przeczucie. Interesujące. I co ci powiedziało to przeczucie?

– Żeby brać nogi za pas.

– Słuszna rada – zgodził się.

Poczułam zapach dymu. Nie był gryzący i palący w gardło. Przywodził raczej na myśl ciepłe, żywiczne drwa w ognisku.

– Powiedział, że nazywa się Leszek – dodałam.

– Tak powiedział? – Rudobrody nie mógł ukryć rozbawienia.

– Tak – potwierdziłam lekko zbity z tropu. – To znaczy, coś mamrotał, ale brzmiało jak Leszek.

– Blisko. Prawie udało ci się go zrozumieć. Wydaje mi się, że specjalnie dla ciebie postanowił się odezwać. Bardzo rzadko to robi. Pewnie od kilku lat nie wydał żadnego dźwięku.

Rzekomy bóg podszedł jeszcze bliżej i sięgnął po moje wiadro. Złapał za metalową rączkę i wskazał mi drugą ręką ścieżkę. Powoli ruszyliśmy ramieniem w ramię pomiędzy drzewami.

Swarożyc niesie mi wiadro z wodą. Nieźle! Szkoda tylko, że nie mam się komu pochwalić, bo zaraz zapakowałiby mnie w mało gustownym białym kaftanie do szpitala psychiatrycznego.

– To z kim miałam do czynienia? – zapytałam.

– Z leszym.

Aż się zatrzymałam. Z leszym? Z opiekunem lasu? To by tłumaczyło jego wzrost. Wedle ludowych podań leśny dziad dopasowywał się wzrostem do swojego lasu. W miejscu, gdzie rosły młode drzewka, powinien być niski, a w starodrzewie – bardzo wysoki. Święty dąb znajdował się w samym środku Puszczy Świętokrzyskiej, która, tak jak góry, wzięła swoją nazwę od olbrzymiego krzyża słonecznego usypanego na szczycie Łysej Góry. To więc oczywiste, że urzędujący w jego pobliżu leszy także musiał być wysoki.

Pokiwałam głową. Może faktycznie był leszym. Bo jaki człowiek by się tak zachowywał?

– Dlaczego mi się ukazał? – zapytałam i znowu ruszyłam ścieżką.

– Jesteś nową szeptuchą. Zapewne chciał cię poznać. Wiem, że wielokrotnie ukazywał się twojej poprzedniczce.

– Moja babcia go znała? – zdziwiłam się.

– Znała to chyba za dużo powiedziane. Ukazywał jej się w lesie. Leszy nie lubi wchodzić w drogę śmiertelnikom i tego samego oczekuje od nich. Mimo to Radomiła często go spotykała podczas spacerów. Lubiła zbierać składniki do mikstur w otaczającym wieś lesie.

Wiedziałam, że leszy opiekuje się swoimi drzewami. Zagubionemu wędrowcowi mógł pomóc odnaleźć drogę, z kolei kłusowników bardzo chętnie gnębił. Nie sądziłam, żeby babcia Radomiła mu zawadzała. Nawet jeśli zbierała drogocenne dla niego pędy sosny, żeby zrobić z nich później syrop na suchy kaszel.

– Kto by pomyślał. A ty się ukazywałaś mojej babci? – zainteresowałam się.

Często opowiadała mi legendy o demonach i bogach. Lubiła mówić, że Swarozyc to inaczej swarny, czyli kłótniwy bóg. Jednak nigdy nie wspominała, że jest rudowłosy, przystojny i naprawdę dobrze umięśniony.

Taką opowieść na pewno bym zapamiętała.

– Oczywiście, że tak. Zawsze pokazuję się nosicielkom mojego ognia.

Zabrzmiało to lekko dwuznacznie.

– Słucham? Nosicielkom ognia? A co to niby znaczy? – zapytałam.

– Niektóre kobiety zgadzają się nimi zostać.

– To ja też jestem nosicielką, skoro cię widzę?

– Jeszcze nie, ale bardzo chętnie obdarzę cię moją mocą.

Intuicja po raz kolejny dała mi kopniaka w dół pleców, zdecydowanie poniżej talii. Za tą propozycją nie mogło się kryć nic dobrego. Doskonale wiedziałam, że powinnam się trzymać od swarnego boga jak najdalej.

Szkoda tylko, że był taki pociągający.

– Aha... a co robi taka nosicielka?

– Czasami powierzam jej jakieś zadanie, czasem ona o coś prosi mnie – powiedział wymijająco.

– Aha...

– Widzę, że nie jesteś zainteresowana?

Powoli zapadał zmrok, ale bez trudu mogliśmy jeszcze podążać ścieżką. Zwłaszcza że Swarozyc zdawał się emitować delikatne światło.

- Na razie chyba wystarczy mi obowiązków. Dziękuję.
- Mam nadzieję, że kiedyś wrócimy do tej rozmowy.
- Czemu nie! – zbyłam go.

Rozejrzałam się dookoła. Podejrzanie długo szliśmy. Święty dąb nie mógł być aż tak daleko od mojej chaty. Coś zdecydowanie się nie zgadzało.

- Swarozycu, dokąd ty mnie prowadzisz?
- Na małą wycieczkę. Chcę ci pokazać pewne miejsce.
- Jakie miejsce? – zaniepokoiłam się.

– Wydaje mi się, że w przyszłości może ci się przydać. Obecnie nikt tam prawie nie zagląda. Czasami myśliwi albo leśnicy zatrzymują się na chwilę, ale czasy świetności ma już dawno za sobą. Mimo to nadal jest bardzo ważnym miejscem. Krzyżują się tam ścieżki bogów i ludzi.

Nie wiem, o czym bredził, ale ruszyłam jego śladem. Miałam tylko nadzieję, że nie zamierzał mnie zamordować za karę, że ośmieliłam się nie być zainteresowana jego propozycją przyjęcia posady nosicielki ognia.

Może gdyby lepiej mi wytłumaczył, co taka osoba robi... Nie! Nie! Nie powinnam się nad tym w ogóle zastanawiać. Swarny bóg na pewno coś knuł. Przecież bogowie nie zajmują się ludźmi z dobroci serca. On musiał czegoś ode mnie chcieć. Tylko to mogło tłumaczyć jego intencje.

Kiedy mój niepokój sięgał niemalże zenitu, dotarliśmy na małą polanę, pośrodku której było źródło. Woda zbierała się w sporej niecce, tworząc nieduże jezioro. Było tak czyste, że spokojnie można było dostrzec dno. Na nasz widok żaby opuściły pobliskie kamienie i wskoczyły z pluskiem do jeziora, gdy stanęliśmy na jego brzegu. Nieruchomą taflę pokryły zmarszczki, sprawiając, że księżyc zatańczył na powierzchni wody.

- To chata myśliwych – oznajmił Swarozyc.

Tuż obok jeziora stała nieduża chatka. Przechylony dach pokrywały paprocie, które rozsiadły się na nim niczym kwoki, i wyciągały liście do srebrnej twarzy Chors. Okna były brudne, ale nie brakowało w nich szyb. Kiedy podeszliśmy bliżej, zajrzałam do środka, bo drzwi były otwarte. Widać, że od wielu lat nikt tu nie przebywał, ale wewnątrz wydawało się dość czyste. Nigdzie nie dostrzegłam obecności zwierząt.

- Ładnie tu – powiedziałam.
- Niedaleko jest twój dom – zauważył Swarozyc.

Postawił wiadro przy wejściu, tuż obok krzywej ławeczki zbitej z trzech desek. Wskazał ręką na wąską ścieżynkę, przypominającą bardziej dróżkę, którą poruszają się sarny, niż ludzki szlak.

– Idź prosto. Na pierwszym rozgałęzieniu skreć w prawo. Dojdiesz na łąkę za twoim domem – oświadczył.

- Czemu pokazałeś mi to miejsce? – zapytałam.

Urzekło mnie, przynajmniej. Oczami wyobraźni widziałam, jak przyjemnie będzie rzucić z siebie wszystkie ubrania i wykąpać się w chłodnej wodzie. Jednak motywy Swarozycy wciąż wydawały mi się bardzo podejrzane.

– Mówiłem. Uznałem, że ci się spodoba. Twoja babka czasem przychodziła tu, żeby się kąpać – wyjaśnił. – Niekiedy przyprowadzała tu ze sobą młode kobiety, by przed zamążpójściem mogły oddać cześć bogom. To silne miejsce. Wzywa nas wszystkich. Dobre do odprawiania rytuałów

i szeptania modlitw. Tu zawsze ktoś cię usłyszy.

Czytałam kiedyś o tak zwanych miejscach mocy. Jednym z nich był płaski szczyt Łysej Góry. To dlatego usypano tam krzyż słoneczny i do dzisiaj spotykano się, by celebrować święta. Do takich punktów należała dawniej Arkona, a obecnie Ślęza.

Tutaj było inaczej. Aby miejsce uznano za święte, musiały tam być dąb, kamień i źródło. Kamieni leżało aż nadto, źródło było, lecz nie mogłam dostrzec ani jednego świętego drzewa. Nawet nie widziałam żadnej brzozy, która była ulubionym drzewem Swarozycyca.

– Potraktuj to miejsce jako mój kolejny prezent dla ciebie – szepnął Swarozyc.

Odwrociłam się do niego. Oczy boga błyszczały, zupełnie jakby płonął w nich ogień. Być może było tak w istocie.

– Czy oczekujesz, że ja też ci coś dam? – zapytałam.

Wolałam uściślić zasady obdarowywania na początku naszej znajomości.

– Och, w żadnym razie nie jesteś moją dłużniczką. – Posłał mi uśmiech, który miał w sobie coś wilczego. – To drobne prezenty. Gdy postanowię obdarzyć cię swą łaską, darem ognia, będziesz o tym wiedziała. Za taki dar należą mi się odpowiednie podziękowania. Teraz możesz być mi tylko wdzięczna i znaleźć w swoim sercu trochę miejsca dla boga ognia.

– Dobrze. W takim razie dziękuję.

Podszedł bliżej. Wyciągnął rękę i pogładził mnie ciepłymi palcami po policzku. Poczułam, jak serce w piersiach wyrywa mi się do niego. W tej chwili byłam chętna oddać mu wszystko, nawet życie, byle tylko nie przestawał mnie dotykać.

Zamrugałam i cofnęłam się o krok. Dłoń boga zawisła w powietrzu. Uczucie oddania prysło.

– Nie używaj na mnie swoich czarów – zastrzegłam.

– Droga Jago, jestem bogiem, ale nie jestem wszechpotężny. Nie mogę kogoś zmusić, by zapłonął do mnie żarem. Mogę jedynie rozniecić tłącą się iskrę. Pamiętaj o tym. Do zobaczenia, szeptucho.

Jego ciało spowił dym. Przez chwilę wydawał mi się utkany z szarego oparu. Tylko jego oczy błyszczały jak żarzące się węgle. Gdy wiatr poruszył gałęziami, widmo zniknęło. Zostałam sama.

10.

Mijały kolejne dni, a interes nadal się nie kręcił. Całymi dniami przesiadywałam w ogrodzie lub w chatce, wyrabiałam nowe leki i nastawiałam nalewki. Kredens ze specyfikami praktycznie pękał już w szwach, a klientów brak. Doszło do tego, że reagowałam delikatną palpacją na każdy dźwięk silnika samochodowego czy parsknięcie konia ciągnącego furmankę.

Spacery do Bielin nie należały do najprzyjemniejszych. Zdarzało się, że ludzie przechodzili na drugą stronę ulicy na mój widok. Kilka staruszek nawet splunęło na chodnik. Z jednej strony mnie to bulwersowało, ale z drugiej się cieszyłam. Fama o tym, że zemszczę się na złodziejach, musiała dotrzeć już niemalże do wszystkich mieszkańców.

Mszczuj starał się przekonać do mnie ludzi, ale szło mu to opornie. Zresztą sam także nie cieszył się jakąś ogromną sympatią społeczeństwa. Bieliny były całkiem postępowe jak na niedużą wioskę. Przypominały mi raczej Warszawę albo Kraków. Niezbyt dużo osób regularnie odwiedzało kapłana. Każdy raczej wolał modlić się sam zgodnie z własnym sumieniem i od czasu do czasu przejść się na spacer pod święty dąb albo na szczyt Łysej Góry.

W końcu jednak przyszła do mnie upragniona klientka! Usłyszałam dźwięk silnika, a następnie ciszę, gdy samochód zatrzymał się obok mojej posesji.

Natychmiast zerwałam się z łóżka, na którym zalegałam od kilku godzin z poczuciem życiowej klęski. Poprawiłam włosy, wepchnęłam koszulę w spodnie i otworzyłam szeroko drzwi.

Przez podwórko szła do mnie chorobliwie chuda kobieta, ubrana w zdecydowanie zbyt duże ubrania. Spódnice musiała związać paskiem, bo inaczej szybko spadłaby z jej szczupłych bioder. Bluzka powiewała za nią jak flaga.

– Dzień dobry! – zawołałam. – A raczej dobry wieczór!

– Dla kogo dobry, dla tego dobry! – odparła zrzędliwie.

Głos wydał mi się znajomy.

– Musi mnie kochana szeptucha przyjąć. Coś ze mną niedobrze – powiedziała kobieta i bezceremonialnie przepchnęła się obok mnie. Spojrzałam na samochód. Wyglądał jak ten, którym jechałam z rodziną Kielbasów.

Podążyłam za wychudzoną kobietą. Może to jakaś ich kuzynka? W sumie z wyglądu trochę podobna do Chwalimiry.

Usiadła, zanim zdążyłam jej to zaproponować. Ale nie miałam najmniejszego zamiaru narzekać. Klientka to klientka! Powoli kończyły mi się fundusze na chleb dla ubożąt, czas zacząć zarabiać.

– Dzień dobry pani! W czym mogę pomóc?

– Jak to w czym? Chyba widać? – burknęła.

Zmierzyłam ją spojrzeniem. Szczerze mówiąc, poza zaleceniem jej kupna mniejszych ubrań, za bardzo nie miałam się do czego przyczepić. Miała ładną rumianą cerę, szła wyprostowana, lekkim krokiem. Nie sprawiała wrażenia chorej.

– Szanowna pani, nie bardzo rozumiem – powiedziałam. – Mieszka pani w Bielinach? Chyba jeszcze nie miałyśmy okazji się poznać.

Kobieta przez chwilę siedziała z oszupiałą miną.

– To chyba będę bogata – mruknęła.

– Słucham? – zdziwiłam się.

– Nie poznałaś mnie, szeptucho, więc powinnam być bogata. Tak mówi mądrość ludowa.

– Eee... tak... nie poznaję pani – przyznałam.

– Ale to ja! – wykrzyknęła.

– Czyli?

– Chwalimira!

Teraz to ja siedziałam oszupiała. Kiedy ostatnio się widziałyśmy, wcale nie tak dawno, wyglądała na jakieś czterdzieści kilo nadwagi. Teraz mogła spacerować po wybiegach mody.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – powiedziała. – Strasznie szybko chudnę. Na początku się cieszyłam. Myślałam, że to efekt mojej nowej diety.

– A na czym polega dieta?

– Przed śniadaniem zaczęłam pić szklankę wody – wyjaśniła zadowolona z siebie.

– Aha, to faktycznie zdrowo. A inne nawyki żywieniowe? Tłuszcze zwierzęce? Słodycze?

– No niczego innego to ja se nie odmawiam. Boczuś na kanapce obowiązkowo musi być, a po obiedzie deserek – oświadczyła. – O tej wodzie czytałam w gazecie, w „Gospodyni Domu”. Myślałam, że to dlatego waga spada.

– Aż takich efektów raczej nie ma się co spodziewać – udało mi się wtrącić.

– Zaniepokoiło mnie, że chudnę cały czas. Do tej pory, jak się próbowałam odchudzać, to spadało mi kilka kilo, potem przestawało, a potem wracało dwa razy tyle – oburzyła się. – A teraz tylko spada. Oczywiście, że się cieszę, ale mąż mi oświadczył, że takiej chudej kobyły to strach dotknąć, że się na kości nabije. Muszę wrócić do poprzedniej figury. Dla męża i dla naszego małżeństwa. Rozumie szeptucha.

Nie do końca podzielałam punkt widzenia pana Kiełbasy, ale o gustach w końcu się nie dyskutuje.

– Rozumiem, ale mimo to uważam, że drogiego męża trzeba by wałnąć jednak patelnią po łbie – skwitowałam. – Droga Chwalimiro, kiedy zaczęłaś chudnąć?

W mojej głowie zapaliła się lampka ostrzegawcza. Szybka utrata wagi najczęściej oznaczała niestety chorobę nowotworową. A nawet szeptuchy wobec takich schorzeń są bezsilne. W zasadzie pozostawało mi jak najszybciej wysłać ją do szpitala na zrobienie serii badań.

Podawaniem ziółek mogłam jej tylko zaszkodzić, bo może i stan ogólny na chwilę się poprawi, ale choroba na pewno nie zostanie w żaden sposób spowolniona czy zatrzymana.

– Jakoś od tygodnia, półtora – odpowiedziała.

O mało nie spadłam z krzesła. Czterdzieści kilo w tydzień?! Nawet nowotwory nie są takie szybkie.

– Na pewno?

– No tak. Codziennie się ważę od dwóch tygodni. Chciałam zobaczyć, czy ta szklanka wody coś daje.

– To nie od tej szklanki wody.

– Tyle to i ja wymyśliłam. Poradź, mądra babo. Ja teraz codziennie jem tłusty boczek, słoninę, śmietanę jem łyżkami. Patrzeć na to już nie mogę, a waga i tak spada.

– A wypróżnienia? – zapytałam.

– Co?

– Biegunki nie ma?

– Eee, nie! Normalnie wszystko.

Oparłam się wygodnie i zamyśliłam. Nagle klapki same mi przeskoczyły w głowie.

Początek chudnięcia Chwalimiry idealnie zbiegał się w czasie z moją wizytą na cmentarzu.

– A szanowna szeptucha czego tak się śmieje? – zaniepokoiła się kobieta. – To uleczone jest?

Mój uśmiech odrobinę przygasł. W sumie nie byłam zupełnie pewna, czy mogę odwrócić urok, a tym samym wyleczyć moją klientkę.

– Chwalimiro. Musisz wiedzieć, że ja półtora tygodnia temu rzuciłam urok – oznajmiłam.

– Urok? – Wyraźnie się zaniepokoiła.

– Tak, urok. Na złodziei, którzy mieli czelność obrabować chatę mojej babci – wyjaśniłam cierpliwie i pochyliłam się w jej stronę.

Mimo że oddzielał nas stolik, Kielbasa odsunęła się na swoim krześle najbardziej, jak tylko mogła. Rumieńce z jej policzków zniknęły w jednej chwili, zrobiła się niemalże przezroczysta.

– U-u-urok? – wyjąkała.

– Tak. Każdy, kto bezprawnie zabrał chociażby jeden przedmiot z domu mojej babci, będzie sechł tak długo, aż zemrze.

– Zemrze? – wysapała.

– Chwalimiro, czy zabrałaś coś z tego domu po śmierci mojej babci? Jeśli tego nie zrobiłaś, to musimy szukać innej przyczyny choroby. Jeśli jednak dopadł cię mój urok, żaden lekarz w tym kraju ci nie pomoże.

– O bogowie! – jęknęła. – No wzięłam, wzięłam. Co miałam nie wziąć?! Wszyscy już się chałupą interesowali. Zaczęły ginąć poszczególne rzeczy. Uznałam, że nie przyjedzie żadne zastępstwo, tylko chałupa idzie na zniszczenie. No wzięłam co nieco.

– Musisz wszystko oddać – powiedziałam stanowczo.

Zirytowałam się. Oczywiście nigdy nie uważałam Chwalimiry za przyjaciółkę. Byłam świadoma jej zaniedbań wobec domu i ogrodu, którymi obiecała się opiekować. Ale nie podejrzewałam, że byłaby w stanie okraść moją babcię, która, jakby na to nie patrzeć, ufała jej na tyle, że przekazała jej pod opiekę dobytek.

– Ja... ja... dobrze! – Po jej policzkach poleciały łzy wielkości ziaren grochu. Wyglądały na całkiem szczerze.

Nie sądziłam, że efekt uroku będzie aż tak silny! Jeszcze tydzień i z Chwalimiry nic nie zostanie.

– Oddaj skradzione przedmioty – powiedziałam. – I przekaz pozostałym osobom, że też muszą to zrobić. Urok został rzucony na was wszystkich. Jeśli chociaż jedna osoba się wyłamie, nie będę mogła go cofnąć. Wszyscy muszą mi się ujawnić i oddać skradzione przedmioty.

Trochę oszukiwałam, bo wykopać przedmioty z grobu nieboszczyka na cmentarzu mogłam choćby i teraz. Ale wolałam najpierw odzyskać jak najwięcej dóbr mojej babci.

– Dobrze! Dobrze! – powiedziała z mocą. – Ja ich wszystkich przekonam. Oddamy, co tylko się da. Bo... przecież nie wszystko da się oddać.

– Domyślałam się, że nalewki babci już dawno zostały wypite – mruknęłam. – Proszę o niezwłoczne

zwrócenie reszty rzeczy. Do całkowitego wypełnienia uroku zostało naprawdę bardzo mało czasu.

– Mało? To znaczy ile?

Szczerze mówiąc, mogłam tylko zgadywać. Chwalimira miała przynajmniej z czego chudnąć. Dużo szczuplejsze osoby już mogły stać jedną nogą w grobie.

– Maksymalnie dwa dni – powiedziałam na wszelki wypadek.

Gdy Chwalimira wychodziła z mojej chatki, zapadł już zmierzch. Księżyc i gwiazdy częściowo były przysłonięte chmurami, przez co zrobiło się zupełnie ciemno. Stałam w drzwiach i patrzyłam, jak kobieta wsiada do samochodu. Reflektory auta przecięły mrok. Czyjeś oczy zapłonęły zielonym blaskiem i niemalże od razu zgasły. Sądząc po wysokości, na jakiej się znajdowały, to pewnie był lis.

Chwalimira wykręciła niezgrabnie na wąskiej szosie, zahaczyła o moje ogrodzenie i o krzywe słupki wyznaczające teren opustoszałej posesji po drugiej stronie ulicy. Po chwili jej samochód zniknął na końcu drogi w obłoku kurzu.

Wyszłam przed dom i z napoczętą butelką nalewki wiśniowej od Bogusi usiadłam na niskiej ławeczce. Była to tak zwana wiejska ławeczka obserwacyjna. Co prawda, żeby stuprocentowo spełniała swoją rolę, powinna stać przed posesją, tuż obok szosy, a nie w głębi, obok chaty. Niemniej i tak, jako że nie miałam żadnych drzew i wysokich krzewów od frontu, pozwalała mi na swobodne prowadzenie obserwacji.

Spoglądałam na niebo i przesuwające się po nim pasma szarości. Jednocześnie popijałam nalewkę prosto z butelki i dumałam o tym, czy jestem złym człowiekiem. Rzuciłam urok na nie wiadomo jak dużą liczbę osób. Okazało się, że całkiem silny urok. Teoretycznie mogłam ich wszystkich pozabijać. Ale żaden sąd nie udowodni mi winy. Ludzie też raczej nie odważą się mnie w odwecie zaatakować.

Miałam naprawdę dużą nadzieję, że babcia nie ma wglądu w moje postęпки. Na pewno byłaby zawiedziona.

A poza tym – po co w takim razie umieszczała przepis na ten urok w swoim zeszycie? Przecież to było oczywiste, że go kiedyś wykorzystam. Każdego okradzionego by podkusiło.

Nagle poczułam na ramionach gęsią skórę. Zupełnie jakby ktoś dmuchnął na mnie zimnym powietrzem. Wzdrygnęłam się i wbiłam spojrzenie w szosę.

Ktoś, z całą pewnością ktoś, ponieważ wyraźnie widziałam ludzką sylwetkę, szedł drogą. Samym środkiem, lekko zataczając się na boki. Ręce o dość nietypowej długości, sięgające niemalże do kolan, trzymał sztywno wzdłuż ciała.

Zmrużyłam oczy, żeby lepiej dostrzec szczegóły. Przez chwilę pożałowałam, że nie jest tu tak jasno jak w Warszawie, gdzie na każdym rogu stoi latarnia.

Chuda postać znajdowała się już na wysokości mojej chaty. Początkowo sądziłam, że jej górne kończyny wydawały mi się dziwne przez zbyt długie rękawy bluzki. Teraz jednak wyraźnie widziałam chude palce zakończone długimi, lekko zagiętymi paznokciami. Skołtunione włosy postaci opadały miękko na jej plecy i twarz, przez co nie mogłam dostrzec, czy to mężczyzna, czy kobieta. Z kształtów wychudzonej sylwetki nie zdołałam niestety nic wyczytać.

Niespodziewanie poczułam strach. To już nie był łagodny dreszcz niepokoju, ale dziki, niemal obezwładniający strach.

Zamarłam w bezruchu. Czułam się odsłonięta jak łania na środku drogi w obliczu zbliżającej się ciężarówki. Na szczęście postać zdawała się mnie w ogóle nie zauważać. Minęła mnie i człapała

w dość wolnym tempie w stronę lasu.

Dalej była jeszcze jedna posesja z dość odsuniętym od drogi domem. Miałam nadzieję, że to „coś” nie szło właśnie tam, bo zdecydowanie nie miałam ochoty jej gonić, żeby pomóc sąsiadom.

Stchórzyłam. Przyznaję. Po cichutku wstałam i weszłam do swojej chaty. Ciągle nie naprawiłam rozwalonego zamka, ustawiłam więc zaporę ze słoików, a następnie bardzo dokładnie zamknęłam okiennice.

Tej nocy dość trudno było mi zasnąć. Przez większość czasu uważnie nasłuchiwałam, czy nikt aby nie staje pod moimi drzwiami ani czy wiatr nie niesie krzyków od sąsiadów.

11.

Następnego ranka obudziło mnie pukanie do drzwi. Odrzuciłam przeupoconą pierzynę, którą w napadzie dziecięcego lęku nakryłam się aż po głowę po wczorajszych pijackich widzeniach.

Wmawiałam sobie, że tajemniczy stwór, którego widziałam, był tylko wytworem mojej odurzonej nalewką wyobraźni.

– Chwileczkę! – krzyknęłam i wyskoczyłam z pościeli.

Szybko zaczęłam odsuwać słoiki. Musiało jeszcze być całkiem wcześnie, bo zwykle budziły mnie koguty sąsiada. Dzisiaj nic nie wyrwało mnie ze snu, gdy wreszcie zdołałam w niego zapaść. Zachowywałam się zupełnie nieprofesjonalnie. Miałam tylko nadzieję, że ten, kto się dobija, jest naprawdę chory i nie zrobi mu różnicy, czy przyjmę go w koszulinie do spania, czy już normalnie ubrana.

Szarpnęłam za drzwi. Po drugiej stronie stała Chwalimira. Wydawała mi się jeszcze szczuplejsza niż wczoraj wieczorem.

– Dzień dobry! – powiedziałam zaskoczona.

– Ojej, dzień dobry! Obudziłam szanowną szeptuchę? – Wyraźnie się przestraszyła. – Najmocniej przepraszam! Nie chciałam!

– Ależ nic nie szkodzi! Słońce wysoko, czas najwyższy, żebym wstała – oświadczyłam.

Chwalimira wyciągnęła w moją stronę dwie torby bazarowe w czerwoną kratkę. Obie były mocno wypchane.

– To wszystko oddaję i bardzo przepraszam, że przywłaszczyłam sobie własność szeptuchy. Mąż mówił, żem głupia i kłopoty tylko z tego będą – pokajała się.

Dopiero teraz zauważyłam, że na moim podwórku stało jeszcze kilka toreb i pakunków. Niektóre były prawie puste, niektóre pełne. Kilka siatkowych paryżanek leżało wypchanych talerzami i kubkami. Pod ścianą chaty zauważyłam komplet łopat, grabi, siekier, mioteł, wiader, a także, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, stare żelazne kowadło i imadło. W skupie złomu pewnie daliby za nie majątek! Z kolei tuż obok furtki ktoś postawił balię do kąpieli.

– A to wszystko? – zapytałam, wskazując na graciarnię, i wzięłam od niej pakunki.

O mało się przy tym nie przewróciłam, takie były ciężkie. Garnki i butelki zadzwoniły w siatach. Chwalimira chyba wyniosła najlepsze rzeczy.

– Ludzie od rana przynoszą. Przekazałam wiadomość od szanownej szeptuchy. Nie do wszystkich udało mi się dotrzeć, część specyfików Baby Radomiły już zużyto, ale większość przedmiotów zwrócono. Zapewniam! Wiem, że inni się wstydzili przychodzić osobiście, więc podrzucili rzeczy do ogrodu. Prosilili, żebym przekazała najszczerze przeprosiny od naszej społeczności.

Zaczęłam się zastanawiać, ile osób spośród mieszkańców brało udział w przestępczym występku.

– Czy teraz zdejmiesz kłatwę?

W oczach sąsiadki dostrzegłam strach. Było to bardzo niskie z mojej strony, ale nie mogłam się powstrzymać przed uśmiechem satysfakcji.

– Tak, dzisiaj zdejmę kłatwę – potwierdziłam.

Uspokojona podziękowała mi jeszcze kilka razy i wreszcie sobie poszła. Ja za to resztę dnia spędziłam na segregowaniu przyniesionych fantów. Wspomnienia odżyły, gdy odzyskałam ulubione, malowane w kwiaty kubki babci czy stalowe, pociągnięte czerwoną emalią garnki. Nawet komplet srebrnych rodowych sztućców się znalazł!

Tak jak obiecałam, wybrałam się w nocy na cmentarz. Dobrze pamiętałam, który grób rozkopywałam, więc trafiłam bez trudu. Tym razem jednak drogi nie oświetlał mi księżyc. Pomimo zbliżającej się lada dzień pełni, było całkiem ciemno. Niebo zostało przysłonięte przez chmury. W efekcie musiałam zabrać ze sobą lampę naftową, bo inaczej już na pierwszym zakręcie potknęłabym się o jakiś nagrobek albo wpadła do świeżo wykopanego grobu.

Idąc cmentarną alejką, uważnie nasłuchiwałam. Widok chudej zjawy na szosie był wciąż wyraźny w mojej pamięci. Samotne przyjscie na cmentarzysko trochę mnie kosztowało. Na wszelki wypadek obwiesiłam się czosnkiem, bylicą i innymi znanymi mi ziołami, które rzekomo miały moc odstraszania demonów. Niestety nie miałam najmniejszego pojęcia, co widziałam tamtej nocy, więc trudno mi było podjąć jakiegokolwiek kroki zaradcze przed ewentualnym atakiem. Przejrzałam stary bestiariusz babci, który znalazłam w jednej z siatek na podwórku, ale żadna rycina nie przypominała tego, co obserwowałam.

Nagle usłyszałam szelest. Ukucnęłam i przytuliłam do siebie lampę, żeby światło było mniej widoczne. Czułam, jak serce tłucze mi się w piersi. Dźwięk powtórzył się. Brzmiał... brzmiał, jakby ktoś rozgarniał suche liście.

Odważyłam się wystawić głowę zza nagrobka i zerknąć w stronę, z której dobiegały niepokojące dźwięki, ale oczywiście w ciemnościach niczego nie zdołałam dostrzec.

Z torby, którą ze sobą wzięłam, wyciągnęłam srebrny nożyk do ryb z zestawu babci. Jako jedyny miał spiczasto zakończone ostrze, dzięki czemu mogłabym nim kogoś dźgnąć. Mocno zacisnęłam palce na rękojeści i ponownie wystawiłam głowę.

Nic.

Ani jednego ruchu.

Cisza.

Słyszałam jedynie gwizdanie wiatru i własny spanikowany oddech.

Policzyłam do dziesięciu, następnie do dwudziestu. Ciągłe nic się nie działo. Najchętniej odwróciłabym się na pięcie i zwiewała, gdzie pieprz rośnie. Zachciało mi się rzucania uroków!

Powoli wstałam i ostrożnie ruszyłam na koniec cmentarza.

– Jago, weź się w garść – syknęłam do siebie.

Nie wiem do końca, jak dotarłam nad „mój” grób. W jednej chwili się skradałam, a w drugiej już stałam nad niedawno rozgrzebaną mogiłą. Ustawiłam na kamiennym nagrobku lampę. Żadnych niepokojących dźwięków teraz nie słyszałam, więc zabrałam się do kopania. Im bardziej się spręzę, tym prędzej wrócę do domu.

Wzruszona, pozbijana w grudy ziemia z łatwością pozwalała mi się wybierać z grobu. Nie minęło kilka minut, a stałam w całkiem głębokim wykopie. Tym razem musiałam postarać się trochę

bardziej, bo mimo wszystko wypadało podnieść pokrywę. Nie byłam tylko pewna, czy dam radę ją otworzyć, jeśli została porządnie przyśrubowana. Odsłoniłam wieko. Na środku ziała dziura, którą niechcący wybiłam podczas ostatniej wizyty.

– Przykro mi, że znowu naruszam twój spokój – powiedziałam. – Obiecuję, że to ostatni raz.

A w każdym razie miałam taką nadzieję.

Na szczęście pokrywa nie była niczym przymocowana, a nawet jeśli coś ją spinało, to rozpadające się pod wpływem lat drewno puściło w jednej chwili, gdy tylko je pociągnęłam. Stałam okrakiem nad wnętrzem trumny.

Jej lokator w zasadzie już się rozłożył. Część ubrań rozpadła się w pył, odsłaniając gołe kości. Nogi zmarłego pokryte były strzępami materiału, które chyba kiedyś były spodniami. Jedynie skarpetki i buty w całkiem niezłym stanie tkwiły na swoim miejscu. Z częściowo pozbawionej ciała czaszki sterczały dość długie, rudawe włosy.

Przełknęłam kilka razy ślinę, bo mnie zemdliło. To nie był miły widok.

Zaczęłam wyciągać przedmioty, które wcześniej tam wrzuciłam. Dość szybko znalazłam wszystkie. Nie do końca wiedziałam, co się mówi w takim momencie, więc tylko mruknęłam coś o odwracaniu uroku i ponownie przeprosiłam mieszkańca nekropolii za wtargnięcie do jego siedziby.

Nie wydawało mi się, żeby musiał mnie jakoś specjalnie prześladować. Raczej miał co robić w naszych kochanych zaświatach, czyli Wyraju.

Mnie samą osobiście lekko przerażała wizja, że kiedyś tam trafię. Nie przekonywało mnie wieczne szczęście podczas wypasania się jak owca na polach boga podziemi Welesa lub siedzenie pod postacią ptaka na drzewie kosmicznym. Jakies to takie mało rozrywkowe. Na dodatek tylko kilka razy w roku, podczas Dziadów, mogłabym odwiedzać świat śmiertelnych? I to jedynie na dwadzieścia cztery godziny? Bez przesady. A co ja zdążę zrobić w dobę? Nawet nikogo porządnie nie nawiedzę...

– Dobry wieczór.

Krzyknęłam. Nie wstydę się tego. Jestem przekonana, że każdy by zapiszczał jak typowa baba. Pewnie niejedna osoba nawet by zemdlała.

Odwrociłam się. Moje stopy zaplątały się w resztkę spodni nieboszczyka i momentalnie straciłam równowagę. W jednej chwili stałam, a w drugiej leżałam już w trumnie na szczątkach, które dzięki mojej pomocy natychmiast zamieniły się w pył. Zakaszlałam, gdy dostał mi się do nosa i ust. Nad sobą zobaczyłam prostokąt zachmurzonego nieba i poblask mojej lampy naftowej.

Zmroziło mnie przeświadczenie, że zaraz zostanę pogrzebana żywcem. To najgorsza noc w moim życiu. Przysięgam.

– Nic pani nie jest?

W kwadracie nieba pojawiła się głowa. Pod światło nie byłam dokładnie pewna rysów, jednak po głosie poznałam, że to mężczyzna.

– Chyba nie – wydusiłam.

– Na wszystkich bogów, co pani tu robi? – zdziwił się.

– Ja... ja... jestem szeptuchą – oświadczyłam z największą godnością, na jaką mnie było stać. Liczyłam na to, że taka odpowiedź mu wystarczy i sam sobie dopowie, co mogłabym robić nocą na

cmentarzu.

– Och, szeptucha? Słyszałem o pani. – W jego głosie usłyszałam radość. – Bardzo się cieszę, że udało nam się poznać. Miałem nadzieję, że to niebawem nastąpi.

– Ech, nawzajem, chyba.

Wyciągnął w moją stronę rękę. Miał bardzo smukłe palce.

– Pomóc pani wyjść? – zaproponował.

– Dam radę. Spokojnie. Jeszcze się pan przeze mnie pobrudzi.

Dźwignęłam się na łokciu. Poczułam, jak resztki żeber nieboszczyka boleśnie wbijają mi się w plecy.

Właściciel kwatery jednak na pewno odwiedzi mnie w Dziady i powie, co myśli o mojej zabawie na cmentarzu. Miałam to jak w banku.

Kiedy wystawiłam głowę z wykopu, nieznajomy się cofnął. Przyjrzałam mu się uważnie. Wydawał się podejrzanie chudy, ale na pewno nie był zjawą, którą widziałam nocą na szosie. Nie był też Swarozycem.

Czyżbym wreszcie trafiła na cmentarnego odźwiernego?

– Już wychodzę – powiedziałam.

Stałam na nogi i otrzepałam się z resztek nieboszczyka. Modliłam się tylko, żeby jakiś jego palec czy ząb nie zaplątał mi się we włosy. Po chwili udało mi zatrzasać wieko trumny i odgrodzić się od ciała. Jeszcze raz przeprosiłam w myślach zmarłego i wygramoliłam się na powierzchnię. Cała byłam brudna. Dosłownie calutka. Dobrze, że wybrałam sobie takiego zmarłego, który zdążył się rozłożyć.

Mężczyzna stał w swobodnej pozie naprzeciwko mnie. Oddzielał nas tylko rozkopany grób. Zauważyłam, że u jego stóp leży mój nożyk do ryb.

Niech to lichy porwie.

– Pani szeptucho... dobrodziejko... czy pani ma przypadkiem na szyi sznur czosnku? – zapytał rozbawiony.

– Ano tak.

– A można spytać, w jakim celu?

Tajemniczy osobnik był bardzo wysoki i szczupły. Jego lekko łysawą głowę pokrywało tylko kilka cienkich pasem włosów. Miał chorobliwie bladą cerę, chociaż mógł mnie zmylić panujący na cmentarzu mrok. Ubrania mężczyzny wydawały się przykurzone i brudne.

To chyba nie był odźwierny...

Przed oczami przeleciały mi strony babcinego bestiariusza. Istniało kilka możliwości. Z demonów mieszkających na cmentarzach znałam na przykład baby cmentarne. Zaruszone staruchy, które zaciągają pechowych spacerowiczów do rozkopanych mogił, a tam zaduszają. Według bestiariuszowej teorii czynią to z nienawiści, nudów bądź szeroko pojętego szukania towarzystwa. Jednak stojący obok mężczyzna w żadnym razie kobiety nie przypominał.

Istniały też wąpierz. Demony powstałe ze zmarłych tragicznie ludzi, które za dnia pomieszkowały w miejscu swojego pochówku, a nocami napadały na ludzi i wypijały ich krew. Na wąpierz obecny tu osobnik nawet się nadawał.

Poza tym mogłam też spotkać bezkosta, taką bardziej zaawansowaną formę wąpierza, który nie

miał już żadnych kości ani nawet chrząstek, więc przypominał dość bezkształtny worek na wypitą krew. Tajemniczy pan wyglądał jednak, jakby raczej miał w sobie szkielet. Nie kiwał się bezwładnie na boki.

Na dziada, czyli zagubioną z welesowego stada duszę, także nie mógł kandydować. Jako istota bezcielesna nie proponowałby mi podania ręki, chyba że to była zmyłka.

Ewentualnie mogłam natknąć się na wieszczego. Tyle że on powinien podejść i zacząć przepowiadać rychłą i zapewne tragiczną śmierć, zarówno moją, jak i moich bliskich. Ten osobnik jak na razie niczego takiego nie zrobił.

Inne znane mi demony nie miały wyraźnie ludzkiej, męskiej na dodatek, postaci lub po prostu nie bytowały na cmentarzach. Oczywiście zawsze istniała szansa, że spotkałam na swojej drodze samą śmierć. Ale przeczył temu fakt, że mężczyzna najpierw się odezwał, a dopiero potem się przewrócił. Gdyby ciąg zdarzeń był odwrotny, mogłabym podejrzewać, że złamałam sobie w grobie kark, tylko jeszcze tego nie zauważyłam.

Odchrząknął.

– Czosnek? – zapytał ponownie.

– W celach ochronnych – wyjaśniłam.

– A przed kim? – Teraz już zupełnie nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Przed demonami.

– Bardzo mi przykro, pani szeptucho, ale czosnek nie działa – odparł przez łyzy. – To tylko ludowa legenda, że odstrasza... na przykład wąpierz.

Niedobrze. Zwłaszcza że osobnik po drugiej stronie grobu miał jakieś takie dziwne oczy, który świeciły w ciemnościach. A srebrny nożyk babci ciągle był poza moim zasięgiem.

– A kim pan jest? – zapytałam, żeby zyskać trochę na czasie.

– Ja? Nazywam się Dzierżysław.

– Wspaniale! – Klasnęłam w dłonie, udając słodką idiotkę. – Panie Dzierżysławie, widzi pan tę łopatę obok siebie?

Spojrzał na ziemię.

– Tak, widzę.

– Byłabym dozgonnie wdzięczna, gdyby mi pan pomógł zakopać ten grób. Naprawdę! Przecież nie odmówi pan kobiecie?

Mężczyzna był wyraźnie zbity z tropu. Mimo to pochylił się i podniósł łopatę. Zerknął na mój wykop.

– Mam zakopać grób? – zdziwił się.

– A poproszę. Jeśli pan oczywiście będzie taki miły. Widzi pan, panie Dzierżysławie. Ja się już tak zmęczyłam podczas rozkopywania, że nic tylko samej się do tego grobu położyć. Gdyby mi pan pomógł, to chętnie pozwoliłabym się panu zaprosić kiedyś na herbatę w podzięce.

Mówiąc to, nie patrzyłam mu w oczy. Ostentacyjnie otrzępywałam ubranie, udawałam, że jestem bardzo zajęta. Ledwie mogłam się powstrzymać, żeby nie zerkać mu w twarz. Miał w sobie coś przyciągającego, chociaż na pierwszy rzut oka wydawał się brzydki jak noc.

Usiłowałam sobie przypomnieć wszystko, co wiem na temat wąpierzy. Nie było tego zbyt wiele. Oczywiście o ile pan Dzierżysław był wąpierzem. Równie dobrze mógł być miliardem innych

demonów. Czego jak czego, ale potworów ci w tym kraju dostatek.

Nasze swojskie wampierze nie przypominały wampirów w stylu Draculi, wykreowanego przez aktora Bélé Lugosiego. Szybko przebiegłam w myślach wszystkie charakterystyczne cechy wampierzy. Są chorobliwie blade. Pan Dzierżysław był bladej. Mogą mieć wyraźne deformacje twarzy. Na pierwszy rzut oka nie widziałam, ale tajemniczy mężczyzna nos miał dość płaski. Wampierze wyróżniają dziwne, hipnotyzujące oczy, którymi uwodzą swoje ofiary, by podpijać potem ich krew. A z oczami pana Dzierżysława zdecydowanie było coś nie tak.

Pomyślałam o szeleście, który słyszałam, skradając się przez cmentarz. Czyżby wygrzebywał się wtedy z grobu? To był dźwięk odgarnianej ziemi i suchej trawy?

Niedobrze.

– Hm... chyba mogę pomóc – wymruczał.

– To byłoby bardzo miłe z pana strony. Taki silny mężczyzna! Miałam szczęście, że pana spotkałam! – dalej szczebiotałam jak idiotka.

– Tak, szczęście – rzekł i zachichotał.

Pan Dzierżysław dziarsko zaczął machać łopata, dość szybko zasypując grób. Miałam nadzieję, że podczas tej czynności się przesunie i będę mogła złapać mój nóż. On jednak ani myślał się ruszyć. Twardo tkwił z tamtej strony wykopu, jakby dbał, by srebrne ostrze znajdowało się idealnie pomiędzy jego stopami.

Niech to licho porwie!

Pocieszało mnie tylko, że nie powinien mnie zabić od razu. W końcu wampierze to pasożyty. Będzie podpijał ze mnie regularnie, co powoli doprowadzi mnie do śmierci. Wolałabym jednak, żeby tego nie robił. Tak samo jak brzydziłam się pijawek, tak mocno odrzucała mnie wizja, że wampierz wychłepcze moją krew.

Nie będzie łatwo się go pozbyć. W tym celu musiałabym co najmniej odrąbać mu głowę. Nożykiem do ryb raczej tego nie zrobię. A może...? Zerknęłam na nożyk i na szyję Dzierżysława. Trudne to będzie.

Cholera, maku też ze sobą nie wzięłam. Ani orzechów. Wobec niektórych demonów działało rzucenie ich na ziemię. Podobno tak się zajmowały obsesyjnym liczeniem, że można je było w międzyczasie zaciukać.

– A czym pan się zajmuje, panie Dzierżysławie? – zagadnęłam. – Tak na co dzień?

– A tym i owym – odparł wymijająco.

Odwrociłam się w stronę przejścia prowadzącego do bramy cmentarnej. Nie miałam szans na ucieczkę. Moje krótkie nóżki w porównaniu ze szcudłami chudzielca nie zagwarantują mi przewagi. Poza tym wampierze mogą opuszczać cmentarz. Nawet jakby tutaj mnie nie dogonił, z łatwością zrobi to jeszcze przed pierwszymi zabudowaniami. Krzyki na nic się nie zdadzą. Sto razy zdąży mnie unieszkodliwić, zanim ktoś przybiegnie na pomoc.

Na magiczne pojawienie się pracownika cmentarza też chyba nie miałam co liczyć. Nawet jeśli kiedyś pracował tu jakiś odźwierny, pewnie już dawno został zeżarty przez oto osobnika.

– Co się szeptucha tak rozgląda? – zapytał Dzierżysław zjadliwym tonem. – Ma dobrodziejka ochotę zaraz uciekać? Przecież dopiero zaczęliśmy rozmowę. A ja grób już prawie dla dobrodziejki zakopałem.

Wbiłam spojrzenie w koszulę na jego piersi, co jeszcze bardziej go rozdrażniło.

– To naprawdę bardzo miło z pana strony. Sama w ogóle bym sobie nie poradziła.

Co by tu zrobić? Co by tu zrobić?! Nie miałam żadnego pomysłu!

Demon pracowicie układał fragmenty murawy. Przyklepał je łopata i odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem. Chyba oczekiwał pochwały. Mój czas zdecydowanie się skończył.

Z drugiej strony... przynajmniej zakopał za mnie grób. Nie ma tego złego i tak dalej.

– Nie wiem, jak pani, ale ja jestem bardzo spragniony – oświadczył.

– Domyślam się.

– Właśnie.

Ruszył w moją stronę. Wciąż wpatrywałam się w guziki jego koszuli. Żegnałam się na zawsze z życiem i moją krótką karierą szeptuchy, gdy dookoła nas pojawił się gęsty dym.

Demon pociągnął nosem i lekko przykucnął. Wypuścił z dłoni łopata. Momentalnie przestał przypominać człowieka. Rysy jego twarzy się wyostrzyły, oczy zaczęły delikatnie świecić na czerwono, a ostre zęby wysunęły się zza sinych warg.

– Idź stąd! – Za moimi plecami zagrzmiął silny męski głos.

Wąpierz zasyczał i zerwał się do ucieczki. Po chwili nie było po nim śladu. Odwróciłam się do Swaróżyca, który stał tuż za mną w oparach dymu. Zalała mnie taka fala ulgi, że rzuciłam mu się w ramiona i mocno go wyściskałam.

– Dziękuję! – wykrzyknęłam.

Zaskoczony moim zachowaniem, nie od razu zareagował. Dopiero po chwili poczułam, jak klepie mnie po plecach.

– Do usług – odparł.

Na wszelki wypadek się od niego odsunęłam. Co jak co, ale do boga nie wypadało się raczej przytulać bez pozwolenia. Dobrze, że mnie nie spopielił za tę zniewagę.

A potem się popłakałam.

12.

Nie jestem beksą. Uważam, że uzalanie się nad sobą jest grubo poniżej mojej godności. Ale wtedy na cmentarzu coś we mnie pękło. Na szczęście nie obraziłam w żaden sposób Swarożycy. Okazał się nawet wyjątkowo ludzki. Odprowadził mnie do domu i solennie zapewnił, że przypilnuje w nocy mojej chaty, by wąpierz przypadkiem nie zapukał do moich drzwi. Chyba tylko i wyłącznie dzięki temu zdołałam usnąć.

Wciąż nie mogłam przestać sobie wyrzucać, że popłakałam się przy nim jak dziecko. To dlatego, choć nie minęły dwa dni, znowu spacerowałam dziarsko po cmentarzu. Z tą jednak różnicą, że w trakcie dnia i w towarzystwie.

– Dość specyficzne miejsce na spacer – powiedział idący obok mnie Mszczuj. – Lubisz cmentarze? Moglibyśmy się wybrać na ten położony w lesie, gdzie są pochowani żercy i szeptuchy.

– Nie przepadam za cmentarzami – odpowiedziałam.

– Aha... To dlaczego tu przyszliśmy?

Podparłam się pod boki i rozejrzałam dookoła. Ścieżki były równe, wszystkie groby stawiano rzędami. Jeśli będziemy iść każdą alejką, to nie ominiemy grobu, który wygląda na często rozkopywany.

– Coś widziałam – odparłam.

Podrapał się po głowie. Jego kasztanowe loki stanęły dęba.

– Nie do końca rozumiem.

– Spacerowałam nocą po cmentarzu i widziałam jakiegoś tajemniczego osobnika.

Wolałam nie wchodzić zbyt w szczegóły całego zajścia. Szczerze wątpiłam, żeby lokalny żerca ucieszył się, że niczym hiena cmentarna rozkopuję groby. Jeśli osoby, na które rzuciłam urok, nie puszczą pary z ust, będę kryta i nikt nigdy się o tym nie dowie.

Rano zajrzałam do Chwalimiry, żeby zobaczyć, czy żyje. Czuła się świetnie. W dwa dni przybrała dziesięć kilo. Była z tego powodu bardzo zadowolona, a poczucie winy, szepczące mi nieustannie, że zachowuję się jak zła czarownica z bajek, zostało skutecznie zagłuszone.

– Co rozumiesz przez „tajemniczego”? – zapytał Mszczuj.

– Wierzysz w demony?

Zatrzymaliśmy się na końcu alejki. Kapłan miał zafrapowany wyraz twarzy. Zapewne wstydział się swoich odczuć.

– Wierzę w bogów – odparł powoli. – Skoro oni istnieją, to niby dlaczego demony miałyby nie istnieć?

– No właśnie!

– Podejrzewasz, że jakiś demon chodził po cmentarzu?

– Widziałam kogoś dziwnego. Był nadzwyczaj wysoki, świeciły mu się oczy, miał jakieś takie niesamowite zęby. Jak bym miała obstawiać, to był wąpierz – wyjaśniłam.

– A zgłaszał się do ciebie ktoś i mówił, że się źle czuje?

Wiedziałam, o co mu chodzi. Jeśli w okolicy grasował wąpierz, powinna się do mnie ustawić

kolejka osób chorujących na anemię, przewlekłe zmęczonych, a na dodatek przypadkiem pogryzionych ostatnio przez jakieś osobliwe zwierzę, którego w ogóle nie pamiętają.

– Nie – skrzywiłam się. – Ale nadal nikt do mnie nie przyszedł na prawdziwą wizytę.

– Nie rozumiem dlaczego. Twoja babcia była naprawdę popularna.

– Też mnie to zastanawia. Coś zdecydowanie jest nie tak. I to nie może być tylko dlatego, że ja jestem młoda, a ona była stara...

Mszczuj się odważył i poklepał mnie pocieszająco po ramieniu.

– Nie martw się, Jago. Kiedy będę chory, od razu przyjdę do ciebie po poradę – zapewnił.

– Miło z twojej strony.

– Czyli czego szukamy?

– Wąpierz co noc wygrzebuje się z grobu. Musimy znaleźć miejsce pochówku, które nie było całopalne i wygląda na naruszone.

– Szukajmy więc!

Resztę popołudnia spędziliśmy na cmentarzu. Gawędziliśmy o wszystkim i o niczym. Podejrzane groby znaleźliśmy dwa. Jeden należał do nieboraka, którego ja nawiedzałam, a drugi był zupełnie nowy. Pod koniec dnia do niego wróciliśmy.

– Myślisz, że to ten grób? – zapytał Mszczuj.

– Tak mi się wydaje. Spójrz na ziemię.

Oboje przykucnęliśmy. Kopiec był świeży, jasnobrązowej gliniastej ziemi nie zdążyła porosnąć trawa. Suche wieńce już wyrzucono. Został tylko jeden ze sztucznych, plastikowych kwiatów. Zmarły, którego tu złożono, zginął ledwie miesiąc temu. Mojej babci już tu nie było, a ja jeszcze nie przyjechałam.

– Grzebałem go – poinformował mnie Mszczuj.

– Kim był?

– Tak właściwie nikt dokładnie nie wiedział. Podawał się za Dzierżysława Troczka. Przeprowadził się do Bielin jakiś miesiąc przed śmiercią. Był pijakiem. Wynajął strych stodoły od jednego z gospodarzy i tam pomieszkiwał. Podobno twierdził, że ma w okolicy rodzinę, ale żaden z mieszkańców się do tego powinowactwa nie przyznał, kiedy trzeba było go pochować. Poza tym nikt z tutejszych nie ma tak na nazwisko.

– A jak umarł? – zapytałam.

– Spadł po pijaku z drabiny i złamał sobie kark.

Gwałtowna śmierć, na dodatek w wyniku nieszczęśliwego wypadku... Teoretycznie mógł z tego powstać demon. Zwłaszcza jeśli za życia miał sporo na sumieniu i bogom nie uśmiechało się wpuszczać go do Wyraju. Może zamiana w upira miała być dla niego nauczką?

Szkoda tylko, że teraz może zrobić komuś krzywdę... Bo na świadomego swoich złych życiowych decyzji raczej nie wyglądał, kiedy go spotkałam.

– Pogrzebaliśmy go za pieniądze od wójta. Ma specjalny fundusz na pochówki osób pozbawionych majątku i rodziny – dodał Mszczuj.

– Ktoś przyszedł na jego grób?

– Nikt. Podczas odprawiania ceremonii pogrzebowej byłem tylko ja i grabarz.

– Mamy w Bielinach grabarza? – zdziwiłam się.

– Zakład pogrzebowy jest w Kakoninie. To niedaleko. Zajmuje się kilkoma okolicznymi miasteczkami i wsiami. Tu nie ma zbyt dużych potrzeb. Część ludzi kładzie się na cmentarzu bliżej Kielc, bo ma tam rodzinę – wyjaśnił.

– Wieniec też od wójta? – Wskazałam na przykurzone sztuczne lilie, które już dawno straciły biel płatków.

– Ode mnie. Wydawało mi się niewłaściwe, żeby zostawić pusty kopiec. Nawet nie ma nagrobka.

Miał rację. W ramach oszczędności zrezygnowano z kamiennej płyty. Tuż nad kopcem była umieszczona metalowa tabliczka z imieniem, nazwiskiem i datą śmierci. O nieboszczyku niczego nie było wiadomo, więc nic więcej na niej nie napisano.

– Dziwne, że jego rodzina się nie pojawiła.

– Może byli skłóceni. W tych stronach ludzie długo chowają urazę. – Wzruszył ramionami, jakby to było coś normalnego.

– No dobra, ale na pogrzeb mogliby przyjść! – obruszyłam się.

– Może miał długi? Jeśli ktoś by się do niego przyznał, to szybciej by go dopadł urząd podatkowy. A tak mogą udawać, że go nigdy nie znali.

– Może...

Ten mężczyzna musiał za życia być niezbyt miłą osobą. Mimowolnie zaczęłam mu trochę współczuć. To smutne nie mieć zupełnie nikogo. Całe szczęście, że mam tylu braci! Przynajmniej ktoś uroni łzę na moim pogrzebie. Może do najmilszych nie należeli i rzadko kiedy się dogadywaliśmy, ale, na litość wszystkich bogów, przynajmniej mnie pochowają tak, jak należy.

Czyli spalą, żebym w razie czego nie wstała i nie zaczęła ich straszyć.

– Naprawdę uważasz, że on może być demonem? – zapytał Mszczuj.

– Widziałam coś podejrzanego. Wolalabym się upewnić.

– A możesz mi wyjaśnić, co konkretnie podejrzanego widziałaś?

Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że mi nie dowierzał.

– Coś kręciło się po cmentarzu i na pewno nie przypominało człowieka.

– Rozumiem, a jak chcesz się upewnić, czy to demon? Czyżbyś miała zamiar rozkopać jego grób?

– Tak.

– Wiesz, że to jest prawnie zabronione?

– O ile na mnie nie doniesiesz, nikt się nie dowie.

Mszczuj się uśmiechnął, ale potem wesołość na jego twarzy zgasła. Chyba dopiero teraz do niego dotarło, że naprawdę zamierzam rozkopać grób i zajrzeć do środka. Wydawał się wstrząśnięty moim pomysłem.

A ja zaczęłam się zastanawiać nad genezą wąpierz. Musiał maczać w tym swoje palce jakiś bóg. Oczywiście o wiele łatwiej stać się po śmierci demonem komuś, kto był po prostu zły. Ponadto do zamiany w potwora predysponowały pewne rodzaje śmierci. Z tego, co wiedziałam, najczęściej powracali topielcy, potem zmarłe w kołysce dzieci, a następnie samobójcy i wisielcy. W znacznie mniejszym stopniu niebezpieczeństwo dotyczyło poronionych dzieci i osób zmarłych w dniu ślubu.

Najromantyczniejsze legendy opowiadano o nowożeńcach. Takie na przykład rusałki powstawały z kobiet zmarłych przed ślubem, jeszcze w okresie narzeczeństwa. Podobnie to z tego powodu tak zaciekle polowały na mężczyzn i doprowadzały ich do śmierci przez nadmierną rozkosz. Nie dożyły

swojej nocy poślubnej, musiały zatem to sobie jakoś zrekompensować.

Inne demoniczne postacie, takie jak południce, powstawały z kobiet zmarłych tuż przed ślubem, w jego trakcie lub tuż po nim. To niby miało tłumaczyć, dlaczego spacerują ubrane na biało.

Z kolei moje ulubione postacie z legend – wily – miały nieprzyjemność zginąć tuż przed nocą poślubną, podczas weseliska. Jako że nie zdążyły się porządnie wytańcować, w postaci demonów zatańcowały mężczyzn na śmierć.

– Jaga? O czym myślisz? – Głos Mszczuja przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Jeśli kiedykolwiek postanowię wyjść za mąż, muszę bardzo się pilnować podczas swańby.

– Hę?

– Nieważne. Takie tam babskie rozważania – spieszyłam się. – Powiedz no mi lepiej, czy on aby na pewno sam spadł z tej drabiny?

– Znalazł go pan Mietek – odpowiedział. – Ten gospodarz, co mu piętro w stodole wynajmował. Wezwał policję, gdy go znalazł, a potem posłał po mnie syna.

– I?

– Kiedy tam dobiegłem, policji jeszcze nie było. Dzierżysław leżał na ziemi, obok drabiny. Głowę miał wykręconą pod dziwnym kątem. Sznurówki w butach rozwiązane. Jeden z jego butów leżał obok. – Szybko nakreślił mi, jak wyglądała cała scena. – Na moje oko sam spadł podczas schodzenia, bo zaplątał się w sznurówki. Pewnie szedł skorzystać z wychodka. Policja stwierdziła zresztą to samo.

– A jego dobytek? – zapytałam.

– Nie miał nic wartościowego.

– Za coś musiał opłacić stodołę – zauważyłam.

– Nie wiem, Jago. Policja nie znalazła w jego rzeczach niczego wartościowego.

– Może to pan Mietek... – urwałam, widząc jego spojrzenie.

Dobrze, skoro chce święcie wierzyć w dobre serce swoich owieczek, niech mu będzie! Ja tymczasem będę miała trochę roboty.

W Noc Kupały widziałam gołe baby, jak nic rusałki, na cmentarzu spotkałam wąpierz, a nocą obserwowałam jakieś wysokie, chude stworzenie, któremu zdecydowanie daleko było do człowieka. Coś sporo tych istot nadprzyrodzonych. Nie wiem, może wcześniej nie zwracałam na to uwagi, może po przyjęciu posady szeptuchy stałam się bardziej czuła. Wydawało mi się jednak, że jest w tym wszystkim coś podejrzanego.

– Mszczuju... powiedz mi coś więcej o Bielinach.

– A co konkretnie chciałabyś wiedzieć?

– Długo tu już pracujesz?

– Nie bardzo. Ledwie dwa lata.

Zacmokałam. Miałam nadzieję, że jego staż pracy jest trochę dłuższy.

– A nie zauważyłaś, żeby coś podejrzanego działo się w okolicy? – zapytałam.

– Co rozumiesz przez podejrzanego?

– Nie wiem... jakieś zgony, zaginięcia.

Mężczyzna podniósł się z kucek i zamyślony spojrzał na cmentarz. Poza nami nie było tu nikogo. Żar lał się z nieba, coraz trudniej było wytrzymać na otwartej przestrzeni. Widziałam, jak

Mszczujowi po twarzy spływają kropelki potu.

– Teraz, kiedy zapytałaś... – Podjął temat.

– Tak?

– Ostatnio sporo osób umiera.

Poczułam, że serce mocniej bije mi w piersi. Tak! Może wreszcie trafiłam na jakiś ślad!

– Pracuję tu dwa lata. Bieliny niby są miasteczkiem, ale jednak to nadal wioska. Ludzie zajmują się swoimi majątkami, życie toczy się powoli. Pewien rytm nadają narodziny, obrzędy swańby, pogrzeby i oczywiście święta. Wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą.

Uśmiechnęłam się krzywo. W mojej wsi też tak było. Kichniesz z jednej strony wiochy, a po drugiej odkrzykną „na zdrowie”. Żadnej anonimowości, zupełnie nic się nie ukryje. Dzięki temu można było spokojnie nie zamykać domu, ale brak prywatności strasznie irytował.

– Teraz bardzo często kogoś grzebię i to nie są tylko osoby starsze – powiedział.

– Naprawdę? Kiedy to się zaczęło?

– Wydaje mi się... chyba po śmierci twojej babci jakoś nam się mieszkańcy posypali. Myślałem, że to może dlatego, że ona dbała o swoich pacjentów, a potem przestali zażywać leki. Radomiła umiała zaprowadzić porządek. Bez niej częściej zaczęły przydarzać się różne nieciekawe rzeczy. Komuś coś zniknęło nagle z domu, kto inny nie wrócił na noc... Tuż przed twoim przyjazdem zaginął na przykład pan Darek.

– Pan Darek?

– Hydraulik, jedyny w Bielinach, nawiasem mówiąc. Był pijakiem, często zdarzało mu się chodzić porządnie zawianym. Do dzisiaj się nie odnalazł. Nikt nie wie, gdzie mógł się podziać. Początkowo nawet go nie szukaliśmy. Każdy pomyślał, że pewnie poszedł w pijackie tango. Nie jeden raz tak zrobił. Ale minęło zbyt dużo czasu. Jakieś nieszczęście musiało go spotkać.

– I to wszystko po śmierci mojej babci? – mruknęłam.

Pogładziłam wzruszoną ziemię na grobie pana Dzierżysława Troczka. Coś się musiało stać, gdy Radomiły zabrakło. Zachwiała się równowaga. Postanowiłam, że zrobię wszystko, by się dowiedzieć, o co chodzi.

Zerknęłam na Mszczuja. Przyglądał mi się podejrzliwie. Nie mógł oderwać wzroku od mojej dłoni.

– To co teraz? – zapytał.

– Nic. Wracamy do domu.

W myślach aż się zachnęłam. Czy on sobie wyobrażał, że przy nim, gołymi rękami, zacznę ten grób rozkopywać? Nie żeby mnie nie korciło... Jednak rozkopywanie mogiły w dzień nie było rozsądne. Za dużo osób mogłoby nas zobaczyć.

Przyjdę tu nad ranem, kiedy wąpierz będzie spał w swoim leżu opity niczym komar!

13.

Noc była niespokojna. Bałam się, że niechcący przegapię świt, więc przez cały czas czuwałam. Ubożęta dobrze wiedziały, że nie zmrzyłam oka, bo ani myślały się pokazać. Kromka chleba leżała na spodeczku koło pieca dokładnie tak, jak ją wieczorem zostawiłam. Nie było na niej ani jednego śladu po zębach. Usiłowałam przemówić im do rozsądku, żeby się mną nie przejmowały, tylko zjadły. One jednak milczały. Najwyraźniej nie chciały mi się pochwalić wyglądem. Jakoś je jeszcze kiedyś podejść. Strasznie byłam ciekawa, jak wyglądają.

Wąpierz miały to do siebie, że na łowy zwykle wychodziły w nocy. Oczywiście o wschodzie słońca wcale nie zaczynały dymić i nie rozsypywały się w pył jak w filmach. Za dnia trudniej im ukryć swoją prawdziwą postać. Przypuszczałam, że znany mi pan Dzierżysław wraca do swojego przytulnego grobu nad ranem, by nikt nie zauważył, że tam mieszka. Żeby uniknąć konfrontacji z wąpierzem, a jednocześnie podejrzanych spojrzeń mieszkańców, musiałam działać szybko. Okienko czasowe nie było zbyt długie.

Kiedy tylko niebo zaczęło szarzeć, z zarzuconą na ramię ciężką torbą, pełną przedmiotów potrzebnych do przeprowadzenia pochówku wampirycznego, ruszyłam w stronę cmentarza. Nie mogłam się doczekać unieszkodliwienia pana Dzierżysława. Popłakałam się przez niego, a tego nie byłam w stanie mu wybaczyć.

Zaraz po wejściu na drogę zobaczyłam naprzeciwko siebie wysoką, przeraźliwie chudą postać. Serce podeszło mi do gardła. Widmo, które widziałam podczas picia nalewki... Było już za późno! Nie miałam żadnych szans na ucieczkę! Demon musiałby być całkiem ślepy, żeby mnie nie zauważyć.

Sparaliżowana strachem wyciągnęłam przed siebie dłoń ze srebrnym nożykiem do ryb. Drugą ręką grzebałam w kieszeni spódnicy, żeby wyciągnąć garść soli, którą zamierzałam rzucić potworowi prosto w oczy. Jeśli nie podziała magiczna moc soli, przynajmniej go oślepię i wezmę nogi za pas.

Wysoka postać była coraz bliżej. Świt powoli zabarwił poranne mgły na różowo, dlatego nie wzięłam ze sobą lampy. Dokładniej przyjrzeć się istocie mogłam dopiero wtedy, gdy podeszła bliżej. Była kobietą. A w każdym razie kobietę przypominała bardziej niż mężczyznę. Miała niezwykle wychudzoną sylwetkę, przyobleczoną w powiewające na nieistniejącym wietrze płótno, związane w pasie białym sznurem. Jej twarz była wydłużona, kości jarzmowe wydawały się wręcz ostro zakończone. Cud, że nie przebijały wątlej skóry na wylot. Usta miała maleńkie, prawie niewidoczne spod haczykowatego nosa.

A najgorsze były oczy. To od nich nie mogłam oderwać spojrzenia. Całe czarne. Bez tęczówki i bez białkówki. Wydawało się, że czerń źrenicy powleka całą gałkę oczną. Sprawiało to przerażające wrażenie.

Długie do ramion włosy powiewały za istotą, gdy, szurając gołymi stopami, zbliżała się do mnie. Uniosłam nożyk trochę wyżej, poważnie się zastanawiając, czy zdołam jej zadać cios. Długie, sięgające niemalże kolan ręce zjawy zakończone były pazurami dłuższymi od ostrza nożyka. Pewnie wbicie go w serce załatwiłoby sprawę. Pytanie tylko, czy znajduje się ono po lewej stronie. Nie

każdy upir jest zbudowany jak człowiek.

Istota była coraz bliżej. Chociaż drżałam na całym ciele, wyprostowałam się dumnie. Postanowiłam umrzeć z godnością.

Niespodziewanie demon przeszedł obok mnie posuwistym krokiem i jak gdyby nigdy nic kontynuował wędrówkę w stronę ostatniego gospodarstwa.

Zamrugałam zaskoczona. Odwróciłam się i zmierzyłam istotę baczным spojrzeniem. To nie był żaden podstęp. Po prostu minęła mnie jak zwykłą przeszkodę.

– Co jest? – wymknęło mi się pomiędzy zaciśniętych zębów.

Oczywiście cieszyłam się, że mnie nie zabiła. Jednak w jej obojętnym przejściu obok mnie było coś niemalże obraźliwego.

A może mnie nie widziała? Może jest ślepa i dlatego ma takie dziwne oczy?

Wepchnęłam sól z powrotem do kieszeni i ruszyłam szybkim krokiem. Całe to spotkanie było nadzwyczaj niepokojące, jednak miałam teraz coś innego do zrobienia. Tajemniczą kobietą zajmę się kiedy indziej.

Dotarłam na cmentarz i stanęłam nad grobem pana Dzierżysława. Ziemia była wyraźnie wzruszona, wieniec leżał w innym miejscu, niż go z Mszczujem zostawiliśmy.

– Bingo!

Odkopanie na szczęście poszło mi sprawnie. Czuję, że staję się w tym coraz lepsza. Jeśli kiedyś moja kariera szeptuchy podupadnie jeszcze bardziej, zdecydowanie mogę się przebranżowić na grabarza.

Trumna, w której leżał zmarły, była bardzo prosta. Chociaż nazwanie jej trumną wydawało się pewnym nadużyciem. Ciało schowano do zwykłej sosnowej skrzynki z uchwytyami zrobionymi z grubego sznura. Na wieku namazano jakiś symbol, pewnie logo producenta. Zacmokałam. Nic dziwnego, że wstawał. Sosnowe drewno przecież przed niczym nie chroniło. Najlepsze było jesionowe. Jeśli wierzyć legendom, zapewniało spokojny wieczny odpoczynek.

Trzeba pogadać z wójtem. Rozumiałam jego oszczędność, ale aż sam się prosił o produkcję demonów, skoro fundował ludziom zmarłym w dziwnych okolicznościach zwykłe sosnowe skrzynki.

Stanęłam po bokach trumny i szarpnęłam za wieko, odrzucając je poza grób. Nie był to zbyt rozważny ruch, bo wąpierz mógł mnie w tej chwili zaatakować. No nie pomyślałam. Następnym razem lepiej rozważę strategię swojego ataku.

Sięgnęłam po łopatę i uniosłam ją nad głowę Dzierżysława, gotowa w każdym momencie wbić mu ją w szyję. On jednak ani myślał się ruszać. Leżał sobie spokojnie z dłońmi złożonymi na podołku. Na jego podejrzenie rumianej twarzy malował się uśmiešek zadowolenia. Policzki wypełniły się, wydawał się wręcz pulchny. Mimo tych wyraźnych zmian w jego wyglądzie nie miałam wątpliwości, że to on napadł mnie na cmentarzu. Wszędzie poznałabym tę łysinę i przybrudzoną koszulę. Obecnie była jeszcze brudniejsza, bo zdobiły ją drobne kropelki krwi.

Oczy miał zamknięte. Czy spał, trudno powiedzieć, bo ożywione trupy mają to do siebie, że nie oddychają.

Dźgnęłam go łopatą w pierś. Nawet nie drgnął. Jedynie jedna z jego dłoni zsunęła z piersi i z cichym plaśnięciem uderzyła o dno trumny. Ze zdenerwowania sama ledwie mogłam oddychać. Spodziewałam się, że natychmiast się na mnie rzuci, a tu taka niespodzianka.

Gdy nie zareagował, dźgnęłam go ponownie, a potem nawet kopnęłam.

Nic.

– Panie Dzierżysławie? – zapytałam cichutko.

Nic.

– Panie wąpierz? – spróbowałam jeszcze raz.

Nadal nic.

– Hej, stary dziadu! – mówiąc to, klepnęłam go dłonią w lodowaty policzek.

Nie zareagował.

No proszę. To będzie prostsze, niż przypuszczałam. Muszę dopisać w swoim bestiariuszu, że jak wąpierz się opije, wpada niemalże w śpiączkę. To znacznie ułatwia unicestwienie gada.

Jako że nie wiedziałam dokładnie, która metoda unieszkodliwiania demona podziała najlepiej, postanowiłam wykorzystać wszystkie. Raczej nie można przesadzić, a ja wolę być pewna, że Dzierżysław nie przyjdzie mi kiedyś do domu, żeby się odwzięczyć.

Najpierw, sapiąc z wysiłku, przekreśliłam go na brzuch. Ważył zdecydowanie więcej, niż się spodziewałam. Był całkowicie bezwładny, przez co wydawał się jeszcze cięższy. Legendy z bestiariusza głoszą, że demon, po przewróceniu go na brzuch, będzie usiłował wyjść z trumny do dołu i prędzej się przekopie do Chin, niż mu się to uda.

Jakoś nie przypuszczałam, żeby mimo wszystko wąpierz mógł być taki głupi. Przeszłam więc od razu do punktu drugiego. Wzięłam kilka żelaznych gwoździ, które wyciągnęłam z mojego i tak rozpadającego się płotu, i młotek. Przystawiłam gwóźdź do potylicy demona i stuknęłam młotkiem. Wszedł jak w masło, a Dzierżysław ani drgnął. Zachęcona brakiem jego reakcji wbiłam mu jeszcze sześć gwoździ. No proszę, czyli to jednak prawda, że kości tego typu demonów zamieniają się w chrząstkę, a następnie miękną jeszcze bardziej. W ten sposób wąpierz przepoczwarzają się w bezkosty. W podręczniku napisano, że po takim zabiegu demon będzie miał stały ból głowy i nie będzie mógł myśleć.

Niezupełnie dowierzałam księżce. Ostatecznie z bólem głowy można żyć. Moja koleżanka z akademika wiecznie miała migreny, ale jakoś dawała radę wstawać z łóżka i w miarę normalnie funkcjonować.

W związku z tym wsypałam do trumny worek maku. Demon powinien zająć się liczeniem ziarenek i nie będzie miał czasu wyjść z grobu. Ta metoda również wydawała mi się naciągana. W którymś momencie przecież pan Dzierżysław się doliczy i wylezie. Niemniej nie zaszkodzi spróbować.

Przede mną została ostatnia część. Najstraszniejsza, dlatego zostawiłam ją na koniec.

Wzięłam łopatę i przystawiłam demonowi do karku. Skoro nie miał kości, to powinno wystarczyć tylko jedno uderzenie. Na trzy.

– Raz.

Uniosłam ręce do góry i na wszelki wypadek rozejrzałam się po cmentarzu, czy żadna cierpiąca na bezsenność babuleńka nie przyszła już opłakiwać swoich bliskich.

– Dwa.

Zamknęłam oczy.

– Trzy!

Opuściłam łyżkę na kark wąpierz. Niemalże natychmiast ucieszyłam się, że wcześniej zamknęłam oczy. Demon musiał dopiero co zaspokoić swój głód. To, co przydarzyło się mnie, a także to, co stało się z wnętrzem trumny oraz metalową tabliczką z danymi denata, najlepiej porównać do sytuacji, w której zgniata się kapciem na śnieżnobiałej ścianie świeżo opitego komara. Takiego komara, który wybucha pod wpływem nacisku.

Krew była wszędzie.

Wyskoczyłam błyskawicznie z grobu i zwymiotowałam w krzakach. Obrzydlistwo! Byłam cała we krwi! Na twarzy, we włosach, na ubraniu! Bogowie! W nosie też ją miałam.

Kolejny atak torsji zgiał mnie w pół, ale nie bardzo miałam już czym wymiotować. Otarłam usta jedynym suchym fragmentem spódnicy i wróciłam do grobu. Trumna na szczęście nie była jakoś specjalnie szczelna, więc nie przypominała teraz wanny wypełnionej krwią. Posoka przeciekła przez szczeliny i zaczęła wsiąkać w ziemię.

Okropne. A jeszcze bardziej okropne było to, jak się sama zachowałam. Na litość wszystkich bogów, przecież nie mogę wymiotować podczas zabijania wąpierz. Szeptusze to nie przystoi!

Następnym razem zachowam się bardziej dojrzałe.

Zgodnie z radą z podręcznika przełożyłam głowę wąpierz pomiędzy jego nogi, co miało sprawić, że jej nigdy nie znajdzie, a potem przystąpiłam do zasypywania grobu. Zbliżał się wschód słońca, wzrastało więc niebezpieczeństwo, że ktoś mnie zobaczy.

A nie oszukujmy się, zbryzgana krwią od góry do dołu nie wyglądałam na najniewinniejszą osobę na świecie.

Pomyślałam o zasilanym źródle jezioru. Postanowiłam, że pobiegnę tam polami i się opluczę. Miną wieki, zanim naniosę sobie odpowiednią ilość wody do balii w chacie. Poza tym miałabym opory przed wylewaniem brudnej wody z takiej kąpieli na swoją ziemię.

Słońce niepostrzeżenie zdołało wznieść się na niebo, ale jakoś udało mi się dotrzeć do chatki nad jeziorem, nie spotykając nikogo po drodze. Trzymałam się z dala od ludzkich ścieżek, zajęło to sporo czasu, ale dzięki temu miałam niemalże pewność, że nikt mnie nie zauważył.

Chciałam jak najszybciej zanurzyć się w chłodnej wodzie. Niestety się na to nie zanosilo. Gdy dotarłam do polany, natknęłam się tam na Swarożycza.

Nie byłam z tego powodu zbyt zadowolona.

– Podejrzałam, że będziesz chciała skorzystać z jeziora – powiedział na przywitanie.

– A ty, jako bóg, nie masz niczego lepszego do roboty, niż czekać na mnie? – zapytałam.

– Intrygująco wyglądasz – oświadczył, całkowicie ignorując mój komentarz. – Jakbyś wracała z wojny.

Rzuciłam tobolek na wąski paseczek piasku i kamieni na brzegu. Czysta woda kusila mnie niezmiernie.

Swarożyc się zaśmiał. Trudno było mi ocenić, czy jego wesołość jest szczerą. Wydawało mi się, że tak, ale równie dobrze mógł udawać. W końcu to bóg, kto wie, do czego jest zdolny?

– Mną nie musisz się krępować – zaznaczył i wskazał głową na wodę.

Nie namyślałam się długo. Może to moja głupota, ale skoro nie miał żadnych obiekcji, zabrałam się za zrzucanie z siebie kolejnych elementów garderoby. Krew wąpierz zdążyła zastygnąć na materiale spódnicy i bluzki. Czułam, jak kruszy mi się pod palcami.

Swarożyc bez żenady przyglądał się moim nagim piersiom, kiedy wchodziłam do zadziwiająco chłodnej wody. Na całym ciele pojawiła mi się gęsia skórka. Szłam po kamienistym dnie do momentu, w którym woda przykryła mój biust. Na niewiele się to zdało, bo krystalicznie czyste jezioro niczego nie ukrywało.

Nabrałam powietrza i zanurzyłam się z głową. Energicznie potarłam twarz. Zasnęta krew na mojej skórze powoli rozmiękała i pozwalała się zmyć. Wreszcie czysta!

Po wynurzeniu rozplątałam warkocz i ponownie zamoczyłam głowę. Moje czarne włosy uniosły się dookoła mnie na wodzie. Zerknęłam na boga. Przysiadł na kamieniu. Bardzo starał się nie dotknąć wody.

– Co się stanie, jeśli się zanurzysz? – zapytałam zaciekawiona tą obserwacją.

– A czemu coś miałoby się stać? – zdziwił się.

Na końcu języka miałam komentarz: „bo siedzisz na tym kamieniu jak kura na grzędzie”, ale ugryzłam się w język.

– Jesteś bogiem ognia – powiedziałam zamiast tego i wzruszyłam niefrasobliwie ramionami.

Mój biust wysunął się na chwilę z wody. Swarny bóg nie spuszczał z niego wzroku. Poczułam, jak na policzki wpełza mi rumieniec. Z jednej strony zainteresowanie Swarożycyca było lekko niepokojące, ale z drugiej bardzo mi pochlebiało. Nigdy nie byłam specjalnie cnotliwa, bardzo lubiłam swoje ciało, więc nie przeszkadzało mi zbytnio, że męczyzna widzi mnie nago.

Tylko właśnie... Swarożyc nie był mężczyzną.

– Nie martw się o mnie, moja piękna szeptucho – powiedział. – Gdyby woda mogła zgasić mój płomień, nie przeżyłbym pierwszej burzy.

– Dobrze wiedzieć.

Na moich dłoniach ciągle widać było przebarwienia. Zaczęłam pocierać nimi o siebie. Krew wbiła mi się pod wszystkie paznokcie i odstające skórki. Nawet pomimo odmaczania nie dawało się ukryć, że zrobiłam komuś krzywdę.

– Ładnie sobie poradziłaś z wąpiierzem – pochwalił mnie.

Spojrzałam na niego z ukosa.

– Obserwowałeś wszystko?

– Kibicowałem.

– Mogłeś pomóc mi rozkopywać grób, skoro czaiłeś się w pobliżu.

– Zdołałaś zachęcić wąpierza do kopania w ziemi. Aby przekonać do takich czynności boga, musiałabyś się bardziej postarać.

Pewnie miał rację. Niemniej nadal byłam dumna, że namówiłam demona do odwalenia za mnie chociaż części roboty.

– Swarożycu... powiedz mi coś.

– Co tylko chcesz.

Przewróciłam oczami. Niby bóg, ale bajerował jak chłopak z remizy.

– Nie masz wrażenia, że ostatnio w Bielinach pojawiło się sporo demonów?

Jego spojrzenie pozostało puste.

– Może źle się wyraziłam – mruknęłam. – Powiedz mi, ile jest tutaj demonów?

Wzruszył ramionami.

– Chyba dużo.

– Chyba? Nie wiesz ile?

– To w miarę stała liczba. Kontrolujemy ją.

Domyślałam się, że pod tajemniczym „kontrolujemy” kryli się po prostu bogowie.

– W Warszawie nie spotkałam żadnego demona, a tu praktycznie od razu po przyjeździe wpadłam na wąpierz.

– W stolicy mało kto wierzy w demony.

– A to jest jakoś powiązane? Jak ludzie wierzą, to jest ich więcej?

– Nie do końca.

– To po co mi to mówisz?

– To nie wiara determinuje ich obecność. Demony źle czują się w miastach, jest tam mało miejsc kultowych, mało punktów, w których mogłyby się ukryć. Z kolei mała liczba miejsc kultu jest spowodowana odejściem ludzi od wiary. Nie trzeba wierzyć w demona, żeby go spotkać, ale na pewno ułatwia to upirom żerowanie. Pewna ich część siedzi w betonowych blokach i pasożytuje na mieszkańcach, ale to przeważnie te nowe demony. Stare mogą mieć problem z dostosowaniem się, z brakiem... zieleni.

Byłam zmęczona po nieprzespanej nocy. Miałam wrażenie, że mogę teraz wyciągnąć ze Swaróżyca naprawdę dużo informacji, ale brakowało mi siły na zabawę w zagadki. Prędzej przeoczę jakąś wskazówkę, niż cokolwiek na tym zyskam.

– Skąd wziął się ten wąpierz? – Zrezygnowana postanowiłam zadać ostatnie pytanie.

– Jesteś szeptuchą. Powinnaś wiedzieć, skąd się biorą demony.

– Wiem, skąd się biorą. Zresztą sam mi powiedziałeś, że to bogowie kontrolują demony. Zastanawia mnie tylko, dlaczego ten konkretny mężczyzna stał się potworem.

– Nie każdy demon jest potworem...

– Tak, tak, wiem! Ale czemu Dzierżysław stał się wąpierzem?

– Był złym człowiekiem. Pewnie któryś z nas postanowił nie wpuszczać go do zaświatów.

Przestałam przeczesać włosy i podeszłam bliżej brzegu. Kwestia mojej nagości zupełnie przestała mnie już stresować.

– Wiesz, który bóg go stworzył? – zapytałam.

– Nie.

– Ale po co tworzyć wąpierza? – Nie potrafiłam tego zrozumieć. – Przecież to pasożyt. Może krzywdzić żyjących. Poza tym nie wyglądał wcale, jakby żałował, że nie wpuszczono go do Wyraju.

– Powiedziałem ci. Nie zasługiwał na to, żeby trafić do zaświatów. – Swaróżyć posłał mi krzywy uśmiech. – Poza tym demon pod ręką zawsze się przyda. My często korzystamy z upirów, czasami zlecamy im różne prace, których sami wolelibyśmy nie wykonywać.

– To należało go pilnować. Atakował ludzi. Zaatakował mnie! – zbulwersowałam się.

– Przecież ci pomogłem.

– A pomogłeś osobie, którą napadł tej nocy? Której krew miał w swoim ciele? A którą ja teraz próbuję z siebie zmyć?

Wskazałam na swoje brudne ubrania leżące obok niego.

– Nie zabił tej osoby. Wąpierze to pasożyty. Nic jej nie będzie.

- To krew kogoś niewinnego – dodałam.
- Naprawdę wierzysz w to, że istnieją osoby niewinne?

Zbił mnie z tropu.

- Nie o tym mówimy! – zirytowałam się.
- Śmiertelnicy mnie nie obchodzą, Jago. Dlaczego by mieli? – odparł.
- Ja też jestem śmiertelniczką, a jednak mnie pomogłeś.
- Och, Jago.

Zeskoczył z kamienia prosto do wody. Spodziewałam się syku i kłębow dymu, ale srodze się zawiodłam. Szedł powoli w moją stronę. Jego skórzane jasnobrązowe spodnie pociemniały od wody, a długa koszula zaczęła nasiąkać. Staął naprzeciwko mnie. Musiałam nieźle zadrzeć głowę, żeby odwzajemnić spojrzenie.

- Jago, nie jesteś zwykłą śmiertelniczką.
- Tak, już mi to powiedziałaś. Tylko ja ciągle nie wiem dlaczego – prychnęłam.

Położył dłonie na moich nagich ramionach i pochylił głowę. Nasze twarze znalazły się naprzeciwko siebie. Mogłam zajrzeć prosto w jego czarne oczy, w głębi których szalały płomienie. Przez chwilę miałam wrażenie, że chce mnie pocałować. Poczułam, jak żar z jego źrenic rozlewa się po całym moim ciele.

– Jesteś szeptuchą. Masz intuicję. Widzisz rzeczy – wyszeptał. – Nie jesteś idealną widzącą. Nie masz zdolności przepowiadania przyszłości, ale posiadasz wystarczającą ilość daru, by zobaczyć to, co dla zwykłego śmiertelnika pozostaje zasłonięte. A to sprawia, że jesteś ważna. Ważna dla mnie.

– Co przez to rozumiesz? – wyjąkałam lekko oszołomiona gorącem i podnieceniem, które we mnie wzbierało.

– To, że jeszcze nie raz się spotkamy, Jago. A pewnego dnia staniesz się nosicielką mojego ognia. Czujesz go teraz w sobie?

No, na wszystkich bogów, coś czułam na pewno! I nie powiem... było to całkiem przyjemne. Podejrzenie przyjemne.

- Wydaje mi się, że czas, byś odpoczęła w domu – powiedział. – Zamknij oczy.
- Nawet się nie zastanawiałam nad tym rozkazem. Moje powieki opadły niemalże natychmiast.
- Bywaj – wyszeptał jeszcze.

Wrażenie ciepła zniknęło. Na mojej skórze pojawiała się znów gęsia skórka. Otworzyłam oczy i zamrugałam. Swarożyca oczywiście nie było obok mnie. W powietrzu unosił się jedynie żywiczny zapach ogniska.

Stałam zupełnie naga tuż obok stolika, w swojej chacie. Przeczesalam dłonią włosy. Okazały się zupełnie suche, tak samo jak moja skóra. Na wszelki wypadek rozejrzałam się dookoła, ale bóg zniknął.

Zawylałam z bezsilności. Bardzo miło, że w magiczny sposób odstawił mnie do domu. I że w pewien sposób mnie podrywał. Szkoda tylko, że moje ubrania, buty i narzędzia potrzebne do pozbycia się wąpierzka zostały na brzegu jeziora...

14.

Od mojej wyprawy na cmentarz minęło kilka dni. Bacznie obserwowałam szosę koło domu, ale nie zobaczyłam już dziwnej, chudej istoty. Powoli doszłam nawet do wniosku, że chyba nie powinnam się przejmować jej obecnością. Owszem, wyglądała strasznie, ale to nie powód, żeby na nią polować. Poza tym mnie nie zaatakowała. W porównaniu z wążem to wręcz odświeżające.

Właśnie nudziłam się w chatce, przeglądając chyba po raz setny zeszyt mojej babci i zastawiając się, kiedy skończą mi się pieniądze na jedzenie, gdy ktoś zapukał do drzwi. Zerwałam się na równe nogi, o mało nie przewróciłam przy tym krzesła.

Klient!!!

Zanim mój gość zdążył trzeci raz uderzyć kłykciami o lekko spróchniałe drewno, szarpnęłam za klamkę.

– Dzień dobry! – przywitałam kobietę.

Była mniej więcej w moim wieku. Zamarła z uniesioną do góry ręką, którą nie zdążyła kolejny raz zapukać. Rzuciło mi się w oczy, że była bardzo chuda i naprawdę bardzo blada. Kojarzyłam ją z widzenia. Wcześniej nie miałam okazji z nią porozmawiać, ale mignęła mi na ulicy, kiedy spacerowałam po Bielinach. To był zresztą wtedy mój ostatni spacer. Podejrzanie dużo osób patrzyło na mnie z niechęcią. Kilku starszych panów ostentacyjnie splunęło na chodnik, a matki przechodziły ze swoimi dziećmi na drugą stronę ulicy, zupełnie jakbym rzeczone dzieci miała im porwać.

Niestety, rzucenie przeze mnie uroku, który prawie doprowadził do śmierci kilkunastu mieszkańców, wyszło na jaw. Plotki rozprzestrzeniły się po całym miasteczku, a mnie zaczęto traktować jak czarownicę z bajek.

W żadnym razie mi to nie przeszkadzało. Przynajmniej miałam pewność, że więcej mnie nie okradną. Gorzej, że nie przychodzili się też leczyć, ale do śmierci głodowej jeszcze trochę mi brakowało. Poza tym miałam w planach odwiedzić mamę. Znając ją, na pewno dostanę trochę gotówki na drogę.

Kobieta w drzwiach uśmiechnęła się do mnie nieśmiało.

– Dzień dobry. Pani szeptucha? – zapytała.

– Tak, tak! – zawołałam. – Zapraszam do środka, bardzo mi miło, że pani przyszła. Napije się pani czegoś? Może herbatki? Ziółek? Źródlanej wody?

– Och, to może wody – odpowiedziała i pozwoliła mi się poprowadzić do krzesła. Na podłodze obok siebie postawiła wiklinowy koszyk.

Tak zwana źródłana woda była ze studni, ale nie musiałam jej tego mówić. Przełam jej wody z dzbanka do malowanego w granatowe kropczki kubka.

– Bardzo dziękuję! – Otoczyła kubek dłońmi, ale nie wypila ani łyka.

Usiadłam naprzeciwko niej i z uśmiechem zapytałam, w czym mogę jej pomóc. Rozsadzała mnie energia! Wreszcie jakaś klientka z prawdziwego zdarzenia! Na pewno była na coś chora – wyraźnie wskazywała na to bladość jej skóry i czarne kręgi pod oczami. Wyglądała, jakby nie spała od co najmniej tygodnia. Z rozmarzeniem przyglądałam się jej bluzce w kwiaty, z rozkloszowanymi

rękawami, odsłaniającej blade ramiona. Była tak modnie ubrana... Nie to co ja.

Przez rok przecież musiałam nosić żałobną czerń. Nowoczesny wygląd nie był mi na razie pisany, gdyż wedle najnowszych trendów należało nosić pstrokate materiały.

– Ja... – zaczęła i zachichotała nerwowo. – W zasadzie to nie wiem, co mam powiedzieć.

– Może mi pani opowiedzieć, co pani czuje – zaproponowałam. – Od kiedy pani czuje, że coś jest nie tak.

– Czuję się słabo. Od kilku dni.

– Słabo. Rozumiem. A jakby mogła pani to troszkę rozwinąć...?

– Jakaś taka... rozlazła jestem.

– Rozlazła, ano rozumiem. – Pokiwałam głową. Z całą pewnością jej wypowiedzi były rozlazłe. Zupełnie jakby ktoś wyssał z kobiety całą energię.

– A od ilu dni konkretnie?

– Jakichś trzech.

Policzyłam w myślach. Tak. To by się nawet zgadzało z porankiem, kiedy zabiłam opitego krwią wąża.

– Nie chciałam do pani przychodzić – wyznała.

– Dlaczego nie?

– A ludzie gadają, że pani to wiedźma – wyszeptęła tak cichutko, że ledwie ją zrozumiałam.

Parsknęłam śmiechem. Odwinęła rękaw bluzki i pokazała nadgarstek, na którym przewięzała kawałek czerwonej włóczki.

– To do obrony przede mną? – zapytałam.

– Tak – szepnęła.

Znowu się zaśmiałam. Aż łzy mi pociekły z oczu.

– Oj, pochlebia mi pani, pochlebia – wydusiłam. – Bardzo mi przykro, ale nie jestem złą czarownicą z bajek.

– No, ale nazywają panią Babą Jagą.

– Bo na imię rodzice dali mi Jarogniewa.

– Och – zafrapowała się. Nasunęła rękaw na nadgarstek. Myślałam, że się chociaż zarumieni ze wstydu, ale jej policzki pozostały blade.

Chyba już wiedziałam, co jej jest. Poza tym miałam wrażenie, że dziwnie pachnie. Trochę nieludzko.

– A to wrażenie osłabienia to nie pojawiło się przypadkiem nagle? Tuż po nocy? I rano wstała pani taka blada? – zarzuciłam ją pytaniami.

Kobieta otworzyła szeroko oczy.

– Tak! Tak było! Zupełnie nie wiem, co się stało. Jednego dnia czułam się doskonale. Pojechałam na dyskotekę do Kakonina, a jak się następnego dnia obudziłam, to jakby kto krew ze mnie wyssał całą. Myślałam, że to od alkoholu, no ale nie przechodzi. To postanowiłam podejść do szeptuchy i zapytać.

– Ano lepiej.

Podeszłam do kredensu mojej babci i otworzyłam przeszklone drzwiczki. Gdzieś tu miałam specyfik, który na pewno jej pomoże.

– Krew z pani uciekła – powiedziałam, podając jej woreczek wypełniony sproszkowanymi ziołami.
– Krew? Ale jak to? Nie krwawiłam, nie mam teraz miesiączki.
– Nie tędy. Siły nieczyste tu zadziałały – wyjaśniłam. – Na dyskotece to przypadkiem pani nikogo podejrzanego nie spotkała?

– Nie przypominam sobie.

W sumie nie powinno mnie to dziwić. Wąpierzki hipnotyzowały swoje ofiary i skutecznie pozbawiały je wspomnień. W innym wypadku już dawno ludzie by je wykopali z grobów, a potem nadziali na widły.

– Weźmie pani garnek wcześniej nieużywany. Tu w woreczku ma pani złotawice ścięte przeze mnie osobiście przed wschodem słońca i częściowo zmielone. Musi je pani zagotować w tym garnku i pić wywar przez dziewięć dni.

– Złotawice...?

– Tak, to taka część wierzby – wyjaśniłam.

– Rozumiem. Dobrze. Dziękuję.

– Należy się trzydzieści złotych.

– Słucham?

– Trzydzieści złotych.

Zamrugała zaskoczona. Przyglądała mi się tak intensywnie, jakby co najmniej druga głowa mi wyrosła.

– Trzydzieści złotych? – wyjąkała i sięgnęła po koszyk. Odwinęła kraciatą ściereczkę, która przykrywała wnętrze. Zobaczyłam, że w koszyku były jajka. Wyglądały na świeżutkie. Na niektórych wciąż widać było kurzą kupę. – Bo ja jajka przyniosłam za poradę.

– Ale ja nie przyjmuję opłat w jajkach, chlebie czy kiełbasie – wyjaśniłam.

Spojrzała na jajka, jakby szukała w nich objawienia.

– Trzydzieści złotych się należy – powtórzyłam.

– To ja pieniędzy nie wzięłam... – wyjąkała.

Przysięgam na wszystkich bogów. Cierpliwości mi zaraz zabraknie.

– To pani idzie do domu. Napije się dzisiaj tego odwaru. Jutro, jak będzie sił więcej, przyjdzie do mnie z pieniędzmi – skapitulowałam.

– Dobrze.

Miałam nadzieję, że boi się mnie na tyle, że faktycznie przyjdzie. Trochę dużo zażądałam za kawałek wierzby rosnącej w moim ogródku, ale porada to porada. Popatrzyłam na nią? Popatrzyłam. Rozpoznałam przyczynę? Rozpoznałam. Zaleciłam leczenie? Ano zaleciłam, a nawet dałam główny składnik.

Wyszłam za nią na drogę i patrzyłam, jak chwiejnym krokiem idzie w stronę Bielin. Zerknęłam na wysoki, kilkupiętrowy budynek z pięknym sadem czereśniowym, który było widać opodal. Nie wiedziałam jeszcze, kto tam mieszka. Nie byli to moi najbliżsi sąsiedzi. Poczułam, jak cieknie mi ślinka, a żołądek burczy zniecierpliwiony. Uwielbiałam czereśnie. Mogłabym się nimi żywić na co dzień. Gdyby klientka zamiast jajek przyniosła mi kosz czereśni, pewnie bym się na nie skusiła.

Postanowiłam, że zaprzyjaźnię się z właścicielami czereśniowego sadu.

Na drodze pojawił się samochód. Jechał bardzo powoli. Poznałam go od razu. To było auto

Mszczuja. Ciekawe, czy potrzebował porady? Oparłam się o ogrodzenie i czekałam spokojnie, aż w żółwym tempie do mnie dotrze. Gdy samochód zatrzymał się obok, wyszły z niego dwie osoby: ściskający tekturowe pudełko Mszczuj oraz jakiś nieznany mi mężczyzna.

– Dzień dobry! – przywitałam ich, w duchu dziękując żercy za przywiezienie mi klienta.

– Przywiozłem pana Bogusąda – powiedział Mszczuj. – Ma problem i chciał się ciebie poradzić.

– Zapraszam do chałupy!

Poprowadziłam za sobą pasażera. Mszczuj został w ogrodzie. Przysiadł na drewnianej ławeczce obok drzwi i postawił sobie karton na kolanach. Tuż zanim weszłam do chatki, wydawało mi się, że zauważyłam, że pudło się poruszyło. Samo.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytałam klienta i zajęłam miejsce naprzeciwko niego.

To był dobry dzień! Wreszcie coś się zaczęło dziać. Miałam nadzieję, że to dopiero początek i kolejni spragnieni porady klienci nieprzerwanie będą pukać do moich drzwi. Zupełnie jakbym zabiciem wąpierzka przerwała jakąś klątwę!

– O, nowocześnie Baba mówi – zdziwił się pan Bogusąd. – Tak po światowemu.

– Nowocześnie...?

– A bo babcia szanownej pani to tak gwarą przemawiało, że jo ciężko zrozumieć było. Ja to żem rzadko chodził, bom zdrowy, ale żona gadała, że ona dziwnie mówi.

– Rozumiem... Ja na razie uczę się podstaw gwary.

– A szkoda, że pani szanowna tak nie mówi jak nasza babcia. Od razu się czuło, że do szeptuchy nogi człowieka zaprowadziły.

– Dziękuję za radę.

Chyba usłyszał cień groźby w moim głosie, bo natychmiast przeszedł do rzeczy:

– Coś mi zżera cielaki – oświadczył.

– Cielaki?

– Tak. Coś mi je zżera.

– A czemu w zasadzie przyszedł pan z tym do mnie? Może to wilki albo niedźwiedzie? – zasugerowałam.

Przyznam szczerze, że na dzikich zwierzętach nie znałam się zbyt dobrze. Swoją wiedzę czerpałam głównie z przesądów i bajek. Niemniej wydawało mi się, że w sprawie zabitych zwierząt gospodarskich należy w pierwszej chwili zgłosić się do leśnika.

– Fladry to ja mam dookoła gospodarstwa – powiedział. – Ale to coś dziwniejszego musi być niż wilki.

Poczułam się jak niedouczona uczennica. Nie miałam zielonego pojęcia, o czym mówił ten mężczyzna. Co to są te fladry?

– A czemu coś dziwniejszego? – zapytałam, udając, że świetnie wiem, o co chodzi.

– A bo to mi zabija cielaki w oborze. Łapie cielaka, wywleka go na zewnątrz, skręca kark i rozrywa szyję. Potem wyszarpuje jeszcze kilka kawałów mięcha, zżera na miejscu i idzie znowu w las. Pani kochana wie, ja to mam gospodarstwo po drugiej stronie Bielin, za rzeczką, tam niedaleko jest już lasek. Niby nieduży. Nie to co puszcza po tej stronie wsi, no ale jest. Chyba stamtąd coś wylazi.

– Czyli coś wchodzi do obory... A nie próbował pan... sama nie wiem... zamknąć tej obory? –

zasugerowałam.

– Pani kochana! Ja drzwi od obórki zawsze na skobel zamykam. A to dziadostwo sobie ze skoblem poradziło. To ja żem kolejnej nocy pomyślał, że łańcuch przeciągnę przez takie stare żelazne klamki do obory, co to je mam. Kłódki zakładać nie chciałem, bo jeszcze kluczyk zgubię. A obórka solidna, murowana, z mocnym dachem. Jeszcze krowy by mi zdechły, zanim się dostanę. No i ten łańcuch zaplątany coś sobie spokojnie odplątało i mi kolejnego cielaka zżarło.

Przed oczami stanął mi ustęp z bestiariusza o prawdziwych czarownicach. Chociaż ludzie posądzali mnie o bycie jedną z nich, zdecydowanie daleko mi było do wiedźmy. Czarownice lubiły wkradać się do obór i kraść mleko krowom albo podpijać ich krew. Nie kojarzyłam jednak, żeby zabijały całe cielaki. To nie miałyby sensu, bo od razu powodowałyby ich wykrycie.

Mleko podkradały też strzygi i, co gorsza, te istoty mogły już rozszarpać cielaka. One jednak atakowały też ludzi, a jak na razie nikt chyba nie ucierpiał.

Potrzebowałam więcej informacji.

– A jakieś ślady na ziemi pan znalazł?

– Pani, nic ciekawego. Zresztą ja nie myśliwy.

– Psa pan ma? Nie szczeka w nocy?

– Psa mi zagryzło jeszcze przed cielakami. Sam łańcuch przy budzie po nim został. Nawet obrozę pożarło. Drugiego se jeszcze nie wziąłem.

– To niech pan na razie nie bierze – zarządziłam. – Szczerze panu powiem, nie wiem, co to może być. Mogę obiecać, że się dowiem. Poczekam w nocy przy pana gospodarstwie i popatrzę, czy się to coś pojawi.

– A nie boi się szeptucha? Żal by było, jakby pożarło taką ładną kobitę. – Zaniepokojony podrapał się po głowie. – Dało radę psu, a to wredne bydlę było, a potem zjadło aż dwa cielaki.

– Spokojnie. Dawałam sobie radę z większymi potworami – zapewniłam jego i siebie, mimo że niezupewnie zgadzało się to z prawdą.

– Dobrze. To niech się z tym śledztwem szeptucha pospieszy. Bo i tylko pięć cielaków zostało. A wolałbym je sprzedać, niż pozwolić zjeść.

– Postaram się jak najszybciej dowiedzieć, co to. Może nawet od razu uda mi się przegnać potwora – obiecałam.

– I dobrze. Kiedy zapłacić?

– Jak przegonię potwora – powiedziałam. – Na razie jeszcze nie wiem, ile pomoc wyniesie.

– Sprawiedliwie! – Zadowolony pokiwał głową. – To czekam na wieści!

Uklonił mi się w pas i wyszedł. Drzwi nie zdążyły się zamknąć, bo Mszczuj wsunął głowę do wnętrza chaty.

– Można? – zapytał.

– A wchodź!

Odchyliłam się na krześle i przygryzłam wargę. Nie podobała mi się historia gospodarza. Żaden wilk nie rozsuptałby łańcucha. Niedźwiedzie też raczej nie zjadają całych psów z obrozą włącznie.

Bogowie... mam nadzieję, że mnie nic nie zje.

Żerca miał lekko zaniepokojoną minę. Wskazał za siebie.

– Wiesz, co mu zjada cielaki?

– Niestety nie. – Pokręciłam głową. – Dowiem się, ale podejrzewam, że nie spodoba mi się ta wiedza.

– Może jakoś ci pomogę?

– Dam radę.

Chudziutki Mszczuj nie sprawiał wrażenia, jakby mógł być wielce przydatny w walce z demonem.

– Najwyżej pogrzeb mi urządzisz – zażartowałam.

– Nawet tak nie mów – obraził się.

Zasiadł na krześle zwolnionym przez pana Bogusąda. Powiódł ciekawym spojrzeniem po wnętrzu chatki. Trochę się tu zmieniło, odkąd był ostatnio. Po odzyskaniu skradzionych fantów postanowiłam przemeblować całe wnętrze. Jedynie piec stał tu, gdzie wcześniej, bo bez wyburzenia ściany nie dałoby się go ruszyć.

– A wiesz może, co to są fladry? – rzuciłam.

– To czerwone chorągiewki lub skrawki materiału. Wiesz się je na ogrodzeniu albo na sznurku rozciągniętym dookoła pastwiska. Wilki ich nie lubią i unikają.

– Naprawdę? – szczerze się zdziwiłam. – A jakoś Czerwonego Kapturka z bajek kolor ubioru nie uratował.

– Podobno fladry działają, ale tylko do pewnego momentu. Jeśli wilk choć raz przekroczy takie ogrodzenie, przestaje się go bać – wyjaśnił. – Na jakiej zasadzie to działa, to ci nie powiem, bo nie wiem.

– A wilki widzą kolory?

– Psy widzą kolory, ale inaczej niż ludzie. Nie wiem, czy czerwony nie sprawia dla nich wrażenia czarnego. To pewnie wilki też widzą.

– No proszę... nie wiedziałam!

A jednak Mszczuj się na coś przydaje! Najwyraźniej uznał dyskusję za skończoną, bo postawił pudełko na stole. Coś w środku stuknęło.

– Co to jest? – zapytałam nieufnie.

– Prezent dla ciebie. Mam nadzieję, że się ucieszysz.

Miałam wrażenie, że kapłan się myli. W tym kartonie, w którym, co dopiero teraz zauważyłam, zrobiono otwory, aby był dopływ powietrza, zdecydowanie znajdowało się coś żywego. Już i tak karmię ubożęta. Nie mam pieniędzy, żeby jeszcze kogoś żywić.

Z nietęgą miną uniosłam wieko. Kremowy kociak zadrżał ze strachu. Był malutki. Jego wielkość wskazywała, że powinien siedzieć przy matce i ssać jej mleko.

– Kot? – wysapałam.

– Znalazłem go. Pomyślałem, że przyda ci się towarzysz. Siedzisz zupełnie sama... Pewnie wieczorami ci smutno.

Zagryzłam zęby, żeby nie powiedzieć czegoś, czego szybko bym pożałowała. Kociak był wychudzony, w kącikach wciąż jeszcze zamkniętych oczu widziałam ropę. Powinnam go karmić co kilka godzin, nawet w nocy, a i tak nie miałam żadnej gwarancji, że przeżyje bez matki. Mszczuj, zamiast przynieść mi prezent na pociechę, dodał mi obowiązków.

– Hm... uroczy – mruknęłam.

Sięgnęłam do kartonu i pogłaskałam trójkątny łebek. Kociak zamiauczał cieniutko, bardzo

żałości. Choć byłam zła, zrobiło mi się żal malucha. Bez pomocy i właściwej opieki zdechnie. Zerknęłam na zadowolonego z siebie Mszczuja, który chyba nie wiedział, że przyniósł mi chore, niedożywione zwierzę.

No z nim to na pewno by zdechł w kilka dni. Musiałam zatrzymać kociaka, bo inaczej długo nie pożyje. Wyciągnęłam go z kartonu i położyłam sobie na kolanach. Był niewiele większy od mojej dłoni. Wtulił się we mnie i zaczął ugniatać mój brzuch małymi łapkami. Czułam, jak cienkie niczym igielki pazurki wbijają mi się przez płócienną bluzkę w skórę.

– Cieszę się, że ci się podoba! – z szerokim uśmiechem powiedział Mszczuj.

– Tak...

15.

Siedziałam w krzakach w pobliżu obory i nudziłam się koszmarnie. Postanowiłam czatować od dziesiątej wieczorem aż do skutku. Około trzeciej w nocy musiałam już przyznać się do porażki. Chyba nie będzie jakiegokolwiek skutku... Na moje szczęście lub nieszczęście tajemniczy gość się nie pojawił, żeby zjeść Bogusądowi kolejnego cielaka, za to mnie dość dotkliwie pogryzły komary.

Gdy nocne niebo zaczęło się różowić, wygrzebałam się z krzaków i przeszłam po całym obejściu. Drzwi do obory były zamknięte, a dookoła klamek wisiał luźno łańcuch. Nigdzie na ziemi nie było widać żadnych śladów.

Przeciagnęłam się tak mocno, że aż strzeliło mi w plecach.

– I tyle z mojego zarobku – westchnęłam.

Nie załatwiłam sprawy, nie dowiedziałam się, co zjada cielaki, więc i pieniędzy niestety nie zobaczę. Niemniej jednak dostrzegłam czereśnię.

Ruszyłam w kierunku drzewka, dochodząc do wniosku, że przecież nikt nie zauważy, że się poczęstowałam. Czereśnia rosła tuż przy ogrodzeniu, za którym biegła szosa. Przystawiłam sobie do pnia stojącą obok drabinę i zaczęłam się wspinać. Gdy już miałam sięgnąć do gałęzi po przepiękne czerwone czereśnie, zobaczyłam, że coś idzie drogą.

To znowu była ta tajemnicza, wysoka postać o czarnych, jakby martwych oczach. Poruszała się płynnie, zupełnie jak łyżwiarz, który sunie po lodzie. Po raz kolejny doszłam do wniosku, że istota musi być płci żeńskiej. Miała wąskie ramiona i chyba coś jej delikatnie sterczało do przodu na chudej piersi.

Jako że już i tak siedziałam pomiędzy gałęziami, teoretycznie w ukryciu, postanowiłam przeprowadzić eksperyment. Zerwałam dwie czereśnie. Jedną wepchnęłam sobie do ust, a drugą rzuciłam w wysoką demonicę. Trafiłam idealnie w lewą skroń.

Istota zatrzymała się, a ja zamarłam. Nie miałam nawet odwagi przełknąć słodkiego owocu. Postać bardzo powoli odwróciła głowę w moją stronę. Patrzyła gdzieś w przestrzeń. Wydawało mi się, że mnie nie widzi, ale kto ją w sumie wie.

Nogi cierpły mi od stania na palcach na przedostatnim stopniu drabiny. Na szczęście jedną ręką dość mocno trzymałam się gałęzi. Ryzyko, że spadnę, było niewielkie. Chyba że upirzyca będzie tkwić tu nieruchomo jeszcze pół godziny. Wtedy z pewnością nogi mi omdleją.

Istota stała i stała. Kolejne minuty mijały, a ona wydawała się zapomnieć, dokąd miała iść. Rozwahałam nawet, czy przypadkiem nie zrobiłam jej krzywdy tą czereśnią. Kość skroniowa jest cienka, a skoro to jakiś rodzaj demona, zamiast kości może mieć chrząstki. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że właśnie dostała wylewu i to dlatego tak zastygła.

Gdyby była człowiekiem, przewróciłaby się. No ale nim nie była, więc nie bardzo spodziewałam się jakichkolwiek ludzkich reakcji.

Z nudów zaczęłam liczyć. Udało mi się dojść do 397, kiedy istota drgnęła. Zrobiła to tak nagle, że o mało nie spadłam z drabiny ze strachu. Odwróciła głowę i podjęła powolny marsz.

Postanowiłam, że pójdę jej śladem. Muszę się dowiedzieć, kim jest!

Wcale nie zachowywałam się specjalnie cicho. Nogi tak mi ścierpły, że chodzenie na palcach chwilowo znajdowało się poza moim zasięgiem. Wydaje mi się, że było słyhać, jak się za nią skradam. Ona jednak zdawała się tego nie zauważać. Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym jej dotknęła. Mimo wszystko bałam się trochę o tym przekonać, więc po prostu dalej za nią szłam.

Po kilkudziesięciu minutach i minięciu mojej chaty doszliśmy do domu na końcu szosy. Dalej już nic nie było. Ściana lasu. Mało przyjemne miejsce do zamieszkania. Moja chata wydawała mi się położona w odosobnieniu, a ta posesja, do której las praktycznie się przytulał, sprawiała przerażające wrażenie.

Domostwo było zaniedbane. Ścian od wielu lat nie bielono, dach wyglądał na dziurawy. Niedaleko stały budynki gospodarcze, ale były w równie złym stanie. Nie słyszałam żadnych dźwięków. Wydawało mi się, że nie ma tu zwierząt.

Weszłam na teren działki przez otwartą furtkę. Demonica zbliżyła się do zamkniętych drzwi domu i stanęła. Ja zatrzymałam się kilka metrów za nią. Ciekawiło mnie, co teraz robi. Przecież nie zapuka.

Niespodziewanie zaczęła się w sobie kurczyć. Zgięła się w pół, zupełnie jakby nagle pod jej skórą zniknęły wszystkie kości. Długie włosy i sukienka opadły na ziemię jak zmięta szmata. Wszystko zafalowało, postać zaczęła maleć.

Podeszłam bliżej, żeby niczego nie przegapić.

Istota kurczyła się i kurczyła, na przemian zaplatając się i rozplatając. Gdyby nie całkowity brak wiatru, można by pomyśleć, że to on się bawi i za pomocą podmuchów rzuca szarą szmatką, teraz już wielkości połówki chusteczki do nosa.

Zwinęła się jeszcze kilka razy, aż stała się komarem. Dość sporych rozmiarów, przyznaję. Nie miałam jednak wątpliwości, że to komar. Dookoła nas było tak cicho, że nawet dotarł do mnie jego cichutki bzyk. Insekt zanurkował pod drzwi i przeleciał przez szparę nad podłogą.

Rzuciłam się do okna. Na szczęście wiatrołap był w nie zaopatrzony. Istota ponownie przechodziła metamorfozę, tyle że tym razem się rozkładała i nabierała ludzkich kształtów. Gdy stanęła na dwóch nogach, ruszyła niespiesznie przed siebie.

Biegłam wzdłuż budynku, dziękując bogom, że właściciele mają parterowy dom i nie muszę się wspinać po drabinach. Drugim uśmiechem od losu był fakt, że najwyraźniej nie przepadali za zasłonami i roletami.

Istota dotarła do sypialni, wślizgnęła się do niej przez uchylone drzwi. Podpłynęła do szerokiego łóżka małżeńskiego, na którym pod cienkim kocem leżał na wznak mężczyzna i drobna kobieta skulona na boku.

Po plecach przeszły mi ciarki. Miałam wrażenie, że zaraz stanie się coś złego. No pożre ich jak nic! A przecież ja do obrony wzięłam tylko małą siekierę i srebrny nożyk do ryb! Poza tym jak dostanę się do środka? Musiałabym wybić szybę!

Upirzyca podeszła do łóżka od strony kobiety i pochyliła się nad nią. Z emocji ledwie mogłam ustać przy oknie. Byłam przekonana, że na ścianie nad łóżkiem zaraz pojawią się zygzyki krwi z rozciętego gardła biednej ofiary.

Ku mojemu zaskoczeniu nic takiego się nie stało. Istota pochylała się coraz bardziej, aż w końcu położyła się na kobiecie i złąła z nią w jedno. Gdy tylko ostatni szary fragment demonicy zniknął,

śpiąca westchnęła głośno i przeciągnęła się. Na jej twarzy pojawiły się rumieńce i, co gorsza, delikatny uśmiech.

Już wiedziałam, z czym mam do czynienia.

To była zhora. ***

- To szeptucha chyba przegoniła potwora! – Gospodarz zdecydowanie przeceniał moje możliwości.
Po zbadaniu sprawy chudej istoty wróciłam pod oborę, której pilnowałam, bo tak się umówiłam z panem Bogusądem. Był bardzo zadowolony, że przeżyłam i ja, i jego ostatnie cielaki.
 - Nie jestem przekonana, czy to moja obecność go przepłoszyła – przyznałam zgodnie z prawdą.
 - Oj tam, oj tam! Jak na moje oko, to sukces! Ile się za fatygę należy?
 - Nic nie biorę. – Pokręciłam stanowczo głową.
 - A jak to tak?
 - Nic nie zrobiłam – wyjaśniłam. – Jak odkryję, co zabijało cielaki, to przyjdę. Na razie dobrze by było, jakby pan powiesił na drzwiach obórki kilka gałązek głogu.
 - Głogu?
 - Tak, odstrasza niektóre istoty.
 - Ale... tak bez pieniędzy? – Nie dawał za wygraną, a ja aż się rozczuliłam. Wreszcie ktoś, kto chce mi płacić!
- Spojrzałam na otwarte drzwi obory. Właśnie przeszła przez nie koza i spojrzała na mnie tymi swoimi przerażającymi poziomymi źrenicami. Niby zwykłe zwierzę, a też było w nim coś demonicznego.
 - A wie pan co? Trochę koziego mleka by mi się przydało – oświadczyłam. – Dostałam w prezencie kociaka. Nie mam go czym karmić.
 - Od kapłana naszego? – zarechotał. – Widziałem ja tego kota. Mówię mu, że on na wykończeniu jest i że kobitę obrazi, przynosząc jej takie ścierwo, ale się uparł, że śliczny. No z której strony on śliczny, to ja nie wiem, ale co się z wróżem będę kłócił.
- Rozłożył ręce, zupełnie jakby naprawdę starał się zrobić wszystko, żeby tylko powstrzymać Mszczuja przed wręczeniem kłopotliwego prezentu.
 - Zaraz wrócę!
- Kiedy gospodarz poszedł po mleko, ja ruszyłam na szaber, żeby zerwać jeszcze trochę czereśni. Skoro tak chętnie chciał mi płacić, to przecież się nie obrazi.
 - A jakąś lodóweczkę, chociażby ziemną, szeptucha ma? – zapytał po przyniesieniu metalowej bańki.
 - Oj, za dużo tego mleka! Przecież ten kociak ledwie się w dłoni mieści!
 - Pół bańki przyniosłem. Jak szeptucha nie ma gdzie schować, to niech wsadzi do wiadra i spuści do studni, żeby się bańka trochę maczała. Można obłożyć ją w wiadrze szmatą albo kamieniami, żeby równo stała. Mleko powinno wytrzymać. A jak skisnie, przyjdzie pani po nowe. – Podał mi naczynie i pogroził palcem. – Tylko z bańką!
 - Dziękuję!
- Miałam szczerą nadzieję, że kociak jeszcze żyje. Zostawiłam go całkiem samego na całą noc.

Powierzyłam go co prawda ubożetom, ale kto je tam wie. Nie powinny go były zjeść, ale zadbać o kociaka także nie musiały. Nie wchodziło to przecież w zakres ich obowiązków, które ustaliliśmy na początku współpracy.

– A, jeszcze jedno! – Zatrzymał mnie, zanim zdążyłam odejść. – Żadnych podejrzeń Baba nie ma, co to mi pożarło cielaczki? Może wrócić tej nocy?

– Nie wróci.

– Jest tego pewna?

– Tak.

– A skąd, jeśli można wiedzieć?

– Atakowało przez trzy noce w pobliżu pełni. Na dzień przed, w trakcie i dzień po. Dzisiaj już nie przyszło. Myślę, że dopiero za miesiąc ponownie ruszy na łowy.

– Bogowie... – sapnął. Chyba domyślał się, jaką istotę podejrzewam o atakowanie jego trzódki.

– Przekonamy się za miesiąc, czy mam rację. – Próbowałam go uspokoić.

– Żeby tylko nie wywołać wilka z lasu... – mruknął w odpowiedzi.

16.

Minęły dwa tygodnie. Każdy dzień skreślałam ołówkiem w kalendarzu. Miałam wrażenie, że doby się ciągną, a każda minuta rozszerza w tajemniczy sposób. Czekałam, aż znowu księżyc zacznie rosnąć. Jeśli moja teoria była słuszna i cieleta zabijał wilkołak, to jeszcze powróci. Wszystko wskazywało na to, że czeka na pełnię, o ile nie przeniósł się na inne terytorium łowieckie.

Miałam za to inny dylemat. Coraz częściej zgłaszały się do mnie osoby skarżące się na problemy ze snem. Dzisiaj po raz kolejny przyszła pani Bronka, właścicielka sklepu wielobranżowego. Miała podkrążone oczy, była zmęczona i ciągle ziewała.

– Zrobiła pani to, co proponowałam? – zapytałam.

– Tak, tak. Odwróciłam łóżko o sto osiemdziesiąt stopni, ale w niczym to nie pomogło. Tak samo zmęczona wstałam. Po ziołowych specyfikach na sen jest trochę lepiej, ale nadal mam mało sił. Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie jest jakaś poważna choroba – odparła.

Przygryzłam wargę. Powoli kończyły mi się pomysły. Ewidentnie napastowała ją w nocy zmara. Dobrze wiedziałam, jak się jej pozbyć raz na zawsze, mimo to miałam poważne opory przed bezpośrednim zabijaniem sąsiadki.

Zwłaszcza że ta sąsiadka była zupełnie nieświadoma faktu, że podczas snu żeruje na mieszkańcach Bielin. Bardzo mnie ciekawiło, dlaczego stała się demonicą za życia, ale nie odważyłam się jeszcze wpaść do sąsiadów na kawę i ploteczki. Wydawali się niezbyt chętni do bliższych kontaktów. Kilka razy na próbę przespacerowałam się niby przypadkiem przed ich gospodarstwem. Owszem, uprzejmie mnie pozdrowili, ale nic ponadto. Sama nie miałam tyle tupetu, żeby zagadać. Wolałam najpierw przez pewien czas prowadzić cichą obserwację.

Od pacjentów dowiedziałam się, że ich problemy ze snem i brakiem siły zaczęły się na chwilę przed moim przyjazdem do Bielin. Wcześniej wszyscy w miarę dobrze to znosili, jednak trudno im się dziwić, że po miesiącu deprivacji snu zgłosili się po pomoc.

Jeszcze raz zerknęłam na zmordowaną panią Bronkę.

– Ostatni raz byłam taka zmęczona, jak karmiłam cycem pierwородnego – przyznała.

– No tak, wszystkie nieprzespane noce już powinny być za panią – zgodziłam się.

Zaśmiała się wesoło.

– Oj, to nie ma tak dobrze, szeptucho. Mój pierwородny ma teraz siedemnaście wiosen. Najpierw nie mogłam spać, bo brzuch ciężarny mi przeszkadzał. Potem nie mogłam spać, bo mały się cycka dopominał. Teraz nie mogę spać, bo się martwię, o której ten ancymon do domu wróci.

– To może na starość...

– Na starość nikt nie może spać, bo już tyle snu nie potrzeba – przerwała mi. – Jago, ty się teraz wysypiaj, póki możesz. Dobrze ci radzę.

– Tak jest! – Uśmiechnęłam się.

Bardzo lubiłam panią Bronkę. Nie tylko dlatego, że jako jedna z nielicznych nie spluwała na mój widok na ulicy. Po prostu była bardzo sympatyczna.

– To co robimy z tym moim spaniem? Co to może być? – zapytała.

Miałam ogromną ochotę zdradzić, że powoduje to zmora, ale na razie utrzymywałam jej istnienie w tajemnicy. Bałam się, że ludzie pójdą z widłami i zaciukają biedną kobietę, która nawet nie wie, że się zamienia w upirzycę.

– Pracuję nad tym, żeby znaleźć rozwiązanie.

– Ale to nie jest jakaś śmiertelna choroba? – Na twarzy sklepikarki malował się niepokój.

Złapałam ją za ręce.

– Nie, pani Bronko. To nie jest żadna choroba. Pani nic w tym nie zawiniła. Co innego jest przyczyną. Próbuję rozwikłać tę sprawę, ale to nie jest takie proste.

– Czyli... czyli to demon jakiś?

Jej dłonie zrobiły się mokre i wilgotne.

– Bo u mnie w sklepie to ludzie gadają. Bożysąd twierdzi, że mu coś pożera cielaki. Poza mną jeszcze kilka osób ma problemy ze snem. Co to za przekleństwo?!

– Spokojnie, to nie jest to samo, co u pana Bożysąda – zapewniłam. – Istota, która panią nachodzi, jest w gruncie rzeczy nieszkodliwa. Niestety pozbycie się jej zajmuje trochę czasu. Pracuję nad tym. Tymczasem proszę się zabezpieczać tak, jak mówiłam, a dzisiaj dookoła łóżka zrobić krąg z rozsypanej soli.

– Ale co to za istota? Wąpierz jaki? – Nie ustępowała.

– Nie, to nie wąpierz. To pewien rodzaj mary sennej...

Kłamałam jej w żywe oczy, ale naprawdę bałam się, że coś się stanie sąsiadce, zanim zdecyduje, co dalej robić.

– Mary sennej?! – wykrzyknęła przestraszona.

Obudziła tym kota. Zaczął popiskiwać jak szalony. W dzień umieszczałam go w pudełku wyłożonym starą ścierką, żeby klienci go niechcący nie zdeptali.

– Oj, Feluś! – zawołałam.

Zerwałam się z krzesła i wysunęłam karton spod ławy. Kociak był coraz większy. Niecały tydzień temu otworzył po raz pierwszy oczy. Już zdążyłam zakochać się w małym sierściuchu, czego oczywiście pod żadnym pozorem nie zamierzałam pokazywać Mszczujowi. W końcu prezentem sprawił mi trochę kłopotu.

Pani Bronka miała rację. Z małym dzieckiem człowiek się nie wysypia. Niestety tak samo się dzieje, jeśli trzeba pipetą co kilka godzin karmić lekko podgrzany kozim mlekiem wynędzniałą znajdę.

– Och, jaki śliczny! – zachwyciła się, zerkając mi przez ramię.

Poczułam się dumna, jakbym co najmniej sama to kocię urodziła.

– Chyba robi się głodny.

Pogłaskałam aksamitny, beżowy łebek. Kociak piszczał rozdzierająco niczym pisklak w gnieździe.

– To ja już uciekam. Rozsypię sól dookoła łóżka i zobaczymy, co będzie!

W panią Bronkę chyba wstąpił na powrót duch walki. Wycalowała mnie w oba policzki i wyszła, zabierając ze sobą płócienny woreczek pełen soli, który jej podarowałam. Właściwie to nie była żadna magiczna sól. Kupiłam ją w jej sklepie i przesypałam do własnych opakowań. Dorzuciłam co prawda do niej trochę opiłków żelaza, ponieważ demony go nie lubiły, ale nie podejrzewałam, żeby to na wiele miało się zdać.

– Feluś, już ci odgrzewam mleko – powiedziałam do kociaka.

Zajęta krzątaniem się po kuchni rozmyślałam o zmorze. Najprościej byłoby wydać na nią wyrok śmierci. Wtedy niekoniecznie ja musiałabym przeprowadzić egzekucję. Zmora, by przedostać się do czyjegoś domu, zmienia postać. Może przyjąć kształt komara, muchy, myszy, żaby, a nawet igły czy kawałka słomy. Zrobi wszystko, by przejść choćby przez dziurkę od klucza. Zabicie jej w takiej zmniejszonej formie gwarantuje natychmiastowe pozbycie się problemu. Wystarczyłoby, gdybym powiedziała o tym moim pacjentom. Zaczailiby się na komary i byłby spokój.

Gorzej jednak, że z automatu moja sąsiadka także umrze. Po prostu się nie obudzi i po pewnym czasie skona z głodu i pragnienia. Chociaż nie zginie z moich rąk, to i tak będę miała ją na sumieniu.

– Jak tam, Felusiu? – zagadnęłam kociaka. – Chyba się muszę wybrać na spacer do sąsiadów, prawda?

Kot nie zareagował. Zlizywał łąpczywie mleko z pipety, po czym beknął. Może odbicie się miało być znakiem aprobaty?

Nagle usłyszałam chichot dobiegający zza okna. Uchyliłam je rano, otworzyłam także okiennice, więc mogłam teraz zobaczyć czyjś czubek głowy ponad krawędzią parapetu. Powoli wstałam, ciągle trzymając kociaka na rękach. Ramieniem pchnęłam mocniej okno i wyrztałam na zewnątrz.

Tuż pod parapetem, wśród delikatnie rozdeptanych kwiatów, przycupnęły dwie dziewczynki. Jedną, pucułowatą, poznałam od razu. To była Nieluba Kielbasa. Do dzisiaj nie najlepiej wspominałam naszą wspólną jazdę samochodem. Drugiej jeszcze nigdy nie widziałam.

– A co wy tu robicie? – zapytałam z naganą.

Nieznana blondwłosa dziewczynka wyprostowała się i spojrzała mi prosto w oczy.

– Chciałyśmy zobaczyć, jak pracuje szeptucha – oznajmiła.

– Rozumiem... a rodzice was nie nauczyli, że to nieładnie podglądać i podsłuchiwać?

– Niczego ciekawego nie usłyszałyśmy – prychnęła Nieluba. – Widziałyśmy tylko, jak pani gada do kota.

Prawdopodobieństwo uznania mnie za lokalną wariatkę wzrastało.

– Praca jak praca. Bywa ciekawa, a bywa nudna. – Przyjrzałam się uważnie szczupłej dziewczusce. Podobało mi się jej zadziorne spojrzenie. – A ty? Jak się nazywasz? Bo Nielubę miałam już okazję poznać.

– Nazywam się Stasia Brzózka – powiedziała tym samym rezolutnym tonem.

Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Miałam przeczucie, że tę dziewczynkę czeka w życiu sporo przygód. Jej dola aż wrywała się z chudego ciała. Nieluba była jej absolutnym przeciwieństwem i to nie tylko ze względu na tuszę. Nie miała w sobie tej iskry.

– Stasiu, czy w twojej rodzinie nie było przypadkiem szeptuch? – zagadnęłam.

– A jak odpowiem, będę mogła pogłaskać kotka?

Zaśmiałam się.

– Tak, możesz go już teraz pogłaskać.

Twarz dziewczynki rozjaśnił uśmiech. Wyciągnęła rączkę i delikatnie pogłaskała Felusia po czole. Opity mlekiem kociak cichutko zamruczał i znowu beknął.

– Śmieszny jest – powiedziała Stasia.

– To jak z tymi szeptuchami? – naciskałam.

– Tak, podobno jakieś były – przyznała. – Mama mi opowiadała, że prababcia zajmowała się uzdrawianiem. A może to była praprababcia? Nie pamiętam. A czemu pani pyta?

– A tak po prostu.

– A mnie to pani nie pyta – burknęła Nieluba.

Miałam ochotę przewrócić oczami.

– Twoją dolę, panno Kielbasa, widać jak na dłoni. Nie muszę cię pytać, żeby wiedzieć, co robili twoi przodkowie – odparłam. – Z kolei ty, Stasiu...

Nagle ogarnął mnie niepokój. Umiałam wyczuwać aurę osób, z którymi rozmawiam. Chociaż trudno było to nazwać aurą. Niewiele miało to wspólnego z kolorowymi cieniami, których poszukiwali sławni ostatnio w Ameryce wyznawcy New Age. Ja czułam... intencje? Dolę? Chyba określenie, że czułam dolę, było najbardziej adekwatne. A że dolę, czyli przeznaczenie i ścieżkę życiową, często się dziedziczyło, łatwo było mi wywnioskować, co musieli przeżywać przodkowie danej osoby.

Aura Stasi była dziwna. Wyraźnie czułam dar widzenia. U niej samej nie manifestował się zbyt wydatnie, ale jakąś jego część miała. Możliwe, że dopiero przyszłe dziecko panny Brzózki będzie umiało z niego korzystać. Poza tym było jednak coś jeszcze, coś, co kładło się ciemną plamą na kobietach z tego rodu.

Jakaś dziedziczna choroba? Hm... dziewczynka wyglądała na całkiem zdrową.

– Czemu tak mi się pani przygląda? – Stasia wyrwała mnie z zamyślenia.

– Spoglądam w twoją dolę – oznajmiłam.

– Och, tak? I jaka jest? Wyjadę z Bielin? Bo ja bym strasznie chciała pojechać do Warszawy! – zaczęła się ekscytować.

To mogłam jej powiedzieć. Czułam wyraźnie, że jest związana z tym miejscem, ale jednocześnie nie jest ono jej przeznaczone.

– Wyjedziesz, ale czy do Warszawy, to tego nie wiem – potwierdziłam.

– Świetnie! – ucieszyła się.

Nieluba miała nietęgą minę.

– A ja? A ja? – dopytywała się. – Będę sławną aktorką, która ma dużo pieniędzy?

Nie miałam serca niszczyć jej marzeń. Z drugiej strony jak na dłoni widziałam, że jej dola jest związana z ziemią ojców. Pewnie rodzice postawią na swoim i wydadzą ją kiedyś za mąż za tego Nowaka, z którym obecnie biega po polach.

– Jesteś panią swojej doli – oznajmiłam wymijająco. – Sama podejmiesz decyzję, czy zostajesz, czy wyjeżdżasz.

– Eee, myślałam, że to pani mi powie! Taka wróżba to jest gówniana! – Wygięła usta w podkówkę.

Szosa nadjechał samochód. Wsiadł z niego Mszczuj. Stwierdziłam, że to doskonała okazja, żeby pozbyć się wygadanej dzieciarni.

– Dobra, zmykajcie! I więcej mi tu nie podsłuchiwać, bo pozamieniam was w żaby! – zagroziłam.

Dziewczynki pisnęły, oczywiście tylko udając przerażenie, i pognały ścieżką w stronę furtki. O mało nie stratowały kapłana, który ledwie zdążył uskoczyć im z drogi.

– A dokąd tak pędzicie?! – zawołał za nimi.

Nie odpowiedziały mu, za to długo jeszcze było słyhać ich histeryczny śmiech. Mszczuj uśmiechnął się do mnie ciepło i podszedł do okna.

– Widzę, że kotek czuje się dobrze – zagadnął.

– Tak, wspaniale wręcz. Właśnie mnie obsikał – westchnęłam. – Wejdz do środka, ja muszę go ogarnąć. Jeśli masz ochotę na herbatę, to wstaw, proszę, wodę.

Szybko wytarłam kociaka, pomasowałam go troszkę po brzuszku i odłożyłam do pudełka. Niemalże od razu zasnął z półotwartym pyszczkiem. Rozczulał mnie ten widok. Niemniej wciąż zastanawiało mnie, jakim cudem Feluś przeżył. Pierwszej nocy nie miałam go czym nakarmić, a mimo to rano wyglądał na zadowolonego z siebie. Coś mi się wydawało, że ubożęta chyba go polubiły.

Poszłam odnieść baniak z kozim mlekiem do studni. Przy okazji nabrałam wody i porządnie opłukałam ręce. Popatrzyłam przez chwilę na ponure gospodarstwo sąsiadów. Cień lasu zdawał się połykać drewniany dom. Miałam wrażenie, że niebawem puszcza pożre chałupę i wypluje jedynie drzazgi.

Po plecach przebiegły mi dreszcze. Było w tamtym miejscu coś złego.

Gdy wróciłam do chaty, na stole czekał już na mnie kubek z herbatą. Uśmiechnęłam się pod nosem. Mszczuj zaczynał się tu czuć coraz bardziej jak u siebie. Na mój widok podniósł się z podłogi, gdzie siedział obok kartonu z kotkiem.

– Przyszedłem do ciebie z prośbą – powiedział.

Zdziwiłam się.

– Coś się stało? Jesteś chory?

– Nie, nie! Zupelnie nie o to mi chodzi. Chociaż... może troszkę. Wiesz... sprawa wygląda następująco...

– Och, wyduś to z siebie – westchnęłam.

Czuł się w moim towarzystwie coraz swobodniej i coraz rzadziej zdarzały mu się ataki słowotoku, ale wciąż peszył się, jeśli chciał o coś poprosić.

– Tak, tak. Już mówię. – Na zmianę splatał i rozplatał dłonie. – Pamiętasz, jak opowiadałem ci o panu Darku? Naszym miejscowym hydrauliku?

– Tym, co lubił popić, a jakiś czas temu nie wrócił z balangi?

Pokiwał głową.

– Nie żyje – oświadczył.

Przyznam szczerze, że jakoś specjalnie mnie tym nie zaskoczył. Lokalny pijak, który poszedł w tango, powinien prędzej czy później wrócić, a po tym koledze słuch wszelki zaginął. O ile nie zmajstrował komuś dzieciaka i nie musiał w popłochu uciekać, to rozwiązanie było raczej proste.

– A co mu się stało?

– Utopił się w Bieliniance.

– W Bieliniance? – zdziwiłam się.

Rzeczka płynąca przez naszą wieś do największych nie należała. Wydaje mi się, że w najgłębszym miejscu dno znajdowało się może z pół metra poniżej poziomu gruntu.

– Był pijany. Upadł twarzą w wodę i chyba nie miał siły się podnieść. – Mszczuj pokręcił głową. – To nie był zły człowiek...

– Hej, nie przejmuj się. Taka widocznie była jego dola. – Usiłowałam jakoś go pocieszyć.
– Wiem, wiem. Ale nie mogę się z tym pogodzić. Bezsensowna śmierć.
– Dość długo go nikt nie znalazł, prawda?
– Tak, niestety leżał w wodzie jakiś czas. W szuwarach, daleko od drogi. Nie wiadomo, dlaczego tam zawędrował.

– Może jakieś rusałki go tam zaciągnęły? – zażartowałam.

Kapłanowi nie było do śmiechu. Twarz miał poważną i napiętą, zupełnie jakby i takiej możliwości całkowicie nie odrzucał.

– Chciałbym, żebyś mi pomogła przy pogrzebie – oznajmił.

– Ja? – zdziwiłam się. – Na co ci jestem potrzebna? Przecież ja nie znam się na pogrzebach.

– Może zrobiłem coś nie tak, grzebiąc poprzedniego nieboraka? Może dlatego wstał i zamienił się w wąża?

Ach, więc to go dręczy! Następnego dnia po tym, jak zajęłam się zmarłym tragicznie Dzierżysławem, Mszczuj zawitał do mojej chatki z pretensjami. Zauważył, że ktoś ruszał grób. Wyjaśniłam mu więc wtedy, co zrobiłam. Przyjął to nawet w miarę spokojnie.

– To nie była twoja wina – powiedziałam z mocą i wzięłam go za rękę. – Wydaje mi się, że i tak by powstał z martwych, bez względu na wszystko. Jakiś bóg zdecydował, że nie wpuści go do Wyraju. A z tego, co mówisz, to pan Darek był sympatyczny. Nie ma powodów, żeby bogowie zatrzymali go na ziemi pod postacią upira.

– Gdybyśmy spalili Dzierżysława, to by nie wstał – zauważył gorzko kapłan.

– No wtedy pewnie by nie wstał – zgodziłam się.

– Ale wójt chce i pana Dareczka pochować. Mówi, że gmina nie ma pieniędzy na pochówki całopalne. Ja też nie mam swoich pieniędzy, żeby się dołożyć.

– A ja to ciągle rozwijam biznes, więc pożyczką też cię nie poratuję – skwitowałam. – A czemu gmina go chowa? To znowu ktoś bez rodziny?

Jakoś podejrzanie to wyglądało. Wiem, że nie powinnam doszukiwać się wzorów w postępowaniu bogów, ale aż po oczach biło, że szczególnie lubią ludzi, po których nikt płakać nie będzie.

– Ojciec zmarł mu pięć lat temu. Zapił się. A matka odeszła zeszłej zimy – wyjaśnił. – Dopóki ona żyła, Dareczek jakoś się trzymał, unikał alkoholu i kłopotów, ale gdy tylko jej zabrakło... Sama widzisz, jak się skończyło.

– Tak.

Spróbowałam cofnąć dłoń, ale zanim się spostrzegłam, Mszczuj splótł moje palce ze swoimi i ani myślał puścić. Cholera.

– Pójdź ze mną na ten pogrzeb. Dobrze? – poprosił.

– Pójdę. Kiedy będzie?

– Jutro po zmroku.

– Na litość wszystkich bogów... czemu po ciemku? – zdziwiłam się.

– Grabarz z Kakonina tylko wtedy ma czas, żeby do nas podjechać.

A niech stracę. Co się może zresztą stać? Przecież chyba nie wstanie z martwych podczas odmawiania modlitwy?

Stałam przed furtką prowadzącą do gospodarstwa na końcu drogi. Do zmroku zostały jeszcze dwie godziny. Nie chciałam wcześniej przeszkadzać sąsiadom. Widziałam przez okno, że pracowali w obejściu. Teraz pewnie poszli do domu na kolację.

Dłuższą chwilę wahałam się przed wejściem na posesję. W świetle dnia jeszcze wyraźniej dało się zauważyć, jak bardzo jest zaniedbana. Pola porastało zboże, ale poprzedzielane chwastami. Ogródek warzywny był zapuszczony. Nigdzie nie widziałam zwierząt gospodarskich. Nawet żaden pies nie wałęsał się koło opustoszałej budy. Wszystko to sprawiało bardzo przygnębiające wrażenie. Nie miałam ochoty dodawać im zmartwień i informować, że pani niestety jest zmorą. Chociaż istniało pewne prawdopodobieństwo, że już o tym wiedzieli.

Westchnęłam. Najwyższy czas, żeby to załatwić. Nie mogłam dłużej zwlekać ze względu innych mieszkańców.

Podeszłam do domu i zapukałam trzy razy do drzwi. Spróbowałam się wyprostować i srogą miną dodać sobie lat.

Otworzył mi mężczyzna, którego wcześniej obserwowałam przez okno. Miał podkrążone oczy i ziemistą cerę. Wyglądał, jakby od dawna nie sypiał. Zakląłam w duchu. Zatem i jego męczyła w nocy zhora. Myślałam, że może oszczędza własnego małżonka.

– Tak? – zapytał podejrziwym tonem.

– Dobry wieczór. Nazywam się Jarogniewa. Jestem szeptuchą, pańską sąsiadką. Chciałabym porozmawiać.

Zerknął ponad moim ramieniem na chatkę babci. Jego spięte ramiona lekko opadły.

– A o czym? – zapytał.

– To nie jest rozmowa, którą można przeprowadzić w progu. Mogę wejść?

W jego oczach zobaczyłam iskierkę bólu. Pokiwał głową. Oj, dobrze wiedział, z czym do niego przychodzę. Sprawiał wrażenie wręcz pogodzonego z losem.

– Nie można tego przełożyć? Siadamy właśnie do kolacji. Już jest późno. – Spróbował jeszcze jednej wymówki.

– Zajmę tylko chwilę. Zapewniam.

– No dobrze... pani wejdzie.

Przeszłam za nim przez wiatrołap i pozwoliłam się poprowadzić do niewielkiego salonu. Kobieta, którą także podglądałam przez okno, stawiała właśnie na stole miskę pełną gotowanych ziemniaków. Posłała mi spłoszone spojrzenie.

Też wiedziała, kim jestem i po co przyszłam.

– Dzień dobry! – pisnęła.

Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Nie byłam do końca pewna, czego się po mnie spodziewali, ale zachowywali się tak, jakbym co najmniej miała wyciągnąć zaraz spod spódnicy siekierę i poobcinać im głowy!

Lecz takie proste rozwiązania nie zawsze są najlepsze.

– Ja tylko na chwilę – powtórzyłam. – Chcę z państwem porozmawiać.

– Zje coś szeptucha? – Kobieta wskazała na ziemniaki.

– Nie, nie... usiądźcie. Przepraszam, że przeszkodziłam w posiłku.

Zajęli krzesła naprzeciwko mnie. Dobrze widziałam, że złapali się pod stołem za ręce. Bali się. Ale z drugiej strony, co miałam zrobić? Coraz więcej osób narzekało na zły sen. Zmora nie zabija swoich ofiar, ale bardzo je męczy. Musiałam ją jakoś zneutralizować.

Kobieta patrzyła mi prosto w oczy. Nie uciekała spojrzeniem. Czekwała z godnością na to, co się stanie. Nie miała różnokolorowych oczu ani zrosniętych brwi, co rzekomo mogłoby wskazywać na demoniczne pochodzenie. Nadal nie wiedziałam, dlaczego została zmorą.

– W Bielinach jakiś czas temu pojawił się pewien problem – oświadczyłam.

Nawet nie udali zdziwienia.

– Po miasteczku krąży zmora – dodałam.

Nadal nic.

– Widziałam ją kilka razy i śledziłam.

Dopiero teraz zerknęli na siebie.

– Czyli że co? – zapytał gospodarz.

– Zauważyłam, że nad ranem wchodzi do waszego domu. – Rozłożyłam ręce.

– Czyli, że i nas je? – Usiłował grać na czas. – Powinniśmy się jakoś przed nią zabezpieczyć?

– Pan to na pewno.

Kobieta zaczęła pochlipywać. Mężczyzna syknął zirytowany, że się zdradziła, ale szybko objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Co teraz? – zapytał.

Gdy się poruszyłam, drgnęli nerwowo. Bogowie... chyba naprawdę sądzili, że ich zamorduje z zimną krwią.

– Spokojnie! – Uniosłam ręce, żeby im pokazać, że niczego w nich nie trzymam. – To poważny problem, ponieważ zmorą nikt nie staje się świadomie. Niestety, to pani nią jest, ale o tym chyba już dobrze wiecie.

– Wiedzieliśmy, że coś jest nie tak. Ja źle sypiam, odkąd Czesia się tu wprowadziła – powiedział gospodarz.

– A kiedy pani się tu zamieszkała? – zapytałam.

– Wzięliśmy ślub miesiąc temu – wyznała. – Tuż przed Nocą Kupały. Potem wprowadziłam się do Jarka.

Spojrzeni na siebie. Cholera... kochali się. Proponowanie im, żeby się rozeszli świeżo po ślubie, nie wydawało się zbyt dobrym rozwiązaniem. A na pewno niezbyt taktownym.

Zwróciłam uwagę na to, że dzieliła ich spora różnica wieku. Gospodarz na moje oko miał koło pięćdziesiątki. Jego wybranka zdawała mi się ze dwadzieścia lat młodsza. Mimo to wpatrywali się w siebie jak zadurzone nastoletnie dzieciaki.

– Czesia mieszkała wcześniej w Hucie Nowej – wyjaśnił mąż.

– Rozumiem. A czy jak mieszkała pani w Hucie Nowej, to były tam epizody...

– Działania upira? – podpowiedziała mi.

– Tak, właśnie to mam na myśli.

Pokręciła przecząco głową i przygryzła wargę niemalże do krwi.

– Od dwóch tygodni gorzej sypiam – wyznała. – Myślałam, że to z przepracowania. Nawet podejrzewaliśmy, że może jestem w ciąży. Niestety to nie to... Jarek też był coraz bardziej zmęczony. Pewnej nocy postanowił zacząć się na istotę, która nas nęka.

– I odkrył, że to pani? – zapytałam.

– Tak!

Po jej policzkach pociekły łzy.

Wyobraziłam sobie przebieg ich porannej rozmowy. Nie zazdrościłam panu Jarkowi, który musiał powiedzieć małżonce, że w nocy zamienia się w potwora.

– Co teraz będzie? – zapytała zapłakana Czesia.

– Nie ma zbyt wielu rozwiązań – mruknęłam. – Zmorą można stać się po śmierci albo niestety jeszcze za życia. Z tego co wiem, nie ma sposobu, żeby przestać nią być. Wygląda mi na to, że ktoś rzucił na panią urok.

– Ale kto? – oburzył się gospodarz.

– Najwyraźniej ktoś, kto pozazdrościł panu młodej pięknej żony. Macie jakichś wrogów? Może pani miała zalotników w Hucie Nowej, którzy byli zawiedzeni, że żadnego z nich pani nie wybrała?

– Nie bardzo... widzi szeptucha... ja nie grzeszę urodą.

Och, zdecydowanie się nie doceniała. Może nie była zadbaną elegantką z Warszawy, ale trochę makijażu i wizyta u fryzjera działałyby cuda. Postanowiłam podpytać Mirkę, czy nikt nie miał do pani Czesi pretensji w Hucie Nowej. Koleżanka szeptucha lubiła ploteczki. Mogła coś o tym wiedzieć.

– A pan? Ma pan jakichś wrogów? – zapytałam gospodarza.

– Też niezbyt. Nie powodzi mi się w gospodarstwie jakoś bardzo dobrze. Są lepsi ode mnie. Bogaty nie jestem, co chyba widać choćby i po chałupie.

– Jakież zatargi z sąsiadami?

– Bracia mieszkają najbliżej. Chcą kupić ode mnie pole naprzeciwko domu szeptuchy, bo graniczy z ich sadem czereśniowym. Ja się powoli noszę z zamiarem wystawienia tej ziemi na sprzedaż, ale nie podjąłem jeszcze decyzji.

– To może oni... – zaczęłam, ale niemalże natychmiast mi przerwał:

– Niemożliwe. To porządni ludzie. Mają głowę do interesów. Nie próbowaliby takich sztuczek. Na pewno nie.

Mimo wszystko postanowiłam lepiej się im przyjrzeć. Nie ufałam nikomu.

– Można zdjąć ze mnie urok? – zapytała Czesia.

– Pozbycie się zmory jest równoznaczne z jej śmiercią – oświadczyłam prosto z mostu.

Oboje zbledli. Ziemniaki w misce, chociaż sine, wydawały się mieć więcej koloru od nich.

– Spokojnie, nie będziemy nikogo zabijać. Niestety czyha na panią niebezpieczeństwo, gdy jest pani pod postacią zmory. Zmora to demon, upir, który umie zmieniać postać. Jeśli jako zmora zmieni się pani, powiedzmy w żabę lub komara, i ktoś wtedy zabije panią w tej formie, to już się pani nie obudzi...

– To co mamy zrobić?

– Trzeba powstrzymać panią przed opuszczeniem gospodarstwa.

To był mój ostatni i właściwie jedyny pomysł.

– Musicie otoczyć dom kręgiem z soli. Będzie pan musiał wykopać rów, mniej więcej o głębokości pół metra, żeby deszcz zbyt szybko jej nie wypłukał.

– A rów wypełniony solą zasypać ziemią? – Upewnił się.

Wydawał się zmobilizowany do pracy. Miałam wrażenie, że od razu po moim wyjściu rzuci się do roboty.

– Tak, koniecznie zasypać. W kręgu z soli nie może być żadnej przerwy, bo inaczej zmora wyjdzie. Dobrze by było zabezpieczyć okna i drzwi sztabami z żelaza. Nie muszą być specjalnie grube. Upiry nie lubią soli i żelaza. Możliwe, że pod postacią zmory nie będzie mogła pani wtedy opuścić domu.

– Zrobimy tak! – Gospodarz się ucieszył.

– Ale to nie wszystko. Został jeszcze pan! – Wskazałam na niego palcem. – Przecież pan zostanie w nocy w gospodarstwie z małżonką. Zamęczy pana, jeśli nie będzie mogła wyjść.

– Jak się zabezpieczyć?

– Najlepiej by było, gdybyście mieli osobne sypialnie albo chociaż łóżka. Łóżko pani Czesi trzeba otoczyć kręgiem z soli. Ja zrobię wiązanek ziół, którą trzeba będzie schować pod materacem, a pan będzie musiał nosić na nadgarstku czerwoną wstążeczkę. Przygotuję to wszystko na dniach i wam przyniosę. W międzyczasie postaram się ustalić, kto rzucił na panią urok. Jeśli uda mi się znaleźć tę osobę, może zdołamy odwrócić czar.

Klasnęłam w dłonie.

– Dobrze! Skoro wszystko ustaliliśmy, to ja uciekam. Mam jeszcze dzisiaj kilka spraw do załatwienia. Gdybyście czegoś potrzebowali, koniecznie dajcie mi znać.

Przyznaję, że z pewną ulgą opuściłam ich gospodarstwo. Nie wiedziałam, czego mam się po nich spodziewać. Równie dobrze mogli dojść do wniosku, że skoro poznałam ich tajemnicę, to wspaniałym pomysłem będzie pozbycie się mnie i zakopanie pod lasem.

Wydawali się dobrymi ludźmi, ale wiedziałam, że zbyt krótko chodzę po tym świecie, by móc stwierdzić, że umiem już rozgryźć innych.

Nie miałam ochoty iść na cmentarz. Żałowałam, że zgodziłam się pomóc Mszczujowi w pochówku pana Dareczka. Rozmowa z sąsiadami wymęczyła mnie psychicznie. Najchętniej wróciłabym do domu, położyła się na łóżku z Felusiem i usnęła w rytmie jego mruczenia.

Zgarnęłam z domu torbę z przygotowanymi wcześniej przedmiotami, którymi chciałam zabezpieczyć grób topielca. Nie było tego wiele. Większość moich pomysłów pokrywała się z tym, co zrobiłam z grobem wapierni. Zarzuciłam torbę na ramię i wyszłam z chaty. Gdy szłam szosą, zaczęło grzmieć. Na razie burza była gdzieś daleko za puszcą, ale wydawało mi się, że zdąży mnie jeszcze dzisiaj porządnie zmoczyć. Zakląłam. Trzeba było iść na bosaka, zamiast zakładać ładne buty.

W oddali zobaczyłam samochód. Jechał w moją stronę. Nie urządzało mnie to, bo przecież nikt mnie nie podrzuci.

Gdy samochód znalazł się już na mojej wysokości, zahamował, wzbudzając tuman kurzu. Także się zatrzymałam. Za szybą zobaczyłam Mirkę.

– Cześć! – Ucieszyłam się na jej widok.

– A dokąd ty idziesz taką późną porą? – zdziwiła się. – Akurat do ciebie jadę!

Wysiadła z wściekle czerwonego auta i serdecznie wyciąła mnie w oba policzki.

– Idę na cmentarz. Obiecałam Mszczujowi, że będę obecna przy pochówku – wyjaśniłam.

Zerknęła na moją torbę.

– Chcesz zabezpieczyć grób? – zapytała i zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Na wszelki wypadek.

Zaśmiała się wesoło.

– Oj, Jaga, Jaga! Przecież upiry nie istnieją!

Zdziwiłaby się. Mimo wszystko postanowiłam, że nie będę jej wyprowadzać z błędu. Istniała szansa, że to tylko jakaś bielińska anomalia, z którą uporam się raz-dwa, a nie zasada. Zresztą to nie był moment na takie dyskusje. Może kiedyś przy kieliszeczku nalewki porzeczkowej.

– To wsiadaj, podrzucę cię na cmentarz, a przy okazji powiem ci, po co przyjechałam w odwiedziny – zaproponowała.

Gdy już wykręciła autem, zaczęła wesoło trajkotać o jakimś weselu zbliżającym się dużymi krokami w Hucie Nowej. Z tego, co rozumiałam, miało się odbyć tuż po Święcie Plonów, w ostatni dzień sierpnia.

– No a kawaler jest od ciebie, z Bielin – dodała. – Pomyślałam, że może razem przeprowadzimy wieczór panieński. Co ty na to?

– Nigdy nie organizowałam wieczoru panieńskiego – zaproponowałam. – W zapiskach mojej babci też słowa o tym nie było.

– To nic! Nauczę cię. Ja już kilka ich przeprowadziłam. Bardzo przyjemne zajęcia. Samemu się można przy okazji wybawić, a potem jeszcze zapraszają cię w podzięcie na swańbę i wesele! Same zalety. Szukam tylko nowego miejsca, bo tam, gdzie zwykle zabierałam swoje panny, obecnie trwa wycinka drzew.

– A jakiego konkretnie miejsca szukasz?

– Musi być jakaś niewielka polana, na której możemy rozpalić ognisko, jezioro do kąpania się i w zasadzie to tyle! Jakiś domek czy chatka na przechowanie rzeczy też by się przydała, ale to nie jest konieczne.

– Znam takie miejsce!

Pomyślałam o chatce w lesie, którą pokazał mi Swarozyc. Byłaby idealna.

– Zobacz, jaki przystojniak!

Już prawie dojeżdżaliśmy do cmentarza. Z boku szosy na olbrzymim koniu siedział mężczyzna. Miał szerokie, umięśnione plecy i wąskie biodra. Płowy blond jego długich włosów opadających na ramiona odbijał światło zachodzącego słońca. Mężczyzna trzymał w dłoniach rozłożoną mapę samochodową i przyglądał się jej uważnie. Przy siodle miał przytroczone torby podróżne i jakiś długi przedmiot owinięty w szmatę. Gdybym miała bujniejszą wyobraźnię, na pewno stwierdziłabym, że to miecz. Na szczęście nie miałam takiej wyobraźni.

Mogłam się jednak założyć, że Mirosława już zaczęła fantazjować o rycerzu na siwym rumaku.

– Bogowie, widzisz jaki on jest wysoki?! – wykrzyknęła Mirka i wcisnęła hamulec. – Chyba się zgubił! Pomogę mu!

Gdy zatrzymałyśmy się obok, od razu wyskoczyła z auta. Nawet nie zdążyłam zaprotestować. Westchnęłam tylko z irytacją i wystawiłam głowę przez okno, żeby chociaż posłuchać. o czym rozmawiają. Koń pochylił z ciekawością łeb w moją stronę.

– Dzień dobry panu! – zaszczębiotała Mirka i jak gdyby nigdy nic położyła dłoń na kolanie jeźdźca.

Zaśmiałam się. Koń zmierzył mnie uważnym spojrzeniem. Na wszelki wypadek trochę się cofnęłam. Był tak wielki, że spokojnie mógłby odgryźć mi głowę, gdyby tylko zechciał.

– Zgubił się pan?

– To Bieliny? – zapytał.

Miał głęboki, przyjemny głos.

– Tak, to Bieliny – potwierdziła Mirka. – Mogę panu wskazać także Hutę Nową. To niedaleko. Mieszkam tam.

– Szukam Bielin.

Złożył mapę i wrzucił ją byle jak do sakwy koło siodła.

– A szuka pan noclegu? – Wciąż trzymała dłoń na jego kolanie. – Jestem szeptuchą z Huty Nowej, to zaraz obok Huty Szklanej. Mogę wskazać panu tam gospodę, ewentualnie sama chętnie udzielię gościny strudzonemu wędrowcy.

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Mirka wstydu nie miała. Zachichotałam pod nosem. Koń mrugnął do mnie i parsknął, jakby w pełni zgadzał się z moimi myślami.

– Nie, dziękuję – odparł mężczyzna. – Chciałem tylko sprawdzić, gdzie są Bieliny. Do widzenia paniom.

Zawiedziona Mirka zabrała rękę i cofnęła się, gdy ruszał. Mężczyzna cmoknął na konia.

– Dalej, Nix! – Poklepał go po szyi.

– A odwiedzi nas pan jeszcze kiedyś? – zawołała za nim szeptucha z Huty Nowej.

– Kiedyś wrócę – odkrzyknął przez ramię.

Mirka wróciła do auta i posłała mi rozmarzone spojrzenie.

– Widziałaś, jaki przystojniak? Szkoda, że nie udało mi się namówić go, żeby u mnie przenocował!

– Niemożliwa jesteś.

– Nie wmówisz mi, że sama nie miałabyś ochoty wskoczyć mu do łóżka – obruszyła się.

– Eee, jakiś taki bucowaty był. Wolę, jak mężczyzna mnie adoruje.

18.

Z nieba siąpił delikatny deszczyk. Najczarniejsze chmury wciąż wisiały ponuro nad puszcza i raz po raz błyskały pioruny. Miałam nikłą szansę dotrzeć do swojej chatki, zanim rozpęta się burza z prawdziwego zdarzenia. Na pewno nie dojdę suchą nogą, ale raczej żywa.

– Przepraszam, że cię nie odwiozę! – Mszczuj kajał się nieustannie.

Szczerze mówiąc, gdyby nie te jego przeprosiny, mogłabym wyruszyć w drogę już dobre dziesięć minut temu. Niestety nie pozwalał mi ruszyć, bo musiał się koniecznie wytłumaczyć.

I to kilkakrotnie.

– Idę! Mówiłam ci, że nie mam żalu – parsknęłam.

– Ale jak to tak? Przecież powinienem cię odwieźć. Taka pogoda. Jest mi straszliwie głupio.

Nie wytrzymam z tym mężczyzną. Nie dość, że przyłazi z kwiatami, daje mi ledwo żywe kocięta, to jeszcze nie pozwala mi iść, póki pada lekki deszczyk. Przecież zaraz mnie piorun trzaśnie, zanim dojdę do domu. I to nie ze złości! Dżentelmen, do licha, się znalazł.

– Ale masz inne plany. Na litość bogów, mogę już iść? Czy zamierzasz trzymać mnie na deszczu?! – krzyknęłam.

Na jego twarzy pojawiły się rdzawoczerwone plamy. Pochylił głowę skruszony.

– Przepraszam, nie zamierzałem trzymać cię na deszczu – wymruczał. – Po prostu zastanawiałem się, jak rozwiązać ten problem. Poza tym bardzo chciałbym cię przeprosić. Naprawdę! Przyjmij moje najszczerze przeprosiny!

– Przyjęłam już piętnaście minut temu. Idę!

– Ale Jagusiu...

Dreszcz obrzydzenia przebiegł mi po plecach. Jeszcze raz nazwie mnie Jagusią, a przysięgam na wszystkich bogów, że dam mu w zęby.

– Nie jagusiuj mi tutaj, tylko jedź do Kielc po ojca, a ja idę do domu. Pozdrów go.

Rumieńce znikły z jego policzków. Z troskanie zamieniło się w niechęć. Nie wytrzymam z nim... Przecież teraz muszę go pocieszyć.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Przyjeżdża przecież tylko na tydzień. Wytrzymacie tyle ze sobą.

– O ile się nie pozabijamy.

Zerknęłam na cmentarną bramę, którą grabarz zamknął jeszcze przed pożegnaniem się z nami. Pochówek pana Dareczka przebiegł bez większych ekscesów. Co prawda zaskoczyła nas z Mszczujem liczba żałobników. Czułam lekką treść, obrzucając ciało topielca makiem i każąc grabarzowi przekreślać go na brzuch, gdy moim poczynaniom przyglądało się kilkanaście osób. Nikt, poza zirytowanym grabarzem, któremu dołożyłam roboty, nie odważył się skomentować mojego zachowania. Na wszelki wypadek, zanim zaczęłam zabezpieczać ciało, Mszczuj przypomniał zgromadzonym, że gwałtowna śmierć rządzi się swoimi prawami i że trzeba zastosować środki ostrożności, by wykluczyć możliwość ewentualnego powrotu denata. Wszyscy bardzo lubili pana Dareczka, ale nie na tyle, żeby chętnie go powitać, jeśli powróci do żywych.

Początkowo Mszczuj chyba zamierzał odwiedzić mnie do domu i oczywiście wprosić się na kolację, ale tuż przed pogrzebem dotarł do niego telegram od taty. Gdy tłumaczył mi się, dlaczego nie może mnie odwiedzić do domu, powiedział, że jego ojciec to tyran, który nie darowałby synowi, gdyby ten nie odebrał go z dworca w Kielcach. Byli skłóceni, odkąd Mszczuj odmówił pracy w rodzinnym chrampie i wyjechał do Bielin, bo tu akurat zwolniło się miejsce.

Z tego, co zrozumiałam, ojciec Mszczuja był człowiekiem nawykłym do luksusów. Widziałam chatę mojego kolegi. Nie było w niej nawet podłogi, chodziło się po gołym klepisku wysypanym świeżą słomą. Mszczuj miał jeden siennik, na dodatek niewygodny. A jeśli chciał napić się herbaty, musiał rozpalić ognisko w specjalnie wydzielonym miejscu. Dym ulatniał się przez otwór w dachu. Moja chatka była przy jego domostwie ekskluzywnym miejscem, prawdziwym pałacem luksusu.

W związku z brakiem odpowiednich warunków by przenocować ojca, Mszczuj poprosił gospodynię mieszkającą po sąsiedzku o wynajęcie pokoju. Widziałam go. Żeby się dostać do małego mieszkanka, także dość licho wyposażonego (jednak posiadającego podłogę i łazienkę), trzeba było wspiąć się po chybotałych schodkach dobudowanych z boku domu. Jeśli ojciec Mszczuja był tak niesympatyczny, jak ten go przedstawiał, istniała szansa, że i to lokum mu się nie spodoba.

Osobiście byłam zaintrygowana kapłanem z Gdańska. Nie mogłam się doczekać, kiedy go spotkam. Mszczuj był dobrym człowiekiem, bardzo cierpliwym, szczerym. Ciekawiło mnie, jak strasznym trzeba być, żeby go sprowokować do wyprowadzki na drugi koniec Królestwa Polskiego.

– Jak myślisz? Dlaczego ojciec do ciebie przyjeżdża? – zapytałam na odchodne.

– Nie wiem... – Pokręcił smętnie głową. – Może doszedł do wniosku, że jestem zbyt szczęśliwy i postanowił to zniszczyć?

Podeszłam do wróża, stanęłam na palcach i pocałowałam go w policzek. A niech stracę! Przecież nie oświadczy mi się chyba po tym, jak dam mu buziaka?

– Będzie dobrze. Nie martw się – pocieszyłam go. – Trzymam za ciebie kciuki!

Ruszyłam pędem w drogę, żeby nie dać mu okazji do kolejnych przeprosin. Chyba jeszcze coś za mną zawołał, ale udałam, że nic nie słyszę.

Droga do domu dłużyła mi się niemiłosiernie. Mokre włosy obijały mi się o plecy przy każdym kroku. Na szczęście wyglądało na to, że burza przeszła. Błyskawice przestały zabarwiać niebo na sinoróżowo, a grzmoty ucichły. Cieszyłam się z tego, bo dopiero co przeplancowałam rośliny w ogródku. Silny deszcz z całą pewnością od razu by je ściał.

Byłam już blisko swojej chaty, kiedy usłyszałam jakiś jęk. Zatrzymałam się i rozejrzałam. Nie widziałam niczego podejrzanego. Jęk się powtórzył. Teraz nawet mogłam go nawet zlokalizować. Z pobliskich krzaków wystawały nogi odziane w męskie buty. Udzielanie komuś pomocy w taką podłą pogodę było ostatnią rzeczą, na którą miałam ochotę.

Przez chwilę poważnie rozważałam, czy nie udać, że nic nie zauważyłam, i nie pójść do domu. Moja chata była już całkiem niedaleko. Poprzez szarówkę dokładnie widziałam krzywy dach i niedomknięte okiennice. Malwy kiwały się do rytmu uderzających o nie kropel wody. Ciepło pieca i mruczenie kociaka było tak blisko.

Człowiek nie może mieć świętego spokoju, po prostu nie może. Poprawiłam torbę na ramieniu i podeszłam do stóp wystających spod krzaków.

– Przepraszam pana, dobrze się pan czuje? – zapytałam.

Prooooooszę... proszę niech odpowie, że wszystko jest świetnie, tylko przesadził z bimbrem.

W odpowiedzi jęknął.

Niech to lichy...

– Wszystko dobrze? Czy potrzebuje pan pomocy?

Weszłam w wysoką trawę i sięgnęłam do gałęzi, które zasłaniały mi cały widok. Szarpnęłam za nie z irytacją. Byłam przekonana, że w krzakach leży pijak, najpewniej usmarowany własnymi wymiotami. Nie miałam ochoty mu pomagać, ale niezawodne poczucie obowiązku nie pozwoliło mi odejść.

– Halo, słyszy mnie pan?! – warknęłam, wciąż walcząc z zielskiem, które miało kolce i ani myślało puścić moich rękawów. Na bogów, nie mógł się po prostu położyć na trawie? Musiał leżeć w dzikie jeżyny? Owoców mu się zachciało?!

– Nic mi nie jest – wystękał.

– Brzmi pan, jakby coś się raczej stało – prychnęłam.

Szarpnęłam po raz kolejny za gałęzie i wreszcie zobaczyłam, kogo ratuję. Kąśliwa uwaga zamarała mi na ustach. Mężczyzna, na oko całkiem młody, zdecydowanie potrzebował natychmiastowej pomocy lekarskiej. Miał rozbitą głowę. Z rozciętego łuku brwiowego lała mu się krew. Koszulę na piersi miał porwaną jakby przez pazury olbrzymiego zwierzęcia. Wszystko było nasiąknięte posoką. Było jej tyle, że obudziły się we mnie obawy, czy aby nie został przecięty na pół.

Nie reaguję źle na widok ran. Przysięgam.

A mimo to zrobiło mi się słabo.

19.

Cztery dni leżał niemalże bez życia. Nie wiem, jakim cudem doniosłam go do swojej chaty. Na szczęście był na tyle przytomny, że gdy udało mi się już dźwignąć go do pionu, to starał się pomagać mi w miarę swoich możliwości. W domu ustawiłam go delikatnie przy ścianie, po której oczywiście się osunął, a ja w tym czasie zabrałam swoją pościel z łóżka babci i położyłam na sienniku czysty ręcznik.

Zdołałam go przenieść jeszcze na łóżko, gdy na chwilę odzyskał przytomność, ale zaraz potem odpłynął. Przynajmniej mogłam zająć się wtedy na spokojnie jego ranami. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. Umięśnioną klatkę piersiową miał przeoraną w kilku miejscach czymś ostrym. Naruszona była skóra i mięśnie. Niewiele brakowało, a miałby rozpruty brzuch. Wątpię, czy zdołałabym go odratować, gdyby jelita wylały mi się po drodze na szosę. Oczyściłam rany najlepiej, jak umiałam, i je zeszyłam, dziękując doli mężczyzny, że utrzymywała go w omdleniu. Poza alkoholem nie miałam niczego, czym mogłabym go znieczulić.

Wiedziałam, że moje zioła to za mało, więc od następnego dnia podawałam mu antybiotyki kupione w aptece. Było mi wstyd. Farmaceutka patrzyła na mnie jak na oszustkę. Pewnie myślała, że kupione specyfiki przepakuję i będę sprzedawać za niebotyczne kwoty.

Cztery doby siedziałam przy mężczyźnie i usiłowałam przekonać jego ciało, by nie wypuszczało duszy do zaświatów. Na zmianę zajmowałam się chorym i moim kociakiem. Na pociechę przynajmniej mój futrzasty kompan sprawiał wrażenie, jakby był coraz silniejszy i zdrowszy.

Tysiąc razy zastanawiałam się, czy nie powinnam wysłać pacjenta do szpitala. Drugiego dnia, w momencie największego kryzysu, gdy zagorączkował, byłam bliska pobiegnięcia na pocztę i wezwania karetki pogotowia z Kielc. W szpitalu pewnie otrzymałby lepszą pomoc. Jednak istniały przesłanki, by tego nie robić. Po pierwsze, rany na ciele mężczyzny wyglądały jakby zadały je olbrzymie pazury. W puszczy nie żyły aż tak duże zwierzęta, które byłyby zdolne zadać podobne obrażenia. Nawet jeśli siłowałyby się z niedźwiedziem, wyglądałoby inaczej.

Po drugie, na opuszkach palców mężczyzny raz na jakiś czas pojawiały się srebrne iskierki. Zwłaszcza przy zmianie opatrunków, gdy piekły go środki dezynfekcyjne, których używałam. Przez to miałam poważne wątpliwości, czy aby na pewno lecę człowieka. On musiał mieć jakiś związek z tym wszystkim, co działo się ostatnio w Bielinach. Jeśli pozwoliłabym zawieźć go do szpitala w Kielcach, nigdy pewnie nie dowiedziałabym się, kim był i co mu się stało.

Znudzona przyglądaniem się, jak śpi, wyszłam przed swoją chatkę. Wyjątkowo się cieszyłam, że mam tak mało klientów. Przynajmniej nikt się nie dziwił, że w moim łóżku leży nieprzytomny facet.

Jakiś czas temu zaniiosłam gospodarzowi spod lasu ochronne zioła i sól zmieszaną z opiłkami żelaza. Potem, przyznam szczerze, przestałam się sąsiadami martwić. Nie miałam sił, żeby rano czatować przy drodze i patrzeć, czy zmora nie idzie na żer.

Z kolei Mszczuj od pogrzebu pana Dareczka w ogóle się do mnie nie odzywał. Nie przyjechał mnie odwiedzić, a ja nie chodziłam do Bielin, więc nie miałam okazji przypadkiem spotkać jego ojca.

Dopiero opieka nad nieprzytomnym mężczyzną uprzytomniła mi, jak bardzo jestem samotna.

Mówienie do niego czy do kota Felusia trudno było nazwać przebywaniem w towarzystwie. Zamknięta w czterech ścianach praktycznie wariowałam. Niewiele miałam do roboty, ogródek był już zadbane, zbiory na bieżąco przetwarzalam. Nawet nie miałam czego sprzątać. Coraz częściej myślałam o tym, że wybór zawodu szeptuchy był błędem. Może gdyby pacjenci walili drzwiami i oknami, wyglądałoby to inaczej. A tak bezczynność po prostu mnie zabijała.

Właśnie miałam podać mężczyźnie kolejną dawkę antybiotyku, gdy kociak, który już nauczył się wychodzić ze swojego pudła, zaczął krążyć mi pod nogami. O mało się nie przewróciłam, kiedy usiłowałam go wyminąć.

– Feluś, poczekaj. Zaraz dam ci jeść. – Odsunęłam go od siebie delikatnie i podeszłam do kredensu, na którym leżały przygotowane leki.

– Czyli nazywa się Feluś?

Upuściłam buteleczkę z antybiotykiem. Naczynie potoczyło się po podłodze, ale na szczęście nie stłukło. Odwróciłam się do mężczyzny na łóżku. Leżał nieruchomo. Jedyne jego oczy czujnie śledziły każdy mój krok. Nie goliłam go, gdy był nieprzytomny, więc jego brodę pokrywała teraz gęsta szczecina czarnych włosów. Błysnęły zęby, kiedy się uśmiechnął.

– Nie musisz się mnie bać – powiedział.

Wyjęłam z szuflady kredensu srebrny nożyk do ryb i podeszłam bliżej łóżka. Nie spuszczał wzroku z noża. Może nie byłam stara, ale powinien zwracać się do mnie per pani. Nie podobało mi się takie szybkie skracanie dystansu.

– Kim pan jest? – zapytałam.

– Nazywam się Lesław, ale, proszę, mów mi Sławek – odpowiedział. – Leczyłaś mnie po to, żeby mnie teraz zabić?

– Leczyłam, żeby wyleczyć – odparłam. – Nie mogę być jednak pewna co do pańskich zamiarów.

– Zapewniam, że nie jest moim celem zrobienie krzywdy dobrodziejce. Co się właściwie stało? Możesz mi opowiedzieć?

Sięgnął do opatrunków na piersi i syknął, gdy dotknął urażonych miejsc.

– Znalazłam pana w krzakach – powiedziałam, podchodząc jeszcze bliżej.

Był już wieczór. Ustawiłam lampę naftową na parapecie obok łóżka, żeby lepiej widzieć pacjenta. Trzymał dłonie na szerokiej piersi. Tym razem nie było śladu po iskierkach.

– Czemu tak oficjalnie? Proszę mi mówić po imieniu. Nie jestem żadnym panem – odparł.

Wyglądało na to, że nie doczekam się z jego strony jakiegokolwiek kurtuazji. Nie potrafiłam zgadnąć, ile miał lat. W kącikach jego oczu czaiły się pierwsze zmarszczki, ale nie wyglądał na wiele starszego ode mnie.

– Znalazłam cię w krzakach, zakrwawionego – skapitulowałam. Niech już mu będzie, możemy przejść na ty.

– Rozumiem, a teraz jestem gdzie? – zapytał.

– U mnie w domu. Jestem szeptuchą. Zrobiłam, co mogłam, żebyś nie umarł.

Na jego twarzy pojawiło się zrozumienie. Potoczył spojrzeniem po obwieszonej ziołami powale. Pokiwał głową. Przez chwilę chyba intensywnie się nad czymś zastanawiał. Zaczął skubać zębami dolną wargę, zupełnie jakby pomagało mu to myśleć.

Czarne oczy mężczyzny błysnęły wesoło.

– Jesteśmy w Bielinach, prawda?

– Tak.

– Dziękuję, że nie zabrałaś mnie do szpitala. Miałem szczęście, że trafiłem akurat na ciebie. Jak masz na imię?

– Jaga...

– To od Jarogniewy? – dopytał.

– Tak.

– W takim razie chociaż częściowo twój zły humor ma jakieś uzasadnienie. – Zaśmiał się, ale szybko skrzywił, gdy zabołały go zębra.

Pff... taki żartowniś. Boki zrywać.

– Kim jesteś? – syknęłam.

Spowaźniał. Zerknął na nóż, a następnie na mnie. Przez głowę przemknęła mi myśl, że do przystojniaczka chyba właśnie dotarło, że nie trzymam tego noża tylko dla pozorów.

Nie miałam pewności, czy byłabym w stanie go zranić. Mimo wszystko swoje życie ceniłam bardziej niż jego, więc wybór był raczej prosty. Mocniej zacisnęłam palce na rękojeści.

– Jak to, kim jestem? Nie do końca rozumiem pytanie, droga Jago – zdziwił się. – Powiedziałem ci. Jestem Sławek.

– Co ci się stało? – Spróbowałam w takim razie inaczej.

– Zaatakowało mnie jakieś zwierzę. Nie widziałem co to. Chyba było duże, w każdym razie wskazują na to rany. Jak myślisz? Co to mogło być? Niedźwiedź?

Kłamał mi w żywe oczy. Intuicja podpowiadała mi, że nie jest człowiekiem. Nie musiał nawet w tym celu strzelać iskrami z palców.

– Pomogłam ci. Wpuściłam cię do swojego domu. Chyba zasługuję na szczerłość – wycedziłam.

– Idąc tym tokiem myślenia... leżę bezbronny w twoim domu, bogowie wiedzą, ile czasu... Kto wie, co ze mną robiłaś, gdy byłem nieprzytomny... A teraz grozisz mi nożem? Po co w takim razie mnie ratowałaś?

Uśmiechnął się. Musiałam przyznać, że miał w sobie dużo łotrzykowskiego uroku. Czarne, lekko kręcone włosy układały mu się w loki na czole. Nawet pomimo chorobliwej bledkości był niezwykle pociągający.

– Błąd początkującego – mruknęłam.

Zaśmiał się.

– Czy jesteś upirem? Odpowiedz! – zażądałam.

– Jestem człowiekiem.

– Kłamiesz.

– Jestem człowiekiem, ale poza tym mam kilka przydatnych umiejętności – sprecyzował.

Zmrużył oczy. Przypominał mi teraz kota, który wpatruje się leniwie w ofiarę, wiedząc, że i tak zdoła ją dopaść. Miał jakieś metr osiemdziesiąt. Przewagę dawały mi tylko jego obrażenia. Jeśli uderzę go w rany, albo lepiej – wbiję tam od razu ostrze – to będę miała szansę przeżyć konfrontację.

– Czym jesteś?! Odpowiedz! Po raz ostatni cię proszę – zagroziłam.

Moja dłoń z nożem zaczęła drżeć, tak samo jak głos. Byłam wyczerpana trwaniem u jego boku

i gorączkowym sprawdzaniem, czy oddycha. Chciałam wreszcie odpocząć i usnąć spokojnie, a na pewno nie mogłam tego zrobić, jeśli nie powie mi, kim jest. Najchętniej wyrzuciłabym go ze swojego domu. Tylko niestety ciągle był jeszcze w złym stanie.

– Masz specyficzny sposób proszenia... – skomentował. – A jeśli chodzi o to, kim jestem... Lepiej by było, gdybyś nie wiedziała. Po co ci ta wiedza? Jeśli tylko pozwolisz mi wstać, to w chwili, gdy przejdę przez próg, od razu zniknę z twojego życia.

– Kusząca propozycja, ale wolałabym poznać prawdę, zanim cię wypuszczę.

– Och, czyli jestem twoim więźniem?

Nie wydawał się tym faktem przerażony ani zasmucony. Miałam wrażenie, że taka perspektywa sprawia mu raczej przyjemność.

Cholerny zboczeniec.

– Wbiję ci ten nóż w gardło, przysięgam!

– Dobrze, już dobrze. Wątpię, czy naprawdę byłabyś to w stanie zrobić, ale przynajmniej się starasz. Jestem płanetnikiem. A ty, mam nadzieję, jesteś tylko dobrą aktorką, a nie morderczynią.

Moja dłoń z nożem opadła, tak samo jak napięcie, które niemalże doprowadziło mnie do dreszczy.

Płanetnik. Gdybym usłyszała takie oświadczenie jeszcze kilka miesięcy temu, nie uwierzyłabym. Ostatnio jednak zbyt dużo widziałam. Wiedziałam, że płanetnicy istnieją. Raczej musieli, skoro chociażby takie wąpierzze pałętały się po cmentarzach. Sławek mnie nie okłamał. Nie był demonem. Nie był oczywiście też do końca człowiekiem, ale do upira miał daleko. Czułam to przez skórę.

Każdy żyjący mężczyzna miał możliwość zamiany w płanetnika. Chociaż słowo „zamiana” to duże nadużycie. Poza zdolnością do tworzenia w swoich dłoniach błyskawic i możliwością latania na chmurach w ogóle się nie zmieniali. To byli normalni mężczyźni, którzy mieli pecha znaleźć się w złym miejscu w złym czasie. W trakcie burzy byli porywani pomiędzy obłoki, gdzie nabywali nowych zdolności.

Niczego nigdy nie dostaje się za darmo. W zamian musieli walczyć w chmurach ze żmijami. Smoki rodziły się z burzowych chmur, mając za cel jedynie zniszczenie wszystkiego na swojej drodze. Płanetnicy je przed tym powstrzymywali. Wszystko składało się w całość. Cztery dni temu była burza. Widziałam błyskawice, po których słyszałam grzmoty, czyli ryki ranionych żmijów.

Istniała jeszcze jedna zasada dotycząca płanetników. Świat był podzielony na ich terytoria. Gdy płanetnik zginął w pojedynku ze żmijem, wtedy automatycznie kolejny mężczyzna zostawał porwany w chmury. Zgodnie z legendami odbywało się to całkiem często, ponieważ śmiertelność w powietrznych pojedynkach była duża.

Spojrzałam na klatkę piersiową Sławka owiniętą bandażami. Obrażenia pasowałyby do rozstawu szponów żmijów, te potwory wielkością dorównywały średnim dinozaurom. Mój dodatkowy zmysł szeptuchy, jak intuicję nazywała czasem babcia Radomiła, podpowiadał, że mogę mężczyźnie zaufać.

– To jak będzie, Jago? – zapytał. – Wierzysz mi?

– Może.

– Spotkałaś już kiedyś płanetnika?

– Nie.

– To dlatego nie chcesz mi uwierzyć – skwitował, ale mimo wszystko się rozluźnił. – To miłe móc

o tym komuś powiedzieć.

– Nikt nie wie, że jesteś planetnikiem? Nawet twoja rodzina?

Wesołość zniknęła z jego oczu.

– Jestem planetnikiem. My nie mamy rodzin.

Feluś zaczął drapać mnie po nogach, domagając się jedzenia. Rzuciłam nożyk na kredens i podeszłam do części kuchennej. Postawiłam na ogniu rondel, w którym chciałam podgrzać butelkę z kozim mlekiem. Nastawiłam jeszcze garnek z zupą.

– Zjesz coś? – zapytałam Sławka. – Cztery dni byłeś nieprzytomny. Kiszki muszą grać ci marsza.

Przechylił się na bok, podparł rękami i usiadł z wysiłkiem. Na jego twarzy pojawiły się rumieńce, gdy ból schwycił go w swoje szpony. Zerknęłam z niepokojem na opatrunki, ale nie przeciekły świeżą krwią.

– A masz coś do picia? Trochę mnie suszy.

– Zaraz dam ci wodę.

– A jakiejś naleweczki nie masz? Zdrowotnej, rzecz jasna.

Prychnęłam śmiechem.

– Podaję ci antybiotyk. Łączenie leków z alkoholem nie będzie zbyt mądre.

– Szeptucha? Podaje antybiotyki? Jakaś nowoczesna jesteś.

– Wyglądałeś, jakbyś miał umrzeć. Próbowaliśmy wszystkiego – powiedziałam i podałam mu szklanek wody.

Wypił duszkiem.

– Wychodek jest za domem? – Wskazał na drzwi.

– Poczekaj. Skończę podgrzewać mleko i z tobą pójdę.

Obśmiał mnie.

– Skorzystać z wychodka jeszcze umiem. Spokojnie, Jago. Jestem planetnikiem. Obrażenia goją się na mnie jak na psie. Skoro się obudziłem, to jutro już będę biegał.

Wstał, lekko się zachwiał, ale następnie ruszył prostym krokiem do wyjścia. Usiadłam na zwolnionym łóżku i położyłam sobie Felusia na kolanach. Zaczęłam karmić go pipetą. Nie zamierzałam więcej martwić się o Sławka.

Rozlałam zupę do talerzy. Mężczyzna wrócił do chaty, akurat kiedy stawiałam je na stole. Przeciągnął się, aż strzeliły mu stawy w kręgosłupie. Patrzyłam na to z niepokojem. Jak tak dalej pójdzie, to moje szwy puszczą, a on rozerwie się na części.

– Spokojnie, Jago. Obudziłem się, teraz już będzie dobrze – zapewnił mnie. – Żmij, z którym walczyłem, był wyjątkowo szcwaną bestią. Nieźle mnie poharatał. Dobrze, że nie połamał kości, bo wtedy raczej byś mnie nie odratowała.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie. Kociak wskoczył na zwolnione łóżko, położył się na plecach i zasnął z pełnym brzuszkiem. Sławek sięgnął do opatrunku na czole i delikatnie go odwinął. Nad jego lewą brwią biegła cieniutka ranka, z której sterczały nici. Wyglądały na całkowicie zbędne. Wydawało mi się, że widzę, jak skóra się napina, a rana zwięza.

– Jak zjesz, zdejmę ci szwy – powiedziałam.

Był tak zajęty pałaszowaniem zupy, że chyba nic nie słyszał.

– Nie jesz swojej? – zapytał, gdy jego łyżka zagrzechotała o dno talerza.

Podsunałam mu drugą porcję. Chorobliwa bladość jego skóry znikła. Nabrał kolorów, a nawet zaczął wyglądać na lekko opalonego. Magia. Miał rację. Najwyraźniej planetnicy mieli jakieś dodatkowe zdolności. W sumie było to nawet logiczne. Musieli przecież szybko dochodzić do siebie. Czasami padało przez wiele dni. W najgorszych wypadkach walczyli kilka razy.

Wyjęłam z kredensu nożyczki i butelkę nalewki wzmacniającej z róży i wiśni. Nalałam jej do dwóch kieliszków. Błysnął zębami zachwycony, że zgodziłam się na jego pomysł. Ech... pijak.

– Opowiedz mi coś o sobie – powiedziałam. – Trochę mi zajmie, zanim usunę wszystkie szwy. Zabaw mnie rozmową.

– Jak sobie życzysz. A tymczasem, twoje zdrowie, Jago! – Podał mi kieliszek.

Napiliśmy się, a ja zabrałam się do pracy. Siedział cierpliwie, nie wrywał się, a nawet nie krzywił, gdy wyciągałam nici powrastane w świeżą tkanę. Musiałam zapamiętać na przyszłość, żeby wyciągać szwy z planetników od razu po ich przebudzeniu. Teraz z każdą minutą moja praca stawała się coraz trudniejsza.

Sławek opowiedział mi o swoim porwaniu w chmury, o tym, że zerwał z tego powodu zaręczyny, bo nie chciał zbyt szybko owdowić swojej lubej, a także o wydziedziczeniu go przez ojca, który obraził się, że syn zerwał ze swoją narzeczoną.

– Niezła historia – skwitowałam. – To z czego teraz żyjesz? Bo przecież jako planetnik nie dostajesz pensji.

– Niestety nikt mi nie płaci za narażanie życia. A szkoda – stwierdził. – Łapię dorywcze roboty. Pomagam w zbiorach. Zimą najmuje się przy zwierzętach. Mało ambitne, ale bardzo satysfakcjonujące.

– A gdzie mieszkasz?

Wyciągnęłam ostatnią nitkę szwu z jego brzucha. Sławek był jak nowo narodzony. Jego skórę znaczyły jedynie delikatne różowe linie w miejscach, które jeszcze cztery dni temu były przedziurawione niemalże na wylot.

– U gospodarzy, którzy mnie zatrudniają. Ciekawe, czy jeszcze będę miał pracę, jak jutro wrócę.

– A co powiesz gospodarzowi?

– Że za dużo wypilem, wpadłem w ciąg. Chłop zrozumie. – Mrugnął do mnie. – A jak już jesteśmy przy temacie. Należysz jeszcze trochę tej naleweczki?

Zerknęłam na butelkę, w której zostało tylko pół ciemnoczerwonej zawartości.

– Ona jest mocna – przestrzegłam. – Głowa może cię jutro boleć.

– Będę autentycznie wyglądać podczas rozmowy z gospodarzem!

Nalałam alkoholu. Znowu stuknęliśmy się kieliszkami. Ja sączyłam powoli, bo coraz bardziej szumiało mi w głowie, z kolei Sławek przełknął zawartość jednym haustem. Jego rozbawione oczy błyszczały. Uśmiechał się do mnie z czarnej brody i czarował, ile tylko zdołał. Kojarzył mi się z Rumcajsem z czeskiej bajki.

– Wiesz, Jago... znałem twoją babcię – wyznał.

– Och, tak? – Ucieszyłam się.

– Byłem oczywiście jeszcze szczeniakiem, ale ją pamiętam. Była bardzo miła.

Rozmarzyłam się, wspominając jej uśmiech i głos. Miał rację. Była miła. Nawet za bardzo.

– Ale nie dawała sobie w kaszę dmuchać – dodał. – Gdy trzeba było, sięgała po nóż, tak jak ty.

– Tak? – zdziwiłam się. – A o czymś wiesz? Miała wrogów?

– Czy wrogów... – Wzruszył ramionami i polał nam jeszcze nalewki. – Wiem, że czasem rozprawiała się z upirami. Powiedziała mi o tym, kiedy stałem się płanetnikiem.

– Wiedziała o tobie?

– Sam jej powiedziałem. Byłem tak skołowany i przerażony przemianą, że nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Najchętniej skoczyłbym z jakiejś wysokiej chmury i skończył ze wszystkim. To ona mnie przekonała, że samobójstwo nie jest żadnym rozwiązaniem, że muszę złapać życie za rogi i wycisnąć z niego, ile się da, skoro taka moja dola.

– I co? Posłuchałeś jej?

– Nie narzekam na swoje życie. – Posłał mi szelmowski uśmieszek i zerknął znacząco w mój dekolt. Gdy walczyłam z jego opornymi szwami, zrobiło mi się gorąco, więc odpięłam kilka guzików koszuli i mógł teraz całkiem głęboko zajrzeć pomiędzy warstwy cienkiego płótna. – A skąd pomysł, że twoja babcia mogła mieć jakichś wrogów? Przecież to najsympatyczniejsza i najmiłsza osoba, jaka chodziła pod słońcem.

– Niepokoi mnie trochę sposób, w jaki umarła – wyznałam. – Coś nie daje mi spokoju, ale nie wiem co. Zresztą... kojarzysz inne istoty nadprzyrodzone z okolicy?

– Znaczący demony? Nie ma mowy. Trzymam się z daleka od kłopotów. Spotkania ze żmijami wystarczą mi w zupełności.

– A nie zauważyłeś, żeby ostatnio w okolicy było ich jakby... więcej?

– Nie, przykro mi. – Pokręcił głową. – Jeszcze naleweczki?

– Ja dziękuję, ale ty się nie krępuj.

Ochoczo nalał sobie kieliszek i opróżnił go z uśmiechem na ustach. Bardzo mu smakowało. Rozejrzał się po chatce.

– A gdzie chowasz książkę? – zapytał.

– Eee... jaką książkę?

– Taką z metalową okładką, zdobioną.

Wytrzeszczyłam oczy. Nie miałam zielonego pojęcia, o czym bredził.

– No książkę Radomiły, której nie wolno było dotykać – sprecyzował.

Ja też rozejrzałam się po wnętrzu chaty. Pod łóżkiem leżały książki, ale to były moje podręczniki ze studiów. Nigdy nie widziałam u babci księgi z metalowymi okładkami. Nie pokazała mi jej ani nie zostawiła. Przekazała tylko zeszyt ze swoimi zapiskami.

– Nie kojarzę żadnej książki – powiedziałam.

– Hm. Dziwne. – Zmarszczył czoło. – Co prawda widziałem ją tylko raz, ale wyglądała na drogą. Kiedy zostałem płanetnikiem i przyszedłem do niej po pomoc, szukała w niej sposobu, by zamienić mnie z powrotem w człowieka. Książka, a raczej księga, miała metalowe, jakby posrebrzane okładki, pomiędzy którymi tkwiły kawałki grubego pergaminu. Nie wiem, w jakim języku została spisana, ale sprawiała wrażenie pisanej odręcznie. Słowa były dla mnie nieczytelne. Strony miała bardzo grube, ale Radomiła dotykała ich delikatnie, jakby bała się, że pokruszą jej się w dłoniach.

– Och...

Zdecydowanie nigdy nie widziałam takiej książki u mojej babci. Zrobiło mi się przykro. Dlaczego mi jej nie pokazała? Nie byłam wystarczająco godna? Mądra? Roztropna?

– Nie zostawiła ci jej? – zdziwił się.

– Nie – pokręciłam głową, walcząc ze łzami, które po zbyt dużej dawce alkoholu podejrzenie szybko pojawiły się w kącikach moich oczu.

– A przeszukałaś dobrze chatę?

– Tu nie ma za wielu skrytek – odparłam kwaśnym tonem. – Chociaż...

– Tak?

– Ktoś okradł babcię. Po jej śmierci chatka została splądrowana. Próbowалам odzyskać część przedmiotów, ale pewnie nie wszystkie do mnie wróciły.

– Co?! – Poczzerwieniał. – Ktoś miał czelność okradać szeptuchę?! No jak bogów wszystkich kocham, ten kraj schodzi na psy! Co jest z tymi ludźmi?!

Ucieszyła mnie jego szczerą złością, jako że w pełni się z nią zgadzałam.

– Gdybym w jakikolwiek sposób mógł pomóc ci w odnalezieniu książki, to koniecznie daj mi znać. Będę kręcił się w okolicy Bielin i Kakonina w najbliższym czasie – powiedział. – Zbliża się sierpień, niedługo będą potrzebne ręce do pracy. Łatwo znajdę zajęcie.

– Dzięki, będę pamiętać.

Sławek zerknął na drzwi i ziewnął.

– Chyba będę się zbierał – oświadczył. – Wrócę do gospodarstwa, w którym pomagam, i walnę się spać w stodole. Rano będę jak nowo narodzony.

– W stodole? Na sianie? Możesz zostać tutaj jeszcze jedną noc – zaproponowałam.

– A ty będziesz spała na podłodze? Przecież chyba to właśnie robiłaś przez ostatnie kilka nocy. – Wskazał brodą na moje prowizoryczne posłanie pod drugą ścianą. – Nie wypada, droga Jago. Zdecydowanie nadużyłem twojej gościnności. Jeszcze żebyśmy spali w jednym łóżku, to ja rozumiem! Ale tak to bez sensu. Czerpię z życia pełnymi garściami, ale nie będę się odwdzięczał mojej dobrodziejce, kradnąc jej wianek pierwszego dnia znajomości.

Na końcu języka miałam stwierdzenie, że mój wianek został skradziony już kilka lat temu, ale powstrzymałam się przed komentarzem. Nie musiał tego wiedzieć.

Sławek wstał z krzesła i ruszył w stronę drzwi. Złapał po drodze swoją koszulę, ale była tak podarta i zachlapana krwią, że wkładanie jej całkowicie miało się z celem. Zmiał ją w kulkę.

Odprowadziłam go do wyjścia.

– Bardzo miło było mi cię poznać, Jago. Cieszę się, że mnie odnalazłaś i postawiłaś na nogi – powiedział.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, pochylił się, wolną ręką złapał mnie za podbródek i pocałował prosto w usta. Szorstki zarost zakłuł mnie w brodę, mimo to uchyliłam wargi i przyjąłam pocałunek.

Bo Sławek umiał całować. Oj, umiał.

Gdy się ode mnie odsunął, musiałam mieć dość zachwyconą minę, bo tylko się zaśmiał, cmoknął mnie jeszcze w czoło i zawołał na pożegnanie:

– Pierwszego dnia wianka ci nie ukradłem, ale jeszcze kiedyś się po niego zgłoszę!

Następnie zniknął w ciemności wieczoru. Pewnie powinnam się na niego obrazić, unieść dumą, a może nawet go przekląć za taką impertynencję. Zamiast tego pomyślałam, że chyba będę czekać, aż się po ten wianek zgłosi.

20.

– Hej! Co taka zamyślona siedzisz?!

Mocne stuknięcie w ramię przywróciło mnie do świata żywych. Zamrugałam i lekko nieprzytomna spojrzałam na Mirkę.

– A o niczym, trochę o Mszczuju – odparłam.

– Uuu! – zawyła. – O Mszczuju?! Czyżby się szykował jakiś romansik? Bo ja pamiętam, jakżeście w krzakach zniknęli na dłuższą chwilę podczas Nocy Kupały.

– Zlituj się Mirka... – jęknęłam. – Co się dzieje w Noc Kupały, zostaje zapomniane.

– A myślisz, że Mszczuj zapomniął?

Trafna uwaga. Cholerny alkohol. Zgubi mnie kiedyś nadmierna buta, której pod jego wpływem nabieram. Jakby na przekór wnioskowi, do których właśnie doszłam, uniosłam trzymaną butelkę miodu do ust i pociągnęłam duży łyk. Całe szczęście, że na wieczorach panieńskich nie ma mężczyzn. Przynajmniej dzisiaj nie wpędzę się w żadne kłopoty.

– Ty lepiej pilnuj dzierlatek – burknęłam.

Koleżanka zerknęła na panny, które w najlepsze bawiły się dookoła ogniska. Z przenośnego radia na baterie, które jakimś cudem złapało zasięg w głuszy koło domku myśliwskiego, leciał właśnie skoczny kawałek brytyjskiego zespołu Queen. Kobiety nagie jak je bogowie stworzyli skakały na tle ognia. My z Mirką przysiadłyśmy na chwilę na kocyku, żeby odpocząć.

Wieczór panieński przebiegał bez większych problemów. Dzięki Mirce dowiedziałam się, co po kolei powinno się odprawić podczas tego typu uroczystości. Miałyśmy już za sobą nacieranie nagich ciał wonnościami i miodem, a także zaplatanie włosów i szeptanie modlitw o urodę. Specyfiki przygotowane przez Mirkę, a których przepisy skrętnie sobie zapisałam, miały w sobie całkiem sporo odurzających i pobudzających ziół. To podobno były receptury przekazywane w jej rodzinie od pokoleń. Z powodu ich właściwości panny musiały w ciągu nocy unikać mężczyzn, bo mogło się to skończyć dość lekkomyślnymi występami.

Następnym krokiem podczas wieczoru panieńskiego były modlitwy do bogini Mokosz, wlewanie alkoholu do ognia, a także do własnych gardeł. Zostało nam jeszcze zanurzenie się w jeziorze, w którym zgodnie z tradycją odbijał się księżyc w pełni, by zrosić skórę błogosławieństwem bogini księżycy Chors.

Aha, jeszcze zabawa kamiennym penisem i składanie życzeń.

Przyznam szczerze, że całkiem podobała mi się ta część pracy szeptuchy. Mogłam zostać etatową organizatorką wieczorów panieńskich. Jak na razie wszystko było super.

– To co z tym Mszczujem? – Mirka nie ustępowała.

– Przyjechał do niego ojciec. Bez zapowiedzi.

– Och, tak? I co? Sympatyczny?

– Właśnie nie. Poznałam go wczoraj. Siedzi u Mszczuja już ponad tydzień. Chyba usiłuje go namówić, żeby wrócił nad morze, objąć po nim chram.

Mirka otworzyła szeroko oczy i położyła dłoń na nagiej piersi.

- Nie! – zawołała. – Mszczuj nie może wyjechać! Jest taki milutki!
- On wcale nie chce, ale jego ojciec próbuje go do tego zmusić.
- A coś mówił, jak ich spotkaliście?
- Właśnie nie za wiele. Dziwny był.

Przed oczami stanęło mi wspomnienie z wczorajszego spotkania. Poszłam akurat na zakupy do sklepu w centrum Bielin. Po drodze wpadłam do chatki Mszczuja, żeby się przywitać. Mijały dni, a on ani razu mnie nie odwiedził. To nie było do niego podobne, dlatego sama postanowiłam zajrzeć i dowiedzieć się, co u niego słychać. Myślałam, że może jego ojciec już wyjechał.

Myliłam się. Siedział sztywno na jedynym krześle w chacie i strofował stojącego obok syna. Gdy zapukałam i wsunęłam do środka głowę, nawet nie przestał wylewać swoich pretensji. Nie wiedział, kim jestem, a mimo to nie przerwał zawstydzającej przemowy. Bardzo nieprofesjonalne i nieładne zachowanie.

Mszczujowi oczywiście zrobiło się przykro, że usłyszałam, jak ojciec go łąja. I tak dotarł do mnie tylko ułamek pogadanki, ale jeśli cała była w tym samym oskarżająco-protekcjonalnym tonie, to naprawdę współczułam młodemu kapłanowi. Nie wiem, co strzeliło do głowy jego ojcu, żeby tak się zachowywać. Przecież zdawał sobie raczej sprawę z tego, że taki ton nie przekona syna do powrotu do rodzinnego gniazda.

Mnie w każdym razie by nie przekonał. Tym bardziej stanęłabym okoniem i zrobiła staremu dziadowi na złość.

Kiedy przeprosiłam za wejście i poprosiłam Mszczuja, stary kapłan zareagował jeszcze dziwniej. Zerwał się z krzesła i podszedł do mnie bez słowa. Nie był zbyt wysoki, więc nie musiałam specjalnie zadzierać głowy, żeby spojrzeć mu w oczy. Niemniej stanął tak blisko mnie, że odruchowo odsunęłam się o krok. Byłam na siebie za to bardzo zła. Nie chciałam okazywać przed nim strachu.

- Wiedział, jak się nazywam i kim jestem, kiedy tylko na mnie spojrział – powiedziałam Mirce.
- Pewnie Mszczuj mu powiedział. – Wzruszyła ramionami.
- Właśnie chyba nie... – pokręciłam głową. – Naprawdę zachowywał się dziwnie. Jakby miał jakiś napad. Wywrócił oczy tak, że widziałam tylko białka i zaczął szeptać.
- Och, czyli miał wizję!

Mirka pociągnęła kilka łyków miodu i zawołała do dziewcząt, zagrzewając je do tańca. Pot perlił się na nasmarowanych miodem ciałach.

Przyszła panna młoda wyróżniała się na tle koleżanek. Miała na głowie największy wianek. Byłam dumna z tego wianka. Uplotłam większość z nich, ale do tego wyjątkowo się przyłożyłam. Dziewczyna wyglądała jak wcielenie bogini Mokosz. Oczywiście nie miała ciężowego brzucha, ale bardzo mocno kojarzyła mi się z boginią płodności.

- A coś ci powiedział? – zapytała Mirka. – Takie widzenia przeważnie się spełniają, chociaż podobno lepsze są obrazy z krwi czy tam z podrobów.

Pokiwałam głową. Znałam tę opinię. Najlepsze wróżby były z kurzych wnętrzności. Podobno kapłani potrafili zobaczyć w nich bardzo dużo szczegółów. Chociaż modne ostatnio organizacje chroniące zwierzęta mocno tępiły ten zwyczaj. Dlatego część żerców wprowadzała się w trans, a potem malowała czerwoną farbą na płótnie jakieś bohomyzy, które potem usiłowano odczytywać na najróżniejsze sposoby.

– Jakieś całkowicie oderwane słowa. Zupełnie nielogiczne – odpowiedziałam Mirce. – Nic nie znaczący, nie wiem, o co mu chodziło. Mszczuj mnie potem przeprosił. Podobno jego ojcu często zdarzają się takie akcje.

– Eee, to co się przejmujesz? – Poklepała mnie po dłoni. – Jestem pewna, że Mszczuj nie wyjedzie z ojcem. Przecież dobrze mu w Bielinach. No i ma ciebie!

Zachichotała i pozwoliła się porwać pannom do tańca. Mnie także usiłowały zaciągnąć bliżej ognia, ale wskazałam im prawie pustą butelkę miodu pitnego i pochyliłam ją w stronę ust.

A co do ojca Mszczuja... przejmowałam się, bo powiedział coś bardzo dziwnego. Miałam dreszcze, gdy przypominałam sobie jego głos. Chropowaty i jakby martwy. Wyszeptał ledwie słyszalnie cztery słowa. Tylko cztery, a może aż cztery:

„Księga, mysz, krew, śmierć”.

Nie mam zielonego pojęcia, o co chodziło, ale bardzo mi się nie podobało użycie słowa księga. Zwłaszcza że dopiero co dowiedziałam się o jakiejś tajemniczej, należącej podobno do mojej babci, księżce, która zaginęła.

Dopiłam duszkiem miód i przymknęłam oczy, gdy świat na chwilę dookoła mnie zawirował. Odłożyłam butelkę i wstałam. Odrobinę się zachwiałam, ale zaraz porwały mnie pomocne kobiece dłonie i zaciągnęły w stronę wysokiego ognia. Poczułam na skórze jego żar i zaczęłam tańczyć.

Wszystko przestało się dla mnie liczyć. Znaczenie miały tylko pełzające po ciele ciepło i rytm moich stóp uderzających o ziemię. Zapach kwiatów z wonnego miodu, którym się natarłyśmy, mieszał mi głowie. Gdy tak tańczyłam, przez chwilę wydawało mi się, że widzę w ogniu czarne jak węgle oczy Swaróżyca.

– Tańcz! – Usłyszałam w głowie jego szept.

Więc tańczyłam. Tańczyłam dla siebie, dla bogiń i dla niego.

– Do jeziora! – zawołała Mirka. – Słońce, czyli bóg Dadźbóg, kochanek bogini Chors, zmęczony naszymi swawolami, poszedł już spać. Czas pokłonić się jego miłości, księżycowi! Spójrzcie w niebo na jego srebrną tarczę!

Rozpalone opuściłyśmy ciepły kokon ognia i podeszłyśmy do wody. Panna młoda, przedstawiona mi wcześniej jako Przemysława, zdrobniale Przemka, złapała kamiennego fallusa i, chichocząc jak wariatka, wskoczyła do wody. Zimne kropelki chlusnęły na nas z impetem.

– Chors, bogini księżycy, zmysłowa kochanko, ukaż się tej nocy. Pobłogosław nas w tym obrzędzie, daj nam światła, siły oraz mocy. Sława Chors! – zaintonowała Mirka.

– Sława Chors! – powtórzyłyśmy chórem.

Weszłam do jeziora po pas i napełniłam wodą wcześniej przygotowaną misę. Zbliżyłam się do panny młodej.

– Wsadź penisa do miski i napij się wody – rozkazałam.

Ku mojemu zaskoczeniu, wcześniej roześmiana Przemka spełniła moje polecenie bez cienia rozbawienia. Ja nie wiem, czy umiałabym się nie uśmiechnąć, gdy kamienna rzeźba, całkiem dobrze oddająca męską anatomie, stuka mnie w nos, gdy piję wodę z miski.

Byłam pod wrażeniem.

W międzyczasie inne uczestniczki zabawy dołączyły do nas w jeziorze. Wszystkie napiłyśmy się z miski. Mirka wyłowila kamiennego fallusa i podała go Przemce.

– Weź go – powiedziała. – Ta noc jest szczególna. Dostałaś błogosławieństwo płodności Mokosz i Chors. Unikaj jednak dzisiaj mężczyzn, przestrzegam ciebie oraz wszystkie z was.

Dziewczeta wpatrywały się w Mirkę ze zdziwieniem. Ja też nie do końca wiedziałam, o co chodzi. Ze wstydem przyznaję, że nigdy nie byłam na tradycyjnym wieczorze panieńskim. W Warszawie takich już nie wyprawiano, bo trudno byłoby biegać po miejskich parkach nago, a przez studia i wyjazdy do pracy w wakacje przegapiłam większość imprez organizowanych przez koleżanki z rodzinnej wsi.

– Dzisiejszy wieczór wyzwoli w was żądę na widok mężczyzny. Każdego – podkreśliła Mirka. – Miejcie się więc na baczności.

Dziewczyny pokiwały głowami i zaczęły rozchlapywać wodę. Przysiadłam na kamieniu i spuściłam nogi do jeziora. Wystawiłam twarz do księżycowego światła. Zastanawiałam się, gdzie jest wilkołak, który miesiąc temu zabił cielaki w Bielinach. Już wczoraj księżyc był okrągły, ale nie odnotowano żadnego ataku. Jakoś nie wydawało mi się, że to moje zabezpieczenie z ziółek i soli było tak genialne, aby go powstrzymać.

Gdy uczestniczki wieczoru razem z Mirką chlapały się beztrudno, obserwowałam las. Wcześniej to do mnie nie docierało, pewnie przez oszołomienie ziołami, które szeptucha z Huty Nowej wrzuciła do ognia, ale same w lesie byłyśmy narażone na spore niebezpieczeństwo. Zerknęłam na niebo. Okrągły księżyc i punkty gwiazd migotały wesoło, ale znad puszczy powoli sunęły w naszym kierunku chmury. Nie wyglądały na burzowe, ale były dość ciemne. Jeszcze mógł nas dzisiaj polać ciepły, letni deszcz.

Ciekawe, czy Sławek doszedł już całkiem do siebie? Przez ostatnie dni nęciło mnie, żeby poszukać go po Bielinach i Kakoninie, ale w końcu się nie odważyłam. Kolejne spotkanie z całą pewnością byłoby ekscytujące, ale przecież nie szukam żadnych związków.

– Babo Jago?

Drgnęłam. Tak zapatrzyłam się w poruszające się na wietrze gałęzie i zanurzyłam w swoje myśli o Sławku, że nie zauważyłam, kiedy podeszła do mnie Przemka. Na twarzy dziewczyny malowało się zażenowanie.

– Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać. Pewnie się modliłaś – dodała.

Poczułam, jak na policzki wpełzają mi rumieńce. Rozmyślałam o Sławku raczej nie nazwałabym modlitwą.

– Spokojnie, co tam, Przemko? W czym mogę ci pomóc? – zapytałam.

Przysiadła na kamieniu obok mnie. W dłoniach obracała nerwowo kamienną rzeźbę penisa.

– Chciałam cię zapytać, czy może kojarzysz takiego chłopaka, chociaż z widzenia...

– Kogo? Wiesz, jestem nowa w Bielinach. Jeszcze nie każdego kojarzę – usiłowałam chociaż trochę się usprawiedliwić.

– Nazywa się Jaczemir.

Nie, nie miałam zielonego pojęcia, kto to jest.

– A jak wygląda? – dopytałam.

– Lekko rudawe włosy, do ramion. Takie nie za gęste, szczerze mówiąc. Po ojcu zaczynają mu się już przerzedzać na czole. Jest kilka lat starszy ode mnie.

– Nie, przykro mi, ale w ogóle go nie kojarzę. – Posłałam jej przepraszający uśmiech. – Czemu

o niego pytasz?

Z tego, co wiedziałam, pan młody, swoją drogą także mieszkaniec Bielin, nazywał się inaczej.

– To... mój poprzedni chłopak. Spotykaliśmy się kilka lat. Byliśmy nawet przez chwilę zaręczeni, ale pewnego dnia poznałam Masława i przepadłam. To było jak grom z jasnego nieba. Nigdy wcześniej nie czułam czegoś takiego do Jaczemira. W jednej chwili zrozumiałam, że nie mogę za niego wyjść, że to Masław jest tym jedynym.

W poradach sercowych nie byłam zbyt dobra. Nie miałam zielonego pojęcia, co mogłabym powiedzieć Przemce.

– Rozumiem – odparłam mimo braku pomysłów. Udawanie zrozumienia wydawało mi się właściwe. – A czemu teraz pytasz o Jaczemira, skoro nic do niego nie czujesz?

– Och, to nie chodzi o to, że mam jakieś wątpliwości co do swaćby! O nie!

I całe szczęście. Z tego, co Mirka mi opowiadała, huczne weselisko w Hucie miało być imprezą sezonu. Rodzice Przemki byli całkiem bogaci. Podobno zostało zaproszone niemalże pół miasta. Ja też się wybierałam, udało mi się załapać trochę psim śwędem. Mirka mnie zarekomendowała i zwerbowała do prowadzenia wieczoru panieńskiego, przez co Przemka uznała, że muszę być gościem honorowym tak jak szeptucha z Huty.

– Bardzo kocham Masława. To ten jedyny – szła w zaparte. – Jest przystojny, dobrze sytuowany, bardzo miły. Traktuje mnie jak królową. I co najważniejsze, moi rodzice w pełni go akceptują.

Nie byłam do końca pewna, czy chce przekonać mnie, czy samą siebie.

– No to zakończenie jak w bajce – oświadczyłam.

– Tak, jak w bajce – mruknęła.

Ja się zupełnie nie nadaję do porad sercowych. Nie mogła zwrócić się ze swoimi wątpliwościami do Mirki? Jestem przekonana, że ona dałaby sobie radę sobie sto razy lepiej ode mnie.

Westchnęłam w duchu. No dobra, niech będzie. W końcu szeptucha poza ciałem powinna leczyć także ducha.

– Czemu więc pytasz o Jaczemira? – zapytałam.

– On... nie zniósł zbyt dobrze zerwania naszych zaręczyn – wyznała.

– Aha. To znaczy?

– Od ogłoszenia zapowiedzi mojej swaćby z Masławem kilka razy przychodził pod mój dom. Zawsze był pijany.

– Wydaje mi się, że nie powinnaś się nim przejmować. – Wzruszyłam ramionami. – Po twoim ślubie zapewne wreszcie dotrze do niego, że nie ma już czego u ciebie szukać.

– Ale nie zgłosił się do ciebie, Babo Jago, z żadnymi problemami? Bo podobno Jaczemir zaczął naprawdę bardzo dużo pić. Jego ojciec przyjechał z awanturą do mojego ojca, właśnie przez to jego picie.

– Nie, nikt taki się nie zgłaszał. Spokojnie. Jak się zgłosi, to sobie poradzę. Ty się ciesz zbliżającą się swaćbą. Twój Masław nie pije?

– Eee, tyle co zwykły chłop.

– No i dobrze.

– Bardzo dziękuję!

Wycalowała mnie w oba policzki i wskoczyła z powrotem do wody. Nie zdążyła się jednak

wybawić z koleżankami, bo z niepozornej chmurki właśnie zaczęły spadać pierwsze krople ciepłego deszczu.

– Dziewczyny! Zbieramy się! Bogowie dają nam znak, że czas wracać do łóżek! – zakomenderowała Mirka.

Narzuciłyśmy na siebie sukienki. Wianki zostawiłyśmy na głowach. Żadna nie kłopotowała się zakładaniem butów. Szłyśmy przez las w parach. Mirka rozpoczynała pochód, a ja go zamykałam. Musiałyśmy dojść do Bielin, gdzie z okazji wieczoru panna młoda wynajęła nocleg dla wszystkich dziewczyn. Zamierzałam odbić wcześniej, jako że i tak mijałyśmy moją chatę, i spać u siebie.

Pomimo coraz rzęsiściej padającego deszczu, szłam z uśmiechem na ustach. To była bardzo dobra noc. Dobrze wiedziałam, jakie substancje były w miodzie pitnym i balsamie do wcierania w ciało, ale i tak czułam się zupełnie inaczej niż zwykle. Miałam wrażenie, że mogę rozróżnić każdą kroplę deszczu rozbijającą się o moją skórę. Cieniutka sukienka z czarnego płótna na ramiączkach, którą narzuciłam na gołe ciało, przylgnęła do mnie, opinając brzuch i nogi, jeszcze bardziej potęgowała to uczucie.

Nagle, gdy byliśmy już blisko wyjścia z lasu, dźwięk szumiącego deszczu przerwało wycie.

21.

Deszcz padał coraz silniej. Kazałam Mirce popędzić z dziewczynami do przodu w trochę szybszym tempie niż dotychczas. Staralam się nie przestraszyć panny młodej i jej koleżanek. Na szczęście wydawały się tak rozbawione po wieczorze, że wilcze wycie nie zrobiło na nich specjalnego wrażenia.

Wycie rozległo się tylko raz, ale na moje ucho całkiem blisko. Odłączyłam się od grupki dziewcząt na wysokości mojego domu. Oczywiście wcześniej pożegnałam się wylewnie i zapewniłam, że nie mogę się doczekać weseliska.

Zgarnęłam szybko siekiere i worek soli z chaty, a następnie stanęłam na szosie. Nie do końca wiedziałam, co powinnam zrobić. Odprowadzić dziewczyny? Czy raczej ruszyć do lasu uzbrojona w siekiere?

Wycie znowu się rozległo. Trwało długo i wyraźnie było w nim słycać tęsknotę. Co ważniejsze, dobiegało od strony lasu, do którego twarzą się właśnie odwróciłam.

Szum deszczu, lejącego teraz już bardzo porządnie, zagłuszał praktycznie wszystkie dźwięki. Jeśli wilkołak nie stanie naprzeciwko mnie i nie zawyje mi w twarz, nie mam szans, by go wytropić.

Zerknęłam przez ramię na grupkę dziewcząt. Niosły latarnie, więc świetnie je było widać. Zbliżały się właśnie do zakrętu. Gdy go miną, znikną mi z oczu. Będą musiały potem jeszcze raz skręcić, a następnie iść jeszcze kilometr prosto, nieoświetloną drogą. Dopiero wtedy dotrą do Bielin.

Niech to lichy... powinnam jednak je eskortować. Jeśli wycie oznaczało wilkołaka, to przecież spokojnie mógł mnie minąć, pobiec polem i zagryźć którąkolwiek z nich choćby i za pięć minut.

Puściłam się biegiem ich śladem. Rozchlapując kałuże, modliłam się tylko o to, żeby się niechcący nie przewrócić i nie nadziać na własną siekiere.

Gdy dotarłam do zakrętu, one właśnie skręcały w długą prostą do serca Bielin. Jak na razie żadnych panicznych wrzasków, płaczu. Lampy, które niosły, nie bujały się podejrzenie. Trochę spokojniejsza ruszyłam za nimi. Jak na razie wycie się nie powtarzało.

Stanęłam na rozstaju dróg. Dziewczęta, chyba przez coraz zacieklej padający deszcz, przyspieszyły kroku, bo były już w połowie odległości od centrum wsi. Postanowiłam, że poczekam, aż wejdą na główną ulicę, i wrócę powoli do domu.

– Może to były tylko wilki? – mruknęłam do siebie.

Tak, to na pewno były tylko wilki. Zwykle, najzwyczajsze wilki. To co, że w tych lasach nie ma ich zbyt wielu. Po prostu pojawiły się zniecka, specjalnie dzisiaj, podczas pełni księżyca.

– Co tu robisz? – Za moimi plecami rozległo się pytanie. – Na dodatek z siekiere?

Drgnęłam. Jedynie drgnęłam. Byłam zadowolona ze swojej reakcji, bo równie dobrze mogłabym odwinąć się na pięcie i zamachnąć siekiere, co nie skończyłoby się dobrze dla tej osoby.

Odwróciłam się powoli i parsknęłam śmiechem. Obok mnie stał, jak gdyby nigdy nic, Sławek. Przyjął niedbałą pozę, wsunął dłonie do kieszeni portek i odchylił się delikatnie do tyłu, zupełnie jakby przed chwilą balansował na piętach. Jego czarne, kręcone włosy wyglądały, jakby dopiero co układał je fryzjer, a modna koszula we wzorek, z szerokim kołnierzykiem, obowiązkowo

rozchełstana na piersi, opinała jego umięśnioną klatkę piersiową. Najbardziej ubawiły mnie jego sztruksy o lekko rozszerzanych, dzwonowatych nogawkach.

Jednak to nie ubranie samo w sobie było najdziwniejsze w jego wyglądzie. Chodziło głównie o to, że pomimo lejącego się z nieba deszczu był zupełnie suchy. A czemu? A za sprawą małej, szarej chmurki, która unosiła się nad jego głową niby parasolka i jakimś cudem chłoneła wodę.

– Idziesz na randkę? – zapytałam. – Czy to twój ubiór specjalny na walkę ze zmiem?

– Niestety mój niewątpliwy urok osobisty nie działa na potwory zrodzone z burzy – odparł. – Wracam właśnie z potańcówki w Kakoninie. A ty, moja droga, jeśli wolno mi spytać? Wyglądasz czarująco, przyznaję, ale jednocześnie odrobinę niepokojąco.

Dobrze wiedziałam, jak wyglądam. Na mojej głowie tkwił rozwalający się wianek, swoją rozpiętością przypominający raczej kapelusz plażowy niż zwykłe nakrycie głowy, a moje ciało skrywała, a raczej odkrywała, cieniutka sukienka na ramiączkach, która była tak mokra, że zamieniła się praktycznie w drugą skórę. Zerknęłam na swój biust. Brodawki były doskonale widoczne przez materiał.

– Wracam z wieczoru panieńskiego – odparłam.

Uśmiechnął się i podszedł bliżej. Machnął prawą dłonią w powietrzu i chmurka nad jego głową powiększyła się na tyle, żeby skryć w swoim cieniu nas oboje. Wciągnęłam głęboko powietrze. Pod obłokiem pachniało... sama nie wiem, elektrycznością? Nie umiałam dokładnie nazwać tego zapachu, ale to był ten specyficzny zapach, który można poczuć tuż przed burzą albo po jej zakończeniu.

– A co robiłaś na nim z siekierą? – zapytał autentycznie zaciekawiony.

– Ach, nie! To nie na wieczór. Jak wracałyśmy, usłyszałam wycie wilka i wzięłam ją na wszelki wypadek.

Otworzył szeroko oczy. No nie dziwię mu się. Też bym tak zareagowała, gdyby ktoś mi oświadczył, że zamierza polować na wilka i to tylko za pomocą siekiery.

– Przegapiłem całe stado dzierlatek? I pewnie wszystkie były równie nieubrane jak ty?! – wykrzyknął.

Słucham...?

– Ja to nie mam szczęścia – dodał wyraźnie zasmucony.

Nadal stałam zupełnie nieruchomo, jedynie od czasu do czasu mrugałam.

– Jago... przecież sobie żartuję! – zaśmiał się. – Chodź, odprowadzę cię do domu. Ze mną żaden wilk ci nie zagrozi.

– Uff, bo już myślałam, że jesteś taki pusty.

– Wiesz... nie obraziłbym się, gdybym wpadł na stado kobiet wracających z wieczoru panieńskiego. Wyglądasz niesamowicie pociągająco, więc łatwo mi wyobrazić sobie, że wszystkie tego wieczoru emanujecie seksem i pożądaniem.

– Słucham? Wypraszam sobie! Niczym nie emanuję!

– Oj, czuć od ciebie, czuć. Aż mnie w nosie kręci od magii płodności – odparł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Uniosłam rękę i powąchałam swoje przedramię. Bez przesady. Jakiś przeczulony jest. Ja tam tylko zdołałam wywąchać aromat miodu i ziół. Już i tak spora jego część zmyła się przez deszcz.

– Naprawdę chciałaś zapolować na wilka siekierą? – zapytał.

– Tak naprawdę to na wilkołaka – wyjaśniłam. – Wydaje mi się, że jakiś kręci się po okolicy. Żadnych jednoznacznych śladów niby nie znalazłam, ale aktywny robi się tylko podczas pełni.

– Hm, wydaje mi się, że stanie naprzeciwko wilkołaka, gdy jest się uzbrojonym tylko w siekierę, nie jest najmądrzejszym pomysłem – zauważył.

– Mam jeszcze sól. – Pokazałam mu woreczek, którego sznurek okręciłam sobie dookoła nadgarstka.

– Sól nie działa na wilkołaki – oznajmił ze znanstwem.

Miło wiedzieć.

– A co działa w takim razie? – spytałam.

– Z tego, co mi wiadomo, to stare dobre żelazo sprawdza się najlepiej. Masz jakiś pistolet albo strzelbę?

– Nie, w życiu nie trzymałam broni palnej w rękach.

– Niedobrze. Pistolet i strzał w serce najlepsze. Dodatkowo nie musisz się do niego zbliżać.

– Wilkołaki są takie szybkie?

Wzruszył ramionami. Chmurka nad naszymi głowami również na chwilę się uniosła, a potem opadła, jak gdyby podtrzymywana przez niewidzialne sznurki na jego ciele.

– Nigdy żadnego nie spotkałem. To, co ci mówię, znam tylko z opowieści.

– A kto ci opowiadał o wilkołakach?

– Tułam się za dorywczą robotą po gospodarstwach już od wielu lat. Czasami przy alkoholu, zwłaszcza od starszych, można się nasłuchać ciekawych rzeczy. Na przykład od jednego dziadka z Bodzentyna dowiedziałem się, że pλανetnicy mogą tworzyć chmury zamiast parasoli. – Wskazał palcem na chmureczkę. – Jakby mi o tym nie powiedział, to nadal bym mókł na deszczu jak ostatni gamoń.

Pokiwałam głową. Miło, że dał mu wskazówkę.

– To po zamianie cała wiedza o tym, co się robi jako pλανetnik, nie pojawiła się jakoś magicznie w twojej głowie? – zapytałam.

– A gdzie tam! Sporo mi opowiedziała twoja babcia Radomiła. Reszty musiałem się dowiedzieć sam na podstawie prób i błędów.

– Całkiem słaba ta twoja zamiana – skwitowałam.

– I co poradzisz?

Doszliśmy pod moją chatę. Pchnęłam skrzypiącą furtkę i poprowadziłam pλανetnika do drzwi wejściowych. Gdy tylko przy nich stanęliśmy, dobiegło nas wycie wilka. Brzmiało wyjątkowo donośnie.

– Chyba jest gdzieś niedaleko – zaniepokoił się Sławek.

– Może tylko się dobrze niesie? – zasugerowałam.

– Na deszczu i przy wietrze? Nie znam się na akustyce, ale trochę szumi. Chyba powinno raczej zagłuszać, niż pomagać.

– Nie wiem, też się nie znam na akustyce – burknęłam. – Wiesz co, Sławku? Wejdz do mnie na chwilę. Może to zwykły wilk, a może to ten wilkołak, na którego poluję. Myślę, że oboje będziemy bezpieczniejsi w środku.

Na jego twarzy pojawił się zachwycony uśmiech.

– Martwisz się o mnie? – zapytał. – Dawno nikt się o mnie nie martwił

Nic dziwnego, skoro z musu odciął się od całej rodziny i przyjaciół.

– Miło, że się cieszysz. Chodź już do środka. Może ty jesteś suchy, ale ja chętnie bym się przebrała w ciuchy, z których nie cieknie.

– A mogę popatrzeć?

– Chyba na głowę upadłeś.

W środku było ciepło i przytulnie. W progu Sławek uniósł ręce i rozgonił chmurkę, zupełnie jakby była obłoczkiem mgły lub kłębowiskiem dymu. Ja w tym czasie zanurkowałam do walizki, w której trzymałam ubrania. Wianek rzuciłam do miednicy koło pieca i zaczęłam wycierać włosy ręcznikiem. Rozplątałam warkocz.

– Odwróć się z łaski swojej i nie podglądaj – poleciłam Sławkowi, który już zaczął grzebać w moim kredensie w poszukiwaniu nalewki.

– Jakżebyś śmiał.

Ściągnęłam przez głowę sukienkę i nagusieńka, jak mnie bogowie stworzyli, szybko zaczęłam się wycierać ręcznikiem. Zerknęłam na Sławka. Posłusznie stał do mnie tyłem, ale jednocześnie podglądał moje odbicie w szybcie przeszklonych drzwiczek. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, lekko zawstydzony (ale naprawdę tylko lekko) odwrócił wzrok.

– Może się napijemy? – zapytał.

– Jeśli wiśniówka ci smakowała, to powinna stać tam jeszcze jedna butelka.

– Była przepyszna. Twojej roboty?

– Nie, koleżanki. Pracuję tu dopiero od końca czerwca. Nie zdążyłam jeszcze nastawić własnych nalewek.

– Ładniej ci było w tamtej sukience – powiedział, gdy tylko usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stole i napiliśmy się nalewki.

Po przełknięciu słodko-cierpkiego napoju zaczęłam się zastanawiać, czy to aby dobry pomysł, żeby nadal pić, skoro jeszcze kilka godzin temu popijałam wesoło miód, i to w całkiem dużych ilościach.

– Była prawie przezroczysta – odparowałam.

– No właśnie.

Przewróciłam oczami. Nalał mi kolejny kieliszek, ale tylko zmoczyłam w nim usta. Teraz, gdy moja skóra już wyschła, aromat specyfików, którymi się nacierałyśmy z dziewczynami, stał się jakby silniejszy. Nawet nie musiałam się specjalnie wysilać, żeby go poczuć. Był słodki, sprawiał, że chciało się jeść. Zerknęłam na Sławka, który spokojnie przyglądał się moim piersiom. Nie założyłam pod sukienkę stanika, więc przez materiał było widać sterczące sutki.

Płanetnik naprawdę dobrze dzisiaj się prezentował. Nad brwią nie było nawet śladu po rozcięciu ani po szwach. Taki uśmiechnięty i rozluźniony przypominał mi gwiazdora filmowego. Poczułam, że robi mi się gorąco. Jak to ujęła Mirka? Że powinnyśmy dzisiaj unikać mężczyzn, bo będą wyzwalac w nas żądze?

A co ja zrobiłam? Oczywiście uznałam, że wiem lepiej, i wpuściłam sobie jednego do domu. Cała ja.

– Nad czym tak się zastanawiasz? – zapytał.

– Nad rozsądkiem.

– Hm? – zdziwił się.

– Nieważne – ucięłam.

– A jak tam poszukiwania księgi twojej babci? Już ją znalazłaś?

– Nie. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie może być. Babcia albo ją gdzieś dobrze schowała, albo ją ukradli.

Przypomniała mi się przepowiednia ojca Mszczuja. Może powinnam pójść tym tropem?

– Sławku... – zaczęłam.

– Tak, piękna?

Przysunął się w moją stronę ponad dzielącym nas blatem. Spojrzenie jego oczu stawało się coraz intensywniejsze. Miałam wrażenie, że rozpuszczam się w jego ciepłe. Nagle poczułam ogromną potrzebę, żeby zerwać z siebie ubranie.

– Powiedz mi. Czy wiesz coś o myszach?

– O myszach? – powtórzył zbity z tropu. Część ogni w jego oczach przygasła.

– Tak. Usłyszałam ostatnio ciekawą wróżbę. Możliwe, że pomoże mi odnaleźć księgę babci. We wróżbie pojawiła się wzmianka o myszach.

Oparł się wygodnie, zwiększając tym samym odległość pomiędzy nami. Chęć na zrzucenie ubrań także jakby odrobinę się zmniejszyła.

Odległość!

Czyli odległość od mężczyzny ma znaczenie!

Zadowolona z siebie sięgnęłam po kieliszek, żeby zająć czymś ręce, i zanim dotarło do mnie, co właśnie robię, wypiłam całą jego zawartość. Jak na zawołanie zaszumiało mi w głowie, a Sławek, pomimo dzielącej nas odległości, znowu stał się wielce pociągający.

No zgubi mnie ten alkohol. Zgubi jak nic!

– Myszy, myszy – zamruczał do siebie, ponownie napełniając kieliszki. – Jak moja starsza siostra była w ciąży, to babcia gadała, że trzeba spełniać wszystkie jej zachcianki, bo inaczej w domu pojawią się myszy i nas zjedzą.

– Nie jestem pewna, czy to może mieć związek.

– Jest jeszcze takie powiedzenie: gdy kota nie ma, myszy harcują.

– Też chyba nie...

– Cicho jak mysz pod miotłą?

Nijak nie pasowało mi to do książki, krwi i śmierci. Już bardziej ten pierwszy zabobon o ciężarnej by się nadawał.

– Myszy, myszy, która słyszy, która głucha niech nie słucha? Trącić myszka? – Próbował dalej.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– Ile ty znasz powiedzonek? – zapytałam.

– Całe mnóstwo. Jest jeszcze: a niech mnie myszy zjedzą i myszy tam nie bywają, gdzie o zbożu nie znają.

– Bardzo ci, Sławku, dziękuję, ale raczej nie o to chodzi.

– Jestem zawiedziony, że nie udało mi się pomóc.

Spojrzał w okno. Nie zamknęłam okiennic, więc mieliśmy świetny widok na malującą się za nim ścianę wody.

- Już późno, pewnie jesteś zmęczona – zagadnął.
- Nie bardzo – zaprzeczyłam.
- Powinienem już pójść.
- Pewnie powinienes.

Gdzieś w oddali zawył wilk. Pomyślałam z rozbawieniem, że wyjątkowo na rękę wyje mi dzisiaj to zwierzę. Płanetnik miał minę sugerującą, że pomyślał o tym samym.

- To już chyba pójdę.
- A jak cię zje wilk? – zapytałam przekornie.
- Nie wywołuj wilka z lasu – poradził.

Przecież nie mogłam go wypuścić. Jeszcze by go coś w nocy pożarło, a potem czułabym się winna do końca życia. Całe szczęście, że łóżko babci jest całkiem szerokie.

22.

Postanowiłam odstawić na jakiś czas alkohol. Wdrożyłam w życie ten plan następnego dnia po wieczorze panieńskim, gdy usiłowałam pozbyć się całkiem silnego kaca.

Byłam z siebie dumna. Udało mi się wytrzymać dwa tygodnie bez kropelki nalewki. Bogowie mi świadkiem, że na pewno mi to nie zaszkodzi. Nadużywanie wyraźnie mi nie sprzyjało i sprawiało, że podejmowałam niezbyt mądre decyzje. Chociaż o tyle dobrze, że Sławek jako typowy Don Juan po tamtej nocy więcej się do mnie nie odezwał. Burz żadnych w międzyczasie nie było, więc raczej nie umarł. Pewnie poszedł czerpać z życia całymi garściami gdzie indziej.

W sumie mi ulżyło. Już i tak miałam Mszczuja, który wodził za mną cielecym wzrokiem.

A jeśli chodziło o Mszczuja... a raczej o jego ojca...

– Feluś, i co ja mam z tym zrobić? – zapytałam.

Kociak leżał rozciągnięty na ławce pod oknem i grzał się w plamie słońca. Zupełnie zignorował moje pytanie. Im robił się większy i bardziej zaradny, tym mniej uwagi poświęcał mi pomiędzy posiłkami. Skoro nie zamierzał mi odpowiedzieć, sama zaczęłam się głośno zastanawiać:

– Przecież to takie brzydkie... gdzie ja mam to trzymać? Czy on sobie wyobrażał, że powieszę te bohomy na ścianie?

Kilka dni po wieczorze panieńskim z samego rana w moim domu rozległo się stanowcze pukanie. Z czasem przestałam się spodziewać klientów, którzy jakoś wciąż nie chcieli mnie odwiedzać, więc bez większych nadziei otworzyłam. Przyznaję, mój brak entuzjazmu był częściowo spowodowany obawami, że może to być Sławek z kwiatami.

Na szczęście nie był to płanetnik, z którym spędziłam całkiem gorącą noc, po której jakimś cudem zostały mi siniaki na pośladkach. Był to ojciec Mszczuja. Stał przed moimi drzwiami z ponurą miną. Przestraszyłam się, że może coś się stało bielińskiemu kapłanowi i przyszedł po ratunek dla syna. Szybko jednak dostrzegłam kasztanową czuprynę w pobliżu furtki.

Mszczuj w żadnym razie nie wyglądał na chorego, a jedynie na zakłopotanego.

– Pani Babo Jarogniewo, dzień dobry – powiedział oficjalnym tonem jego ojciec.

– Dzień dobry.

– Nie rozmawiajmy przez próg.

– Ach, tak! – załapałam z lekkim opóźnieniem. – Zapraszam do środka. A czy Mszczuj...?

– Mszczuj zostanie na zewnątrz. – Przerwał mi i wszedł do chaty.

Spojrzałam na młodego kapłana, ale usilnie wbijał wzrok w chwasty w moim ogródku. Nie pozostawało mi nic innego, jak wzruszyć ramionami i pójść za jego ojcem.

Stary żerca ścisnął w dłoniach dość duży przedmiot owinięty w szary pakowy papier. Wręczył mi go z uroczystą miną. Nie bardzo wiedziałam, co to jest. Było lekkie, prostokątne i płaskie. Wydawało mi się, że to obraz, ale nie miałam zielonego pojęcia, dlaczego miałabym jakkolwiek dostawać w prezencie.

Ojciec Mszczuja zlustrował wzrokiem wnętrze mojego domu. Jego zmarszczone czoło i pełna dezaprobaty mina jasno mi mówiły, co o nim sądzi. Trochę mnie to oburzyło. Przecież moja chatka

wygląda dużo lepiej od lepianki Mszczuja.

Ja mam podłogę!

– Odkąd się spotkaliśmy, młoda damo, nie mogłem przestać o pani myśleć – oświadczył. – Kilkakrotnie prześladowała mnie pani w snach.

Gdyby powiedział to innym tonem, mogłabym podejrzewać, że właśnie mi coś wyznaje. Jego głos był jednak tak lodowaty i wyzuty z wszelkich uczuć, że nie pozostawiał wątpliwości, że wcale nie chodzi mu o takie rzeczy.

– Doznałem wizji, prawdę mówiąc, kilkakrotnie – kontynuował naburmuszony, jakby to była moja wina, że ma halucynacje. – Nie miałem innego wyboru. Musiałem wróżyć z krwi.

Zanim się pohamowała, na mojej twarzy zagościł grymas obrzydzenia. Już wiedziałam, co trzymam w rękach. To było płótno, na którym rozsmarował krwiste fragmenty jakiegoś biednego kurczaka, i które rzekomo miało przepowiedzieć mi przyszłość, o ile coś w tych bohomazach dostrzegę. Czy on sobie wyobrażał, że ja ten prezent powieszę na ścianie?

– Nie użyłem prawdziwej krwi – doprecyzował, widząc moją minę. – Nie stosuję tak prymitywnych metod jak mój jedyny syn, zakała całego naszego rodu.

Uch, biedny Mszczuj. Całkowicie rozumiałam, czemu uciekł do Bielin. Moja rodzina, od której związałam w podskokach, wydawała mi się sto razy lepsza.

– Obraz został przeze mnie wykonany z wykorzystaniem specjalnych farb do wrózenia. Obecnie takie stosuje się w naszym zawodzie. Zmniejsza to liczbę niepotrzebnie zabijanych kurcząt – pouczył mnie. – Do farby została dodana krew kurza w momencie jej produkcji, ale dzięki odpowiednim chemicznym czynnikom nie zmienia koloru ani nie odpryskuje od płótna.

– To prawdziwy postęp! – zachwyciłam się nieszczerze, ale na szczęście nie zauważył albo udał, że nie zauważa.

– Pani Jarogniewo, w pani przyszłości widzę wiele zawirowań. Z większości wyjdzie pani obronną ręką.

– Och, czyli nie umrę... powiedzmy podczas przyszłej pełni księżyca? – zapytałam zachwycona.

– Podejrzewam, że nie, ale wizje kapłanów czasem mogą być mylne.

Za przeproszeniem, co to jest za przepowiadanie przyszłości, skoro w ogóle może się nie spełnić? Bzdury, za które tylko wyciągają pieniądze. Sama też umiem tak wróżyć.

– Na tym obrazie znajduje się bardzo ważna przepowiednia, która będzie dotyczyć kogoś, kto kiedyś znajdzie się pod pani opieką – dodał.

– Rozumiem. To znaczy, że będę miała kiedyś dziecko?

– Tego moja wizja nie pokazała.

– A męża będę miała?

Nie mogłam się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. Przyznaję się bez bicia. Zrobiłam to z czystej ludzkiej złośliwości, bo dobrze wiedziałam, że wytrąci go to z równowagi. Pewnie większość młodych kobiet zadawała mu takie pytania.

– Do widzenia pani Jarogniewo – oświadczył ponuro. – Życzę...

Powiódł pełnym zwątpienia i obrzydzenia spojrzeniem po moim domu. Postanowiłam zapamiętać ten wyraz twarzy i się go nauczyć. Był po prostu piękny.

– ...aby w przyszłości lepiej się pani wiodło – dokończył.

– A nie zobaczył pan tego w żadnej wizji?! – wykrzyknęłam zawiedziona.

Nic już nie odpowiedział. Obrócił się na pięcie i wyszedł. Ośmielił się nawet trzasnąć moimi krzywymi drzwiami. Cud, że na niego po tym nie spadły, bo trzymały się zawiasów tylko na słowo honoru i ślinę, jak bogów kocham.

No i zostałam z bohomazem. Trzeba przyznać, że ojciec Mszczuja miał rozmach. Jak już malował wróżbę, to się nie ograniczał. Płótno, wyjściowo pomalowane na czarno, miało dobre pół metra na metr. Kapłan rozchlapał na nim czerwoną farbę w bliżej nieokreślone zawijasy i kształty. Pośrodku znajdował się jeden poziomy, a dookoła niego pięć z grubsza pionowych.

Nic mi to nie mówiło.

– I co, Feluś? – zawołałam do kotka, który znowu mnie zignorował.

Teraz, przeszło półtora tygodnia później, nadal nie miałam zielonego pojęcia, co przedstawiała wróżba. Nie podobała mi się, to na pewno. Miała w sobie coś ponurego i to wcale nie dlatego, że czerń z ciemną czerwienią były po prostu dość smutnym zestawieniem. Jeśli moja przyszłość ma być taka złowieszcza, to ja dziękuję!

Pociesza mnie jedynie, że wróżba nie dotyczy bezpośrednio mnie, a raczej kogoś, kto znajdzie się pod moją opieką.

– To jakby problem z głowy, prawda, Feluś? – zapytałam, choć nie oczekiwałam odpowiedzi.

Wróżby postanowiłam nie wyrzucać, bo a nuż się komuś kiedyś przyda. Postawiłam ją pod ścianą, ale nie wiedziałam nawet, gdzie ma górę, a gdzie dół. Porozwieszałam na niej wilgotne ścierki kuchenne.

Rozłożyłam się na stole z różnokolorowymi wstążkami. Zaplatałam je w ozdobne wiązki i kokardy. Zbliżało się Święto Plonów. Miałam nadzieję, że gospodarze zgłoszą się po specjalne ozdoby, którymi będą mogli przystroić zżęte ostatnie snopki, a także dożynkowe wieńce.

– Co nucisz?

– Na wszystkich bogów świata! – wrzasnęłam i zerwałam się na równe nogi.

Za moim krzesłem stał spokojnie Swarozyc. Miał na sobie tylko skórzane portki, a jego nogi znikwały w kłębiącym się niczym żywa istota dymie. Opierał się o piec i zupełnie nie zwracał uwagi na gorący garnek, który przecież musiał parzyć go w tyłek. Zerknęłam na ławę pod oknem. Kociak uniósł leniwie głowę, jakby obecność boga w ogóle go nie dziwiła. Zaczęło mnie zastanawiać, czy nie oznaczało to przypadkiem, że Swarozyc dość często się u mnie pojawiał, tylko był wtedy niewidzialny dla ludzkiego oka. Tłumaczyłoby to, dlaczego nie robił żadnego wrażenia na zwierzaku.

– Czemu się zakradasz?! – zaatakowałam. – Czy zawsze musisz pojawiać się za moimi plecami?

– Wcale się nie zakradałem – oświadczył. – Byłaś tak zajęta pracą, że zupełnie mnie nie zauważyłaś.

– Wchodzi się drzwiami, a nie pojawia nagle w środku.

– Pouczasz boga?

W jego głosie nie było słyhać śmiechu. Zrozumiałam, że chyba nie ma dzisiaj dobrego humoru.

– Przepraszam – odparłam.

– Niechętne przeprosiny nie są prawdziwe.

– Prawdziwsze trudno mi teraz z siebie wykrzesać.

Przez chwilę mierzyliśmy się ze Swarozycem spojrzzeniami. Udawałam twardą, ale zastanawiałam się, co ja właściwie robię. Oczywiście zaatakowałam go, bo mnie zirytował. Poczułam się dotknięta, że mnie szpieguje. Nie wiadomo, ile czasu stał za moim krzesłem, kiedy nuciłam przasną przyśpiewkę o ludowym romansie. Niemniej był tym cholernym bogiem. Powinnam się była mimo wszystko powstrzymać.

W końcu spojrzenie Swarozycyca złagodniało. Całe szczęście, bo już myślałam, że mnie spopieli za niewyparzony język.

– Czemu zawdzięczam twą wizytę? – zapytałam.

– Chciałem zobaczyć, jak się ma nowa szeptucha – odparł.

Kłamał. Nawet nie starał się tego specjalnie ukryć. Czyżby nie podobało mu się, że za mało czci mu oddaje? Bo przyznaję, że wcale się do niego nie modliłam. Tak naprawdę, to pomijając oficjalne święta, już dawno nie rozmawiałam w duchu z żadnym bogiem. Nie miał więc zbyt wielu powodów, żeby czuć się gorszym.

A może za słabo karmię ubożęta i na mnie doniosły?

– Bardzo dobrze sobie radzę, dziękuję – odpowiedziałam.

– Obserwuję cię, Jago.

Wiedziałałam. Podglądał mnie jak nic! Już mu nie wystarcza, że podrzucił mi do domu szpiegów w postaci ubożąt?

– Aha.

– Widzę, że masz pełne ręce roboty, odkąd przejęłaś schedę po babce.

– Tak, jakoś podejrzanie dużo upirów kręci się po Bielinach. Czy nie wydaje ci się to dziwne?

– Demony zawsze były i zawsze będą.

– No tak, ale nie jest ich więcej niż zwykle?

– Nie zauważyłem.

Wskazał głową na czarne płótno przykryte ścierkami.

– Wróźono dla ciebie – zauważył.

– Tak. Teraz się zastanawiam, co mam z tym bohomazem zrobić.

Podszedł do malunku. Delikatnie zdjął z niego ścierki i odłożył je na blat kredensu. Przez chwilę wpatrywał się w obraz, a potem przełożył go do góry nogami i zadowolony z siebie wrócił na miejsce przy piecu. Czyli, jak mniemam, postawiłam go zupełnie odwrotnie.

– To bardzo ważna wróżba – powiedział.

– A możesz mi coś więcej powiedzieć? Bo do mnie to ona w ogóle nie przemawia. Nic nie widzę.

– Nie jest dla ciebie, więc nic na niej nie zobaczysz.

Och, cudownie. To po co ja ją dostałam?

– Zatrzymaj ją i powieś w swoim domu na widocznym miejscu. Gdy przybędzie do ciebie kiedyś osoba, której wróżba została przeznaczona, od razu ją zobaczy.

– Widzisz tu jakieś wolne ściany?

Powiodłam ręką dookoła siebie. Nie miałam gdzie powiesić obrazu, zwłaszcza tak dużego. Wszędzie były albo okna, albo meble, albo coś się suszyło.

– Osoba, która ma zobaczyć wróżbę, jeszcze się nie narodziła – oznajmił. – Powieś ją w swoim nowym domu.

Te słowa spodobały mi się dużo bardziej. Swarożyc najwyraźniej sporo wiedział o mojej przyszłości.

– Czyli kiedyś się przeprowadzę? – zapytałam.

Uśmiechnął się zagadkowo.

– Droga Jago, ognista dziewczyno, czy ty naprawdę widzisz dla siebie miejsce w tej skromnej chatce? Jesteś kobietą inteligentną, która zna swoją wartość. Nie jesteś jak twoja babka. To, co teraz masz, na pewno ci nie wystarczy.

Kolejny raz tak odpowiedział, żeby nic nie powiedzieć. W sumie to powinnam przestać się wreszcie dziwić.

– Czuję żądzę, która w tobie drzemie – dodał. – Mógłbym pomóc ją rozbudzić. Wystarczy, że zostaniesz nosicielką mojego ognia.

A ten znowu swoje. Mógł sobie jęczeć na ten temat do woli. Nie zamierzałam wchodzić w żadne układy. Nie będę od kogoś zależna.

– Nie, dziękuję. Na razie daję sobie radę.

– Podoba mi się ten ogień.

– Swarożycu, skoro już jesteśmy przy mojej babci... – Postanowiłam pociągnąć go trochę za język.

– Pamiętasz może książkę, którą miała? Starą, z metalowymi okładkami.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Nawet mu jedna brew nie drgnęła. Wiedział coś i nie chciał się zdradzić. Byłam tego pewna!

– Książka? – zapytał przeciągając litery.

– Raczej księga.

Odważyłam się i podeszłam bliżej.

Stanełam dopiero wtedy, gdy dzieliło nas kilkanaście centymetrów. Nie miałam żadnych wątpliwości, że go przestraszę albo wymuszę odpowiedź. Chciałam mu pokazać, że się nie boję. Ani jego, ani odpowiedzi.

– Na pewno ją widziałeś, jeśli znałeś moją babcię tak dobrze, jak twierdzisz – zauważyłam, a potem popuściłam wodze fantazji. – Ta księga to był jej skarb. Znajdowała się tam wiedza, której nie ma zwykła szeptucha. Na pewno dobrze ją chroniła. Niestety, po jej śmierci słuch o księdze zaginął. Czy wiesz, gdzie może się znajdować?

Nie zaprzeczył moim słowom. Oczywiście wcale to nie znaczyło, że zgadłam, czym jest księga i jak duże może mieć znaczenie.

– Trafiła w inne ręce – odpowiedział.

– Sama nóg nie dostała i nie poszła. Czy moja babcia ją komuś podarowała?

– Nie.

– Czy ktoś ją ukradł?

– Tak.

– Kto?

– Nie mogę podawać ci odpowiedzi na wszystkie pytania. Twoja dola zaprowadzi cię do odpowiedzi.

– Jesteś mało pomocny – skwitowałam.

– Czyżby? – Pochylił się tak bardzo, że niemalże zetknęliśmy się nosami. – Gdybym teraz nie

odpowiedział na twoje pytania, złapałabyś łopatę i kopała doły pod każdym drzewem, przekonana, że twoja babka dobrze ukryła księgę.

Niech go! Skąd wiedział, że taki był mój plan, tylko jeszcze nie zabrałam się do jego realizacji, bo mi się nie chciało? Czyżbym powiedziała coś do kota, a on podsłuchał?

– Dziękuję, Swarożycu, jesteś bardzo pomocny – odpowiedziałam.

Wyprostował się ze śmiechem, a ja w duchu westchnęłam z ulgą. Chyba powoli zaczynałam go rozumieć. Nie lubił, jak ludzie się wobec niego płaszcyli i byli ulegli. Powinnam stawać okoniem najczęściej, jak to tylko możliwe.

– Podobasz mi się, Jago – powiedział, nie wiem już który raz. – Zastanów się, czy nie przyjąć mojej łaski i darów ognia. Poważnie się zastanów.

– Na razie dziękuję.

– Mogę dać ci wiele, wiele rzeczy, których nie zapomnisz. – Jego ciepły, niski głos sprawił, że po plecach przebiegły mi dreszcze.

Zabrzmiało, jakby co najmniej proponował mi pójście do łóżka! Seks z bogiem, hm... Dobrze, że nic dzisiaj nie piłam, bo bym jeszcze na to przystała. Ledwie powstrzymałam się przed chichotem.

– Naprawdę dziękuję. Muszę się skupić na szukaniu księgi.

– A czemu jest ci potrzebna? – zainteresował się.

– Bo powinnam ją była dostać w spadku. Możesz mi powiedzieć o niej coś więcej? Co w niej jest? Jakieś zaklęcia?

– Przepisy.

– Tak po prostu? Przepisy?

– Tak.

Pytanie, na co to były przepisy. Sporo ważnych receptur dostałam w zeszycie. Możliwe, że babcia przepisała do niego zawartość książki na wypadek, gdyby tamta została skradziona. Wyjaśnienie, które wymyśliłam, brzmiało całkiem sensownie. Miało tylko jedną lukę: mogła dać mi oryginalną książkę, nie musiała jej przepisywać.

No chyba że już wtedy jej nie miała.

– Czy śmierć mojej babci była jakoś związana z księgą? – zapytałam boga.

Pochylił się do mnie i zbliżył usta do mojego ucha.

– Jago, zostań nosicielką mojego ognia – powiedział. – Niepotrzebnie się przed tym wzbranasz.

A potem, rzecz jasna, zniknął.

23.

Kupiłam sukienkę. Była prawie żałobna. Żałobna dlatego, że uszyto ją z bardzo ciemnego, szarego materiału, a prawie, bo u dołu długiej do ziemi spódnicy miała namalowane czerwone maki na zielonych łądkach. Mama na pewno by jej nie pochwaliła, ale mi się wydawała odpowiednia. Państwo młodzi przynajmniej się nie obrażą, że wbrew tradycji ubrałam się na czarno.

Po raz kolejny poklepałam się po torebce, którą także kupiłam specjalnie na tę okazję. Mocno nadwreżyłam swój budżet, ale chciałam zaszaleć, poza tym była prześliczna. W środku tkwił rewolwer. Wymacałam go przez cienką skórkę. Nie zgubiłam go. Nadal tam był, a ja od razu się uspokoiliśmy. Akurat jego nie kupiłam w markowym sklepie w Kielcach. Żeby go zdobyć, musiałam się wybrać na wątpliwej reputacji bazarek w Warszawie, gdzie łatwo było zdobyć broń bez posiadania pozwolenia. Naboje też kupiłam. Początkowo miałam ochotę sama spróbować je wytopić, może z dodatkiem srebra, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Nie znam się na tym zupełnie, pewnie coś bym zrobiła nie tak i broń wybuchłaby mi w rękach podczas próby strzału. Poza tym na srebro nie było mnie stać.

Razem z resztą gości weselnych weszłam do olbrzymiej sali, gdzie postawiono uginające się od jedzenia stoły. Zanim przekroczyłam próg, zerknęłam do góry, ponad drzewa otaczającego obiekt parku. Wciąż było jasno. Swańca odbyła się w chramie w Hucie Nowej o szesnastej. Do zachodu słońca zostało jeszcze dużo czasu, ale na bezchmurnym niebie widziałam zarys księżyca.

Idealnie okrągłego księżyca.

To dlatego postanowiłam na wszelki wypadek zabrać ze sobą rewolwer. Sławek twierdził, że jest najlepszy na wilkołaki. Miałam wielką nadzieję, że nie będę musiała się o tym przekonywać, ale wolałam się zabezpieczyć.

Podczas poprzedniej pełni, gdy z Mirką organizowałyśmy wieczór panieński, jakieś zwierzę krążyło niedaleko nas. Kilka dni później dowiedziałam się, że w Hucie Podłysicy tamtej nocy jakieś zwierzę zagryzło cielaka, a potem atak nastąpił w pobliżu Huty Szklanej, w której właśnie byliśmy. Zupełnie jakby drapieżnik podążał w tę stronę.

– Co jesteś taka zamyślona? – zapytała Mirka.

Ja założyłam sukienkę do ziemi, ale ona zaszalała w drugą stronę. Jej musztardowa minispódniczka ledwie zakrywała zgrabne pośladki. Zastanawiałam się, jak zamierzała w niej tańczyć. Przynajmniej na górę założyła szeroką, kolorową bluzkę z rękawami przypominającymi motyle skrzydła.

– A o pracy – powiedziałam wymijająco.

– No wiesz co? O pracy! Przecież teraz jest weselicho! Musimy się napić!

Ze względu na dużą liczbę gości nie dało się ustawić stołów w klasyczną podkowę. Najdłuższy stół pod samą ścianą był dla najważniejszych gości. Państwo młodzi razem ze swatem i swachą mieli zasiąść u szczytu. Miejsca po ich prawicy były dla wroźa Bolesława, Mirki i dla mnie, a także dla matki chrzestnej panny młodej. Z lewej posadzono družbów i druhny. Resztę stołów rozproszono prawie po całym pomieszczeniu. Na szczęście zostało jeszcze trochę miejsca na parkiet do tańca.

Na przykrytych śnieżnobiałymi, sztywnymi od krochmalu obrusami stołach czekało już jedzenie. Ślinka pociekła mi na widok świeżych pajd chleba, domowego smalcu ze skwarkami i ogórków kwaszonych. Chleb zdarzało mi się kupować, bo karmiłam nim ubożęta, ale takich dodatków nie miałam okazji zjeść już od dawna. Bigos w wielkich michach ominęłam szerokim łukiem. Fanką kapusty nigdy nie byłam. Za to za kaszę jaglaną ze skwarkami zamierzałam się zabrać jak najszybciej.

Pod ścianami, na specjalnie do tego przygotowanych stołach, rozstawiono wielkie półmiski z wędlinami, kiełbasami i upieczoną tuszą świniaka. Na innym stanowisku ulokowano butelki z nalewkami domowej roboty, piwem, wódką i miodami.

Do tego ostatniego miejsca niemalże od razu zaciągnęła mnie Mirka.

– Chodź! Napijemy się czegoś dla kurażu! Miodziku? Czy może lepiej naleweczki? Jak myślisz? – zapytała. – Chyba że powinniśmy zacząć od czegoś delikatniejszego... może wino wiśniowe?

Sięgnęłam po butelkę i powąchałam zawartość. Wino podejrzenie zalatywało bimbrem, choć karteczka ustawiona obok informowała, że ma nie więcej niż piętnaście procent.

– Ja za wino chyba dziękuję – mruknęłam. – Nie pachnie zachęcająco.

Nie przepadałam za bimbrem. Miałam z nim wiele złych wspomnień z młodości. Część z nich była związana ze studiami, a inne z Bratomilem, moim niedoszłym narzeczonym. Wołałam nie rozgrzebywać przeszłości.

– Co, boisz się, że się strujesz? – Mirka zaśmiała się.

– Wołałabym coś bezpieczniejszego.

– Może po prostu wódka? – zaproponowała. – Nią chyba najtrudniej się struć, a nie zapchamy się tak jak miodem.

Dyskutowałabym, czy nie można się nią struć. Niemniej i mnie wydawało się to najlepszym wyborem.

Mirosława, nie czekając na moją odpowiedź, nalała wódki do dwóch kieliszków.

– Za dzisiejszy wieczór! – wzniosła toast.

– Za wieczór! – zgodziłam się.

Alkohol mocno zapiekł mnie w gardło. To też nie była sklepowa wódka. Miała chyba więcej procent od tej kupnej.

Goście powoli rozsiadali się na swoich miejscach. Pary młodej jeszcze nie było. Mieli przyjechać z Bolesławem i swatami w ostatnim momencie. Gdy wejdą, zaczniemy bić brawa, a orkiestra ustawiona pod ścianą zagra wesołą melodię.

– Chcesz usiąść obok wroża? – zapytała Mirka, gdy podeszliśmy do stołu.

– Wszystko mi jedno.

– To siadaj. Może powspominacie sobie twoją babcię. Ja to za bardzo nie mam z nim o czym gadać. Znamy się już od tylu lat, że mało co jest do dodania. Szczerze mówiąc, mam po uszy jego gawęd.

– Od ilu lat się znacie? – dopytałam.

– Odkąd trafiłam do tej miejscowości. Wcześniej byłam oczywiście na studiach tak jak ty, tylko uczyłam się w Krakowie. Potem przez dwa lata pomagałam mojej mentorce, aż stwierdziła, że ma już dość i wybiera się na zasłużoną emeryturę. Wtedy przejęłam jej interes. Sama prowadzę go od

jakichś pięciu lat.

Czyli musiała być o jakieś siedem starsza ode mnie. W życiu bym jej o to nie podejrzewała. Miała tak delikatną, dziewczęcą urodę, że spokojnie mogła udawać nastolatkę.

– Myślałam, że jesteś młodsza!

– Ach, przestań. To zasługa moich kosmetyków. – Machnęła lekceważąco ręką. – W końcu dobra szeptucha musi sobą reklamować swoje produkty. Poza tym cały czas mam nadzieję, że spotkam jakiegoś przystojnego księcia z bajki, więc muszę dobrze wyglądać.

Przypomniałam sobie małomównego miłośniaka, którego kilka tygodni temu spotkałyśmy na drodze w Bielinach. Nadawałby się na księcia z bajki. Był odpowiednio umięśniony, a na dodatek blond. A także miał konia.

– Mama zadreżca mnie pytaniami o moją swaćbę – zwierzyła mi się Mirka. – Nie ma tygodnia, żeby do mnie nie wpadła na ploteczki przy herbacie, a przy okazji opowiedziała o kilkunastu wolnych, znanych jej kawalerach.

– Żaden ci się nie podoba?

– Jak na razie żaden. Poza tym za dobrze się bawię, by się wiązać. Pewnie w końcu zdecyduję się na męża i dzieci, bo przecież trzeba przekazać komuś interes i przepisy, ale na razie wolę cudze wesela! A jako mężatka nie będę już mogła bawić się podczas oczepin! – Puściła do mnie oko.

Zaśmiałam się i potoczyłam spojrzeniem po sali weselnej. Ludzi było tak dużo, że trudno było wyłowić samotnych mężczyzn, ale przy tej liczbie gości na pewno musiało być ich sporo. Ja także miałam ochotę wziąć udział w zabawach dla samotnych uczestników, ale trochę się wstydziłam. Już i tak zostałam zaproszona przypadkiem.

Na salę wkroczyła armia kelnerów. Każdy niósł tacę zastawioną kubeczkami z miodem.

– Oho! Zaraz się pojawią młodzi! – ucieszyła się Mirka.

Ja też się ucieszyłam, głównie dlatego, że kiszki coraz donośniej grały mi marsza. Nie mogłam przestać zerkać na apetycznie wyglądający smalczyk, który stał tuż przede mną.

Wzięliśmy od kelnera kubki ze słodkim miodem i tak jak inni wstałyśmy z krzeseł. Goście byli gotowi do toastu. Muzykantom palce drżały nad strunami. Oczekiwanie na młodych sięgnęło zenitu. Nie wiem, czym się wszyscy tak ekscytowali, ale nawet mi udzieliła się ta atmosfera.

Nagle drzwi się otworzyły i do środka wkroczył żerca. Jego długa broda powiewała, gdy dumnym krokiem kierował się na środek sali. Orkiestra zagrała wesołą melodię.

Wstrzymaliśmy oddechy i w końcu weszli oni. Mimo że widziałam ich w czasie ceremonii swaćby, nie mogłam oderwać wzroku. Wyglądali pięknie. Panna młoda miała na sobie długą, prostą, śnieżnobiałą suknię, związaną w talii strojnym pasem przyozdobionym czerwoną krajką. A na głowie piękny wianek, również ozdobiony czerwonym kwieciem. Jej włosy nie były już zaplecione w warkocz. Nie mogły być. Dwa dni temu odbyły się oficjalne rozpleciny, podczas których matka chrzestna w towarzystwie swachy i druhen rozplątały młodzieńczy warkocz, pozwalając puklom luźno spadać na ramiona. Fryzjer także się napracował przed dzisiejszą ceremonią, ponieważ brązowe włosy, rozpuszczone i zakręcone jedynie na wałki, pięknie układały się na ramionach kobiety.

Pan młody wyglądał klasycznie. Jego fryzura nie grała żadnej roli. Miał modne czarne spodnie z rozszerzanymi dzwonołymi nogawkami, ale założył tradycyjną lnianą koszulę ozdobioną krajką.

Krajka była identyczna jak ta na sukni jego wybranki. Wieniec na jego głowie był prawie cały zielony, z nielicznymi czerwonymi elementami.

Podczas ceremonii w świętym gaju wymienili się wiankami, ale teraz z powrotem je sobie oddali. Zastanawiałam się, czy to ma jakieś znaczenie. Pewnie nie, bo inaczej żerca by ich upomniał.

– Jak z obrazka – westchnęłam.

– Prawda? Chociaż trochę się obraziłam, bo nie chcieli, żebym to ja im zrobiła wianki – szepnęła Mirka. – Zamówili je w Kielcach, w kwiaciarni. A zobacz na te kwiaty u młodej! Widzisz? Już opadają, bo podwiędły. A niby mieli je czymś popsikać, żeby wytrzymały do północy. Phi! Równie dobrze ja mogłam zrobić wianki. Wyszłoby na to samo.

Ukryłam uśmiech za kubkiem z miodem.

Bolesław uniósł do góry dłonie. Muzyka i gwar ucichły. Państwo młodzi, trzymając się za ręce, zatrzymali się naprzeciwko niego.

– Stańcie dzisiaj przed bogami, zasmakowaliście ślubnego korowaja i zwiążaliście swoje dole na zawsze – powiedział.

W jego głosie słycać było ciepło i zadowolenie. Chyba lubił ceremonie swańby. Sprawiał dużo sympatyczniejsze wrażenie niż na obchodach Nocy Kupały.

– Radujmy się teraz na weselu! Pamiętajcie, żeby dzielić się tej nocy chlebem, dbać, by ani jeden jego kawałek nie spadł na ziemię, i przede wszystkim jeść z jednego nakrycia. Bowiem od dzisiaj jesteście jednością. Wasze zdrowie!

Kelner podbiegł do kapłana i podał mu miód w kubku. Zawołaliśmy chórem „na zdrowie” i przechyliliśmy naczynia. Miód był bardzo słodki i bardzo mocny. Półtorak. Najlepszy!

– Drodzy goście, bawcie się dzisiaj dobrze, by to wesele stało się wróżbą na całe życie młodych – dodał Bolesław. – Ino uważajcie, bo jak ludowe porzekadło mówi: trochę miodu zarumieni, ale wiele miodu mowę zmieni!

Sala gruchnęła śmiechem. Raczej nikt nie zamierzał poprzestać na jednym kubeczku miodu. Państwo młodzi i kapłan ruszyli na swoje miejsca, a w pomieszczeniu zaroilo się od kelnerów. Część z nich zabierała puste kubki, z kolei inni rozdawali talerze tradycyjnego żurku z jajkiem.

Wreszcie jedzenie!

– Dzień dobry! – przywitał mnie Bolesław, zasiadając obok.

Chwilę trwało, zanim ułożył odpowiednio swoją długą szatę kapłana.

– A dzień dobry! – odpowiedziałam, jak tylko przełknęłam pełną łyżkę żurku. Był taki smaczny!

– Dawno się nie widzieliśmy. Co słycać? Jak praktyka? – zagadnął.

– Dobrze, dziękuję.

– Och, doprawdy? Bo słycałam, że wręcz przeciwnie – zdziwił się, a ja zirytowałam, bo przez to, że do mnie mówił, nie mogłam jeść. – Podobno klientów malutko.

– Jak na razie daję sobie radę – wycodziłam.

– Tak się ostatnio zastanawialiśmy z Mireczką, że te nasze miejscowości to całkiem niedaleko od siebie położone. Spora część pacjentów chodzi do Mirki. Może ten region jest po prostu za mały na dwie szeptuchy?

Siedząca obok mnie koleżanka zakrztusiła się zupą, kiedy dotarły do niej słowa kapłana.

– Ależ nasza rozmowa brzmiała zupełnie inaczej! – zaprotestowała.

– Słyszałem, że podobno poszukują szeptuchy w Pińczowie. Znam tam kapłana. Może i warto byłoby się przenieść? – zasugerował. – Po co się męczyć?

– Bardzo dziękuję za sugestię, ale nie porzucę ziemi mojej babci. To moje miejsce – odparłam.

Czemu ten chłop się na mnie wziął? Ja rozumiem, że nie musieli się z moją babcią lubić. Ludzie nie muszą się kochać. No ale na litość wszystkich bogów, będzie mnie namawiał na wyjazd?

– Ciekawi mnie bardzo, dlaczego mam tak mało pacjentów – powiedziałam. – Może ktoś rozpusza o mnie jakieś wstętne plotki? Nie słyszał pan, panie Bolesławie, aby niczego? Może jakiś zawistny złośliwiec o małym przyrodzeniu nieprawdę o mnie opowiada?

Z kamienną twarzą pokręcił głową. Nawet mu powieka nie zdrząła.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł. – Wydaje mi się, że jest to raczej kwestia zaufania. Jest pani bardzo młoda, nie terminowała u szeptuchy... To niestety nie wzbudza zaufania. Nie dziwię się, że nawet z błahymi problemami ludzie z Bielin wędrują do naszej Mireczki. W końcu jest prawdziwą szeptuchą.

Musiałam policzyć do dziesięciu, bo inaczej rzuciłabym w niego talerzem. A żal po pierwsze talerza, a po drugie żurku. Naprawdę dobrego żurku.

– Rozumiem. Proponuję wrócić do jedzenia, bo nam zupa wystygnie – skwitowałam.

– Zauważyłem zachłanność, z jaką pani je. Widzę, że sprawy naprawdę mają się bardzo źle, skoro nie starcza pani na jedzenie. – Zacmokał ustami, udając zaniepokojenie. – Zapewniam, że chętnie pomogę i pokieruję panią do Pińczowa. Proszę się nie wstydzić. To będzie dla mnie sama przyjemność pomóc wnuczce Radomiły.

– Zapamiętam pana propozycję – wycodziłam przez zęby.

– Jago, kochanie! Tak sobie pomyślałam, że powinnyśmy przywitać się z mamą panny młodej! Chodź! To doskonały moment. Widzę, że akurat przestała jeść! – zaszcebiotała Mirka, a następnie zerwała się z krzesła i szarpnięciem pociągnęła mnie za sobą. Ciężka od rewolweru torebka uderzyła mnie boleśnie w udo, na dodatek zaplątałam się w długą spódnicę i ledwie zdołałam złapać równowagę na koturnach.

Gorszego odejścia „z godnością” nie mogłam sobie zaplanować. Kiedy się odwróciłam, przez ramię zobaczyłam, że Bolesław z uśmiechem konsumuje zupę. Gdy kelner podszedł do naszego stołu, kapłan coś do niego powiedział i wskazał na mój ledwie napoczęty talerz.

Kelner go zabrał.

No ubiję dziada! Przecież jeszcze nie skończyłam! A ten żurek był taki dobry! I ciągle została mi w nim jedna połówka jajka! Złapałam Mirkę za rękę i odgięłam jej palce. Odwróciła się do mnie spłoszona.

– O bogowie, ty mnie zaraz przeklniesz, co? – wyjąkała przez zbielejące usta.

Przekląć? Miałam ochotę zabić kogoś na miejscu.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że moja rozmowa z Bolesławem wcale tak nie brzmiała! Poza tym twoi klienci wcale do mnie nie przychodzą. Czasem faktycznie trafiają się osoby z Bielin, ale głównie dlatego, że pracują w Hucie Nowej czy Szklanej i jest im akurat do mnie po drodze. Ja ci wcale nie podbieram klientów! – tłumaczyła się.

Miała przy tym tak przestraszona minę i mówiła tak piskliwym i zalęknionym głosikiem, że aż zrobiło mi się głupio.

Poza tym ludzie zaczęli się na nas gapić. Wolałabym, żeby nie podsłuchali tej rozmowy.

– Muszę się napić – powiedziałam.

Pokiwała gorliwie głową i podeszła ze mną do mocno obleganego stołu z napitkami. Czekałam cierpliwie, aż przepycha się pomiędzy brzuchatymi wujami, kuzynami i piątą wodą po kisielu, żeby zdobyć dla nas alkohol. W końcu udało jej się wydostać z butelką miodu i dwoma kubkami.

– Proponuję zaczerpnąć świeżego powietrza – zaproponowała i kiwnęła głową w stronę wyjścia.

Kiedy przechodziłyśmy obok stolika z pieczywem, złapałam bułkę. Zerknęłam ponownie przez ramię, ale Bolesław na szczęście nie patrzył w moją stronę. Znowu bym się potem nasłuchiwała, że głoduję.

Mirka pociągnęła mnie na ławkę w pobliżu wejścia.

– Jago, ja cię strasznie przepraszam, ale to wcale nie tak było! – powiedziała.

Ja w tym czasie skubałam pieczywo. Nie wiedziałam nawet, czy z autentycznego głodu, czy tylko mnie ten kapłan tak zirytował, że musiałam zająć emocje.

– A możesz mi powiedzieć, czemu on się tak mnie uczeplił? – zapytałam. – Bo ja mam chyba całkiem słuszne wrażenie, że on chce się mnie pozbyć. Ciekawi mnie tylko, dlaczego tak mu na tym zależy.

Mirka połała nam miodu. Z wdzięcznością przełknęłam łyk. Ręka mi tak drżała ze złości, że o mało połowy na siebie nie wylałam.

– To nie tak, Jago – sapnęła. – On po prostu bardzo nie lubił twojej babci.

– To już wiem, że jej nie lubił! Ale co mnie do tego?!

– Może przenosi emocje...?

– Ja mu dam przenoszenie emocji – warknęłam i wyrwałam zębami kęs bułki.

Mirka nalała nam ponownie miodu.

– Wiesz, ja to mam taką teorię, że może on się kiedyś w twojej babci podkochiwał? – rzuciła. – Bolesław, z tego co się dowiedziałam, miał dość bogatą przeszłość, całkiem sporo kobiet mu się przewinęło przez łóżko. Podobno...

Urwała, gdy ktoś przeszedł obok nas, żeby w ciemności zapalić papierosa. Gdy oddalił się na bezpieczną odległość, dodała:

– Podobno Przemka też mu się podobała, ale odrzuciła jego zaloty, bo jest za stary – wyszeptwała.

– Przemka? Nasza panna młoda?

W głowie mi się to nie mieściło. Przecież ona ledwie przekroczyła dwudziestkę, a Bolesław miał ile... z siedemdziesiąt? Na głowę padło staremu dziadowi?

– No tak, ale Przemka mu podziękowała grzecznie. Jej rodzice byli troszkę mniej grzeczni, niemniej na tyle grzeczni, żeby go nie obrazić.

– Ale co mu go głowy strzeliło? Przecież mógłby być jej dziadkiem!

– Tylko nikomu o tym nie mów, dobrze? – poprosiła. – Bo ja to wiem w sekrecie od Przemki, która przyszła się poradzić, czy znam jakąś recepturę, która potrafi sprawić, że miłość zniknie. Chciała odsunąć od siebie kapłana.

– I co jej doradziłaś?

– Spaliłyśmy jego włos. Nie wiem, czy to pomogło, czy może raczej rozmowa z jej rodzicami. – Po chwili Mirka dodała, zmienionym tonem: – Niemniej uważam, że mogło coś być na rzeczy pomiędzy

Bolesławem a twoją babcią. Jeździł do niej w odwiedziny dość często, gdy już leżała i nie miała siły chodzić. Pewnie z sentymentu.

Jakby jeździł z sentymentu, to byłby miłszy... Nie powiedziałam jednak tego głośno.

– Bolesław to naprawdę pies na baby – dodała.

– Nie pojmuję. Przecież on zaraz zamieni się w skamielinę...

– Jest jeszcze całkiem jurny.

Spojrzałam na nią podejrzliwie.

– Czy on? Czy ty? Czy wy?

Zadałam te trzy pytania, ale bogowie mi świadkami, nie chciałam poznać odpowiedzi na żadne z nich.

– Na początku się do mnie zalecał, ale moja szeptucha wytłumaczyła mu, że to niestosowne. Teraz od czasu do czasu zaprasza mnie do jakiejś knajpy na jedzenie, ale nic poza tym.

– Okropne. Szczerze ci współczuję.

– Jago, ja ci nie podbieram klientów. Chcę, żeby była jasność. Naprawdę! Czasami przychodzą ci, co pracują w pobliżu, ale jak chcesz, to będę ich odsyłać do ciebie. Zresztą to i tak są pojedyncze przypadki. Czy mi wierzysz?

– Spokojnie, wyrobię sobie sama renomę. A słyszałaś, żeby ktoś rozpuszczał o mnie jakieś nieciekawe plotki?

Na jej policzkach i dekolcie pojawiły się czerwone plamy. Nie wiedziała, gdzie ma podziać oczy.

– Kilku pacjentów mówiło, że słyszeli, że słaba z ciebie szeptucha – powiedziała cicho. – Ale ja ich od razu przekonywałam, że to nieprawda.

– A od kogo słyszeli?

– Tego nie powiedzieli, a ja nie pytałam. Ale jak następnym razem coś takiego usłyszę, to zapytam.

Posiedziałyśmy na ławce do momentu, w którym zapadł zmierzch. Z sali weselnej dobiegła nas muzyka i wesoły głos wodzireja, który zapraszał do tańca. Mimo to nie ruszyłyśmy się z miejsca.

– Jaga... naprawdę nie masz pieniędzy? – zapytała Mirka, po raz kolejny polewając miód. Zanim się zorientowałyśmy, zobaczyłyśmy dno butelki.

Pomyślałam o moich ostatnich wydatkach. Klientów naprawdę miałam mało. Wstążek, które przygotowałam na Święto Plonów, nikt nie chciał. Nie wiem, czy mieli je z zeszłego roku, czy może kupili gdzie indziej, bo na obchodach wszystkie snopki i wieńce dożynkowe zostały przystrojone. Moja inwestycja w materiały pasmanteryjne jak na razie się nie zwróciła. Mówi się trudno. Nie zepsują się, mogą poczekać na kolejny rok.

Więcej pieniędzy wydałam na sukienkę, torebkę i buty, które miałam na sobie. Dodatkowo mój budżet przeżył kryzys przez podróż do Warszawy i zakup broni.

Bolesław miał rację. Źle się u mnie działo. Przez ostatni tydzień żywiłam się głównie kozim mlekiem, które ciągle dostawałam dla kociaka. Już nawet ubożętom zaczęłam go nalewać, bo żal mi było pieniędzy na chleb.

Szkoda tylko, że kozie mleko mi nie służy i wewnątrz wychodka znam aż za dobrze.

– Spokojnie. Mam jeszcze trochę oszczędności. Na pewno wyjdę na prostą. Coraz więcej osób do mnie przychodzi – skłamałam.

– To świetnie!

Nagle w parku coś zaszeleściło. Od razu spięłam się w sobie i wbiłam spojrzenie w ciemność. Mirka niczego nie zauważyła. Zaczęła wesoło gawędzić o zabawie podczas oczepin i że chyba powoli powinniśmy się już zbierać do powrotu.

– Słyszałaś coś? – zapytałam.

– Co? – zdziwiła się.

– Tam, w lesie.

– Nie, nic. Pewnie jakiś ptak. Zapadł zmrok, może sowy wyruszają na żer albo jakieś inne nocne zwierzęta. Chodź do środka. Może Bolesław poszedł tańczyć, to będzie można zjeść w spokoju.

Razem z koleżanką wróciłam na salę. Nie mogłam jednak pozbyć się wrażenia, że ktoś wbija spojrzenie w moje plecy.

24.

Bolesław faktycznie poszedł tańczyć, nie dawał odpocząć żadnej co ładniejszej druhnie, więc mogłyśmy zjeść w spokoju. To znaczy głównie ja jadłam. Mirosława skupiała się na picu miodu, który przyniosła nam do stolika. Przez cały czas nie mogłam oderwać wzroku od tego wstrętnego dziada, który obłapiał kobiety po pośladvach. Oczywiście żadna nie dała mu po pysku, bo to lokalny żerca i co ludzie powiedzą.

Oj, miałam ochotę dobrać mu się do tyłka. Tylko jeszcze muszę dobrze przemyśleć, jak to zrobię.

Mnie też kilka razy ktoś usiłował wyciągnąć na parkiet, ale za każdym razem odmawiałam. Nie umiałam zbyt dobrze tańczyć, wolałam wszystkich obserwować.

– Masz minę, jakbyś najadła się cytryny – powiedziała Mirka, opadając obok mnie na krzesło w chmurce perfum, którymi przed chwilą musiała się dość intensywnie wysikać.

– Zmęczona jestem – wyznałam.

Na jej twarzy pojawiło się zatroskanie.

– Myślę, że poczekamy do oczepin i tortu, a potem możemy się zbierać – stwierdziła.

– Nie, nie, Mirko. To bez sensu. Zostań, jak długo chcesz. Przecież widzę, że się świetnie bawisz.

Ja sobie wrócę do moich Bielin.

– A jak ty w nocy chcesz wrócić sama do Bielin?! Myślałam, że u mnie przenocujesz.

– Eee, dam sobie radę. Złapię stopa.

– No chyba żartujesz!

– Jestem dużą dziewczynką, Mirko.

Poza tym mam rewolwer, ale o tym nie zamierzałam jej wspominać.

Naszą rozmowę przerwał wodzirej, który przez mikrofon zachęcał wszystkich do skierowania się na parkiet, gdzie zaraz zaczną się oficjalne oczepiny, czyli rytuał, w którym matka chrzestna panny młodej zdejmie jej z głowy panieński wianek, a na jego miejsce założy bogato zdobiony czepek mężatki.

Większość panien młodych nie lubiła tej części zabawy. Nie było tajemnicą, że czepek nie jest zbyt gustowny i dość szybko niszczy całą misterną fryzurę. A co gorsza, nie można go zdjąć do końca wesela!

– I raz! I raz! I raz, dwa, trzy! – krzyknął wodzirej, plując przy tym lekko w mikrofon.

Muzycy zagrali najstynniejszą weselną melodię. Nie trzeba było długo czekać, żeby prawie wszyscy przyłączyli się do śpiewania.

– *Oj, chmielu, chmielu, ty bujne ziele,*

Nie będzie bez cię żadne wesele,

Oj, chmielu, oj, niebożę,

To na dół, to ku górze,

Chmielu niebożę!

Ażebyś chmielu, na te tyczki nie laź!

*Nie robiłbyś ty z panienek niewiast.
Oj, chmielu, oj nieboże!
To na dół, to ku górze,
Chmielu nieboże!
Ale ty chmielu na tyczki włazisz,
Nie jedną panienkę ze świata zgładzisz!²*

Nawet ja się rozśpiewałam. Podczas kolejnych wersów prząsnej piosenki druźbowie pana młodego rozbiegli się po sali w poszukiwaniu panny młodej. Główny druźba ścisnął w dłoni bogato zrobioną kwiatami różgę weselną, a jego pomocnicy krótkie baciki. Nie zdążyliśmy nawet dośpiewać całej piosenki, a już prowadzili między sobą zarumienioną i roześmianą Przemkę.

Wodzirej razem z kelnerami ustawili pośrodku parkietu krzesła. Na środkowym, obok czekającego już męża, posadzoną pannę młodą. Po bokach rozsiedli się druźbowie. Pierwsze poszukiwania Przemki były tylko preludium do prawdziwej zabawy, która dopiero miała się zacząć.

– Uwielbiam oczepiny! – szepnęła mi Mirka. – Ciekawe, jak szybko ją znajdą, kiedy znowu się schowa! Podobno Przemka przygotowała sobie naprawdę dobrą kryjówkę.

Patrzyłam z półuśmiechem na podeksycytowaną pannę młodą. Aż jej nogi pod sukienką chodziły, żeby dalej się bawić. Sama nie do końca rozumiałam te zwyczaje. To znaczy, dobrze wiedziałam, że ich genezą jest dawne porwanie narzeczonych, gdy przyszli teściowie nie byli chętni oddać ręki swojej córki. Tylko nie bardzo wiedziałam, dlaczego do dzisiaj się to celebryje. Przecież teraz był wolny wybór. Każdy mógł poślubić każdego.

– Zamykamy oczy! – nakazał wodzirej.

Przyznaję się. Podglądałam, ale pewnie nie ja jedna. Jedyne druźbowie i pan młody mieli kategorycznie zaciskać powieki. Reszta gości nie powinna zerkać, ale nikt też im głowy za to nie urwie. Jedyne, czego nam nie było wolno robić, to podpowiadać szukającym, gdzie ukryła się panna. A jej drużny miały wręcz kawalerom przeszkadzać i mylić tropy. Kilka małych, odświętnie ubranych dziewczyn z rodziny Przemki już miało na twarzach złośliwe uśmiechy. Bardzo chciały pomóc pannie młodej.

Gdy Przemka upewniła się, że inni nie patrzą, zerwała się ze swojego krzesła i stukając obcasami, pognęła w sobie tylko znanym kierunku, żeby się porządnie ukryć. Wodzirej zaczął głośno odliczać od dziesięciu w dół, nie dał jej zbyt dużo czasu na dotarcie do kryjówki. Rozległy się brawa, gdy kawalerowie oficjalnie otworzyli oczy.

– Drodzy panowie! Dopiero co ją żeście w garści mieli, a już zaraz zapodzieli! – zawołał wodzirej.

– Ruszajcie na poszukiwania, bo inaczej noc poślubna będzie smutna i chłodna! A tego panu młodemu w żadnym razie nie życzymy!

Kawalerowie z Masławem wstali z krzesel. Pan młody wykrzyknął:

– Kto widział moją sikoreczkę?!

Na ten znak wszyscy obowiązkowo wskazaliśmy mu jakikolwiek kierunek. Przyznaję, wyglądało to całkiem śmiesznie, gdy każdy wskazywał inną stronę, niektórzy nawet sufit. Masław podszedł do swojej nowej teściowej i poprosił:

– Matulu, matulu, gdzie panienka moja, wskaż mi drogę!

– Nie wydam ja panny młodej, nie wydam! – odpowiedziała ze śmiechem. – Póki do mnie z gorzałeczką nie przyjdą!

Drużbowie na spólkę z kelnerami rozdawali gościom miód, próbując ich przy okazji przekupić, żeby wskazali właściwy kierunek. Najmłodszy uczestnicy zabawy dostawali cukierki i lizaki. Co nie zmieniało faktu, że nikt nie zamierzał mówić prawdy.

Masław razem ze swoim uzbrojonym w różgi orszakiem przystąpił do poszukiwań. Zaglądali pod obrusy, przebiegli pomiędzy gośćmi, a w końcu skierowali się do wyjścia z sali. Uśmiech na moich ustach zamarł. Czy przypadkiem Przemka nie pobiegła w stronę korytarza prowadzącego na dwór? W stronę parku?

Na litość wszystkich bogów, oby tylko nie weszła między drzewa.

– Idę zobaczyć, jak poszukiwania – powiedziałam do Mirki.

– A nie wolisz zostać na zabawach? – zdziwiła się.

– Nie, to nie dla mnie. Baw się! Tylko czepca przez przypadek nie złap, bo ci się jeszcze Bolesław oświadczy.

– O nie, nie, nie. Na razie mi się do tego nie spieszy.

Zostawiłam Mirosławę w sali. Zawsze w trakcie poszukiwań panny młodej trwały zabawy dla innych gości. Matka chrzestna organizowała na przykład losowanie lub podrzucała do góry czepiec panny młodej. Ta panna, która go złapała lub wyłowiła ze sztywno wykrochmalonego czepca, przypominającego bardziej garnek niż nakrycie głowy, właściwie oznaczoną karteczkę, miała największe prawdopodobieństwo, że jako następna wyjdzie za mąż. Były jeszcze wróżby przepowiadające liczbę dzieci, które się narodzą, a nawet kolor ich oczu! Nie lubiłam tych zabaw. Nigdy żadna wróżba oczepinowa mi się nie sprawdziła.

Wyszłam na dwór. Wieczór był ciepły, ale na moich gołych ramionach pojawiła się gęsia skórka. W oddali zobaczyłam kawalerów buszujących między drzewami z drewnianymi latarniami w dłoniach. Druhny i pomocnice panny młodej także biegały po parku, ze śmiechem sprowadzając pana młodego na manowce. Czyli przecucie mnie nie oszukało. Przemka musiała skryć się w parku. Nie był to zły pomysł, bo we wnętrzu nie było zbyt wielu nieoczywistych miejsc do ukrycia. A musiała chować się długo, jeśli wodzirej chciał przeprowadzić z matką chrzestną i swaczą wszystkie zabawy oczepinowe.

Szkoda, że nie znałam jej kryjówek. Mogłam co prawda zapytać druhen, ale kto wie? Może też nie powiedziałyby mi prawdy?

Park został bardzo ładnie przystrojony. Na tyczkach porozwieszano lampiony, które przymglonym światłem oznaczały ścieżki. Mocno złapałam torebkę, żeby nie objęła mi się o biodro.

Zanim ruszyłam między drzewa, dobiegła mnie kolejna oczepinowa piosenka, wyśpiewywana przez cieniutkie głosy bawiących się panien:

– Kasiuniu, Kasiuniu, policz dziurki w dachu,
Tyle będziesz miała w pierwszą nockę strachu.
Jak cię będą czepić spojrzysz do powały,
Żeby twoje dzieci czarne oczy miały.
Kasiuniu, Kasiuniu, już jesteś po ślubie,

*Puć ptaszka do gniazdka, niech sobie podzióbie!
Jak będziesz się bała, przykryje się z głową,
Niech się co chce dzieje z tą drugą połową.³*

Piosenka była bardzo wesoła, chociaż jej druga część wzbudzała mój lekki sprzeciw. Mowa w nim była o Jasieńku, który nie okazał się „lilijom” i od czasu do czasu Kasiuni „oczka popodbijom”. No ale co ja tam się znam. Miała być dowcipna piosenka? Jest dowcipna piosenka, a że przy okazji o przemocy domowej...

Całe szczęście, że przynajmniej do lamusa odszedł zwyczaj, w którym od razu po oczepinach państwo młodzi szli do innego pokoju, żeby hasać pod pościelą, a po wszystkim musieli wrócić i pokazać zakrwawione prześcieradło.

Gdy tylko stanęłam na ciemnej ścieżce w parku, od razu poczułam, że coś jest nie tak. Bardzo nie tak. Nie potrafiłam powiedzieć, co się stało, ale wszystkie moje zmysły kazały mi w jednej chwili odwrócić się na pięcie i brać nogi za pas. Czyli wilkołak postanowił chyba skorzystać z okazji i popsuć przyjęcie.

Śmiech drużbów i druhen dobiegał już z większej odległości. Wyglądało na to, że pobiegli całkiem w innym kierunku. Ucieszyło mnie to, bo byli tam, gdzie intuicja kazała mi uciekać, zatem nic im na razie nie groziło.

Gorzej, że panna młoda była raczej z tej strony parku.

Otworzyłam zamek torebki i wsunęłam do niej rękę. Złapałam za rewolwer, gotowa w każdym momencie go wyciągnąć i strzelić.

Głosy poszukujących jeszcze bardziej się oddaliły, a ja zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo jest cicho. Nie było słyhać pohukiwania sów, nie szeleściły gałęzie. Las czy park nigdy nie jest cichy, cały czas coś się tam dzieje. To miejsce jednak zdawało się na coś czekać i wstrzymywać oddech.

Odchrząknęłam i zawołałam scenicznym szeptem:

– Przemka! To ja! Jarogniewa! Jesteś tu gdzieś?

Nie zdziwiło mnie specjalnie, że nie odpowiedziała. Pewnie nie usłyszała, a ja nie chciałam też za bardzo zwracać na siebie uwagi.

Postanowiłam posłuchać intuicji i poszłam w stronę, która wydała mi się najbardziej podejrzana. Po kilku minutach dotarłam do poszerzenia ścieżki. Dróżka doprowadziła mnie na polankę, pośrodku której stała przeurocza altanka. Pomalowano ją na białą. Pod dachem jakiś zdolny stolarz wyrzeźbił symbole bogów i roślinne ornamenty. Pracownicy sali weselnej i zajazdu tutaj także porozwieszali latarenki. Całość wyglądała jak z obrazka, bajkowo.

Za moimi plecami coś zaszeleściło. Zupełnie jakby ktoś szybko przemknął po wyschniętym przez lato poszyciu. Nie wydawało mi się, żeby to był lekko podchmielony pan młody.

Podbiegłam do altanki. Uznałam ją za dobre miejsce do obrony, jeśli faktycznie grasował w pobliżu wilkołak. Moje koturny stuknęły o trzy drewniane schodki. Wskoczyłam do środka i przykucnęłam za barierką, wysuwając tylko czubek głowy. Zlustrowałam migiem najbliższą okolicę, ale niczego nie widziałam. Niestety światło latarenek nie miało zbyt wielkiego zasięgu. Kilka metrów dalej, pomiędzy drzewami, mogło zaić się wszelkie zło.

– Ekhm...

Po mojej lewej ktoś odchrząknął. Drgnęłam przestraszona i straciłam równowagę. Noga w kostce wygięła się w całkowicie нефизjologicznym kierunku i runęłam na kościsty tyłek. Huk, który rozległ się po spotkaniu mojej kości ogonowej z parkietem, słychać było chyba na pół parku.

Obok mnie na szczęście nie siedział wyjątkowo grzeczny i kulturalny wilkołak, a panna młoda.

– Jaga? Co tu robisz? – zapytała szeptem.

Pomacałam się szybko po torebce, ale na szczęście rewolwer z niej nie wypadł. Inaczej nie wiem, jakbym się mogła wytłumaczyć. W mojej głowie panowała pustka. Nie miałam zielonego pojęcia, co jej powiedzieć. Przecież nie mogę oświadczyć, że poluję na wilkołaka. Gorączkowo zastanawiałam się, jakie wytłumaczenie może wydać się jej prawdopodobne.

– Wydaje mi się, że gdzieś tutaj kręci się twój były – powiedziałam.

Przemka zrobiła wielkie oczy, a jej umalowane na krwistą czerwień usteczka ułożyły się w równiutką literkę O.

– Jaczemir? – zdziwiła się.

– No tylko o tym byłym wiem – burknęłam i podniosłam się na nogi.

– Ale co on tutaj robi? – dopytywała.

Wyglądało na to, że rybka połknęła haczyk.

– Wydaje mi się, że chce popsuć wesele – brnęłam dalej.

Bogowie... żeby tylko po wszystkim nie wybrała się do Jaczemira i nie nakrzyczała na niego, że pojawił się bez zaproszenia na przyjęciu, bo wtedy moje kłamstwo szybko wyjdzie na jaw.

– Jak on śmie! – oburzyła się.

– Ma chłopak żal, rozumu za często nie używa... to i na pomysły głupie wpada.

– I co zamierzasz? Może powinniśmy znaleźć Masława...

– Nie! – przerwałam jej gwałtownie. – Poradzę sobie. Jaczemir mieszka w Bielinach. To ja się powinnam nim zająć. Ty w ogóle nie zwracaj sobie tym głowy. Najlepiej byłoby, gdybyś go nie spotkała. Możliwe, że jest pijany.

Skrzywiła się z potępieniem. Argument o pijanym zalotniku wydał jej się chyba bardzo prawdopodobny.

– Jago, a zdołasz się go sama pozbyć? – Wciąż miała wątpliwości.

No cóż... z Jaczemirem bym sobie poradziła. Z wilkołakiem będę miała problem.

– Tak, tak! Spokojnie. Jestem szeptuchą, mam swoje metody na krnąbrnych pacjentów – zapewniłam ją nieszczerze.

– To co ja teraz powinnam zrobić? – zapytała.

– Jaczemir się gdzieś tutaj kręci. Proponuję, żebyś wróciła do sali weselnej. Ja wiem, że to Masław ma cię znaleźć, a nie ty jego, ale z tego, co widziałam, wybrał z drużbami zupełnie zły kierunek. Jak tak dalej pójdzie, nigdy tu nie trafi. Poza tym zabawy oczepinowe pewnie zaraz się skończą, a już trzeba podawać tort – paplałam beztrósko, co mi na myśl przyszło. – Oby goście się tylko nie zniecierpliwili...

– Masz rację! Nie mam co prawda zegarka, ale chyba już późno. Siedzę w tej mojej kryjówce i siedzę. A oni faktycznie mnie nie znajdują! Moje druhny za dobrze wywiodły ich w pole. Zrobimy tak, jak mówisz! Wrócę pod salę i pozwolę się znaleźć, a ty zajmij się Jaczemirem! – Pokiwała gorliwie główką, a wianek zsunął się jej na czoło.

– Świetnie! Podprowadzę cię kawałek.

Wstałyśmy i truchtem ruszyłyśmy w stronę budynku. Gdzieś za naszymi plecami rozległ się złowieszczy pomruk, a raczej warknięcie. Potem trzasnęło, jak gdyby ktoś połamał na raz kilka desek.

Wilkołak! Miałam rację, że czai się gdzieś w pobliżu!

– Co to było? – zaniepokoiła się Przemka i zatrzymała na środku ścieżki.

Żadnego instynktu samozachowawczego, naprawdę żadnego.

– Nic takiego! Oby tylko nie burza! – zawołałam.

Łapałam ją za łokieć i siłą pociągnęłam za sobą. Na szczęście nie stawiała oporu. Gdy już byliśmy prawie pod samym wejściem, pokazałam jej palcem grupkę z latarniami. Także powoli zbliżali się w tę stronę.

– Schowaj się za jakimś drzewem, żeby Masławowi nie było głupio – doradziłam.

Nie patrzyłam, czy faktycznie tak zrobi. Błyskawicznie odwróciłam się na pięcie i pognałam z powrotem w stronę altanki. Coś mi mówiło, że mogę już tam nie zastać żadnego budyneczku.

Przecucia mnie nie myliły. Kiedy tylko właściciele terenu odkryją zniszczenia, najprawdopodobniej uznają, że przyczynili się do ich powstania pijani uczestnicy zabawy. Altanka wyglądała, jakby ktoś na nią wpadł z impetem i wbił się do wewnątrz, całkowicie przy tym omijając wejście. Bogato rzeźbione balustrady i ozdobne łuczki pod dachem były wepchnięte do wewnątrz.

Wyjęłam rewolwer z torebki i go odbezpieczyłam. Mocno schwyciłam broń dwiema rękami i położyłam palec na spuście. Miałam nadzieję, że ręka mi nie zdrży i trafię za pierwszym razem. Przed weselem poćwiczyłam trochę strzelanie w lesie, cały czas zerkając przez ramię, czy leszy nie ma ochoty dobrać mi się do tyłka. Niemniej mistrzem strzelnicy nikt by mnie nie nazwał.

Zresztą bałam się, że po pierwszym strzale nie zdążę ponownie odciągnąć kurka i bestia mnie dopadnie.

Zatrzymałam się jakieś trzy metry od altanki. Dookoła panowała cisza. Jak na mój gust, całkiem nienaturalna cisza.

– Cip, cip, cip, cip, wilkołaczku, jesteś tu? – zapytałam. Nie spodziewałam się, że zareaguje, więc się nie zawiodłam, gdy tak nie zrobił. – Niech to licho... – warknęłam pod nosem.

Nie miałam ochoty wchodzić do altanki. Nie wiedziałam, co mnie tam czeka. Równie dobrze wilkołak mógł na mnie wyskoczyć z ciemności. Nigdy wcześniej żadnego nie widziałam, więc nawet nie podejrzewałam, jakich może być rozmiarów. Być może mógł się skryć za balustradą, a być może nie.

Powoli, krok za krokiem, szłam w kierunku budyneczku. Cały czas nasłuchiwałam, czy z altany nie dobiegnie mnie chociażby pojedyncze sapnięcie lub dźwięk pazura drapiącego drewno, sugerując, że może to być zasadzka.

Nic.

No to kolejne trzy kroki. Od schodków dzieliło mnie około pół metra. Wstrzymałam oddech i wsłuchiwałam się mocno, ale znowu nic do mnie nie dotarło.

Cholera.

Odliczyłam w myślach do trzech i z impetem wbiegłam po schodach do altanki. Tak się zdenerwowałam, że o mało nie wypuściłam rewolweru.

W środku nie było jednak nikogo. Dla pewności spojrzałam nawet do góry, czy przypadkiem nie czai się pod dachem jak nietoperz, ale nie... Nie było go.

Zmartwiałam. A co, jeśli właśnie dostał się do sali weselnej i morduje wszystkich gości? Chociaż zaczęliby wtedy krzyczeć. Pomimo dzielącej nas odległości powinnam usłyszeć wrzaski. Postanowiłam, że muszę tam jak najprędzej wrócić.

Podeszłam do wyrwy w ścianie altanki. Na ostrych kawałkach drewna wisały strzępki brązowego futra. Wskoczenie do środka z ominięciem drzwi chyba nie zrobiło mu zbyt dużej krzywdy.

Wyskoczyłam z altanki gotowa rzucić się biegiem do sali weselnej. Niestety nie zdążyłam zrobić nawet pięciu kroków, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, co stoi naprzeciwko mnie.

Naprzeciwko mnie stała bestia. Miała ze dwa metry wzrostu. Tylne nogi, całkowicie wilcze i bardzo potężne, wyginały jej się do tyłu. Szeroka klatka piersiowa pokryta była tym samym brązowym futrem co kończyny. Ramiona i dłonie miała ludzkie, ale palce kończyły się żółtymi pazurzyskami długimi na kilka centymetrów. Tego samego, niezbyt zdrowego koloru były zębiska, które świetnie widziałam w wyszczerzonej wilczej paszczy. Nie dostrzegłam zbyt wielu cech człowieka. Owszem, wilkołak stał na dwóch nogach, miał ręce, ale nic poza tym. Jego nos zadrgał, gdy wciągnął kilka razy powietrze. Chyba nie spodobało mu się to, co poczuł, bo warknął głucho.

Przynajmniej co do jego płci nie miałam żadnych wątpliwości, bo nie miał na sobie nawet strzępka bielizny.

– Proszę pana? – zapytałam. – Proszę pana, czy pan mnie słyszy?

Istota warknęła głucho. Trudno stwierdzić, czy było to potwierdzenie. Uniosłam pistolet i stanęłam na szeroko rozstawionych nogach, żeby nie stracić równowagi. Czerwone ślepia wilkołaka czujnie śledziły moje ręce. Mógł zachowywać się jak zwierzę, ale dobrze wiedział, co robi rewolwer.

– Proszę pana, uprzejmie proszę, by natychmiast wrócił pan do swojej ludzkiej postaci – powiedziałam. – To bardzo ważne. Nie można paradować po świecie jako wilkołak. Czy umie pan wrócić do poprzedniej postaci?

Nie doczekałam się żadnej reakcji. Jedynie jego nos cały czas węszył.

– Jeśli nie jest to możliwe, to bardzo proszę, żeby udał się pan teraz do lasu i przeczekał tam do rana. Gdy uda się panu stać znowu człowiekiem, proszę przyjść do mojej chaty. Nazywam się Jarogniewa, jestem szeptuchą z Bielin.

Nadał się nie ruszał.

– Czy pojmuje pan, co do niego mówię? Jeśli tak, proszę kiwnąć głową.

Nie kiwnął.

– To bardzo ważne. Rozumiem, że teraz jest pan wilkołakiem, ale z tym da się walczyć.

Tak naprawdę nie miałam pojęcia, czy da się z tym walczyć, ale czemu by nie spróbować go do tego przekonać?

– Proszę iść do lasu. Schować się do rana. A potem przyjść do mnie, do Bielin. Rozumie pan?

Wilkołak opadł na cztery nogi. Z jego gardła wydobył się głuchy warkot, który nie wróżył niczego dobrego. Palce zakończone pazurami wbił w ziemię, a z pyska pociekła mu ślina. Zaczął iść w moją stronę.

– Proszę pana!

Oczywiście mój ostrzegawczy głos nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. A co więcej, bestia

dała kolejny krok w moją stronę.

– Panie wilkołaku! Ostrzegam! Jeśli nie zrobisz tego, co do ciebie mówię, będę zmuszona użyć siły. Żadne z nas tego nie chce.

Istota warknęła gardłowo. Skojarzyło mi się to ze złośliwym śmiechem.

– Jestem szeptuchą! Jestem...

Nie dokończyłam, ponieważ wilkołak się na mnie rzucił. Miałam wrażenie, że zawisł w powietrzu, gdy wybił się z ziemi tylnymi łapami. Nie miałam zbyt wielkiego wyboru.

Nacisnęłam spust.

Zresztą i tak nic więcej nie zdążyłabym zrobić.

25.

Kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie. A może nawet nie jednocześnie, tylko po prostu tak szybko, że nie zdążyłam ich pojąć. Była taka szansa. Chociaż trafniej byłoby powiedzieć, że nie wiem, co się stało. Głównie dlatego, że podczas strzału zamknęłam odruchowo oczy. Wstydę się tego strasznie, ale nie jestem w stanie cofnąć czasu. Wiem, że nacisnęłam spust. Rozległ się ogromny huk, który trwał i trwał, a potem uderzyłam pośladkami i plecami o twardą ziemię.

Gdy uchyliłam powieki, dostrzegłam, że niebo jest zabarwione na czerwono. W pierwszej chwili przestraszyłam się, że to krew zalała mi oczy. Na szczęście oprócz czerwieni zaraz pojawiła się żółć i zieleń.

– Fajerwerki – wyszeptałam.

Nic nie słyszałam. W uszach ciągle mi dzwoniło od huku rewolweru. Nie wiedziałam, dlaczego się przewróciłam. Czy w ostatnim momencie usiłowałam odskoczyć przed wilkołakiem, czy może straciłam równowagę na koturnach.

Podniosłam się na łokciach. Nad moją głową rozbłyskiwały kolorowe ognie. Gdyby nie to, że w każdej chwili mogę zostać zabita przez wilkołaka, przyglądałabym się im zachwycona jak dziecko.

Uwielbiałam fajerwerki.

Na szczęście atak bestii mi nie groził. Wilkołak skoczył, ale moja kula chyba musiała go zepchnąć z toru, bo leżał trochę bardziej w lewo, niż powinien.

Sławek się mylił. Nie trzeba trafić kulą w serce wilkołaka, żeby go zabić. Strzał między oczy również działał. Podpełzałam do nieruchomego ciała. W niczym nie przypominało już potwora, który na mnie warczał. Przed sobą miałam całkiem nagiego mężczyznę, leżącego na plecach, z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami. Jego rudawe włosy przerzedzały się na czole. Za kilka lat nawet popularna zaczeska nie dałaby rady przykryć łysinki. Tuż nad nosem, idealnie pomiędzy oczami, poniżej zbyt wysokiego czoła, miał małą czerwoną dziurę, z której wypływała strużka krwi – zalewała szeroko otwarte lewe oko, a następnie skapywała na skroń jak łzy.

Dla pewności stuknęłam go palcem w nieruchome ramię. Nie żył. Tego przynajmniej byłam pewna.

Hm... rudawe włosy? Początek łysinki?

– Jaczemir? – wyszeptałam imię byłego chłopaka Przemki.

To prawdopodobnie był on. Osobiście jestem pod wrażeniem własnej intuicji. Nawet jak już kłamie, niechcący mówię prawdę.

Podniosłam swój rewolwer i wsadziłam go do torebki, boleśnie parząc sobie palce o gorącą lufę. Fajerwerki nad moją głową ucichły, zniknęły też kolorowe światła. Mój słuch na szczęście wrócił. Park przestał milczeć. Wcześniej, gdy spacerował po nim wilkołak, ani jeden ptak nie zatrzepotał skrzydłami. Teraz usłyszałam brzęczenie komarów, szelest poszycia i dalekie pohukiwanie sowy. Zupełnie jakby fauna lasu odetchnęła z ulgą.

Usiadłam i objęłam kolana rękami. Wpatrywałam się w martwego Jaczemira, a w mojej głowie rozpętała się dzika burza. Myśli kotłowały się, jakby właśnie dostały nóg i chciały wyjść na

zewnątrz.

Zabiłam człowieka.

Tak na śmierć.

Wcześniejsze unicestwienie wapienia jakoś szczególnie mną nie wstrząsnęło, bo przecież i tak był martwy. Ja go tylko „utrwaliłam” w tej postaci. Z kolei Jaczemir żył.

I przede wszystkim był człowiekiem.

Jeszcze żeby po śmierci nadal wyglądał jak krzyżówka niedźwiedzia i wilka, a on jak na złość postanowił wrócić do ludzkiej i, co tu dużo mówić, dość niepozornej postaci. Po plecach przebiegł mi dreszcz strachu.

Zabiłam człowieka. Jakby na to nie patrzeć – zamordowałam go. Jeśli jego ciało zostanie odnalezione, wpakują mnie za to do więzienia. W Królestwie Polskim nie wolno bezkarnie zabijać ludzi. Nawet jak ukryję ciało, to przecież je znajdą i odkryją ślad po kuli. Trudno go zresztą nie zauważyć, skoro dziura znajdowała się idealnie pomiędzy oczami. Jaczemir miał rodzinę w Bielinach. Na pewno będą go szukać. A jak zaczną szukać, to znajdą.

Postanowiłam, że czym prędzej pozbędę się rewolweru. Kupiłam go nielegalnie. Nigdzie nie ma żadnego dowodu na to, że należy do mnie. Jeśli dokładnie go wytrę i wrzucę do jakiegoś jeziora, nikt go nie znajdzie. Nie powinni chyba przeczesywać wszystkich okolicznych zbiorników wodnych.

A jeśli będą? A co, jeśli dowiedzą się, że pojechałam do Warszawy? Jeśli natrafią na ślad sprzedawcy z podejrzenie silnym wschodnim akcentem, który poza rewolwerami miał w bagażniku pod stadionem całkiem duży arsenał? Przecież on na pewno im powie, komu sprzedał broń.

Trafię do więzienia.

Przed oczami stanęła mi twarz mojego ojca, który mamrocze z potępieniem, że takiego końca właśnie się dla mnie spodziewał po tym, jak odrzuciłam zaloty Bratomiła i zawiodłam całą rodzinę. Prawie usłyszałam, jak szepcze potępiającym głosem: „Zawsze były z nią kłopoty, nigdy nie chciała słuchać dobrych rad. Wiedziałem, że to się tak skończy!”. No cóż, przynajmniej jedna osoba będzie miała satysfakcję z mojego wyroku.

Wspomnienie ojca przegnało panikę. Przynajmniej tyle...

Dopiero teraz, kiedy moje myśli na chwilę zrobiły się wyraźniejsze, zauważyłam, że za Jaczemirem leży kłęb brązowego futra. Skóra mężczyzny była czysta, bardzo blada. Gdyby nie otwarte, martwe oczy, można by pomyśleć, że zasnął.

Nago, pośrodku parku – ale to nieistotne w tej chwili szczegóły.

Nie wiem, czego się spodziewałam po zabiciu wilkołaka. Na pewno myślałam, że po śmierci pozostanie w zwierzęcej formie. A nawet jeśli na powrót stanie się człowiekiem, będzie wyglądać podejrzenie. Wyobrażałam sobie jego ciało, całe pokryte śluzem, strzępkami sierści, być może też krwią. Myślałam, że żółte kły mu wypadną i będą leżeć na ziemi.

A tu niespodzianka. Jedyne, co zostało po wilkołaku, to martwy człowiek i kłęb brązowego futra.

Przysunęłam się do denata. Sięgnęłam drżącą dłonią po futro. Nie wiem, czego się obawiałam, przecież nie było szans, żeby Jaczemir zerwał się na równe nogi i mnie zaatakował. Mimo to zerkałam na niego nieufnie.

Zacisnęłam palce na kłakach i pociągnęłam. Wyglądało na to, że coś je łączy z Jaczemirem. Jego ciało drgnęło, gdy szarpnęłam, co przypравиło mnie niemalże o zawał serca. Najwyraźniej musiał na

nim leżeć.

Gdy już się uspokoiłam i przestało mi się robić czarno przed oczami, szarpnęłam jeszcze raz. W końcu udało mi się wyciągnąć kawał skóry pokryty brązowym futrem. Śmierdziało to niemilosiernie. Trochę zwierzęcym piżmem, a trochę męskim potem i wódką. Rozpostarłam skórę. Była wielkości małego łazienkowego chodnika. Przypominała dywaniki z owczego futra, które można było kupić od górali z Zakopanego.

Kątem oka dostrzegłam ruch na skraju polany. Kłębił się tam szary dym całkiem nieźle udający mgłę.

– Swarżyc? – zapytałam.

Miałam nadzieję, że to on. Drugiej istoty demonicznej w tak krótkim czasie nie zniosłabym psychicznie. Fizycznie pewnie też.

Z oparu wyłoniła się sylwetka mężczyzny. Miał nagą klatkę piersiową, która błyszczała w świetle latarenek, jakby była naoliwiona. Jego biodra i nogi ginęły w dymie. Ruszył powoli w moją stronę. Dół sylwetki wciąż nie był widoczny. Szarość podążała z nim krok w krok.

– Witaj Jago – przywitał mnie bóg.

– To Jaczemir, prawda? Zabiłam człowieka o imieniu Jaczemir? – Chciałam się upewnić.

– Tak miał na imię. Na twoim miejscu uważałbym z tą skórą.

Ze stęknieniem podniosłam się na nogi i przyjrzałam wilczemu futru, które chwilę wcześniej nerwowo obracałam w dłoniach. Wiedziałam, że jest sporo sposobów, by stać się wilkołakiem. Co prawda nie miałam pojęcia, czy wszystkie są prawdziwe. W moim bestiariuszu opisywano kilka sytuacji, ale nie jestem pewna, czy autorzy przeprowadzili gruntowne badania na populacji lykantropów.

Ktoś mógł rzucić na biednego Jaczemira klątwę, w wyniku której podczas pełni zamieniał się w bestię. Inna możliwość to zakażenie się wilkołactwem poprzez ugryzienie innego wilkołaka. Jednak na ciele nieszczęśnika, poza moją dziurą na czole, nie było widać żadnych dawno zagojonych obrażeń. Chyba że został ugryziony w pośladek. Na brzuch biedaka nie przekładałam. Kolejnym sposobem na zarażenie się lykantropią było wypicie wody z wilczego wodopoju.

Biorąc pod uwagę, że trzymałam w dłoniach wilczą skórę, w przypadku chłopaka z Bielin najbardziej prawdopodobny wydawał się scenariusz, że przemieniał się właśnie za jej pomocą. Podobno, gdy miało się taki artefakt, można było stać się potworem na kilka dni w miesiącu.

– Jak ją narzucę na grzbiet, zostanę bestią? – zapytałam boga.

Swarżyc stanął obok mnie i wbił spojrzenie w zwłoki mężczyzny. Na jego czole malował się mars niezadowolenia.

– Tak będzie – odparł.

– A mogę ją sama zdjąć? Czy ona jakoś przyrasta do pleców i już nie można się zamienić? Bo prosiłam Jaczemira, żeby przyjął z powrotem postać człowieka, ale wydawał się nie rozumieć, co do niego mówię.

– To skóra, nie można jej zdjąć. Zrasta się z nosicielem – wyjaśnił. – Nie baw się nią. To nie jest dla ciebie.

– Aha... czyli nie mógł jej zdjąć, gdy go poprosiłam?

– Nie. Przemiana w człowieka mogła nastąpić dopiero, gdy księżyc zaczęłby maleć.

Zrobiło mi się trochę niedobrze. Trzeba go było nie zabijać. Powinnam była złapać Jaczemira i go zamknąć, a potem zastanowić się, jak zabezpieczać go w okresie, w którym następuje zamiana.

– Nie czyni sobie wyrzutów – powiedział Swarżyc, zupełnie jakby mógł usłyszeć moje myśli. – Nawet pod postacią bestii rozumiał to, co do niego mówisz. Mógł być słabym człowiekiem i podążać za żądzą krwi, ale doskonale rozumiał, czego od niego chciałaś.

– A może ta żądza przysłoniła mu zdrowy rozsądek?

– Nie, aż tak silna nie jest. Każdy mężczyzna czy kobieta może się jej przeciwstawić. Nie ma nakazu krzywdzenia ludzi.

– Skąd wiesz?

– Bo istnieje bardzo dużo wilkołaków. Często skórę dziedziczy się po ojcu. Opada ona z ciała, gdy ginie jej nosiciel. Wtedy kolejna osoba może ją wykorzystać.

Och, to całkiem interesująca informacja.

– Tylko po co? Po co ktoś miałby się stawać wilkołakiem? – Nie potrafiłam tego pojąć.

– W zwierzęcej postaci jest się bardzo silnym. Można kilka dni biec praktycznie bez zmęczenia. Poczucie jedności z naturą. Często dużą rolę odgrywa też rodzinna tradycja. Najstarszy syn otrzymuje skórę po ojcu. Nie wypada odrzucić takiego prezentu.

– Jaczemir dostał ją od ojca?

Swarżyc pokręcił głową. W jego czarnych oczach zobaczyłam pustkę zgaszonego ogniska.

– Nie.

– To skąd ją miał? Zabił poprzedniego nosiciela?

Bóg się roześmiał i wskazał mi dłonią zmarłego mężczyznę.

– On? Nie podołałby.

– Mógł strzelić. Tak jak ja.

– Ty, Jago, miałaś olbrzymie szczęście, że nie zginęłaś. Powinnaś być tej nocy umrzeć. Mało kto przeżywa spotkanie z wilkołakiem, nawet wtedy gdy ma przy sobie broń. To istoty bardzo szybkie.

– Miło wiedzieć, że miałam szczęście.

– Nie miałaś.

– Słucham?

– Czuwałam nad tobą.

– Czyli?

– Czyli jak bestia na ciebie skoczyła, odepchnąłem ją.

– Ha! A mimo to trafiłam!

– Nie.

– Nie? – jęknęłam zawiedziona.

– Poprowadziłem twoją kulę – wyjaśnił.

Kiwnął w stronę skóry, którą ciągle ścisnęłam.

– Nie zakładaj jej. Proszę.

Uniosłam głowę. Bóg mnie o coś poprosił. To nie było coś, co zdarza się każdego dnia. Tym razem w oczach Swarżycy nie czaiła się pustka. Na dnie jego czarnych źrenic dostrzegłam żółtawe płomienie.

Bogowie są inni. Wyglądają jak ludzie, czasami nawet tak się zachowują, lecz nie są ludźmi i nie

wolno mi o tym zapominać. Mogłam pyskować bogu, mogłam się z nim kłócić, mogłam go nawet nienawidzić. To jednak bóg. Spopieli mnie jednym swoim spojrzeniem, jeśli tylko tego zapragnie.

– Czemu ci na mnie zależy? – zapytałam.

Płomienie w jego oczach były coraz lepiej widoczne.

– Nie wkładaj skóry – powtórzył.

– Nie włożę.

Gdzieś niedaleko nas rozległ się pijacki śmiech, a mnie zmroził strach. Mogłam sobie wesoło rozmawiać z bogiem, ale nadal stałam nad martwym ciałem, a w mojej torebce była broń.

– Pomóż mi – poprosiłam Swarożycza. – Nie wiem, co mam teraz zrobić.

Rozejrzał się dookoła, jakby też dopiero spostrzegł, że zaraz ktoś może nas nakryć. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. Nie podobał mi się wyraz jego twarzy. Wydawał mi się chytry.

– Pomogę ci, ale moja pomoc nie będzie darmowa – rzekł.

Przełknęłam ślinę. Mogłam się tego spodziewać. Już przecież i tak podobno pomógł mi z wilkołakiem.

– Czego żadasz w zamian?

– Zostań strażniczką mojego ognia.

– Ciągłe nie wiem, co to znaczy! – Pokręciłam głową.

– Będzie nas łączyło coś więcej niż zwykła modlitwa. Gdy mnie zawołasz, ja to usłyszę. Gdy będziesz mnie potrzebować, przybędę. Połączy nas znamię na twojej skórze, pocałunek ognia. Sprawię, że twoje zdolności i intuicja mądrej baby rozkwitną.

Nadal kręciłam głową. To wszystko wyglądało bardzo pięknie. Zbyt pięknie.

– Mówisz mi, czego mogę od ciebie oczekiwać. Ale czego chcesz w zamian? Ciągłe mi nie powiedziałaś.

– Chcę byś mnie wielbiła, modliła się do mnie i we mnie wierzyła.

Trudno byłoby przestać w niego wierzyć, skoro mi się ukazał. Miałam dowód na wyciągnięcie ręki. Gdybym się odważyła, mogłabym go nawet dotknąć.

– Czasem będę cię prosił o przysługę – dodał.

– Przysługę? Jest coś, czego nie może zrobić bóg? – zapytałam i zaśmiałam się nerwowo.

– Jest bardzo dużo rzeczy, których bogowie nie mogą robić.

– I w zamian za to pomożesz mi teraz? – upewniłam się.

– Tak.

– A co dokładnie zrobisz?

Uniósł brwi i zaśmiał się głęboko.

– Droga Jago, pozbędę się wszelkich dowodów twojej zbrodni i pomogę ci dostać się bezpiecznie do domu.

Opuściłam ręce wzdłuż boków. Miałam ochotę rzucić wilczą skórę, jakby mnie parzyła. Ale nie zrobiłam tego. Jeszcze nie wymyśliłam, co z nią zrobić.

– Dobrze – wychrypiałam.

Bałam się. Nawet mój głos zamarł gdzieś w piersi. Intuicja krzyczała, że popełniam błąd. Ale jaki to mógł być błąd? Bóg zaoferował mi swoją pomoc. Głupotą byłoby mu odmówić. Usiłowałam sama się przekonać, że mój wybór jest całkowicie racjonalny.

– Daj mi rękę.

Posłusznie wyciągnęłam prawą rękę. W lewej ciągle ścisnęłam śmierzdzącą skórę. Dłoń Swarozyca objęła mój nadgarstek. Bóg ognia miał posturę wysokiego i umięśnionego mężczyzny. Gdy jego palce zacisnęły się na mojej chudej ręce, przestraszyłam się, że jeszcze chwila, a kości pękną pod naporem jego potężnych mięśni.

– Nie bój się – szepnął.

Uklęknałam przede mną. Gdy uniósł głowę, zauważyłam, że całe jego oczy są już pochłonięte przez płomienie. Żywy ogień płonął w jego wnętrzu. Dokoła nas zrobiło się ciepło. Dym o przyjemnym zapachu otoczył nas kokonem, wzbijając się kilka metrów do góry. Gdyby ktoś teraz wszedł na polanę, pewnie w ogóle by nas nie zauważył.

Swarozyc odwrócił moją rękę, tak by wnętrze nadgarstka było wykręcone w jego stronę. Pod białą skórą dokładnie było widać cieniutkie niebieskie żyłki.

– Czy bogowie krwawią? – spytałam.

Nie wiem, skąd mi przyszło to do głowy.

– Tak, Jago. Krwawimy, płaczymy, śmiejemy się. Problem w tym, że to wszystko nic dla nas nie znaczy. Musimy patrzeć na was i poprzez was, żeby czuć. Zazdrościmy wam.

– Śmiertelności?

Zaśmiał się.

– Tylko głupiec zazdrościłby ludziom śmiertelności – prychnął. – Zazdrościmy wam zdolności do widzenia świata. My widzimy go takim, jaki jest. Wy potraficie dostrzec więcej. Nie pojmujemy tego.

– Rozumiem.

– Nie rozumiesz.

– Nie rozumiem – zgodziłam się potulnie.

– Będzie bolało tylko przez chwilę – zapewnił.

Patrzyłam, jak pochyła się do mojego nadgarstka. Po chwili poczułam na nim oddech boga, a następne wargi. Były przyjemnie ciepłe. Miałam wrażenie, że uczucie gorąca płynie wzdłuż mojej ręki prosto do serca. Upuściłam skórę wilkołaka i nabrałam głęboko powietrza. Zachłystnęłam się dymem.

Wrażenie ciepła zamieniło się w żar. Ogień trawił moją rękę i płynął żyłami po całym ciele. Bolało, jakbym płonęła żywcem. Gdy już myślałam, że tego nie wytrzymam, Swarozyc odsunął usta. Dmuchał na bolące miejsce i wrażenie przypalania żelazem zniknęło.

Podniósł się z kolan i znowu nade mną górował. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, puścił moją dłoń i powiedział:

– Gdy będziesz mnie potrzebowała, zawołaj. Nawet jeśli uczynisz to w myślach, usłyszę. Możesz mówić do ubożąt. Przekazą mi twoje słowa.

Spojrzałam na nadgarstek. Miałam na nim ślad, czerwone znamię. Dotknęłam go, a skóra zapiekła, jakbym dopiero co oparzyła się wrzątkiem.

– Dobrze – wydusiłam trzęsącym się głosem. – Co teraz?

– Teraz ci pomogę. Jak mniemam, nie chcesz już wracać na zabawę?

– Nie chcę. Chciałabym wrócić do domu.

Swarożyc spojrział na ciało martwego Jaczemira. Nie wykonał żadnego gestu, nie powiedział nawet jednego słowa, a mimo to zwłoki zaczęły płonąć. Niebieskie języki ognia pełzały po bladej skórze, twarzy, włosach. W okamgnieniu pochłaniały tkanki, które zamieniały się w pył. Nie mogłam przestać na to patrzeć. Widok był makabryczny, ale wcale nie chciałam się odwracać. To była moja wina, więc najmniejszą karą, jaką mogłam sobie zasądzić, były koszmary.

Swąd spalonego mięsa i tłuszczu zakręcił mnie w nosie. Resztki alkoholu, które krążyły w moim organizmie, od razu wyparowały. Miałam ochotę wymiotować.

Po kilku chwilach nie było śladu po ciele. Trawa, która się pod nim znajdowała, wydawała się nienaruszona. Coś zalsniło pomiędzy źdźbłami. Schyliłam się i podniosłam zniekształconą kulę z mojego rewolweru. Nie było na niej nawet kropli krwi. Wszystkie ślady spłonęły.

– Zabiorę cię do domu, nosicielko mojego ognia.

Swarożyc wyciągnął w moją stronę dłoń. Zabrałam jeszcze skórę wilka, a następnie złapałam go, tym razem bez strachu.

Dym zawirował dookoła nas gwałtownie. Zamknęłam oczy, bo zakręciło mi się w głowie.

– Już.

Uchyliłam powieki. Staliśmy w mojej chacie. Nie da się nawet opisać fali ulgi, która mnie zalała. Mały Feluś uniósł głowę, zaskoczony. Leżał idealnie pośrodku mojej poduszki. Przeciągnął się rozkosznie i ziewnął.

– Dziękuję – wydusiłam.

Puścił moją dłoń.

– Dla ciebie wszystko, droga Jago. – Kontury boga zaczęły się powoli rozmywać, rozwiewał się niczym dym.

– Swarożycu! – Zatrzymałam go.

– Tak?

– Kto dał Jaczemirovi skórę wilka? – zapytałam. Wcześniej nie odpowiedział mi dokładnie na to pytanie.

– Człowiek, który chce ci zaszkodzić – odpowiedział.

– Co... co? – wyjąkałam.

– Nie podoba mi się to – skwitował. – Wcześniej nie ingerowałam, ale teraz jesteś strażniczką mojego ognia. Nie możesz być atakowana. Nie pozwolę na to.

– Co chcesz zrobić?

– Spalić go.

– Nie! – zaprotestowałam. – Sama rozwiążę tę sprawę. Czy on sprawił, że w Bielinach pojawił się wąpierz? Że jedna z mieszkanek jest zmorą?

– Tak. Człowiek ten posiadał wiedzę, która dla większości ludzi jest zbyt potężna. A teraz jej nadużywa.

– Kto to?

Zmarszczył brwi.

– Nie wiem. Rzucił na siebie urok. Nie widzę go, ale znajdę, żeby go dla ciebie zabić.

Nie podobało mi się to. Bardzo. Jeśli umiał oszukać zmysły boga, to co mógł uczynić mnie, zwykłej śmiertelniczce?

– Zostaw go. Ja rozwiązę tę sprawę – powtórzyłam. – To mężczyzna?

– Nie wiem. Nie widzę.

W głosie Swarżycy było tyle goryczy, że aż się wzdrygnęłam. Zdecydowanie nie chciałam stać się kiedyś jego wrogiem.

– Powiedz mi tylko jeszcze jedno.

– Tak?

– Czy ten człowiek ma księgę, która należała do mojej babci? I czy zabił moją babcię?

– Już znasz odpowiedzi na te pytania.

Zapieniłam się. Nie wiem, kto to, nie wiem, czy to mężczyzna, czy kobieta, ale dobiore się mu lub jej do tyłka. Jeszcze popamięta mój gniew.

– Uważaj, Jago. W posiadaniu twojej babki był jeszcze jeden przedmiot, na który ta osoba ostrzy sobie zęby.

– Co takiego?

– Niestety nie wiem. Mogę tylko podejrzewać. Ukrywała przed bogami posiadanie księgi i drugiego artefaktu. Na samą siebie także musiała rzucić urok zasłony przed naszymi oczami.

Nie wydawał się z tego powodu zbyt szczęśliwy. Ja natomiast poczułam, jak dopada mnie zmęczenie. Adrenalina, która krążyła mi w żyłach od tylu godzin, nagle się wyczerpała. Miałam wrażenie, że zaraz zasnę na stojąco.

– Dziękuję ci, Swarżycu.

– Dla ciebie, Jago, wszystko. Zawołaj, gdybyś mnie potrzebowała – powiedział i zniknął.

26.

– Czemu patrzysz w tamtą stronę?

– Nie twój interes – burknęłam.

Mszczuj się spieszył, a mnie się zrobiło głupio. Od samego ranka na niego warczałam, chociaż to wcale nie on był przyczyną mojego złego humoru. Postanowiłam, że zacznę się pilnować, bo całkiem się na mnie obrazi.

– Przepraszam, tak bezmyślnie się zapatrzyłam – powiedziałam.

– Aha, rozumiem – odparł, ale chyba mi nie uwierzył.

I nawet słusznie, bo bezczelnie go okłamałam. Prawda była taka, że zerkałam nerwowo w stronę niedużego bagienka, które ciągnęło się u brzegu puszczy przez kilka gospodarstw. Ukryłam w nim coś ważnego i teraz się bałam, że mój sekret się wyda. Wszyscy unikali grzęzawiska, bo było znane ze swojej głębokości. Jak nosła lokalna legenda, kiedyś nawet utopił się w nim koń. Czy to była prawda – trudno stwierdzić. Sądziłam raczej, że nic nie ginie w bagnach na zawsze, ale kto wie.

Następnego dnia po pamiętnym weselu zakradłam się wieczorem nad grzęzawisko. Wilczą skórę wsadziłam do worka, który dodatkowo obciążyłam kamieniami, i wrzuciłam w lekko śmierdzącą breję. Wydawało mi się, że to najbezpieczniejsze miejsce. Posiadanie wilczej skóry kusiło, ale bałam się, że ktoś może ją kiedyś wykorzystać w złym celu.

Ku mojej olbrzymiej panice worek wcale nie zamierzał zatonać... Przez dłuższy moment po prostu leżał na wilgotnej powierzchni. Próbowałam go dosięgnąć kijem, ale skończyło się na tym, że sama zapadłam się po kostki i musiałam uciekać na stały ląd.

Na szczęście po kilku chwilach kamienie przeważały i bagno wchłonęło worek. Nie wiem, jak głęboko poniżej poziomu grzęzawiska opadł. Miałam tylko nadzieję, że to wystarczy, żeby nikt nie znalazł skóry, a ona po jakimś czasie się rozłoży ze starości i zniknie.

Szłam właśnie z Mszczujem szosą w stronę lasu, do miejsca, gdzie po raz ostatni widziano pewnego bielińskiego młodzieńca. Kapłan namówił mnie na jego poszukiwania. Przy okazji mijaliśmy moje bagno. Oczywiście nie mogłam się powstrzymać przed zerkaniem w jego stronę, żeby sprawdzić, czy worek przypadkiem nie wypłynął.

Ech, trzeba było spalić tę skórę, to byłby spokój. Teraz do śmierci będę się zastanawiać, czy nie wypłynie.

Oderwałam spojrzenie od grzęzawiska i skupiłam się na wrózu. Był zestresowany. Usta zaciskał tak mocno, że prawie ginęły pod równiutkim wąsikiem. Jego oczy rzucały błyskawice. Jeszcze nigdy go takiego nie widziałam.

Mszczuj wpadł na pomysł, żeby poszukać zaginionego chłopaka i zapytał, czy nie wybrałabym się z nim na przechadzkę. Sama zdziwiłam się swoją odpowiedzią, ale naprawdę miałam chęć na bezmyślne spacerowanie między drzewami. Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony, gdy się zgodziłam: ja czy może Mszczuj.

Prawda była taka, że przechadzka naprawdę miała dla mnie sens. Bolały mnie ręce, plecy i stopy od przekopywania całej posesji. Uparłam się, że znajdę to coś, co podobno moja babcia ukryła.

Byłam przekonana, że musiała zakopać tajemniczy przedmiot pod jakimś krzakiem. Na pewno niczego niezwykłego nie było w chatce, bo przetrząsnęłam ją niemalże na drugą stronę.

Poza tym wcześniej zrobili to złodzieje.

Wniosek był jeden. Babcia musiała ukryć artefakt w ogródku. Z tego powodu od ponad tygodnia biegałam z łopata i doprowadzałam do ruiny trawnik, a także ogródek zielny. Wyglądałam zapewne na szaloną, ale nie mogłam przestać. Uparłam się, że znajdę tajemniczy przedmiot.

– Czemu przekopujesz swoją działkę? – zapytał Mszczuj, usilnie próbując podtrzymać rozmowę.

– Szukam skarbów.

– Aha, rozumiem.

Teraz też mi nie uwierzył, ale jakoś mnie to nie zabolowało. Odkąd jego ojciec wyjechał, wróż chyba postanowił zmienić swoje życie. Podobno już nie siedział cały czas zamknięty w swojej chacie, tylko wychodził do ludzi, spotykał się z nimi, gawędził. Poza tym zaangażował się w sprawy Bielin. Po zaginięciu i tragicznej śmierci pana Darka starał się trzymać rękę na pulsie.

Po weselu gruchnęła wiadomość, że Jaczemir nie wrócił do domu. Jego rodzina, oczywiście z Mszczujem na czele, zaczęła go szukać. Nawet policja została w to zaangażowana. Wiem o tym, bo przystojni kawalerowie w mundurach zgłosili się do mnie z kilkoma pytaniami. Przemka im powiedziała, że rozmawiałam z Jaczemirem po jej swaźbie. Musiałam ich okłamać. Przecież nie mogłam powiedzieć prawdy. Poza tym po zakochanym na zabój mężczyźnie nie pozostał nawet popiół. Przedstawiłam im więc bajeczkę, jak to odbyłam rozmowę z zupełnie pijanym Jaczemirem, który rzekomo mi oświadczył, że wyjeżdża, bo nie da rady spędzić ani minuty dłużej w bezpośrednim sąsiedztwie Przemki.

Policjanci chyba uwierzyli. Podejrzewam, że spory w tym udział miała rodzina Jaczemira, która nie ukrywała, że chłopak za dużo pije i miewa głupie pomysły. W przeszłości zdarzało mu się już uciekać z domu.

Dodatkową zagadką dla policji było zniszczenie altany w zajeździe. Podobno znaleźli ślady sugerujące, że to Jaczemir dokonał aktu wandalizmu, a potem przestraszony uciekł.

Czułam się paskudnie, ale nie widziałam innego rozwiązania tej sytuacji. Gdybym zdradziła nawet jedną trzecią prawdy, wsadziliby mnie do szpitala psychiatrycznego z podejrzeniem urojeń. Nikt by mi nie uwierzył ani w atak wilkołaka, ani w interwencję Swarózyca.

Ledwie co odetchnęłam po tej historii, a do moich drzwi zapukał zaaferowany Mszczuj z informacją, że zaginął kolejny mężczyzna. Niejaki Bezprym poszedł na zabawę do remizy i z niej nie wrócił. Towarzystwo, z którym się bawił, zeznało, że wyszedł z imprezy nad ranem, całkowicie sam. Podobno nawet nie był specjalnie pijany.

Tego już było trochę za wiele. W ogóle człowiek nie ma spokoju w tych Bielinach. A niby w takich małych miejscowościach powinno się łapać oddech. Co chwilę ktoś tu ginie, atakują się nawzajem. Zaczynam mieć tego dość.

– Myślisz, że znajdziemy go w lesie? – zapytałam Mszczuja, gdy stanęliśmy pod specjalnie oznaczonym wejściem do puszczy.

Ścieżka w lewo prowadziła do świętego dębu i źródła, a jej druga odnoga ciągnęła się szlakiem aż na Łysą Górę i mijała kilka okolicznych miejscowości.

– Nie wiem... Podobno wybrał szlak pod lasem, bo prowadzi tu jakiś skrót. Jego rodzice twierdzą,

że znał puszcę jak własną kieszeń.

Ojciec Bezpryma był leśniczym, więc pewnie nie raz go zabierał do pracy. Dziwne, że chłopak zaginął. Nie powinien zablądzić, nawet jeśli wybrał się na przechadzkę w nocy.

– Miał głupi pomysł – skwitowałam. – Poszedłby drogą i nie trzeba by go było szukać.

– Tu prawie wszyscy chodzą lasem, bo jest szybciej – zauważył. – Tylko jeszcze jakiś czas temu nic złego się nie działo.

Tego już nie skomentowałam. Dobrze, że pan Darek zginął, zanim się przeprowadziłam do Bielin, bo naprawdę wszyscy zaczęliby podejrzewać, że ostatnie wypadki są moją winą.

Stanęliśmy w cieniu drzew. Mszczuj sięgnął do plecaka i podał mi butelkę wody. Z wdzięcznością pociągnęłam łyk. Pomimo połowy września żar lał się z nieba. Lato zadomowiło się na dobre i nie miało wcale zamiaru odchodzić.

– Myślisz, że coś znajdziemy? Przecież ojciec tego chłopaka jest leśniczym. Na pewno przeszedł już las wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu syna – powiedziałam.

– Mam poczucie, że nie zajmuję się niczym ważnym. Szukanie zaginionego wydaje mi się dobrą alternatywą do wpatrywania się w ścianę.

Oj, chyba wizyta ojca nieźle się na nim odbiła.

– Leśniczy faktycznie przeszukał szlaki, ale może my będziemy mieć więcej szczęścia? – rzucił.

Nie chciałam psuć mu humoru, więc milczałam. Gdzieś z głębi lasu dobiegło nas wesołe gwizdanie. Kojarzyłam melodię, ale nie potrafiłam jej nazwać.

– Ktoś idzie – odkrywczo zauważył Mszczuj.

Oddałam mu wodę wyjątkowo z siebie dumna, że po raz kolejny zdołałam się powstrzymać od złośliwego komentarza. Kapłan zaczął się szarpać z plecakiem, a tymczasem z lasu wyszedł dobrze znany mi Sławek. Jak przystało na łamacza damskich serc, miał na sobie tylko spodnie, a koszulę związał sobie w pasie. W obu dłoniach trzymał wiadra pełne wody.

Poczułam, że na jego widok na moich policzkach i dekolcie pojawiły się plamy czerwieni. Płanetnik najpierw się zdziwił, a potem szeroko uśmiechnął.

W przeciwieństwie do mnie w ogóle się nie zarumienił.

– A dzień dobry, Jago! – zawołał. – Co tu porabiasz w taki gorący?

Zanim zdążyłam zareagować, doskoczył do mnie i wyczałował w oba policzki. Gorzej by chyba tylko było, gdyby cmoknął mnie w usta.

– Eee, Mszczuju, to jest Sławek. Pomaga w gospodarstwie... w gospodarstwie...?

– W Kakoninie! A obecnie również w Bielinach! – poratował mnie płanetnik. – Jestem tak zwanym człowiekiem od wszystkiego. Pracuję to tu, to tam. Teraz na przykład niosę wodę ze źródła dla kółka gospodyń wiejskich. Nie wiem, co z nią chcą robić, ale dostałem takie zlecenie.

Wyobraziłam sobie miny gospodyń, gdy umięśniony i półnagi Sławek wparuje z wiadrami do ich siedziby. Większość z nich była po sześćdziesiątce, więc istniało niebezpieczeństwo, że któraś dostanie zawału z ekscytacji. Jak będę w ich wieku, też się zapiszę do tego kółka. Zaczynam widzieć plusy dziergania serwetek.

– Sławku, a to jest Mszczuj...

– Lokalny kapłan! – wszedł mi w słowo płanetnik.

Wyciągnął spracowaną dłoń do wróża. Lekko skołowany Mszczuj uściśnął rękę. Cały czas biegał

wzrokiem pomiędzy mną a robotnikiem.

– Miło mi – wydukał.

– To mnie miło! – zawołał Sławek. – Słyszałem wiele dobrego o tobie, drogi Mszczuju!

Pochylił się do niego i szepnął konspiracyjnie:

– Gospodynie z kółeczka dużo plotkują! Podobno nie masz żony, a one bardzo się zaangażowały, żeby połączyć cię z jakąś lokalną dzierlatką. Nawet wytypowały kilka pięknych panienek, które miałyby największe szanse.

– Co... co...? – zająknął się Mszczuj.

Jego twarz w jednej chwili się zaczerwieniła, a potem pobieliała, jakby go ktoś obsypał mąką.

– Kolego, to kolega nie wiedział? – Roześmiany Sławek najwyraźniej świetnie się bawił. – Radzę zacząć uważać. Już mają cały plan i harmonogram proszonych obiadków.

– Byłem na kilku, ale... to wszystko po to, żeby mnie wyswatać? Myślałem, że są po prostu miłe.

Nawet ja parsknęłam śmiechem. Mszczuj naprawdę był uroczy w tej swojej naiwności. Płanetnik puścił do mnie oko.

– Co u ciebie słyhać, Jago? Dawno żeśmy się nie widzieli, co? – zapytał.

Dokładniej mówiąc, nie widzieliśmy się od miesiąca, czyli odkąd poszliśmy razem do łóżka. Oczywiście nie miałam do niego o to żadnych pretensji. Odpowiadało mi, że zniknął z mojego życia. Chociaż jakby kiedyś wpadł jeszcze wieczorem na nalewkę, wcale bym się nie obraziła. Czasami smutno mi było nocą w towarzystwie jedynie kota Felusia.

– A trochę czasu minęło – odpowiedziałam. – Tak się właśnie zastanawiałam, czy przypadkiem nie wyjechałeś.

– Nie, jeszcze przez jakiś czas zostaję w okolicy.

Spojrzał na niebo i zmarszczył czoło. Pokiwał głową do własnych myśli. Cały jego dobry humor nagle gdzieś się ulotnił.

– Możliwe, że zostanę nawet do Szczodrych Godów – dodał. – Chyba będę miał tu wtedy jeszcze trochę roboty.

– Uważaj na siebie – doradziłam.

– Najwyżej znowu mnie pocerujesz! – Na jego twarz powrócił uśmiech. – Wpadnę jeszcze kiedyś na jakąś naleweczkę. Dobrze, gołąbeczki, to ja was dłużej nie zatrzymuję, spacerujcie sobie po lesie, a ja idę zadowolić moje kobiety. Już się pewnie tej wody doczekać nie mogą!

Jego jowialny śmiech poniósł się po całym lesie i spłoszył okoliczne ptaki. Oszołomiony Mszczuj kiwnął mu tylko głową na pożegnanie, za to ja ponownie zostałam wycelowana. Dłuższą chwilę patrzyłam na jego umięśnione plecy, gdy oddalał się od nas drogą. Naprawdę go polubiłam. Szkoda, że był płanetnikiem i pewnie nie czekało go zbyt długie i dostatnie życie.

– Kto to był? – wydukał Mszczuj.

– Człowiek orkiestra – wyjaśniłam, postanawiając nie zdradzać kapłanowi jego prawdziwej profesji. – Pomaga gospodarzom w zamian za jedzenie i dach nad głową,

– Powsinoga?

– Coś w tym stylu. Trafił do mnie jakiś czas temu z rozciętym czołem. Krew się lała. Myślałam, że go nie posklejam.

– Och! To co on sobie zrobił?

– Zaatakowało go jakieś zwierzę w lesie.

Mszczuj zerknął na ścianę drzew.

– Niedźwiedź? – zapytał.

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami.

– I nie boi się teraz chodzić do puszczy? – nadal się dziwował.

– Jak widać nie.

– Odważnie.

Zaśmiałam się. Kapłan nadal był wyraźnie zbity z tropu. Coś mi się wydawało, że raczej by się ze Sławkiem nie zaprzyjaźnili. Bardziej różnić się charakterami nie mogli.

– Idziemy? – Wzięłam go pod ramię.

– Chyba idziemy...

Dość niechętnie ruszył ze mną pomiędzy drzewa. Wcześniej nie miał humoru, a po spotkaniu z płanetnikiem jeszcze bardziej się zaperzył.

Uznałam, że nie natrafimy na żaden ślad Bezpryma pod świętym dębem, zwłaszcza że przed chwilą Sławek był w okolicy. Wobec tego poprowadziłam kapłana na szlak. Rozgałęział się w kilku miejscach, ale doszłam do wniosku, że na bieżąco będziemy się zastanawiać, dokąd iść dalej.

– O co chodziło z tą naleweczką? – zapytał Mszczuj.

– Jaką naleweczką? – Nie zrozumiałam.

– Ten... Sławek mówił, że wpadnie do ciebie na naleweczkę.

Uuu, chyba ktoś tu był zazdrosny. Przez chwilę miałam ochotę dać mu po pysku. To tylko i wyłącznie moja sprawa, z kim piję alkohol. Nie potrzebowałam pozwolenia.

– Zniczulałam go podczas szycia, a potem zdejmowania szwów swoją nalewką, jako że niczego innego nie mam – wyjaśniłam i puściłam ramię kapłana. – Sama przy okazji też się napiłam.

Potknął się o wystający korzeń, gdy tylko zabrałam rękę. Złośliwie pomyślałam, że szkoda, że się nie przewrócił.

– Och, rozumiem.

– Doprawdy? – prychnęłam.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu, a ja po raz kolejny zaczęłam sobie wyrzucać, że skoro nie chciałam zachęcać w żaden sposób wróża, to powinnam unikać wszelkich kontaktów. Jeszcze za bardzo się rozochoci i znowu przyniesie mi jakiegoś kociaka w pudełku, uznając to za romantyczny i genialny w swej prostocie pomysł.

Trzeba było nie iść na ten spacer, tylko dalej kopać.

– To jakbym chciał się z tobą napić nalewki, najpierw muszę rozbić sobie głowę? – zapytał w końcu.

– Mszczuju, nie wiem, czy ty teraz usiłujesz być zabawny, czy mnie podrywasz! Powiedz prosto z mostu, o co ci chodzi!

– O Noc Kupały.

– Przecież ustaliliśmy, że to, co wydarzyło się w Noc Kupały, zostaje na Nocy Kupały.

– Ty tak ustaliłaś.

– A ty mi potem przyniosłeś kota, to chyba jesteśmy kwita?

– Myślałem, że lubisz Felusia...

Ja go zaraz zamorduję, jak bogów kocham. Zmusiłam go, żeby się zatrzymał i spojrzął mi prosto w oczy.

– Mszczuju, ja nie szukam męża. Czy ty szukasz żony? – zapytałam.

W jego oczach pojawiło się wahanie.

– Nie wiem... – mruknął.

Uff, przynajmniej tyle. Gorzej by było, gdyby oświadczył: „tak, szukam żony, co to mi będzie gacie prała”.

– Nie jestem dobrą partią. Nie roztkliwiam się, nie jestem nawet specjalnie sympatyczna. Nie lubię gotować, a sprzątać jeszcze mniej. Od prania aż mnie wzdryga. Dzieci w żaden sposób mnie nie rozczulają, uważam nawet, że mają w sobie coś obrzydliwego, zwłaszcza jak się ślinią. Już raz usiłowano mnie wyswatać wbrew mojej woli i uciekłam – ostrzegłam go. – Własna rodzina się teraz do mnie nie odzywa, ale nie stanowi to dla mnie zbyt wielkiego problemu.

– Jago...

– Nie szukam męża! – powtórzyłam i aż się zapieniłam. – Naprawdę bardzo cię lubię. Jesteś miły, spokojny, można na tobie polegać. Wiem, do czego doszło w Noc Kupały. Rozumiem, że to dla ciebie dużo znaczyło, bardzo mi to pochlebia. Sama się świetnie bawiłam i na pewno nigdy nie zapomnę rzeczy, które wyprawialiśmy pod pomnikiem Swaróżyca.

Nie kłamałam. Naprawdę całkiem dobrze się wtedy bawiłam. Gdyby nie to, że Mszczuj był Mszczujem, chętnie bym to nawet powtórzyła.

– Ale nie jesteś mi w związku z tym nic winien i mam nadzieję, że nie uważasz, że bym ja była cokolwiek winna tobie – zakończyłam.

Aż się zasapałam, bo perorowałam niemalże na jednym oddechu. Miałam wrażenie, że las dookoła nas ucichł, zupełnie jakby podsłuchiwał w oczekiwaniu na głodne kawałki.

– Czyli nie dasz się zaprosić na randkę z nalewką...? – zapytał.

Miałam ochotę zawyć niczym wilkołak.

– Na nalewkę dobremu przyjacielowi zawsze dam się zaprosić. Kto wie, może nawet dam mu po pijaku pomacać się po kolanie! Ale nie szukam męża!

– Rozumiem.

– Na pewno?

– Jago, tam skąd pochodzę, dość poważnie podchodzi się do takich spraw. Mam same siostry. A dokładniej mówiąc, pięć sióstr. U nas w domu nie do pomyślenia było, że mogłyby gdziekolwiek pójść z mężczyzną bez wcześniejszych zarękowin, a ja... a my...

– Spędziliśmy bardzo miło czas – dokończyłam. – Ja naprawdę nie oczekuję od ciebie, że padniesz na kolana i mi się oświadczysz. A jeśli przyszedłby ci do głowy taki głupi pomysł, to od razu dam ci po mordzie. Nawet będziesz na idealnej wysokości, jak klękiesz, bo przynajmniej bez trudu dosięgnę cię pięścią.

Na twarzy Mszczuja, po raz pierwszy odkąd spotkaliśmy Sławka, pojawił się uśmiech. Nieśmiały, ale uśmiech.

– W takim razie nie będę ryzykował. Cieszę się, że całą sprawę sobie wyjaśniliśmy. Bo ja... ja naprawdę myślałam, że muszę się oświadczyć. Że powinienem się oświadczyć.

– Nie wymagam tego od ciebie w żadnym razie, a nawet się obrażę, jak spróbujesz – powtórzyłam

niczym mantrę. – Czyli te kwiaty i kociak to były takie podchody?

– Eee, tak. Nie wiedziałem zupełnie, jak powinienem się do tego zabrać. Jago, ja naprawdę cię lubię.

O bogowie... proszę... nie zaczynaj od początku, skoro już wyglądało na to, że zaczynasz rozumieć mój punkt widzenia.

– Jeszcze nigdy nie polubiłem żadnej kobiety w taki sposób – wyznał. – Podejrzewam, że moje wychowanie ma w tym niezmiernie duży udział. Właściwe wydało mi się niezwłoczne uderzenie w konkury.

– Ze mną nawet nie próbuj – ostrzegłam.

– Zapamiętam. Przyznaję, że nawet trochę mi ulżyło.

O, tego się nie spodziewałam.

– W jakim sensie ulżyło? – zapytałam.

– Bo ja tak do końca też jeszcze nie mam ochoty na swaćbę. Bardzo cię lubię, jesteś prześliczna, ale nie jestem pewien, czy... czy czuję do ciebie wystarczająco dużo. Poza tym przecież od razu po swaćbie trzeba starać się o dziecko, a ja chyba jeszcze nie jestem do końca gotowy na zostanie ojcem...

Podziwiałam trud wychowania, jaki włożyli w małego Mszczuja rodzice. Przestrzegali bez wahania konwenansów, które wbito mu do głowy. Świetnie odnalazłby się w rzeczywistości sprzed jakichś trzystu lat.

Przy okazji odetchnęłam głęboko z ulgą. Najwyraźniej wcale się we mnie nie podkochał! Kamień z serca.

– Mszczuju, ale nigdzie nie ma przepisu, który każe się od razu rozmnażać – wydusiłam.

– Ale bogowie patrzą.

– To popatrzą trochę dłużej. Może i dla nich to nawet dobrze, bo będą mieli więcej zabawy. Serio, Mszczuju, ty się musisz ogarnąć, bo inaczej skończysz z gromadą dzieci i to przed trzydziestką.

– Muszę uważać na te obiady z gospodyniami – stwierdził. – Bo co, jeśli one nie mają takiego punktu widzenia jak ty?

– Mszczuju, najważniejszy jest twój punkt widzenia i to, czego ty chcesz. Nikt nie może cię do niczego zmusić. Jesteś dorosły. Twój rodzice są daleko. Pełnisz bardzo ważną funkcję. To do ciebie powinni przychodzić po rady.

– No właśnie, no właśnie.

Znowu się zasepił, a ja zrozumiałam, że chyba powiedziałam coś nie tak.

– A co jeśli źle doradzę? Jeśli swoim postępowaniem pokazuję ludziom, że można żyć nieprawo?

Bogowie... jego rodzice zrobili mu jakieś straszne pranie mózgu. Nie żeby moi nie próbowali, ale na szczęście od dzieciństwa byłam krnąbrna.

– Nikt nie wie, że spaliśmy ze sobą w Noc Kupały – powiedziałam. – Nie dajesz złego przykładu. Te wszystkie wątpliwości są tylko w twojej głowie. Chodź, przyjacielu, poszukajmy zaginionego, bo w tym tempie nigdy go nie znajdziemy!

– Dziękuję ci, Jago, za tę rozmowę. Rozjaśniła mi w głowie – odparł.

Złapałam go pod ramię i ruszyliśmy szlakiem. Resztę czasu spędziliśmy na szczęście na rozmowie o niczym. Wyglądało na to, że chyba wreszcie przemówiłam mu do rozsądku i uwolniłam go

z przymusu zalecania się do mnie. Następnym razem naprawdę muszę się mocniej zastanowić, zanim zaciągnę kogoś w krzaki, bo tylko sama sobie tworzę problemy.

Nagle zapiekło mnie znamię na nadgarstku. Syknęłam i szarpnęłam ręką, unosząc ją do światła.

– Co się stało? Coś cię ugryzło? – zaniepokoił się Mszczuj.

– Nie, zabolało mnie znamię.

Wziął mnie za rękę i przyjrzał się zaróżowionemu miejscu.

– Wygląda jak oparzenie, a nie znamię – zawyrokował. – Chyba że oparzyłaś się w znamię.

Przewróciłam oczami, ale nie skomentowałam jego genialnego pomysłu. Potarłam rękę, która zabolęła jeszcze mocniej. Nie do końca rozumiałam, co się dzieje.

– Mszczuju...

– Tak?

– Czemu zrobiło się tak cicho?

Oboje rozejrzeliśmy się po otaczającym nas lesie. Nie było słychać nawet wiatru. Jakiś czas temu zboczyliśmy ze szlaku, bo zmęczeni wędrówką chcieliśmy skrócić sobie drogę i zawędrować do chatki nad jeziorem, a stamtąd polami z powrotem do Bielin. Wcześniej dookoła nas rozbrzmiewały typowe dla puszczy dźwięki, a teraz niespodziewanie ucichły.

– Dziwne – mruknął mężczyzna.

– Mszczuju! – zawołałam i pokazałam na krzaki, które przed chwilą minęliśmy. – Spójrz tam.

Posłusznie podszedł do rośliny i uniósł jej gałęzie.

Pod spodem leżała męska, kraciasta koszula. Była granatowo-czerwona.

– Czy Bezprym nie miał w dniu zaginięcia koszuli w kratkę? – zapytałam.

– Miał.

Poza koszulą niczego w pobliżu nie znaleźliśmy. Samo ubranie nie było zniszczone. Nic nie wskazywało na to, żeby jakieś zwierzę zerwało ją Bezprymowi z grzbietu. Guziki wciąż wisiły na swoich miejscach. Wyglądało na to, że sam ją zdjął.

– Był w pobliżu! – podniecał się Mszczuj. – Na pewno znajdziemy jeszcze jakieś ślady! Jago, rozglądaj się uważnie.

Pozwoliłam mu biegać jak kotu z zapaleniem pęcherza i zaglądać pod każdy krzaczek, a sama w tym czasie dokładnie przyglądałam się swojej ręce i znamieniu po pocałunku Swarozyca. Bóg wspominał coś o rozwoju mojej intuicji po tym, jak stanę się strażniczką jego ognia. Znamię bez dwóch zdań zapiekło mnie w pobliżu porzuconej koszuli. Być może tak miała rozwijać się moja intuicja. Szkoda tylko, że jak na razie nie pomogła mi w odnalezieniu artefaktu babci.

Chyba że nie był zakopany na jej posesji. Dlatego znamię mnie nie zapiekło.

– Jago! Pomóż mi szukać. On na pewno gdzieś tu jest. Znaleźliśmy koszulę!

– A to na pewno jego koszula?

– Tak! Tak! Jestem pewien! – Podekscytowany zamachał materiałem.

– A jesteś pewien, że trzeba jej było dotykać? – zapytałam. – Policja nie będzie miała do ciebie pretensji, że niszczysz ślady?

Z kapłana od razu uszło całe powietrze.

– Och, nie pomyślałem. Myślisz, że powinienem ją odłożyć na miejsce?

– Teraz to już bez znaczenia.

Mszczuj obrócił się dookoła własnej osi i zawołał:

– Bezprym!!!

Siedzące do tej pory cicho ptaki zerwały się z gałęzi z okrzykami oburzenia. Aż się wzdrygnęłam. Wróż biegał w kółko, raz za razem wykrzykiwał imię zaginionego. Ból mojego nadgarstka już ustał, za to poczułam coś gorszego.

Zerknęłam w stronę przeciwną do domku, do którego się kierowaliśmy. Coś mnie ciągnęło w tamtą stronę. Miałam niejasne przeczucie, że wolałabym tam nie iść, ale jednocześnie nie mogłam zignorować nakazu.

Powoli ruszyłam przez krzaki.

– Jaga? Coś zobaczyłaś? – Mszczuj natychmiast się zainteresował. – Widzisz coś? Co tam jest?

Podbiegł do mnie, potykając się o własne nogi. Kasztanowa czupryna kapłana podskakiwała zabawnie, gdy się pochylał i zaglądał pomiędzy gałęzie.

– Wydaje mi się... – zaczęłam mówić, ale urwałam.

Tak naprawdę wcale nie wiedziałam, co mi się wydaje. Uparcie szłam przed siebie w coraz większą gęstwinę. Już nie mogliśmy iść obok siebie, więc wróż deptał mi po piętach. Nie minęło kilka minut, a trafiliśmy na but.

Stał sobie jak gdyby nigdy nic pomiędzy drzewami. Mszczuj wychylił się zza mojego ramienia, jego loki połaskotały mnie po policzku.

– But – powiedział.

– Tam jest drugi. – Wskazałam palcem przerzedzenie pomiędzy drzewami. Ślady wyraźnie prowadziły nas w stronę polany.

– Ma rozwiązane sznurowadła – zauważył Mszczuj, ale tym razem powstrzymał się przed podniesieniem dowodu rzeczowego.

– No i?

Stałam w miejscu i masowałam nadgarstek. Ani myślałam iść sama w stronę polany. Włosy na karku już mi stały dęba od podejrzeń, co tam możemy znaleźć. Oczami wyobraźni widziałam krew i rozwleczone po gałęziach jelita.

Nabrałam powietrza. Nie było czuć metalicznego zapachu krwi, ale Bezprym zaginął przedwczoraj. Może po prostu smród śmierci się rozwiął.

– O ile nie chodził z rozwiązanymi sznurówkami, to chyba wygląda na to, że sam zdjął buty – poinformował mnie kapłan.

Pozwoliłam, żeby mnie wyprzedził i pierwszy wszedł na polanę. Nie miałam na to najmniejszej ochoty, ale powoli za nim ruszyłam. Mszczuj uniósł gałęzie i zniknął mi z oczu. Nie wrzasnął przerażony, więc chyba nie zauważył tam zbyt drastycznej sceny.

Odetchnęłam głęboko, szykując się w duchu na dużą dawkę makabry, przeskoczyłam nad drugim butem i prawie wbiegłam na polanę. Od razu zderzyłam się z Mszczujem, który stanął jak wmurowany w ziemię.

– Nie rozumiem – mruknął.

– Czego?

Wyjrzałam zza jego ramienia i też zamarłam. Poczułam, że się czerwienię. Scena, którą zobaczyliśmy, była tak nieprzyzwoita, że nawet mi zrobiło się głupio. Biedny Bezprym leżał pod brzošką na plecach. Nie miał na sobie ubrań. Spodnie i majtki leżały u naszych stóp. Nie były może schludnie złożone w kosteczkę, ale także nie rzucono ich byle gdzie. Raczej odłożono, a w każdym razie sprawiały takie wrażenie.

Nagusieńki Bezprym leżał z rozrzuconymi na boki rękami. Nogi także miał rozsunięte. Pod głowę ktoś troskliwie podłożył mu kopkę liści, która imitowała poduszkę. Na twarzy młodego mężczyzny malował się błogi uśmiech. Martwe oczy wpatrywały się z radością w niebo.

Jednak nie to było w całej tej scenie najdziwniejsze. Najbardziej zwracał uwagę fakt, że męskość Bezpryma stała, że tak powiem, na baczność. Nie powinna, bo był niewątpliwie martwy. O ile wcześniej nie było niczego czuć, o tyle teraz dolatywał do nas słodki zapaszek rozkładu. Denat miał wzdęty i pokryty zielonkawymi przebarwieniami brzuch. Niestety biologia robiła swoje i zaczynał powoli gnić.

– Czy on...? – zapytał Mszczuj.

– Ma pełną erekcję? Tak mi się wydaje.

Kapłan dał kilka kroków do przodu. Skoro on się odważył, to przecież nie mogłam być gorsza. Stanęliśmy nad zwłokami.

– Nie żyje – zawyrokował Mszczuj i stuknął butem w nogę nieboszczyka.

Ukucnęłam koło ręki Bezpryma. Wolałam nie patrzeć na jego twarz. Odrobinę przerażała mnie błogość, która się na niej malowała.

– Spójrz tutaj.

Szybko podszedł do mnie. Dbał, by jego spojrzenie ani razu nie ześlizgnęło się na krocze Bezpryma.

– Zerknij na nadgarstek – nakazałam.

Kapłan ukucnął i pochylił głowę.

– Jakby siniak? – zapytał.

– Siniak – potwierdziłam. – Na drugim nadgarstku i na kostkach u nóg też ma takie ślady. Identyczne.

– Co przez to rozumiesz? Ktoś go związał?

– Raczej trzymał. Zobacz.

Przyłożyłam swoją dłoń do chłodnej skóry Bezpryma. Moje palce idealnie dopasowały się do sinych przebarwień. Nie było żadnych wątpliwości. Ktoś złapał go za ręce i trzymał na tyle mocno, że chłopakowi zrobiły się wybroczyny, gdy jeszcze żył.

– Kto mógł mu zrobić coś takiego? – zapytał zduszonym głosem.

Rumieńce na twarzy Mszczuja zastąpiła niezdrowa, wyraźnie zielonkawa bladość. Podniosłam się na nogi i zmusiłam go, żeby odsunął się od zmarłego.

– Chodź, powinniśmy jak najszybciej dostać się na pocztę i zadzwonić na policję – powiedziałam.

– Muszą go stąd zabrać, żeby zwierzęta nie rozwlekły ciała.

Zieleń na twarzy Mszczuja pociemniała. Biedny kapłan zgiął się w pół i zwymiotował na swoje buty. Na szczęście nie trafił w Bezpryma ani we mnie.

– Nie rozumiem – wyjąkał. – Kto mógł mu zrobić coś takiego?

Złapałam go pod ramię i zaczęłam prowadzić przez las.

– Chyba niestety domyślałam się, kto mógł to zrobić – powiedziałam ponuro.

– Tak? Kto?

– Nie spodoba ci się odpowiedź – zastrzegłam.

– Mów.

– Jak dla mnie wszystko wskazuje na to, że maczały w tym palce rusałki.

Policja dała nam spokój dopiero nad ranem. Zanim dotarliśmy na pocztę, gdzie znajdował się telefon, zrobiło się już późne popołudnie. Mszczuj zawiadomił policję, a oficer kazał nam się nie ruszać z budynku poczty. W międzyczasie pani z okienka na poczcie powiedziała dozorczy o zbrodni, a ten przekazał wieść dalej. Drogą pantoflową informacja o tym, że jego syn został znaleziony martwy, dotarła do leśniczego.

Przez ponad godzinę musieliśmy przekonywać potężnego mężczyznę, że nie zaprowadzimy go na polanę, dopóki nie pojawi się policja, bo trzeba zabezpieczyć ślady. Cieszę się, że był ze mną Mszczuj, bo zirytowany leśniczy sprawiał wrażenie, jakby mógł mnie sobie przerzucić przez ramię i po prostu wynieść z poczty prosto do lasu.

Policjanci pozwolili mi z nami jechać, ale musiał poczekać. Najpierw oni oglądali denata. Leśnika dopuścili dopiero po zrobieniu dokumentacji fotograficznej i przykryciu plandeką dolnych partii ciała.

Szczerze mu współczułam. Żaden rodzic nie powinien przeżyć swojego dziecka. Gdy on rozpacział, my z Mszczujem staliśmy obok policji. Kapłan chyba przeżywał tak samo jak ja, bo złapał mnie mocno za rękę. Byłam mu za to wdzięczna.

Potem policja odwiozła nas do mojej chatki. Miła funkcjonariuszka przesłuchała mnie i Mszczuja, a nawet pozwoliła nam się napić po kieliszku nalewki, żebyśmy zdołali się opanować. Wróż zapytał ją, czy to, jak wyglądało ciało, było normalne, i czy coś podejrzewają, ale zgrabnie uniknęła odpowiedzi. Na sam koniec poinformowała nas, że pewnie jeszcze się w tej sprawie zgłoszą po dalsze wyjaśnienia.

Od tamtej pory minęło z półtora tygodnia. Policja więcej do nas nie przyszła. Mszczuja odwiedził leśniczy i poprosił go o pomoc duchową, a także odrobinę bardziej namacalny rodzaj wsparcia. To dlatego siedzieliśmy teraz u mnie i zastanawialiśmy się, co zrobić.

Mszczuj nawet doczekał się kieliszka alkoholu, na czym mu tak zależało. Mechanicznie głąaskał Felusia, który wskoczył mu na kolana, i popijał powoli nalewkę z czarnego bzu.

– Możesz mieć rację – powiedział w końcu.

Przyznam szczerze, że wyrwał mnie tym z drzemki, którą od kilku minut uskuteczniałam na siedząco. Znowu cały dzień kopałam. Teren dookoła chaty przeszukałam. Niestety działka mojej babci ciągnęła się łąką aż do samego lasu. Jeśli chciałam sprawdzić wszystko, zapowiadało się, że jeszcze przez jakiś rok będę kopać.

– Co? – zapytałam nieprzytomnie.

– Mówię, że możesz mieć rację. Bezprym wyglądał dziwnie. Nawet policjanci mieli nietęgę miny. Na pierwszy rzut oka widać było, że chłopaka wykorzystano.

– Czyli wierzysz w moją teorię o rusałkach?

Trochę bawiła mnie jego reakcja. Ja wiem, że jest kapłanem, a w seminariach ich uczą, że bogowie istnieją, ale upiry to już niekoniecznie. Niemniej skoro mieszka na wsi, mógłby się trochę ogarnąć. Leśniczy podzielał moje poglądy. Zapewne też niejedno w puszczy zobaczył przez całe

swoje życie. To właśnie dlatego odwiedził Mszczuja. Poprosił wróża, by ten zajął się sprawą nadprzyrodzoną, żeby już nikomu więcej nie stała się krzywda.

– Jakiś czas temu coś pożerało cielaki, a kiedy się tym zainteresowałam, po kolejnej pełni księżyca problem zniknął. Nie jestem głupi. Łatwo się domyślić, że to mógł być wilkołak – powiedział Mszczuj.

– Aha.

– Był?

– Co?

– Jaga, nie śpij! – zirytował się. – Czy tamten potwór, który zjadał cielaki, był wilkołakiem? Muszę to wiedzieć! Muszę mieć świadomość, jeśli coś złego dzieje się w moich Bielinach. Ludzie na mnie liczą. Nie mogę udawać, że jestem ślepy.

Zamrugałam. Nie spodziewałam się, że po alkoholu Mszczuj robi się taki stanowczy. Nawet było mu z tym do twarzy.

– Tak, to był wilkołak – potwierdziłam.

Chyba powinnam napić się kawy. Był wczesny wieczór, ale zapowiadało się, że Mszczuj szybko mi nie odpuści i nie położę się niedługo do łóżka.

– A co z nim teraz? – zapytał.

– Z wilkołakiem? Teraz już go nie ma – odparłam.

– Czy ja chcę wiedzieć, co się stało?

– Pewnie nie...

Pokiwał głową i zapobiegliwie przestał drążyć.

– Czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

– Po moim przyjeździe zabiłam wąża – wyznałam. – Mam pod opieką zmore. Jeszcze do końca nie wymyśliłam, jak rozwiązać ten problem bez zabijania nosicielki, ale na razie wygląda na to, że moje środki zapobiegawcze działają. Spotkałam ostatnio planetnika, całkiem porządny się wydaje. Na pewno nikomu nie zagraża, raczej pomaga. Poza tym był ten wilkołak... no i wychodzi na to, że trzeba się zająć rusałkami.

Kapłan lekko pozieleniał.

– Strasznie dużo tego...

– Prawda? Sama jestem zaskoczona. Nie podoba mi się to. Tak nie powinno być.

– Czyli co? Bieliny są jakimś tajemnym miejscem, które przyciąga demony? – Zachichotał i dopił zawartość swojego kieliszka.

– Nie wydaje mi się. Podejrzewam, że ktoś macza w tym palce.

Wróż natychmiast spoważniał. Zmierzył mnie tak ostrym spojrzeniem, że aż się złękłam. Chyba nie będę mu już dolewać.

– Kogo podejrzewasz? – zapytał.

– Na razie nikogo. Niemniej mam pewne podstawy, by sądzić, że moja babcia mogła odejść z tego świata odrobinę przedwcześnie.

– Trzeba pomyśleć, kto miał do niej żal – zaproponował.

– Odkrywcze – zakpiłam. – Nie wiem, kto mógł mieć do niej aż taki żal, że ją zabił. Na pewno nie lubili się z Bolesławem.

Mszczuj się skrzywił.

– Bolesław jest odrobinę dziwny, ale znam go całkiem dobrze. To nie jest osoba, która wierzy w istnienie upirów. Ale rzeczywiście, on i twoja babcia wyraźnie się nie lubili. Oboje mieli o sobie nawzajem bardzo złe zdanie.

– Jest jeszcze Mirka – mruknęłam. – Bardzo ją lubię, niemniej stanowię dla niej bezpośrednią konkurencję. Nasze miejscowości leżą niedaleko od siebie. Może chce się mnie pozbyć, żeby mieć monopol na klientów?

– Jej nie znam aż tak dobrze. – Pokręcił głową.

– Poza tą dwójką nikt mi nie przychodzi do głowy.

– To na pewno ktoś, kto korzysta na całej tej sytuacji – stwierdził Mszczuj.

– No tylko kto? Bo teoretycznie to choćby ciebie można podejrzewać – zauważyłam.

– Co takiego? – wykrzyknął.

– Masz więcej pracy, odkąd ludzie umierają. A zarabiasz na ceremoniach pogrzebowych, prawda?

– Wiesz, to samo można powiedzieć o tobie! – obruszył się. – Jak tylko ludzie zaczną się bać demonów, zaraz zgłoszą się do ciebie po specyfiki do ochrony.

– Ja nie robię niczego złego!

– Jakby co, to ja też nie!

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Kapłan zerknął kilka razy na butelkę nalewki, ale udałam, że nie widzę jego tęsknego spojrzenia. Coś mi mówiło, że nie powinien przesadzać z ilością wypitego alkoholu.

– To co teraz? – zapytał.

– Nie wiem... Chyba trzeba zapolować na te rusałki.

– Naprawdę myślisz, że morderca lub morderczyni twojej babci może mieć związek z tym, co się ostatnio dzieje?

– Mam wrażenie, że ktoś usiłuje mnie wykurzyć z Bielin. – Objęłam się ramionami. – Ataki nie są wymierzone bezpośrednio we mnie, ale nie mogę się pozbyć przeczucia, że komuś tu przeszkadzam.

– Tylko w czym?

Zaczęłam się zastanawiać, czy powiedzieć Mszczujowi, czego szukam z takim zapamiętaniem w ogrodzie. Nie, na razie to nie był dobry pomysł.

– Nie wiem. Wracając do rusałek, to nie ma zbyt wielu sposobów, żeby je zneutralizować.

– Nie ma? – zmartwił się.

– Umarły już raz śmiercią tragiczną, nie doczekawszy się nocy poślubnej. To dlatego atakują mężczyzn i ich wykorzystują. Nie słyszałam nigdy, że można je w jakiś sposób zabić ponownie. Nie wstają nocą z grobu, pewnie ich szczątki dawno temu zostały spalone. Nie mamy nawet czego neutralizować.

– W okolicy żadna kobieta ostatnio nie umarła tuż po ślubie. A w każdym razie z tego co wiem – powiedział.

– Mszczuju, rusałki mają to do siebie, że są dość długowieczne. Równie dobrze te pannice mogły zginąć jakieś sto albo dwieście lat temu – uświadomiłam mu.

– Myślisz, że jest więcej niż jedna?

– Zwykle poruszają się stadami. Poza tym przypomnij sobie, w jakiej pozycji znaleźliśmy

Bezpryma.

– Na plecach.

– Na plecach – zgodziłam się. – A poza tym?

Prawie widziałam trybiki przypominające mechanizm zegarka, poruszające się pomiędzy jego brwiami.

– Miał rozrzucone ręce i nogi! – powiedział wreszcie.

– Dokładnie! Wydaje mi się, że kilka rusałek trzymało nieboraka za ręce i nogi, a jedna z nich... no cóż... ujeżdżała go?

Mszczuj spłonął się niemalże od razu. Za mocno chyba też poklepał Felusia, bo kot na niego syknął i zeskoczył z jego kolan.

– Możesz mieć rację – wydusił. – Może poleję nam jeszcze trochę nalewki?

Dostał ode mnie punkt za to, że odważył się zapytać.

– Nalej, nalej – zgodziłam się.

– Masz jakiś pomysł, żeby to sprawnie rozwiązać? Sądziś, że może się zdarzyć kolejny atak? Czy to raczej był jednorazowy incydent?

– Najlepiej byłoby się spotkać z tymi rusałkami i je przepłoszyć. Dać im do zrozumienia, że nie życzymy sobie w okolicy ich obecności i że jesteśmy w stanie uprzykrzyć im życie, więc powinny poszukać innego terytorium łowieckiego.

– A jesteśmy w stanie uprzykrzyć im życie?

Tu mnie miał.

Szczerze mówiąc, nie miałam zielonego pojęcia, jak je przepłoszyć. Przecież nie będę chodziła po lesie z workiem soli i pilnowała wszystkich samotnych facetów, którzy mogą zostać zaatakowani.

– Nie bardzo... ale one nie muszą o tym wiedzieć – zaznaczyłam.

Może powinnam poprosić Swarożycza o pomoc? To było kuszące rozwiązanie. Jako bóg mógłby przecież zrobić z rusałkami porządek. Z drugiej strony wołałam go nie angażować, jeśli nie było to konieczne.

Mszczuj wychylił kieliszek i zapytał:

– Dobrze! To co robimy?

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, w którym rozciągnęły się moje usta.

– Mam plan – odpowiedziałam.

29.

– Chcę zaznaczyć na samym wstępie, że mi się to zupełnie nie podoba – powiedział Mszczuj.

– Przyjęłam do wiadomości – odparłam.

– A może przełożymy całą akcję? – zaproponował. – W sumie powinienem dzisiaj zrobić trochę porządków. Jutro jadę spotkać się z mężczyzną, który jedną nogą jest już po tamtej stronie i powinienem powtórzyć sobie modlitwy...

Akurat uwierzę, że nie zna modlitw na pamięć. Jako kapłan!

Przyglądałam się krytycznie Mszczujowi. Kazałam mu włożyć rozchełstaną, kwiecistą koszulę i bardzo obcisłe skórzane spodnie. Muszę przyznać, że miał całkiem zgrabne pośladki. Aż się sama zdziwiłam. Za pomocą lakieru do włosów trochę udało mi się okiełznać jego loki, a jeśli chodzi o wąsik, to świeżo co przystrzygł go u lokalnego golibrody. Zmusiłam go też, żeby psiknął się męskimi perfumami. Wyglądał na bardziej zadbanego ode mnie.

Dużo bardziej.

Byłam zachwycona z efektu. Picuś glancuś – jak by powiedziała moja babcia. Wydawało mi się, że żadna rusałka mu się nie oprze.

– Nie podoba mi się to wszystko – stwierdził.

Na końcu języka miałam złośliwy komentarz, żeby zaczął zachowywać się jak facet i przestał trząść portkami, ale w sumie nie wypadało go bardziej denerwować. Już i tak cud, że zgodził się na mój szalony pomysł. Nie musiałam go teraz dodatkowo obrażać.

– Będzie dobrze – zapewniłam go nieszczerze. – Możliwe, że nie spotkamy żadnej rusałki. To będzie zwyczajny spacer po lesie.

Była na to spora szansa. Pograżony w żałobie leśniczy rozpowiedział w całych Bielinach, że jego syna zamordowały rusałki albo wije i w efekcie mało który mężczyzna decydował się na samotne wędrówki po puszczy. Starali się trzymać w grupach po czterech chłopa, bo tak było bezpieczniej według leśniczego. Mnie nikt o radę nie pytał, ale powiedziałabym to samo. Podobno w całym miasteczku po świętą wodę musiały do źródła chodzić kobiety, ponieważ mężczyźni się bali.

Mimo że minął już miesiąc od tragicznej śmierci Bezpryma, do tej pory nie przydarzył się kolejny przypadek ataku demonów. Teoretycznie można było dojść do wniosku, że rusałki sobie poszły i zostawiły nas w spokoju.

– Nie wiem, jak można uwierzyć rusałkom – stwierdził.

– To znaczy?

– Każdy głupi powinien się domyślić, że jak spotyka w lesie grupkę półnagich kobiet, które wręcz się dopraszają, żeby zwrócić na nie uwagę, jest to coś podejrzanego – bulwersował się. – Wystarczyłoby, gdyby Bezprym dwa razy się zastanowił, a w ogóle nie doszłoby do takiej sytuacji.

– Najwyraźniej wystarczy spotkać ładne, półnagie kobiety, chętne do igraszek na polance, żeby natychmiast stracić zdrowy rozsądek – odparłam, wzruszając ramionami.

– Nie pojmuję! Naprawdę nie pojmuję tej naiwności! – oświadczył.

Poprawił nerwowo koszulę, a następnie zaczął przyglądać sztywno od lakieru loki. Oczywiście

ani drgnęły.

– Może ich już w ogóle nie ma? – zapytał z nadzieją już chyba po raz piąty.

– Dokładnie o tym samym pomyślałam – przyznałam.

– Och, to... – ucieszył się, ale mu przerwałam:

– Mimo wszystko musimy to sprawdzić. Nie możemy ogłosić ludziom, że wszystko już jest dobrze, a następnego dnia kolejny mężczyzna będzie doprowadzony do... hm...do...

– Do śmierci – podpowiedział.

– Chciałam bardziej poetycko zakończyć. – Postukałam się palcem po brodzie. – Tylko nie wiem, jak to ująć... Doprowadzony do granic rozkoszy? Doprowadzony do śmiertelnego uniesienia? Ostatecznego wzrodu? Albo do śmierci z bezgranicznej przyjemności?

Mszczuj pozieleniał. Wyglądał, jakby miał zwymiotować. Przestraszyłam się, że faktycznie zaraz to uczyni. A wtedy będziemy mieli problem, bo przestanie być taki pociągający, jeśli będzie zionąć od niego wymiocinami na odległość trzech metrów.

– Już, już uspokój się! – Poklepałam go po ramieniu. – Powtórzę raz jeszcze, że pewnie nawet nie natrafimy na żaden ślad. Jestem przekonana, że wszystkie rusałki już dawno sobie poszły na inne żerowisko.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście!

Na szczęście kapłan nie wyczuł albo nie chciał wyczuć fałszu w moim głosie. Powoli ruszyliśmy przez las. Tak jak ustaliliśmy wcześniej – Mszczuj szedł pierwszy. Ja po cichu miałam go śledzić w odległości od kilkunastu do kilkudziesięciu metrów. Nie mogłam iść za blisko, ale też bałam się, że stracę go z oczu.

– Tylko nie zapomnij gwizdać. – Upomniałam go, gdy wszedł między drzewa.

Na komendę zaczął pogwizdywać skoczną melodyjkę. Kaleczył utwór niemiłosiernie, ale przynajmniej było go dobrze słyhać. Poczekiałam, aż zniknął za drzewami, ale dźwięk gwizdania ciągle do mnie dobiegał. Dopiero wtedy ruszyłam jego śladem. W dłoni trzymałam worek z solą, której zamierzałam użyć i jako broni, i jako sposobu na obronę. Jeśli zdążę ją rozsypać dookoła siebie i Mszczuja, to powinna spełnić rolę zapory. Poza tym miałam ze sobą plecak pełen rzeczy, które mi się pewnie nie przydadzą, ale wzięłam je na wszelki wypadek.

Niedługo miał zapaść wieczorny zmrok. W puszczy było chłodniej i wilgotniej niż na otwartej przestrzeni. Pomimo swetra czułam, jak zimno pełźnie po mojej skórze. Mszczuj niósł w dłoni lampę naftową, ja się nie odważyłam. Nie chciałam zostać przez nikogo zauważona. Starłam się stąpać cicho, ale i tak miałam wrażenie, że każde dzikie zwierzę może mnie zauważyć. Na szczęście kapłan robił tyle hałasu swoim nerwowym gwizdaniem i niby przypadkowym zahaczaniem o wszystkie okoliczne krzaki, że może na mnie nikt nie zwróci uwagi.

Po jakiejś godzinie marszu przestałam się tak bardzo skupiać na otaczającej mnie puszczy. Przyznaję, znudziłam się poszukiwaniami. Było mi zimno, miałam wrażenie, że moje dłonie zamieniły się w kawałki lodu i jeszcze na dodatek zachciało mi się sikać. Bałam się jednak zatrzymać nawet na chwilę, bo zestresowany Mszczuj szedł zbyt szybko. Już praktycznie poruszałam się truchtem, a i tak miałam wrażenie, że coraz bardziej się ode mnie oddala.

A przecież nie mogłam go zawołać i kazać mu zwolnić, bo bym zdradziła swoje położenie.

Przełożyłam worek z solą do drugiej ręki. Nie miałam już siły go nieść. Odciski od łopaty na obu moich dłoniach boleśnie dawały o sobie znać. Zaczęłam się zastanawiać nad moimi dalszymi krokami. Oczywiście krokami zawodowymi. Brak płynności finansowej coraz częściej spędzał mi sen z oczu.

Okazyjnie wpadała do mnie po kremy i nalewki pani Bronka ze spożywczego, chociaż miałam wrażenie, iż robi to z sympatii, a nie z realnej potrzeby. Namówiła kilka koleżanek, które nawet zgłosiły się do mnie po porady, ale widać po nich było, że nie są przekonane co do mojej wiedzy. Od czasu do czasu trafiało się zlecenie od jakiegoś gospodarza, ale należały one raczej do rzadkości. Na szczęście dzięki babci Radomile miałam zapewnione przetrwanie. O ile wątroba mi nie spuchnie od liczby spożywanych jajek.

Gospodarz mieszkający kilka domów ode mnie zgłosił się dawno temu do babci z nietypowym problemem. Mianowicie miał zagwozdkę z kurami. Nioski uwielbiały uciekać z jego gospodarstwa, a potem rozłaziły się po okolicznych łąkach albo, co gorsza, wędrowały do sąsiadów. Biedny właściciel nie mógł cieszyć się wizją świeżych jajek lub rosołu na kurzej piersi, bo ptaszyska często padały ofiarą lisów. Rude drapieżniki tak się rozzuchwaliły, że nawet w biały dzień potrafiły porwać kurkę, gdy ta wymknęła się poza posesję, której pilnowała zgraja burków.

Moja babcia podobnie doradziła gospodarzowi, który wcześniej bezskutecznie próbował wszystkich możliwych sposobów, by z każdą kurą, czy to starą, czy nowo wyklutą lub kupioną, obejść dookoła chałupę, powtarzając jak mantrę słowa: „trzymaj się chałupy jak moja noga dupy”.

Wydawało mi się to trochę podejrzane, ale podobno pomogło, więc nie zamierzałam podważać w żadnym razie tej metody. Gospodarz przypomniał sobie jakieś dwa tygodnie temu o obietnicy danej Radomile, że zawsze będzie dbał o lokalne szeptuchy i częstował je jajkami, więc mogłam teraz liczyć na stałą dostawę jaj.

Trochę późno mu się przypomniało, bo mieszkałam w Bielinach od końca czerwca. Niemniej nie zamierzałam robić mu wyrzutów. Gdyby nie jego jajka, chyba już dawno razem z ubożętami pomarlibyśmy z głodu. Feluś niestety wyrósł z koziego mleka i przestawił się na inne produkty, więc głupio było mi łączyć z metalową bańką do pana Bogusąda. Poza tym zainkasowałam już od niego zapłatę za likwidację wilkołaka. Teoretycznie nie był mi już nic winien.

Zaczynałam właśnie rozmyślać na temat sąsiadki zmory, gdy zrozumiałam rzecz straszną.

Mszczuj przestał gwizdać.

W pierwszej chwili zatrzymałam się gwałtownie i o mały włos nie upuściłam worka z solą. Cholera! Cholera! CHOLERA!

Ruszyłam biegiem przed siebie, nasłuchując jakichkolwiek dźwięków. Byłam taka zamyślona, że nawet nie zarejestrowałam momentu, gdy umilkł. Nie wiedziałam, czy stało się to przed chwilą, czy może pięć minut temu.

Nie wiem, ile czasu zajmuje rusałkom doprowadzenie kogoś do ostatecznego wzwodu. Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że jednak trochę to trwało. Zwłaszcza że Mszczuj był tak zestresowany.

Nagle usłyszałam kobiecy śmiech. Zatrzymałam się gwałtownie i aż przykucnęłam, pewna, że zaraz zostanie zauważona.

– Kochasiu, co porabiasz sam w lesie?

Kobiecy głos był niski i bardzo zmysłowy. Brzmiał tak, jak brzmieć mogłaby satynowa pościel ześlizgująca się z ponętnego ciała, gdyby umiała mówić.

– Ja, ja, ja, ja... – Mszczuj zaczął się w odpowiedzi jąkać, a następnie gwizdnął przeciągle, jakby usiłował przywołać psa na spacerze.

Przewróciłam oczami. Przecież nie mogę tak od razu wpaść i przepędzić towarzystwa. Muszę poczekać, aż się chociaż trochę zajmą kapłanem.

Hm... może trzeba było przestrzec Mszczuja, że taki mam plan? Eee, jeszcze tylko bardziej by się denerwował.

– Kochasiu, jesteś na spacerze z pieskiem? – odezwał się inny głos, równie mocno ociekający seksem.

Pozazdrościłam rusałkom. Też bym chciała umieć tak mówić. Chociaż z drugiej strony mi to nie było do niczego potrzebne.

– Ja, ja, ja, ja... – jąkał się nadal.

Aż mi się zrobiło głupio. Biedny Mszczuj.

– Chodź tutaj kochasiu! – zawołał trzeci głos. – Powiedz mi... Podobam ci się?

– Ja, ja, ja, ja... tak.

Uniosłam brwi. Mamy przełom. Przestał się jąkać.

– Kochasiu, chodź do nas. Tak długo czekałyśmy na mężczyznę.

– Na prawdziwego mężczyznę!

– Och, jak ty cudownie pachniesz, kochasiu! Zupełnie inaczej od tych wiejskich chłopaczków!

Poczułam dumę, że udało mi się sprawić, by nawet rusałki zachwyciły się kapłanem. Wiedziałam, że spryskanie go perfumami będzie dobrym pomysłem. Może powinnam dorabiać sobie jako wizażystka?

Powoli zaczęłam się przekradać w stronę głosów.

– Kochasiu, jak masz na imię? – zagruchnęła jedna z rusałek.

– Eee... Mszczuj.

– Och, jakie piękne imię! Nigdy nie słyszałam piękniejszego!

– Jakie ty masz mięśnie pod tą koszulą! Och, jakie twarde! Och, musisz być taki silny!

– Jaki cudowny wąsik! Mogę dotknąć? Jestem pewna, że wspaniale całujesz! Mężczyzna z takimi wąsami musi być pewny siebie i władczy! Och, jakbym chciała, żebyś mnie całował! I to nie tylko w usta!

– Ach, te loki, te przepiękne, miedziane loki! Przypominasz mi boga! Przyznaj się, zszedłeś do nas z nieba? Ukarzesz nas swoją mocą?! Ześlij na nas rozkosz!

– Kim jesteś? Musisz być co najmniej bogiem!

Prychnęłam pod nosem, oburzona tymi bezczelnymi kłamstwami. Nie wiem, jak bardzo trzeba być w sobie zadufanym, żeby im uwierzyć. Przecież całe to ich gadanie trąci fałszem od pierwszej głoski.

– Och, drogie panie. Jestem tylko skromnym kapłanem – odpowiedział Mszczuj, zupełnie się już nie jękając, za to z pewną dozą zadowolenia w głosie.

A następnie zachichotał. Naprawdę. Mszczuj zachichotał.

– Chodź z nami, nie powinieneś sam błąkać się nocą po lesie – oświadczyła rusałka.

– Ja chyba...

Coś zaszeleściło gwałtownie.

– Och, potknęłam się! Całe szczęście, że mnie złapałeś. Jesteś takim wspaniałym mężczyzną, takim przystojnym. Ależ nie musisz zabierać dłoni z mojej piersi. Bardzo zmarzłam.

– Nie masz chyba żony, co?

– Nie mam żony. Jestem sam – odpowiedział.

– Niemożliwe! Taki cudowny mężczyzna? Kobiety nie powinny wychodzić z twojego łóżka! Ja na pewno bym nie wychodziła.

Cały czas uparcie się skradałam. Na szczęście towarzystwo było tak intensywnie zajęte uwodzeniem, że w ogóle nie zwracało uwagi na to, co się dzieje dookoła. Po chwili zesłam ze szlaku. Dalej musiałam przedzierać się przez zarośla. Najwyraźniej rusałki wyprowadzały Mszczuja w dzicz, a ten tak się zagadał, że nawet tego nie zauważył. Nagle natrafiłam na kwiecistą koszulę. Wisiała sobie spokojnie na wystającej gałęzi.

Jeszcze chwilę wcześniej musiała okrywać Mszczuja, bo ciągle była ciepła. Zgarnęłam ją po drodze i przedzierałam się przez krzaki w ślad za grupą. Doszłam do przejaśnienia między drzewami. Przysiadłam na piętach i chłonełam nietypowy widok.

Mszczuj nie miał już butów. Nie wiem, czy sam je zdjął, czy któraś z rusałek mu w tym pomogła, ale w najlepsze pląsał na bosaka w samych spodniach. Wokół niego krążyły trzy ponętne niewiasty. Musiałam oddać im sprawiedliwość. Były prześliczne.

Najwyższa miała blond loki, które wydawały unosić się na niewidzialnym wietrze. Jej pełne usta w kształcie serca były równiutko umalowane czerwoną szminką. Długie, czarne rzęsy trzepotały zalotnie, gdy pochylała się w stronę rozporzka kapłana. Jej drobne dłonie bardzo sprawnie poradziły sobie z guzikami w jego spodniach. Rozochociony Mszczuj chyba nawet nie zauważył, gdy zaczęły się z niego zsuwać.

Druga rusałka była brunetką. Jej włosy także lekko falowały dookoła głowy. Oczy miały przepiękny fioletowy odcień. Można było w nich zatonać. Miała drobną, lekko trójkątną twarzyczkę z wyrazem uwielbienia wymalowanym na niej chyba na stałe. Przesuwała dłońmi po nagich plecach kapłana i szeptała mu zbierne rzeczy do ucha. Z tego, co zdołałam usłyszeć, właśnie opowiadała mu, co zamierza zrobić z jego penisem.

Trzecia rusałka, rudowłosa, tańczyła przed Mszczujem, wyginając swoje gibkie ciało. Jej pełne piersi wielkości dojrzałych melonów podskakiwały rytmicznie. Różowe brodawki chyba zahipnotyzowały wróża, bo nie odrywał od nich spojrzenia.

Wszystkie kobiety miały na sobie bardzo skąpe ubrania, całkowicie odsłaniające piersi. W zasadzie trudno nawet było to nazwać ubraniami. Malowniczo porwanym, półprzezroczystym szmatkom bliżej było do mocno wyciętych przepasek biodrowych na szelkach niż do prawdziwych ubrań. Głowy rusałek zdobiły wianki, a skórę tatuaże w kwiatowe motywy.

Kapłan westchnął urzeczony i przeciągnął palcami po piersi najbardziej cycatej rusałki, śledząc misterny wzór z zielonego tuszu, który przypominał liście winogrona.

Odetchnęłam głęboko i poczułam w powietrzu woń kwiatów oraz ciężki piżmowy zapach, który zwykle unosi się w sypialni po zmysłowej nocy.

Biedny Mszczuj nie miał najmniejszych szans. Zanim się obejrzał, był całkiem nagusieńki. Jego

lampa naftowa rzucała kolorowe błyski na lśniące ciała rusałek, które zdawały się go hipnotyzować. Zadowolone, że trafiła im się łatwa ofiara, popchnęły go na ziemię. W ogóle nie protestował, a wręcz ochoczo się położył.

Dwie rusałki złapały go za ręce. Nadal szeptały mu do uszu komplementy. Jedna zaczęła całować go po szyi. Trzecia, blondyneczka, stanęła nad Mszczujem i uniosła swoją spódniczkę. Jak zauważyłam, nie nosiła bielizny, która mogłaby krępować jej ruchy.

Postanowiłam zainterweniować, zanim zasiądzie na kapłanie, którego rozmarzona mina sugerowała, że nie może się już tego doczekać.

– Przepraszam bardzo! – zawołałam, wyskakując zza krzaków.

Przerażone rusałki pisnęły jednym głosem i zerwały się na równe nogi. Mszczuj nie ruszył się z miejsca. Leżał na ziemi oszołomiony, celując w niebo pewną częścią ciała, która była większa, niż zapamiętałam.

– Bardzo panie przepraszam, ale prosiłabym, żeby dały panie spokój naszemu bielińskiemu kapłanowi – powiedziałam uprzejmie i jednocześnie rozwiązywałam sznurek na worku z solą.

Istoty stanęły obok siebie i wbiły we mnie gniewne spojrzenia. Na ich policzkach pojawiły się rumieńce gniewu.

– Kim jesteś, że nam przeszkadzasz?! – warknęła czarnulka.

– Nazywam się Jarogniewa, jestem lokalną szeptuchą, bardzo mi miło! – Uśmiechnęłam się do nich przyjaźnie, ale nadal były wściekłe.

– Jaga, nie przeszkadzaj! – zawołał Mszczuj. – Mam wszystko pod kontrolą!

Widzę właśnie...

– Drogie panie, przykro mi to mówić, ale ma właśnie miejsce nasza mała interwencja – kontynuowałam. – Z racji niedawnej śmierci niejakiego Bezpryma... pamiętają go panie może?

Ruda uśmiechnęła się na samo wspomnienie.

– Oj tak, kochaś nawet długo wytrzymał – powiedziała. – Aż byliśmy zaskoczone.

– Przez chwilę zastanawialiśmy się, czy go jednak nie puścić – potwierdziła blondynka. – Ale zmarło mu się niestety po jakichś dziesięciu godzinach zabawy.

O bogowie... dziesięciu? Wytrzymałe z nich bestyjki.

– Cicho bądź! – syknęła na nią czarna, którą wytypowałam na mózg całej drużyny.

W międzyczasie Mszczuj podniósł się wreszcie z ziemi i odkrył, że jest nagi. Zapiszczał niczym dziewczyna i nieporadnie usiłował zasłonić swoje przyrodzenie. Miał z tym jednak pewien problem, bo ta część jego ciała wciąż chyba liczyła, że bezceństwa opowiadane przez rusałki się spełnią.

Zlitowałam się i rzuciłam mu koszulę.

– Drogie panie, rozumiemy świetnie wasze potrzeby. Kto miałby lepiej od nas je rozumieć? – rzuciłam retorycznie. – Niemniej bardzo byśmy panie prosili, żebyście nie zabijały naszych mieszkańców.

Czarna zmrużyła oczy. Sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała się na mnie rzucić z pazurami niczym rozwścieczona kotka. Mszczuj narzucił na siebie koszulę i nawet wbił się w spodnie. Z tym że wciąż nie mógł ich zapiąć.

Nagle czar przysł. Aż się cofnęłam. Kapłan chyba także mocno się zdziwił.

Rusałki jak jeden mąż przestały być zmysłowe. Ich pełne piersi zmniejszyły się do normalnych

rozmiarów, a włosy przestały falować na niewidzialnym wietrze. U rudowłosej pojawiła się nawet na brzuchu mała oponka, zamieniając jej wątłą kibić w całkiem normalną talię kobiety z lekką nadwagą. Fiołkowe oczy czarnulki nadal były fiołkowe, ale na jej policzkach pojawiły się ślady po przebytej ospie wietrznej. Jedynie blondynka jakoś się trzymała. Lokowane włosy całkowicie się wyprostowały, ale większych zmian anatomicznych nie zaobserwowaliśmy.

– Przepraszam bardzo, ale my tu sobie nie życzymy żadnych interwencji! – prychnęła czarnowłosa. – Jesteśmy rusałkami i mamy pełne prawo do przebywania w tym lesie.

– I do spotykania się z chłopcami – dodała blondynka.

– Zamknij się, ja mówię! – syknęła czarna.

Mszczuj dopiął rozporek i zaczął się rozglądać za butami.

– Ja wszystko rozumiem – powiedziała. – Jednak z obecnym tu kapłanem nie możemy się zgodzić na zabijanie naszych mieszkańców. Jestem pewna, że możemy dojść do porozumienia. Wiem, że jako rusałki musicie wabić mężczyzn, kusić ich, a potem sprowadzać na nich żądze.

– Sami sobie sprowadzają – prychnęła czarnula. – My tylko jesteśmy ładne. Nawet nie trzeba się za bardzo starać. Większość z nich to idioci. Wystarczy kilka komplementów i pół cycka na wierzchu, a oni lecą, jakby boga za nogi złapali.

Zerknęłam na Mszczuja, który sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar zapaść się pod ziemię.

– Myślicie, że to jest takie przyjemne?! – kontynuowała rusałka. – Większość z tych chłopów, którzy nam się trafiają, nawet nie umie się porządnie umyć, o stosowaniu dezodorantu nie wspominając!

– Zębów też nie myją – dodała ruda. – Dlatego staramy się ich nie całować, bo to obrzydliwe.

– To jest praca w trudnych warunkach! – perorowała czarnula. – A teraz jeszcze jesteśmy przepędzane?! I gdzie my się mamy podziać?!

Przyznam szczerze, że nie spodziewałam się takiego przebiegu spotkania. Myślałam, że będzie trzeba się bić, uciekać, komuś stanie się krzywda. A tu wychodzi na to, że może nawet da radę się z nimi dogadać, bo wcale nie mówią od rzeczy. W pełni się z nimi zgadzałam, chociażby w kwestii higieny niektórych znanych mi mężczyzn, którzy chyba bardzo poważnie traktowali stary przesąd, że myć się należy raz w roku, w okolicy Nocy Kupały.

– A skąd panie do nas trafiły? – zapytałam.

– Podróżujemy przez ostatnie trzysta lat – wyjaśniła ruda. – Tutaj przyjechałyśmy na osobiste zaproszenie.

– Zaproszenie? – zdziwił się Mszczuj. – A kto szanowne panie zaprosił?

– Zostałyśmy przywołane – doprecyzowała ruda.

– Chciałaś powiedzieć, wezwane jak pies do budy – warknęła czarna. – Mnie się to wszystko coraz mniej podoba. Ja chcę po prostu wykonywać swoją pracę najlepiej jak umiem. Wiedziałam, że trzeba się było nie ruszać z Kielc. Świetnie sobie tam radziłyśmy.

– A przepraszam, że przerwę, ale kto panie wezwał? – wtrąciłam.

– Zostało wypowiedziane zaklęcie. Bardzo stare i bardzo mocne. Poczuliśmy zew. Zostało nam obiecane, że będzie tu na nas czekało mnóstwo mężczyzn gotowych na zabawę – odparła.

– A to same śmierdzące pijaki – powiedziała, pociągając nosem, blondynka.

– Wiecie może, jak nazywa się człowiek, który panie wezwał? – dopytywałam.

Tak! TAK! Zaraz się dowiem, kto ukradł księgę mojej babci! Mam rozwiązanie na tacy! Będę mogła się zemścić.

– Nie przedstawił się, ale był to mężczyzna – powiedziała czarnula. – Chyba musi być bardzo potężny, skoro umiał nas przywołać.

– A wiecie cokolwiek, co pomogłoby go nam zidentyfikować? – Niemalże się rozplakałam z zawodu.

– Wydaje mi się, że był starszy, miał lekko schrypnięty głos. My naprawdę słyszałyśmy w głowach tylko jego polecenia – wyjaśniła. – Nie podał nam swojego imienia. Jedyne naobiecywał gruszek na wierzbie. Tak to jest z tymi śmiertelnikami... Nawet po śmierci człowiek nie może im zaufać.

Miałam wrażenie, że moja nadzieja roztrzaskała się na milion kawałków. Naprawdę liczyłam na to, że poznam tożsamość złodzieja. Mszczuj chyba zauważył, że jest mi przykro, bo poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

– Nie martw się, Jago. Nie jest źle. Wiemy już, że to mężczyzna i że ma schrypnięty głos. To już coś.

– Przykro mi, ale tu nie ma mnóstwa mężczyzn gotowych na zabawę – powiedziałam rusałkom. – Po śmierci Bezpryma wszyscy tak się przestraszyli, że przestali chodzić do lasu i chyba szybko nie zaczną.

– Widziałyśmy. Chodzą w czterech czy w pięciu nawet! – obruszyła się ruda. – Z taką liczbą przecież sobie na raz nie poradzimy.

– Może w takim razie moglibyśmy dojść do porozumienia – zaproponowałam. – Z racji, że tutaj i tak nie ma odpowiednich warunków, czy istnieje szansa, żebyśmy jakoś przekonali panie do wyjazdu?

Po kilkunastu minutach zacieklej negocjacji okazało się, że jest szansa. Jedyne, co musieliśmy zrobić z Mszczujem, to dać im sporo pieniędzy, bo zaradne rusałki zażądały zwrotu poniesionych kosztów przyjazdu, zakwaterowania oraz posiłków. Chciały jeszcze wynagrodzenia domniemanych szkód psychicznych i moralnych, ale na to nie starczyło nam już funduszy.

Na szczęście i tak wyjechały.

Rodzice lubią odwiedzać swoje dzieci. Nie ma w tym nic złego. To całkowicie normalny i zdrowy przejaw więzi rodzinnych. Problem zaczyna się wtedy, gdy rodzina jest skłócona. Tak było w przypadku Mszczuja i jego ojca. Ja nie byłam skłócona z mamą, ale ojciec i bracia nie byli skory ze mną rozmawiać po mojej nagłej wyprowadzce. Z tego powodu dziwne wydało mi się, że matka zamierza odwiedzić mnie podczas obchodów Dziadów i razem udać się na cmentarzysko wróżów i szeptuch, by zapalić znicz na grobie babci Radomiły.

Podział w rodzinie? Podejrzane.

– Więc po Szczodrych Godach wyjedziemy!

Wyrwana z ponurych rozmyślań na temat podstępu, na który wpadła moja matka, spojrzałam nieprzytomnie na gości siedzących po drugiej stronie stołu. Pani Czesia i pan Jarek nie zmienili się zbyt wiele, odkąd rozmawiałam z nimi jakieś dwa miesiące temu. Ona nadal wyglądała, jakby nie spała po nocach, a jego twarz bruździły zmarszczki powstałe od ciągłego zamartwiania się.

– A gdzie wyjedziecie? – zainteresowałam się.

– Jarek znalazł ogłoszenie o taniej ziemi w Bieszczadach – poinformowała mnie szczęśliwa gospodyni.

– Na zadupiu – dodał jej mąż.

– Z dala od innych ludzi – poprawiła go. – Teraz mamy wrażenie, że wszyscy nas obgadują. Zabezpieczyliśmy dom, ja śpię w zabezpieczonym łóżku. Nawet... nawet...

Spojrzeni po sobie i uśmiechnęli się zarumieni jak uczniowie przyłapani na całowaniu.

– Co się stało? – zapytałam.

– Jestem w ciąży! – pochwaliła się pani Czesia.

– Och, moje gratulacje! – Ucieszyłam się, ale chwilę później zaczęłam przestrzegać: – Tylko pamiętajcie, kołyskę trzeba też zabezpieczyć, żeby przez sen pani nie zrobiła niechcący krzywdy dziecku.

– Oczywiście, oczywiście! – Pokiwała gorliwie głową.

– Jak na razie metody szeptuchy działają – powiedział gospodarz. – Ja śpię w nocy jak zabity. Na początku mnie budziła, bo łąziła dookoła swojego łóżka i warczała, tłukąc rękami jakby o niewidzialne ściany, ale przywykłem, poza tym kupiłem w aptece korki do uszu.

Zaśmiałam się. Nie można im było zarzucić braku pomysłów.

– Jedynie Czesia się nie wysypia – westchnął.

– Och, czasami w dzień się zdrzemnę! – Machnęła lekceważąco ręką. – W dzień nigdy nie zamieniam się w zmore.

– Tak, w dzień to niemożliwe – potwierdziłam.

– Dlatego chcemy się wyprowadzić – powiedział gospodarz. – Już i tak miejscowi krzywo na nas patrzą, że z nas odludki, że się zamykamy w domu. Jak wyjedziemy w nowe miejsce, ludzie będą musieli polubić nas takimi, jacy jesteśmy. Nikt nie będzie gadał, że się zmieniliśmy i że coś jest nie tak.

– Zresztą w Bieszczadach będziemy mieć mało sąsiadów – dodała.

– Gratuluję decyzji i jeszcze raz gratuluję potomka!

Cieszyłam się, że im się dobrze układa. Nie miałam żadnego pomysłu, jak rozwiązać sprawę klątwy rzuconej na Czesię. Niestety nie umiałam jej cofnąć. Pewnie nawet gdybym poznała treść uroku, nie dałabym rady odwrócić jego działania. Szybko zrozumiałam, że moja radość wynikała częściowo z pozbycia się problemu, który zamierzał wyjechać na drugi koniec Królestwa Polskiego. Od razu zrobiło mi się głupio.

Przez chwilę pozazdrościłam tej dwójce. Szczęście malowało im się na twarzach. Cały czas trzymali się za ręce, zerkali na siebie, jakby byli świeżo po swaźbie. Zastanawiałam się, czy kiedyś będę taka radosna jak oni.

Naraz dopadły mnie wątpliwości. Zaczęłam podejrzewać, że może wizyta mojej mamy, o której poinformowała mnie telegramem, miała na celu przekonanie mnie do powrotu do Bratomiła.

– Nic nas tu nie trzyma. Ja dawno sierota, bo rodzicom się zmarło – powiedział pan Jarek. – Czesia też już nikogo nie ma. Pół roku przed ślubem pochowała matkę.

– Oj, przykro mi.

– Miała nowotwór – wyjaśniła lekkim tonem Czesia, jakby było to magiczne zaklęcie, które sprawiało, że jej śmierć przestawała być taka straszna. – A w Bieszczadach zaczniemy życie na nowo!

Ja myślałam, że w Bielinach zacznę żyć na nowo i częściowo miałam rację. Żadne demony przeszłości mnie nie goniły. Gorzej, że pojawiło się całkiem sporo nowych, które mają chrapkę na utoczenie mi odrobiny krwi.

– Ale to nie po to myśmy w ogóle przyszli – zachnął się pan Jarek. – Będę sprzedawał ziemię.

– Całkiem zrozumiałe – zgodziłam się.

– Chce może ją szeptucha kupić?

Zamrugłam, całkowicie zaskoczona tą propozycją.

– Ja? A czemu ja?

Zerknęli po sobie. Czesia pogładziła męża po policzku.

– Ja za wiele o tym nie wiem, ty wyjaśnij wszystko, Jarku – powiedziała.

– Dawno temu byłem tak umówiony z Radomiłą – oświadczył. – Nie miałem wtedy jeszcze żony, zostałem sam jak palec. Wyglądało na to, że umrę bezdzietnie. Dogadałem się z Radomiłą, że zostawię całą ziemię jej albo kolejnej szeptusze w spadku.

– Rozumiem, ale teraz ma pan żonę i dziecko w drodze – zauważyłam.

– Dlatego wolałbym sprzedać! – Uśmiechnął się i puścił do mnie oko. – Nie chcemy dużo pieniędzy. Ziemię w Bieszczadach już kupiliśmy, nie spiesz nam się.

– Ale... ale ja nie mam pieniędzy – zaprotestowałam.

Nie kłamałam. Naprawdę nie miałam pieniędzy, i to w ogóle. Resztę oszczędności, które udało mi się odkładać przez ostatni miesiąc, gdy interes odrobinę ruszył, oddałam rusalkom, żeby nakłonić je do wyjazdu. Czułam się z tego powodu jak ostatnia frajerka. Od dwóch tygodni żywiłam się jedynie jajkami i kozim mlekiem, bo je dostawałam za darmo od sąsiadów. Na szczęście Bogusąd nie miał pretensji, jak poszłam zebrać z bańką o jeszcze trochę mleka.

– Spokojnie, nie musimy dostawać wpłaty od razu. Poza tym nie chcemy dużo pieniędzy. Ta

ziemia i tak miała być Radomiły.

– Tylko ja nie bardzo wiem, co miałabym zrobić z tą ziemią.

Czułam się zupełnie zagubiona. Ja naprawdę nie chciałam kupować sobie dodatkowych problemów.

– Jak kiedyś szeptucha będzie miała męża i dzieci, to przydałby się trochę większy dom – zauważyła Czesia. – Ziemia sobie poczeka.

– Ale...

– Poza tym Radomiła coś u nas ukryła – dodał pan Jarek.

– Słucham?

Od razu przed oczami stanął mi tajemniczy artefakt, którego ciągle nie znalazłam. Przekopałam już całą swoją posesję i zabrałam się za łąkę za ogrodem zielnym i warzywnym, ale tam było tyle chwastów i tak ciężko się kopało, że po tygodniu się poddałam. Byłam już skłonna pogodzić się z losem i przyjąć do wiadomości, że nie dowiem się, co to był za przedmiot.

– Radomiła coś zakopała. Nie wiem co, bo była bardzo tajemnicza – wyjaśnił.

Zerknęłam pytająco na Czesię.

– To było wiele lat temu, wtedy jeszcze nie znałam Jarka – oświadczyła.

– Gdzie ukryła to coś?

Poczułam, jak serce wali mi w szaleńczym rytmie. To naprawdę było takie proste? Rozwiązanie samo wpada mi w ręce?

– Pod jedynym drzewem na tym polu naprzeciwno – wyjaśnił. – Ja nie wiem, co to jest, ale chyba było dla niej bardzo ważne. Prosiła o dyskrecję. Kazała mi milczeć w razie czego do grobu. No ale my chcemy wyjechać. To ja żem pomyślał, że nic się nie stanie, jak powiemy wnuczce Baby Radomiły. Komu jak komu, ale rodzinie chyba można zaufać.

– Tak – mruknęłam. – Dziękuję. Od dawna szukam tego, co babcia ukryła.

– Właśnie tak podejrzewałem, bo ogród szeptuchy wygląda, jakby wykopki ziemniaków tu skuteczniała. To i postanowiliśmy powiedzieć.

– Dobrze, ale to wszystko nadal nie rozwiązuje moich problemów finansowych. Nie mam za co kupić od was tej ziemi – zaznaczyłam.

– No, a my mówiliśmy, że nam się do tych pieniędzy nie spieszy. Póki co szeptucha sobie odkopie, co tam trzeba. My postawimy tabliczkę, że działka sprzedana, a uregulujemy rachunki później – stwierdził gospodarz.

Nadal nie uśmiechało mi się nabywanie od nich ziemi rolnej, ale nie wiedziałam, co mam na to poradzić. Najwyraźniej uparli się, że tak ma być i koniec. Nie do końca orientowałam się w obecnych cenach rynkowych, ale gdy pan Jarek i pani Czesia powiedzieli mi, za ile chcieliby sprzedać, nawet ja zrozumiałam, że bardzo, ale to bardzo zaniżyli dla mnie wartość. Ironia! Nie mam co do garnka włożyć, ale będę miała jakieś sześć hektarów posiadłości.

– Tylko jest jeden problem – zastrzegł gospodarz.

– Problem?

– Bracia – odparł krótko.

– Nie rozumiem.

– Bracia chcą kupić ode mnie tę ziemię już od lat. Działka ze skrytką babci Radomiły graniczy

z ich sadem czereśniowym. Od dawna chcą go powiększyć. Już nawet nie wiem, od kiedy namawiają mnie do sprzedaży.

– Namawiają to delikatne określenie – zauważyła cierpkim tonem Czesia. – Grozili mojemu Jareczkowi. To bezwzględni ludzie. Tylko udają miłych. Uspokoili się po naszym ślubie, ale tylko na chwilę. Przestraszyli się, że teraz Jarek nigdy nie sprzeda im tej ziemi, bo przecież jak ma żonę, to może i dziedziców się doczekać.

– No zależy im na pieniądzach, mają chrapkę na moje pola – zgodził się gospodarz. – Od okolicznych chłopów już nabyli ziemię pod truskawki, ale u mnie chcieli poszerzyć sad. Interes się kręci, to naprawdę dobrzy... jak im tam? Biznesmeny?

– Biznesmeni – poprawiłam.

– Ano właśnie. Ja to jestem prosty chłop z dziada pradziada. Nie mam głowy do takiej produkcji. Swoje truskawki czy ziemniaki sprzedawałem w skupie i tyle. Resztę hodowałem na własny użytek i tak lata leciały. A oni mają prawdziwy interes. Zamierzają podobno rozbudowywać swoją chałupę.

– Żaden nie ma żony i dzieci – poinformowała mnie gorzkim tonem Czesia. – A niewiele młodszy od mojego Jareczka.

– No co innego mają na głowie. – Usiłował ich usprawiedliwić.

– Nie rozumiem po co – mruknęła. – I tak w spadku nikomu tego nie zostawią.

– Może lubią prowadzić interesy. – Lekko zirytowany wzruszył ramionami. – Lubią patrzeć na swoje pola.

– To niech nie zerkają w naszą stronę!

Postanowiłam, że przerwę tę rodzącą się właśnie kłótnię.

– Dobrze, ale co ci bracia mają do mnie? Nawet ich nie znam! Kilka razy na oczy widziałam i to na dodatek z daleka.

– Bo oni mogą mieć żal, że sprzedałem Babie Jadze tę ziemię.

– Aha.

– Taki duży żal.

– Znaczą: mścić się będą? – Wołałam to jednoznacznie ustalić.

– Ano nie wiem. Może.

I właśnie w ten sposób wpadłam w kolejne kłopoty. Jednak z drugiej strony nie miałam wyboru. Dalsza dyskusja z gospodarzem i jego żoną uświadomiła mi, że muszę nabyć tę ziemię, bo tak wypada, skoro powiedzieli mi o tajemnej skrytce babci Radomiły. Wątpiłam, że sami odkopaliby znalezisko, gdybym tupnęła nogą i stwierdziła, że gardzę ich ziemią, która do niczego nie jest mi potrzebna. Niemniej istniało takie prawdopodobieństwo. Pan Jarek wyglądał na wyjątkowo zdeterminowanego, żeby wepchnąć mi swoje hektary. Duży udział miała w tym zwykła chłopska złośliwość. Szukał pretekstu, żeby wbić szpilkę braciom biznesmenom i znalazł na to świetny sposób. Zapewne uznał, że już na szeptusze bracia mścić się będą.

Nie byłam co do tego ostatniego przekonana, ale co miałam zrobić? Zgodziłam się.

Cały dzień siedziałam jak na szpilkach. Gdy tylko sąsiad z żoną ode mnie wyszli, odtańczyłam taniec dzikiej radości, a potem zaczęłam obgryzać ze zdenerwowania paznokcie. Nie chciałam kopać pod drzewem w biały dzień, żeby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Postanowiłam, że poczekam do zmroku.

Na niczym nie potrafiłam się skupić. Prawie cały czas stałam w oknie i zerkałam na malujące się w oddali samotne drzewo, żeby go pilnować. Ogarnęło mnie jakieś irracjonalne poczucie, że do wieczora ktoś ukradnie artefakt.

Tuż przed zachodem słońca pan Jarek podjechał swoją starą, przeżartą rdzą półciężarówką na pobocze naprzeciwko mojej chatki. Wysiadł z auta z jakąś tablicą, na której nie mogłam niestety dostrzec napisu. Po chwili usłyszałam dźwięk uderzania młotka o drewno. Ucichł dość szybko. Sąsiad wrócił do samochodu bez tablicy, zawrócił i odjechał z powrotem do swojego domu.

Na tablicy było tylko jedno słowo: „sprzedane”. W takim razie już chyba oficjalnie jestem posiadaczką ziemską.

Różowy zmierzch pociemniał. Postanowiłam, że to dobry moment, żeby wybrać się na przekopywanie ziemi pod drzewem. Zresztą nie miałam wyboru. Musiałam to zrobić dzisiaj. Jutro miała przyjechać w odwiedziny moja mama. Wolałabym się nie wymykać z chaty, kiedy będzie u mnie nocować. Na pewno zauważy. Przed czujnym maminy okiem nic się nie ukryje.

Przemknęłam się na drugą stronę posesji i ruszyłam przez łąkę. Zerkałam na położony niedaleko dom braci. Był nieduży, ale murowany. Tuż obok ruszyła budowa drugiego domu, do którego podobno chcieli się przeprowadzić. Miał być kilkupiętrowy. Na razie sterczały tam tylko pierwsze pręty zbrojeniowe. W starym domku widać było światła, pewnie jedli kolację.

Doszłam do drzewa. Postawiłam lampę naftową na ziemi i mocno chwyciłam łopatę w spracowane i pełne odcisków dłonie. Wyraźnie czułam, że przedmiot, którego szukam, jest w pobliżu. Nawet moje znamię zaczęło lekko piec. Gdy kopałam na podwórku, nie miałam takich odczuć.

– Jest! – zawołałam cicho.

Obeszłam drzewo dookoła, ale wrażenie utrzymywało się cały czas na tym samym poziomie. Wyglądało na to, że w najgorszym razie muszę przekopać wszystko dookoła, zanim znajdę artefakt.

Wbiłam łopatę w ziemię i niemalże od razu trafiłam w korzeń. Niedobrze. To chyba będą trudne poszukiwania.

– Znalazłaś?

Podskoczyłam do góry i upuściłam łopatę. Jestem z siebie dumna, że nie wrzasnęłam, bo pół Bielin by się zleciało.

– Swarożyc! – syknęłam. – Czy ty się musisz tak zakradać?!

– Nie zakradałam się – odparł.

Może faktycznie się nie zakradł, bo stał idealnie naprzeciwko mnie, oparty o pień drzewa. Niemniej go nie zauważyłam, więc całkiem nieźle mnie przestraszył.

– Co znalazłam? – zapytałam niewinnym tonem.

– Czuję to.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, od którego po plecach przebiegły mi ciarki. Smużki dymu jak zwykle unosiły się dookoła jego postaci, tym razem jednak mogłam podziwiać całą jego sylwetkę. Miał na sobie spodnie i koszulę. Jego stopy były bose. Zaczęłam się zastanawiać, czy wcześniej pokazywał mi się bez koszuli tylko i wyłącznie dlatego, że jeszcze nie byłam strażniczką jego ognia. Najwyraźniej teraz nie zamierzał już zachwycać mnie swoją osobą ani obnażać publicznie.

Szkoda, bo miło było popatrzeć, jak się błyszczą jego świeżo co wysmarowane oliwką muskuły.

– To skoro czujesz, możesz mi pokazać palcem, gdzie dokładnie – skwitowałam. – Bo ja wiem, że gdzieś tu jest, ale kopię na ślepo.

– Tam.

Wyciągnął rękę i wskazał zupełnie inne miejsce. Miejsce, do którego, jeśli nadal poruszałabym się ruchem wskazówek zegara, doszłabym oczywiście na samym końcu.

– A masz ochotę pomóc mi w kopaniu?

Bezczelnie wyciągnęłam w jego stronę rękę z łopatą. Zmierzył mnie poważnym spojrzeniem, nawet nie zaszczycając mnie odpowiedzią.

– Dobra, zawsze warto zapytać – burknęłam.

Tyle z niego pożytku. Mogę się założyć, że mógłby spokojnie wykopać dziurę siłą swojego umysłu. A jeśli nawet nie, to przy tych jego muskułach, upodabniających go do herosa z legend, wystarczyłoby, żeby ze dwa razy machnął łopatą.

– Taki z ciebie pożytek – mruknęłam pod nosem i zaczęłam kopać we właściwym miejscu.

– Mówiłaś coś? – zapytał.

Nie słyszałam w jego głosie groźby, ale poczułam się nieswojo. Muszę się lepiej pilnować. Ciągłe zapominam, że jest bogiem.

– Nie, nie – zaprzeczyłam.

Przedmiot był zakopany dość głęboko. Wymiotłam dobre pół metra ziemi, zanim metal uderzył o drewnianą skrzyneczkę. Odrzuciłam łopatę i wygrzebałam pakunek. Skrzynka, a dokładniej mała szkatułka, była zawinięta w jutowy worek. Odwinęłam materiał. Niestety drewniane wieczko pękło od uderzenia, ale zamek ciągle trzymał.

– Chodźmy do mojej chaty – zaproponowałam.

Obawiałam się, że mogę być obserwowana. Nie chciałam, żeby ktoś się dowiedział, co zostawiła po sobie babcia.

Nie musiałam dwa razy powtarzać tego Swaróżycowi. Najwyraźniej, wbrew wyrzeźbionej sylwetce, bóg ognia nie był specjalnym zwolennikiem wysiłku fizycznego, bo zamiast przejść się piechotką kilkaset metrów, przeniósł nas za pomocą swojego magicznego dymu.

Zakaślałam, gdy owionął mnie szarobury opar. Kiedy się rozwiął, dostrzegłam, że nadal klęczę, jednak tym razem na swojej własnej podłodze. W rękach wciąż trzymałam szkatułkę i worek. Obok mnie, na podłodze, stała lampa naftowa.

Ale łopatę to zostawił na polu...

Nieważne. Nie zamierzałam teraz zawracać sobie nią głowy. Kocur Feluś uniósł głowę z mojej poduszki i zmierzył Swaróżyca poważnym spojrzeniem. Położył się z powrotem, ale nadal nie

spuszczał z niego oka. Chyba powinnam sprawić sobie psa. Z tego kota nie było za wiele pożytku.

Wyciągnęłam szkatułkę z worka i postawiłam ją na stole. Była z ciemnego, nadgryzionego zębem czasu drewna. Jej twórca nie silił się na mnogość wyrafinowanych ozdób. Na pękniętym teraz wieku wystrugano tylko krzywy krzyż słoneczny. Niczym mój kot zerknęłam na Swarożycza. To był w końcu jego symbol.

Bóg ognia... promieniał. Trudno to inaczej określić. Nie świecił oczywiście niczym lampa, a rude włosy i broda nie zaczęły mu nagle płonąć. Wydawał się jednak jaśniejszy, jego skóra miała odcień niedostępny zwykłym śmiertelnikom. A jego oczy... jego oczy były przerażające. Zwykle czarne niczym węgle, z okazjonalnymi płomykami, teraz zrobiły się przeraźliwie jasne, niczym żar z palnika acetylenowego.

Najwyraźniej aż tak podekscytowało go moje odkrycie. Oby tylko nie wybuchł od środka.

Szkatułka była zamknięta. Nie było zamka ani miniaturowej kłódeczki. Jedynie prosta zasuwka. Kiedy do niej sięgnęłam, zauważyłam, że drżą mi ręce. Skrytykowałam się od razu w myślach. Reagowałam tak przez Swarożycza, który był tak podniecony, że dym prawie leciał mu uszami. Nic dziwnego, że udzielił mi się jego entuzjazm.

Otworzyłam zasuwkę i uchyliłam wieko. Poniekąd spodziewałam się, że wyskoczy na mnie jakiś pająk, jadowita żmija albo inna zaraza. Nic takiego jednak się nie stało.

W środku, na niegdyś purpurowym, ale obecnie wypłowiałym aksamicie, leżała złota moneta. Nie była duża. Miała może dwa centymetry średnicy i toporne brzegi. Wyjęłam ją i uniosłam do światła. Złoto zamigotało. Z jednej strony była całkowicie gładka, z drugiej miała wyryty krzyż słoneczny.

– Mała spryciara – skomentował Swarożyc.

Zerknęłam na niego. Swoje spojrzenie musiałam skupić na ustach, bo jego oczy wciąż mnie oślepiały.

– Kto? – zapytałam.

– Daj mi ją. – Wyciągnął dłoń.

Niemalże od razu się cofnęłam. Miałam niejasne przeczucie, że nie powinien jej dostać w swoje ręce, bo już nie odda.

– Kto jest spryciarą? – zapytałam ponownie.

Swarożyc wyglądał, jakby otrząsnął się ze snu. Zamrugał kilka razy, a blask jego źrenic przygasł. Nadal emitował światło, ale nie było już tak przeraźliwie jasne. Opuścił rękę.

– Twoja babka – odparł.

– Dlaczego?

– Bo Radomiła całkowicie ukryła przede mną fakt, że posiada przedmiot należący do mojej rodziny – wyjaśnił.

Z przeczuciem, że szykuje się dłuższa pogadanka, zaproponowałam:

– Swarożycu, nie stójże jak kołek, tylko usiądź przy moim stole. Należę nam nalewki i porozmawiamy.

Spojrzenie znowu na chwilę rozblęzło.

– Tak jak z planetnikiem? – zapytał.

Zachwiałam się w drodze do kredensu. Monety nie wypuszczałam z dłoni. Za bardzo się bałam, że mógłby ją przechwycić i zniknąć w kłębie dymu, zanim zdąży krzyknąć.

– Podglądałeś mnie. – Raczej stwierdziłam, niż zapytałam.

– W twoim domu płonie mój ogień, pracują moje sługi. Wiem o wszystkim, co się tutaj dzieje. A odkąd jesteś nosicielką mojego ognia, wiem również, czego pożąda twoje ciało.

Cholerne ubożęta. Może i mniej się kurzyło, od kiedy ze mną zamieszkały, a pająki uciekały od razu po tym, jak tylko jedna ich noga przestąpiła próg, niemniej nie byłam do końca pewna, czy to rekompensowało ciągle podglądanie.

I ten cholerny Swarożyc. Jeszcze tego mi brakowało, żeby wiedział, na czyj widok robi mi się gorąco.

– To moja sprawa, co robię w wolnej chwili – prychnęłam.

– Twoja – zgodził się skwapliwie.

Postawiłam przed nim kieliszki i butelkę. Myślałam, że będzie ponad to, ale sięgnął po nalewkę i nalał nam bursztynowego trunku. Podałam nalewkę z czarnego bzu. Bardzo mocną, piekła w gardle jak ogień. Taka najbardziej pasowała mi do swarnego boga.

– Następnym razem nie musisz prosić planetnika – powiedział.

Na jego mięsistych ustach pojawił się uśmiech. O mało co nie parsknęłam. No tego jeszcze mi brakowało! Nic nie odpowiedziałam na tę dość słabo zawołowaną propozycję. Usiadłam tylko naprzeciwko i zaczęłam obracać monetę pomiędzy palcami. Było w niej coś dziwnego. Mimo że stworzono ją z metalu, emitowała ciepło. I to nie ja ją ogrzałam dłońmi. Była rozgrzana już wcześniej.

– Opowiedz mi o niej – zaproponowałam. – Czym jest i skąd ją wzięła moja babcia?

Bóg ognia położył dłonie na stole. Myślałam, że sięgnie po kieliszek, ale tego nie zrobił. Nie spuszczał wzroku z błyszczącego kawałka złota. W takim razie ja się napiłam. Gdy poruszyłam dłonią, on także drgnął. Spojrzał na mnie.

– To moneta wykuta przez mojego ojca – powiedział. – Wykuta na tym samym kowadlu, na którym wykuł Słońce.

Miałam ochotę ją odłożyć.

– Rozumiem...

– Nie, nie rozumiesz.

Tylko westchnęłam. Zaczęłam się już przyzwyczajać do tego, że uwielbiał udowodniać mi moją niewiedzę. Najwyraźniej dzięki temu sam czuł się mądrzejszy.

– Dawno temu mój ojciec, Weles i Świątowit stworzyli trzy przedmioty, w których ukryli swoje moce, a raczej wiedzę – wyjaśnił.

– Po co?

– Podarowali je trzem wędrowcom, którzy wydali się im najczystszymi i najbardziej prawymi spośród ludzi. Byli to mężczyźni ceniący bogów ponad wszystko, całkowicie im oddani. Podróżowali po całym świecie i przekazywali wiarę. Bogowie chcieli ich za to nagrodzić.

Wyobraziłam sobie trzech misjonarzy, którzy wędrują po zabagnionym jeszcze wówczas terenie Królestwa Polskiego i szukają rozpięzniętych plemion. Jak historia pokazuje, tacy ludzie często nie mają szczęścia. Nic dziwnego, że bogowie postanowili im osobiście pomóc.

– Jednym z tych darów była moneta? – zapytałam.

– Tak. Moneta dawała mądrość Słońca, czyli zdolność krasomówstwa i przekonywania –

odpowiedział.

Obróciłam ją w dłoni. Złota moneta, złote usta. W sumie Swarozyc też umiał nieźle przekonywać. Widocznie to u nich cecha rodzinna.

– A co podarowali inni bogowie?

– Świętowit podarował intuicję. Zdolność dostrzegania szczegółów, które dla zwykłych ludzi są ukryte.

– Też w formie przedmiotu?

– Nie. – Pokręcił głową. – Dał wędrowcowi kielich miodu. Po wypiciu go obdarowany przez boga zyskał intuicję.

– Dość słaby dar – skwitowałam. – Nawet nie można go później nigdzie przekazać. Po śmierci tego człowieka po prostu zniknął.

– Nie zniknął – zaprzeczył. – Ty go masz.

Moneta wysunęła mi się spomiędzy palców i stuknęła o blat. Przez chwilę toczyła się po obrusie, aż w końcu się zatrzymała i przewróciła. Swarozyc nie rzucił się na nią z dzikim okrzykiem, tak jak się spodziewałam. Sięgnął za to po kieliszek nalewki i wychylił go za jednym razem. Od razu się skrzywił.

– Wasze napitki są... prostackie – oświadczył.

– W takim razie więcej ci nie poleję – burknęłam. – Czyli mam dar Świętowita? Mógłbyś to jakoś rozwinąć?

– Prawie każda mądra baba, a także większość wróżów, którzy naprawdę widzą przyszłość, a nie tylko zmyślają, ma ten dar. Tamten człowiek miał dzieci, które ze swoją krwią przekazały go kolejnym pokoleniom. Nie każdy nadaje się na kapłana i nie każda kobieta zostanie szeptuchą. Niektórzy nie mają do tego ręki, a raczej błogosławieństwa Świętowita.

Przypomniałam sobie kilka koleżanek ze studiów, które faktycznie nie nadawałyby się na wiejskie baby. W moim zawodzie potrzeba było dużo intuicji i wyczucia. Nie każdy człowiek leczyl się tak samo i nie każdy powinien usłyszeć od baby to samo. Niektóre osoby po prostu nie miały takiego podejścia do pacjenta. Traktowały leczenie zbyt szablonowo.

– A jaki był trzeci dar? Co przekazał od siebie Weles?

– Weles... – Swarozyc mlasnął językiem. Chyba nie przepadał za bogiem podziemi, który pilnował wejścia do zaświatów. – On podarował swoją mądrość i zdolność magii.

– Magii?

– Tak. Podarował człowiekowi księgę z zaklęciami.

Wszystkie elementy układanki wpadły na swoje miejsce. To musiała być ta tajemnicza księga w metalowych okładkach, o której mówił mi planetnik! Babcia zdobyła trzy najpotężniejsze artefakty! To znaczy jeden pewnie posiadała od urodzenia, skoro była szeptuchą, niemniej dwa pozostałe udało jej się znaleźć.

– Wiedziałaś, że moja babcia ma tę księgę.

– Wiedziałem – przyznał. – Ale nie sądziłem, że monetę także posiada. Ukryła ją przede mną zaklęciem. Nie chciała, żebym wiedział.

– Dlaczego?

Nie podejrzewałam, żeby powiedział mi prawdę, ale zawsze warto spróbować.

– Nie wiem – odparł tak, jak się spodziewałam.

– A skąd moja babcia je miała? I księgę, i monetę?

Oparł się na krzesło. Tym razem w jego głosie było słycać autentyczne zdziwienie i szczerść:

– Księgę dostała ode mnie, ale naprawdę nie wiem, gdzie znalazła monetę!

– Muszę odnaleźć księgę – powiedziałam. – Nie powinna wpaść w niepowołane ręce. Pewnie dlatego moja babcia ją ukrywała tak samo jak monetę.

– Nie widzę nowego właściciela. Ukrył się przede mną, tak jak ona ukryła monetę.

Dotknęłam złotego pieniązka.

– Myślisz, że jej używała? – zapytałam. – Monety?

– Twoja babcia była sprytną kobietą. Możliwe, że tak.

Nie pasowało mi to do niej. Była zbyt miła. Dobrze wyrażała się niemalże o każdym spotkanym człowieku. Korzystanie z monety zapewniającej dar krasomówstwa do niej nie pasowało. Nie wydawało mi się, by potrzebowała takiej pomocy. Nigdy nie musiała nikogo do siebie przekonywać.

Chociaż może istniały powody, dla których nie musiała...?

– Co się potem stało z tymi trzema mężczyznami?

– A z czym ci się kojarzą myszy? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

„Księga, mysz, krew, śmierć” – to było jedyne zdanie, które aktualnie bardzo żywo kojarzyło mi się z myszami.

– Myszy... – powtórzyłam.

– Z trzema mężczyznami jest związana pewna... legenda. Chociaż oczywiście legendą nie jest, to wszystko wydarzyło się naprawdę. W waszej ludzkiej pamięci ta historia zamieniła się w zwyczajną bajkę dla dzieci.

Parsknęłam śmiechem.

Sięgnęłam po butelkę nalewki i nalałam sobie pełen kieliszek. Machnęłam w jego stronę flaszką, a on, o dziwo, skinął głową.

– Taki prostacki napój chcesz? – zakpiłam.

– Podczas następnej wizyty przyniosę ci miód, szeptucho. Miód, po którym zmysły ogarnia szaleństwo, który sprawia, że skóra płonie z żalu za dotykiem. Miód godny bogów i ich najwierniejszych sług.

– Oj, to ja nie wiem, czy na taki napitek aby na pewno się nadaję.

Zanim zdążył mi odpowiedzieć i zapewne wejść w dysputę na ten temat, rzuciłam:

– Ale opowiadaj dalej! O co chodzi z tą bajką?

Uniósł do góry kieliszek i przyjrzał się zawartości. Nalewka była gęsta i lepka. Żółty płyn oblepiał ścianki, a po przełknięciu tak samo przyklejał się do języka. Słodki i jednocześnie bardzo mocny. Osobiście uwielbiałam nalewkę z czarnego bzu. Nie rozumiałam, dlaczego tak mu nie zasmakowała.

– Dawno temu trzech mądrych ludzi podróżowało po świecie. Opowiadali o bogach i przekazywali ludziom wiedzę Świątowita, Welesa i mojego ojca.

Wyobraźnia od razu podsunęła mi wizję, jak mężczyzna, który dostał mądrość w płynie, rozpowszechnia swój dar. Na szczęście powstrzymałam się przed komentarzem.

– Pewnego dnia mądryzy mężczyźni, dość mocno już strudzeni podróżą, dotarli do grodu położonego na wyspie. To nie było wielkie grodzisko, ale bogate. Wyspę otaczały spokojne wody jeziora. Poprosili o gościnę i o strawę.

W pamięci zabrzączał mi mały dzwoneczek. Powoli zaczynałam rozpoznawać tę legendę, a raczej bajkę. Tylko że w wersji, o której słyszałam, było dwóch mędrców, a nie trzech.

– Jezioro Gopło? – zapytałam.

– Tak. Gród z wysoką wieżą znajdował się właśnie na tym jeziorze – potwierdził. – Władca odmówił mężczyznom gościnę, ponieważ urządził tego dnia wielkie przyjęcie. Nie znalazł dla nich miejsca nawet na sianie, przy koniach. Kazał im zamknąć drzwi przed nosem. Z tego powodu udali się w dalszą podróż. Trafili do położonej niedaleko wioski, w której mieszkał chłop Piast z żoną Rzepichą i synem Siemowitem. On także urządził zabawę. Jego pierworodny kończył siedem lat i we wsi miały się odbyć postrzyżyny.

Tak, tę legendę również znałam. Piast i jego syn Siemowit stali się później protoplastami całego rodu władców i królów naszego państwa. Władca, który zamknął wrota przed strudzonymi

wędrowcami, także nie był trudny do rozpoznania. Chodziło oczywiście o słynnego Popiela.

– Piast w przeciwieństwie do władcy nie odmówił gościny obcym. Zaprosił ich do domu, poczęstował jedzeniem, a nawet oddał swoje łóżko.

Ciekawe, co Rzepicha na to?

– Wędrowcy byli już wtedy bardzo starymi mężczyznami. Szczerze mówiąc, i tak żyli bardzo długo jak na wasze ludzkie normy. Dobrze wiedzieli, że ich czas się zbliża. Z tego powodu postanowili odwdziżyć się Piastowi i dać pewne szczególne prezenty Siemowitowi na jego postrzyżyny. Gdy obcięto włosy chłopakowi, nadano mu nowe imię i wypito jego zdrowie, dwóch mężczyzn oddało mu swoje skarby. Otrzymał księgę oraz złotą monetę. Trzeci mężczyzna nic poza dobrym słowem nie mógł mu podarować, ponieważ jego dar krążył w jego żyłach i nasieniu. Dlatego podarował mu tylko przepowiednię.

Teraz zrozumiałam, dlaczego w bajce o Piaście występowało tylko dwóch mędrców. Najwyraźniej ludowa opowieść przekazywana przez dziesiątki, jak nie setki pokoleń, zachowała tylko te postacie, które przekazały prezent w formie materialnej. Było to troszkę przykre i niesprawiedliwe wobec trzeciego mędrca.

– Co powiedział? – zapytałam, chociaż znałam już odpowiedź.

– Intuicja mu podpowiedziała, że Siemowit zostanie władcą, zajmie miejsce Popiela i poprowadzi ludzi do chwały. Powiedział również, że Popiel i cały jego ród zginą.

– A myszy są ważne, bo...?

– Bo Popielowi dość szybko doniesiono o wróżbie i o młodym Siemowicie, który ma rzekomo zająć jego miejsce. Władcy bardzo się ta wróżba nie spodobała. Tak bardzo, że postanowił zgładzić przeciwników. Zaprosił do siebie Piasta i Siemowita na wielką ucztę. Piast nie był w ciemną bity i podejrzewał, że może to być jakiś podstęp. Nakazał synowi ucieczkę, a sam wybrał się do grodu, żeby posłuchać spokojnie Popiela.

– I nigdy nie wrócił?

Ta część legendy także różniła się od wersji, którą znałam z dzieciństwa, ale tak naprawdę tylko niewielką liczbą szczegółów. Wszystko zgrabnie do siebie pasowało.

– Piast nie wrócił więcej do domu. Popiel kazał zatruc piwo, którym go poczęstował. Sam pił miód, ponieważ był władcą, chłopu jednak miodu nie podał, tylko zatrute piwo. Piast, tak jak pozostali goście, których władca chciał się pozbyć, zmarł. Oczywiście syn Piasta się o tym dowiedział. Popiel specjalnie to uczynił, aby cała okolica poznała jego gniew.

Swarożyc przechylił butelkę i wypełnił nasze puste już kieliszki po same brzegi. Nie potrzebowałam zaproszenia. Alkohol przyjemnie rozgrzewał i od razu milej słuchało się jego opowieści.

– I Siemowit się zemścił – skwitowałam.

– Tak, skorzystał z otrzymanej księgi i przeklął Popiela oraz cały jego ród. Po wypełnieniu klątwy nikt nie przeżył. Ludzie wiedzieli, że to jego zasługa, więc mimo że był niedorostkiem, dali mu prawo władania. Myślę, że dużą w tym zasługę miała jego zdolność do pięknej mowy.

– A klątwa polegała na myszach?

– Tak. Siemowit zesłał myszy. A raczej istną plagę gryzoni, które najpierw zjadły całe zapasy w grodzie, a później także i znajdujących się tam ludzi. Po wypełnieniu się przekleństwa, myszy

zniknęły bez śladu.

– I takie zaklęcia są w tej książce?

– Tak.

Chcę tę księgę!!!

– W jaki sposób korzysta się z monety? – zapytałam.

– Musisz ją nosić przy sobie.

– I już? Tylko tyle? Po prostu wszyscy nagle zaczną mnie słuchać?

– Tylko tyle. Chociaż jeśli będziesz wygadywać głupoty, to nawet moneta ci nie pomoże. Ona tylko wspomaga coś, co musisz mieć na początku. Księga tak samo. By z niej korzystać, musisz mieć pewne umiejętności. Przeciętny człowiek nie zdoła rzucić działającego uroku.

Zważyłam monetę w dłoni. Najlepiej byłoby w niej wydłubać dziurkę i zawiesić na rzemyku. Bałabym się, że wypadnie mi z kieszeni, a torebki często ze sobą nie nosiłam.

– Można zmienić jej kształt? Czy to okrąg sprawia, że jest magiczna?

– Złoto zerwane z promieni słońca czyni ją wyjątkową. Kształt monety został jej nadany tylko z tego powodu, że tak było prościej.

– Bo nawet ma nierówne brzegi.

Przez chwilę mierzyliśmy się spojrzeniami. W końcu Swaróżyc westchnął głęboko, najwyraźniej znudzony.

– Co zamierzasz? – zapytał.

– Przerobić ją na wisiorek.

– Pytałem, co zamierzasz robić dalej. Jak chcesz odzyskać księgę? – sprostował.

– Jeszcze nie wiem – mruknęłam. – Mam pewne podejrzenia, ale wolałabym się najpierw upewnić.

– Podobasz mi się, Jago. Wydaje mi się, że razem daleko zajdziemy.

– Ja tam się nigdzie nie wybieram.

A tym bardziej z tobą – ale tego już nie wypowiedziałam na głos.

– Nie wiem, jak ty tu możesz mieszkać. Przecież warunki są koszmarnie. Jedna izba! Jedna! Kto to słyszał?! Wszyscy mogą zobaczyć twoją pościel! Nawet porządnej szafy nie masz. Bieliznę trzymasz w walizce pod łóżkiem. A do tego nie masz nawet zamka w drzwiach. Samotna kobieta nie może mieszkać w chacie bez zamka w drzwiach. Kto cię tu usłyszy? Kto by ci przyszedł na pomoc, gdyby stało się coś złego?

– Mamo... – jęknęłam, ale nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia.

– Zimno przecież już się robi! Wróć do domu. Tutaj zamarzniesz. Ocieplenie tej rudery to są duże koszty. Spójrz na te drzwi. No spójrz na te drzwi! Przecież tu szpara biegnie na dwa centymetry. W ogóle nie są szczelne. Zimną wiatr ci będzie hulał po nogach. Zapalenia płuc dostaniesz i umrzesz na suchoty.

Przewróciłam oczami. Nawet nie próbowałam jej tłumaczyć, że zapalenie płuc i gruźlica to nie jest to samo, bo i tak puściłaby moje słowa mimo uszu.

Mama przyjechała wczoraj i od tamtej pory nie przestawała narzekać. Nie podobało jej się w mojej chacie wszystko. Nie rozumiałam tej tyrady narzekania, bo przecież dobrze wiedziała, jak wygląda dom babci Radomiły. To oczywiste, że go nie wyremontowałam. Nie wiem, dlaczego się spodziewała, że po przyjeździe zostanie złoty pałac.

– A to łóżko! – Na chwilę przerwała, aby zaczerpnąć teatralny oddech. – Pożal się bogom! Przecież materac ma jedną dziurę obok drugiej. Połamano mnie w kręgosłupie po tej nocy. Zostaniesz inwalidką, jeśli będziesz na nim dłużej spała.

– Mamo...

– Nie mamuj mi tutaj! Ja dobrze wiem, o czym mówię! Nawet bieżącej wody nie ma. Kto to słyszał, w naszych czasach myć się w miednicy i balii.

Wczorajsza kąpiel była najwyraźniej dla mamy traumą, której nie zdążyła jeszcze przepracować.

– Mogłaś nie przyjeżdżać – mruknęłam.

Aż się zatchnęła na moje słowa. Położyła dłoń na swojej kościstej klatce piersiowej, na której próżno było szukać chociaż cienia piersi, którymi niegdyś wykarmiła mnie i moich pięciu braci. Zawsze miała skłonność do dużych wahań wagi. Gdy się czymś martwiła, przestawała jeść i chudła w oczach. Domyślałam się, że mój wyjazd raczej nie pomógł jej w zachowaniu racjonalnej wagi, ale nie sądziłam, że aż tak ją wykończył.

– Ja? Ja mogłam nie przyjeżdżać? – warknęła. – Jarogniewo! Jeszcze jedno słowo, jedno takie słowo do rodzonej matki, a popamiętasz mnie po wsze czasy!

– Mamo, ja po prostu nie rozumiem, dlaczego jesteś taka zdenerwowana – powtórzyłam po raz kolejny, dobrze wiedząc, że i tak nie zrobi to na niej żadnego wrażenia.

Magiczną złotą monetę cały czas trzymałam w kieszeni spódnicy, zawiniętą w chustkę w czerwone maki. Im pakunek był większy, tym mniejsza była szansa, że go przez przypadek zgubię. Po dobie spędzonej w towarzystwie mamy przekonałam się, że niekoniecznie posiadam dar krasomówstwa, który mógłby zostać wzmocniony przez prezent Swaroga, boga niebios i słońca,

a przy okazji ojca Swarożycy. Wszystko, co powiedziałam do matki, odbijało się od jej argumentów jak piłka od rakiety tenisowej.

– Przecież wiedziałaś, jak wygląda chata – dokończyłam.

– Wiedziałaś – przyznała krótko.

Stanęła przy oknie z małym kieszonkowym lusterkiem w dłoni i zaczęła malować oczy cieniami. Moja mama mogła nie nadążać za światowymi trendami mody i pół dnia wykopywać ziemniaki na polu, ale makijaż zawsze musiała mieć nienaganny.

– To po co narzekasz?! – zawołałam.

Feluś, przestraszony moim wybuchem, schował się pod łóżkiem. Zanim zdążyłam go od tego odwieść, wsunął się do walizki z moimi czystymi ubraniami. Teraz mogłam mieć już stuprocentową pewność, że wszystko będzie w jego kremowym futrze.

– Dla zasady – odparła mama.

Przyznaję, że tak szczerzej odpowiedzi się po niej nie spodziewałam.

– Poza tym chcę, żebyś wróciła do domu – dodała i odwróciła się do mnie z jednym okiem umalowanym mocną czarną kreską. – Nie wypada, żeby samotna dziewczyna mieszkała na końcu wsi, gdzie upiry mówią dobranoc. Zaraz ludzie zaczną o tobie plotkować.

Miałam niejasne wrażenie, że już to robili. Ich pomysłowość nie miała granic. Dowiedziałam się niedawno, że odprawiam nocami jakieś zakazane rytuały w swoim ogródku, rzucam klątwy na dzieci, więc trzeba je zabezpieczać czerwoną nitką, sprawiam, iż martwi wstają z grobów, a nawet sypiam z demonami.

Ciekawiło mnie, kto ma taką bujną wyobraźnię. Chociaż może, żeby wymyślić tyle bzdur, potrzeba było więcej niż jednej osoby?

Cała ta nagonka sprawiała, że wąski strumyczek klientów stawał się jeszcze węższy. Na szczęście jak na razie miałam kilku stałych pacjentów, jak na przykład właścicielkę sklepu czy Przemkę i jej drużyny, dzięki którym jakoś wiązałam koniec z końcem. Jednak o oszczędzaniu i szaleństwach takich jak naprawa drzwi – na razie nie było mowy. Póki co świetnie na mieszkańcach Bielin zarabiała Mirka, bo to do niej chodzili po porady, skorzystali także lekarz mieszkający kilkadziesiąt kilometrów dalej i grabarz. Ten ostatni głównie dzięki plotce o moim ożywianiu zmarłych. Mieszkańcy okolicznych miejscowości tak się tego przestraszyli, że wszystkich swoich zmarłych kazali palić na stosach, żeby nie było szczątków, w które mogłabym tchnąć życie. A, jak wiadomo, pochówki całopalne były znacznie droższe niż zwykłe.

No cóż... przynajmniej ktoś ma profity z mojego rzekomego czarnoksięstwa.

– Mogłabyś wprowadzić się z powrotem do mnie i do ojca – zaproponowała mama. – A tutaj dojeżdżałabyś do pracy.

– Nie, mam. Szeptucha musi być dostępna dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Nie godzi się, żeby kobieta sama mieszkała.

– Babcia mieszkała.

– Ale ona była wdową! A ty jesteś panną! Chociaż szczerze wątpię, że posiadasz jeszcze swój wianek! Taki wstyd!

A może mama usłyszała krążące o mnie plotki i dlatego zdecydowała się przyjechać? Mimo to wciąż wydawało mi się dziwne, że tak po prostu zostawiła ojca i wpadła do mnie na kilka dni. Na

dodatek w święta. To było do niej niepodobne. A raczej niepodobne do ojca, który pozwolił jej wyjechać.

– Dobrze pamiętam, jak wyglądało nasze życie – powiedziała gorzko mama. – Szeptucha to najgorszy zawód. Kisiliśmy się w czwórkę w tej chacie, matka, ojciec, ja i mój brat. Wyobrażasz to sobie?

Szczerze mówiąc nie. Była to dla mnie jakaś abstrakcja. Sama ledwie się tu mieściłam. Nie wyobrażałam sobie w tym domu czteroosobowej rodziny.

– Nigdy nie było pieniędzy. Mieliśmy tylko tyle, co mój ojciec, niech bogowie pilnują jego duszy, zdołał zarobić. Matka zawsze była dla wszystkich taka miła. Nigdy nie oczekiwała zapłaty. Wystarczyło jej dobre słowo. Ja i twój wuj byliśmy pośmiewiskiem okolicznej dzieciarni, potomkami czarownicy.

Moja mama ostatnie słowa niemalże wypluła. Dobrze znałam tę historię. Opowiadała mi ją wielokrotnie, gdy wypytywałam ją, dlaczego nie zdecydowała się przejąć schedy po babci. Wiedziałam, że jednym z największych marzeń Radomiły było pozostawienie interesu w rękach rodziny. Był to jednak także największy koszmar mojej mamy. Kłóciły się o to bezustannie. Moja mama wbrew woli babci, ale za to za cichym pozwoleniem dziadka, wyszła za mąż i się wyprowadziła. Nie chciała mieć z szeptuchowaniem nic wspólnego. Zaczęła pracę na roli i razem z moim ojcem poprowadziła prężne gospodarstwo. Urodziła pięciu synów oraz jedną córkę. Była szczęśliwa, a swoje życie uważała za dobre. Była z niego dumna.

Babcia Radomiła oczywiście miała zupełnie odmienne zdanie. Już jako wdowa ciosała kołki mojej mamie, namawiając ją, by ta przysyłała mnie chociaż na wakacje. Mama zawsze odmawiała. Bała się, że pójdę w ślady babci, zamiast tak jak ona wyjść za mąż i urodzić gromadkę wrzeszczących dzieci.

Byłam chyba największą porażką życiową mojej mamy.

– Wiem, jak wyglądało wasze życie – powiedziałam ugodowym tonem. – Wiem, że byłaś nieszczęśliwa. Twoją dolą nie było pozostanie w Bielinach. Ale mammo... ja tu jestem szczęśliwa. Wreszcie robię to, co chciałam.

Tym razem para oczu obwiedzionych czarnymi, kocimi liniami zmierzyła mnie poważnym spojrzeniem.

– Schudłaś co najmniej pięć kilo. Widać ci wszystkie kości. Na twoich dłoniach są odciski, jakbyś całymi dniami rowy kopała. Włosy masz matowe i zniszczone. O paznokciach strach mówić. Zawsze byłaś blada, ale teraz można policzyć żyłki pod twoją skórą. Zaharowujesz się tutaj. Naprawdę właśnie o czymś takim marzyłaś?

Powiodła dłonią po wnętrzu chaty. O ile nie myliła się, jeśli chodziło o mnie, o tyle akurat z surową oceną wnętrza się nie zgadzałam. Było bardzo ciasno, zagracałam chatę do granic możliwości, ale całość sprawiała bardzo przytulne i miłe wrażenie.

– Przyznaję, wyobrażałam sobie, że to wszystko będzie wyglądać trochę inaczej – przyznałam. – Niemniej nie zamierzam się poddać.

Twarde rysy mojej mamy odrobinę złagodniały.

– Wiem, że nie zamierzasz się poddać – powiedziała. – Masz charakter po mnie i po swoim zawziętym ojcu. Boję się tylko o ciebie, Jagusiu. Boję się, że zniszczysz swoje życie i przegapisz

młodość. Ja w twoim wieku...

– Byłaś w drugiej ciąży – dokończyłam za nią. – Tak, wiem. Ale teraz są inne czasy, mamó. Już nie trzeba się tak spieszyć.

Zamknęła lusterko i schowała je do torebki. Niby nonszalanckim tonem rzuciła:

– Bratomił nadal jest samotny. Nie pozbiarał się po zerwanych zaręczynach.

– Nie było żadnych zaręczyn – wycedziłam.

Zajęłam jej miejsce przy oknie i także zaczęłam nakładać na oczy cienie, a na policzki puder. Miałam nadzieję, że chociaż trochę uda mi się zasłonić chorobliwą bladość.

– Poszedł do ojca.

– Ale mnie nie zapytał wcześniej o zdanie – zaznaczyłam. – Jakby zapytał, to nie poszedłby do ojca i nie najadłby się potem wstydu przed całą wsią. Jak był głupi i porywczy, to ma za swoje. Dobrze mu tak. Nie zamierzam mu współczuć.

– Twoje prawo, ale pamiętaj, że ten chłopak naprawdę się w tobie zakochał. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że on wciąż na ciebie czeka.

– To się zdąży zestarzeć – prychnęłam.

– Oj Jagusiu, Jagusiu. Trzeba mu było nie dawać złudnych nadziei.

No trzeba było nie łązić z nim do stodoły, prawda. Potem trzeba było nie upijać się kolejno z Mszczujem, a następnie z płanetnikiem i nie zgadzać się na żadne przysługi ze strony Swaróżyca. Zgodnie z tą zasadą większości relacji damsko-męskich w swoim życiu powinnam była unikać.

Ale z drugiej strony – co to by było za życie?

Za oknem dął chłodny wiatr, szarpiąc nielicznymi roślinami w moim ogrodzie. Udało nam się złapać ostatnie promienie zachodzącego słońca. Spojrzałam krytycznie w lusterko. Przez brak oświetlenia pewnie będę miała za mocny makijaż.

Czas najwyższy się zbierać. Zaraz wjeździe księżyc i zaczną się obchody Dziadów. Bogowie jakby usłyszeli moje myśli, bo w tej chwili zza zakrętu wyłonił się samochód rodziny Kiełbasów. Mieli nas podwieźć na święto. Nie miałam ochoty korzystać z ich pomocy, ale moja mama kategorycznie zapowiedziała, że na piechotę nigdzie nie pójdzie.

Podróż, tak jak się spodziewałam, była wcieleniem w życie najstraszniejszego koszmaru. Samochód Kiełbasów był maciupeńki. Razem z mamą usiadłyśmy z tyłu. Chwalimira z mężem zostali na przednich siedzeniach, bo oboje byli słusznych rozmiarów. Niestety ich córka, Nieluba, wylądowała na moich kolanach. Nie wiem, jak zdołałam wysiąść z auta po takim niedokrwieniu kończyn dolnych. Na dodatek uwalala mi spodnie czekoladą, którą miała ukrytą w kieszeni kurtki.

To jednak nie był koniec naszych przygód. Ceremonia pod bielińskim cmentarzem była klasyką gatunku. Najpierw przemawiał wójt, potem do pracy wziął się Mszczuj. Bardzo się starał, chciał wszystko zrobić jak należy. Pomodlił się do Welesa, poprosił go o otwarcie drzwi zaświatów, byśmy mogli świętować ze zmarłymi, zapalił oczywiście święty ogień i złożył dary. Przeszedł do wróżenia, gdy już doszedł do wniosku, że dziady, czyli nasi przodkowie, stanęli między nami.

– Nadchodzący rok będzie nam wszystkim sprzyjał! – głośno odczytał wróżbę.

Jakoś się specjalnie nie przejęłam. Większość kapłanów lekko naginała prawdę w trakcie przewidywania przyszłości podczas dużych świąt. Przecież nikt nie chciał usłyszeć, że będzie ciężko.

Mimo to lubiłam Dziady, bo tak jak podczas Nocy Kupały wszędzie, ale to dosłownie wszędzie,

palono ogień, choćby to miała być maleńka latarenka powieszona na suchym drzewie przy szosie. Dusze nie mogły tego dnia zabłądzić, bo inaczej nie wróciłyby na czas do zaświatów. Dlatego święty ogień musiał płonąć na wszystkich rozstajach dróg, a także wzdłuż ulicy prowadzącej do cmentarza. Strażacy i ochotnicy rozbiegli się na wszystkie strony z pochodniami, gdy tylko Mszczuj wykrzesał ogień. Chcieli jak najszybciej wypełnić swój obowiązek, by móc się dalej bawić.

Jedyną rzeczą, która mi podczas Dziadów przeszkadzała, była temperatura. Jak na złość ostatnia noc października zwykle była całkiem chłodna.

Po ceremonii, gdy ruszyliśmy w stronę kramów z jedzeniem i pić, zaczepił nas... grabarz. Kogo jak kogo, ale akurat jego się nie spodziewałam. Był ubrany wyjątkowo odświętnie. Nawet humor miał znacznie lepszy niż zwykle. Ale może źle go oceniałam. Ostatnim razem, gdy się widzieliśmy, sterczał nad grobem z niezadowoloną miną i czekał, aż zabezpieczę odpowiednio ciało pana Darka. Chyba nie był fanem takich pochówków, albo po prostu spieszył się wtedy na kolację. Teraz natomiast tryskał wręcz radością.

Jeśli mam być szczerą, było to dość przerażające. Chociaż może wszyscy grabarze lubią dzień zmarłych. Być może jest to związane z ich pracą. W końcu zawsze tego dnia mają wolne, bo nie urządza się pochówków w święta.

Grabarz, ubrany w przekomiczną białą koszulę z żabotem, przywitał nas uroczyście, a następnie wręczył po pudełku zapalek, reklamujących oczywiście jego firmę. Było to całkiem sprytne posunięcie, bo praktycznie wszyscy zabrali ze sobą znicze i świece, a o zapalkach zwykle się zapominało.

– Opowiedzieć paniom dowcip? – zaproponował.

– Nie, dziękuję... – zaczęła mama, ale jej przerwał:

– Dwóch grabarzy niesie trumnę, ale niosą ją na boku. Na to trzeci grabarz pyta, kogo chowają. Jeden z tamtych mówi, że jego teściową. To ten trzeci pyta: „Ale czemu bokiem trumnę niesiecie?”. A tamten: „A bo jak ją odwrócić na plecy, to chrapie!”.

Obśmiał się z własnego dowcipu, aż mu łzy po policzkach poleciały. My za to stałyśmy lekko osłupiałe, ściskając pudełka z zapalkami.

– Bardzo dobry dowcip – skłamałam. – Do widzenia.

– Miłej zabawy! – krzyknął za nami.

– Kto to był? – zapytała mama.

– Grabarz – wyjaśniłam.

– Wyglądał jak wariat.

– Eee, chyba tylko był pijany.

Odwróciłam się i jeszcze raz na niego zerknęłam. Grabarz, lekko chwiejąc się na piętach, machał nam na pożegnanie. Choć zdawał się niebezpiecznie balansować na granicy upojenia alkoholowego, to jednak jego oczy pozostały bystre. Poczulałam się nieswojo. Wiem, że to tylko moja wyobraźnia, ale sprawiał wrażenie, jakby oceniał nasze sylwetki pod kątem wielkości grobu, który musiałyby wykopać.

To niestety nie był koniec dziwnych spotkań. Chwilę później ubrudzony na twarzy popiołem z ogniska podszedł do nas Mszczuj. Oczy rozbłysły mu na widok mojej mamy. Czułam, że kłopoty są coraz bliżej.

– Dobry wieczór! – Ucisnął rękę mojej rodzicielki z takim entuzjazmem, że o mało nie połamiał jej kości. – Już widzę, po kim Jaga odziedziczyła urodę! Bardzo miło mi panią poznać. Cieszę się, że wreszcie jest okazja, by porozmawiać. Proszę mi powiedzieć, czy Jarogniewa zawsze była taka... gniewna?

Oczywiście skradł mojej mamie serce. Chyba pół wieczora spędzili, chichocząc jak nastolatki, obok kramu z grzany winem i miodem. Nie wiem, jakim cudem wróż zrobił się nagle taki rozmowny. Przy mnie potrafił zapomnieć języka w gębie, a moja mama wcale go nie onieśmiała. Najwyraźniej musiała to być kwestia wieku.

Ja tymczasem zapaściłam się pomiędzy nagrobki, żeby zapalić znicze na grobie dziadka i dalszych członków rodziny. Nawet cieszyłam się, że mogę spędzić chwilę sama. Kochałam moją mamę, ale odkąd przyjechała, zdecydowanie za często na coś narzekała.

Usiadłam na ławeczce obok nagrobka rodziny. Tablica była prosta. Znajdowały się na niej tylko imiona, nazwiska, daty urodzin i śmierci. Żadnych zdjęć, cytatów modlitw czy zawodów. Nawet rzeźby nie było. Ot, zwykły, praktyczny do bólu nagrobek. Część liter, pomalowanych niegdyś złotą farbą, wytarła się i była nieczytelna.

Wsunęłam rękę do kieszeni i zacisnęłam palce na złotej monecie. Gorączkowo zaczęłam zastanawiać się, kto mógł mieć księgę. Nagle ktoś zajął miejsce obok mnie.

– Nie płac, dziewczeco.

Skamieniałam. Bardzo dobrze znałam ten głos. Czasem odzywał się do mnie w snach i pocieszał, tak jak teraz.

Odwróciłam głowę. Na ławeczce siedziała kobieta tej samej postury co ja. Na jej plecach leżał długi czarny warkocz, poliki miała rumiane. Lekko przezroczyście, niemniej rumiane.

– Babcia? – zapytałam.

– Ano babcia. – Uśmiechnęła się do mnie ciepło.

Była znacznie młodsza, niż ją zapamiętałam. Wyglądała, jak gdyby miała niewiele więcej lat ode mnie. Najwyraźniej po śmierci nie trzeba zostawać w starym ciele. Poczułam, że żołądek zaciska mi się ze stresu w supeł. Wiedziałam, że zmarli wychodzą z Wyraju podczas Dziadów. Żaden jednak jeszcze nigdy mi się nie ukazał.

– Babciu, tęskniłam za tobą – wyszeptałam.

– Ja za tobą też, słonecko, ja też. Duzo myślę o tobie i o tym, jak ci septuchowanie idzie.

– Idzie średnio – przyznałam z goryczą i jeszcze raz powiodłam spojrzeniem po jej sylwetce. – Podobne jesteśmy, a raczej byliśmy, gdy miałaś mniej lat – zauważyłam.

– Ano podobne. Widać moją krew w tobie. Nawet septuchą po mnie zostałaś – zgodziła się.

Nie wiedziałam, jak długo babcia pozostanie widzialna. Może istniały jakieś reguły, których musiała się słuchać. Postanowiłam nie tracić czasu. Wyjęłam z kieszeni monetę.

– Wykopałam ją – powiedziałam. – Skąd ją wzięłaś?

Radosny uśmiech zniknął z jej twarzy. Skupiła wzrok na monecie, a złoto odbiło się w jej oczach. Wyglądała naprawdę upiornie i trochę się przestraszyłam. Rozejrzałam się ukradkiem dookoła, czy nikt na nas nie patrzy, ale wyglądało na to, że ludzie zupełnie nie zwracają na nas uwagi. Zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle widzą babcię. Radomiła dopiero przy bliższym spojrzeniu wyglądała podejrzanie i lekko przezroczyście. Chyba że w ogóle jej nie dostrzegali. Jeśli tak, to pewnie jutro

gruchną w Bielinach plotki o tym, jak to siedzę na cmentarzu i gadam sama do siebie.

– Znalazłam – odpowiedziała w końcu na moje pytanie. – Razem z ksionżką. Bardzo złą ksionżką. Ją też masz? Używałaś jakiś zaklencionelek?

– Nie. Ktoś ją ukradł. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie może być. Babciu, jak umarłaś? Wydaje mi się, że ktoś zrobił ci krzywdę, żeby ukraść książkę. – Nie wiem. – Pokręciła bezradnie głową. – Nie wiem, jak umarłam. Chyba... może ktoś macał w tym paluchy. Nie pamiętam. Kiedy trafia się do Welesowego ogrodu, to wspominki się zacierajom. Ale to dobrze. Nie tesknim my wsyscy.

– A miałaś jakichś wrogów? Czy ktoś ci źle życzył?

– A bo ja wim?

– Może Bolesław? Kapłan Bolesław? – Uczepiłam się tej myśli. – Nie lubiliście się przecież. Myślisz, że mógł chcieć zrobić ci krzywdę? Księga, którą miałaś, jest bardzo potężna. Może chciał ją mieć tylko dla siebie?

– Bolecek? – zdziwiła się. – Durne to to takie, ale żeby ksywdę mi zrobić? Eee...

– Mnie on wygląda podejrzanie – upierałam się. – Ktoś cię zabił, a teraz zsyła na Bieliny kłopoty.

– Jakie kłopoty?

Szybko wymieniłam moje podejrzania, a także opowiedziałam jej, jak ostatnio radziłam sobie z upirami i innymi istotami nadprzyrodzonymi.

– Ale ze Bolecek? – Nadal nie mogła w to uwierzyć. – No on zawsze pies na baby był raczej, a nie morderca.

– A czemu się nie lubiliście?

– A bo kiedyś podczas Kupalnocki tośmy się zapomnieli troseckę – przyznała bez cienia wstydu. – Twoja mamusia już wtedy na świecie była i ja mu powiedziałam, że panienecką nie jestem, tylko stateczną matulą. A on się obraził.

Przez dłuższą chwilę nie wiedziałam, jak powinnam zareagować. W końcu niecodziennie się słyszy, że osobista babcia miała romans po ślubie.

Na dodatek Radomiła zdawała się nie być tym faktem jakoś szczególnie zawstydzona.

– No, ale to Kupalnocka była. Co się dzieje na Kupalnocce, na Kupalnocce zostaje – oświadczyła.

Z lekkim zażenowaniem doszłam do wniosku, że chyba nie tylko z wyglądu jestem do babci podobna.

Próbowałam jeszcze wyciągnąć z niej kilka informacji o książce, ale nie chciała nic mówić. Potem było tylko gorzej, bo zaczęła dopytywać, co słyhać u mnie. Gdy dowiedziała się, że zostałam nosicielką ognia Swarożyca, aż się cała zapieniła ze złości.

Nawet nie wiedziałam, że umie tak przeklinać.

– Ani mi się ty waz do łoznicy mu wskakiwać! – Pogroziła mi palcem. – Głupia dziewucho! Omami cię ten kłamca i będzie wodził za nos. Mas być mondzejsa łode mnie!

Na szczęście kilka chwil później zniknęła. Tak po prostu. Prychnęła jeszcze kilka razy pod nosem na temat tego, że dzisiejsza młodzież jest okropna, potem rozkazała mi nauczyć się gwary, bo w ogóle nie brzmię jak prawdziwa szeptucha, a następnie zniknęła.

Jedynie mętlik w mojej głowie pozostał. Wskakiwać Swarożycowi do łóżka? To tak można? Z bogiem?

I jak to mam być mądrzejsza od babci? Czy to znaczy, że ona i Swarożyc...?

Och...

34.

– Wydaje mi się, że to zły pomysł – powiedział Mszczuj.

Zerknęłam na niego.

– Zwróciłeś uwagę na to, że tobie nigdy się nie podobają moje pomysły? – zapytałam.

– Nieprawda, że nigdy. Po prostu uważam, że ten jeden jest wyjątkowo nietrafiony.

– A masz lepszy?

– Wrócić do domu? – zaproponował. – Jestem przekonany, że całą tę sytuację można rozwiązać w sposób polubowny.

– Nie będę w sposób polubowny załatwiała spraw z mordercą mojej osobistej babci – prychnęłam.

Zignorowałam jego narzekania i sięgnęłam po lornetkę. Bolesław ze swoim brakiem zasłonek i dość dużymi oknami stanowił wdzięczny obiekt do obserwacji. Wszystko było widać jak na dłoni. Od kilku godzin krążyliśmy po krzakach dookoła jego parterowego domku i śledziliśmy ruchy kapłana. Dzięki lornetce wiedzieliśmy, co czyta, a ja przyjrzałam się dokładnie jego regałom z książkami. Księgi babci niestety nie dostrzegłam. Mogliśmy też praktycznie zajrzeć mu do garnka, a w talerz to już zupełnie bez żadnego problemu.

Bolesław, posiadający dość mało zawoalowane cechy ekshibicjonizmu, okien nie zasłaniał nawet w łazience. W jego toalecie zdarzyło się coś, czego ani ja, ani Mszczuj nie chcieliśmy widzieć, ale gdy to zrozumieliśmy, było za późno. Pewnych rzeczy nie da się niestety usunąć z pamięci.

Po dość długim pobycie w łazience naczelny kapłan przeniósł się do sypialni, gdzie przez dobre pół godziny przymierzał różne koszule, nie mogąc się najwyraźniej na żadną zdecydować. Miałam już tego serdecznie dość. Stroił się dłużej ode mnie i od niejednej dziewczyny.

– Chcę do domu – narzekał Mszczuj.

– Cicho bądź.

– Mam mokre spodnie – poskarżył się mój towarzysz.

– A kto ci kazał zakładać najszerze dzwony, jakie istnieją? Dziwisz się, że się maczają w każdej napotkanej kałuży?

– Jak zapytałaś, czy wyskoczyłbym z tobą wieczorem do Huty Nowej, pomyślałem, że sugerujesz pójście na kolację – naburmuszył się. – Skąd miałem wiedzieć, że planujesz tajną operację w krzakach? Trzeba było doprecyzować swoje zaproszenie.

To tłumaczyło, dlaczego miał na sobie lakierki, a pod kurtkę założył kwiecistą, mocno dopasowaną koszulę, która o mało nie pękała w szwach na jego klatce piersiowej, gdy pochylał się do przodu. Ja ubrałam się z głową. Miałam na sobie obcisłe legginsy, świeżo zakupione za pieniądze, które mama mi wepchnęła po zobaczeniu stanu mojej garderoby, czarną koszulę oraz równie czarny, ciepły sweter.

Westchnęłam z żalem, przyglądając się spod rzęs Mszczujowi. Wiem, że taka moda panuje teraz w Królestwie, ale zdecydowanie bardziej bym wolała, gdyby założył normalne spodnie i spacyfikował brylantyną te swoje niesforne loki. Sama też nie nosiłam modnego tapira jak Olivia Newton-John w tegorocznym hicie, musicalu *Grease*, którego tytuł przetłumaczono na *Brylantyna*,

choć byłam na nim pięć razy w kinie. Nie obraziłabym się jednak, gdyby Mszczujowi było bliżej do Johna Travolty niż do rozczochranego Stevena Tylera.

No cóż... przynajmniej miał bokobrody jak Travolta. Nie wiem tylko, jak wpadł na pomysł, żeby zapuścić wąsy. Przypomniałam sobie, jak drapią podczas całowania. Nie było to zbyt wygodne.

Oczywiście nie zamierzałam go więcej całować! Ale jeśli kiedyś wpadnie mi to do głowy, chyba namówię go najpierw na zgolenie wąsika.

– Coś długo nie wychodzi – dalej marudził.

– Mirka mówiła, że ma dzisiaj urodziny, i że zawsze, ale to zawsze idą razem na kolację. Musi wyjść z domu.

Kolejne minuty mijały, a Bolesław nadal się stroił. Teraz, po wybraniu koszuli, przeszedł do dokładnego czesania swojej długiej brody.

– Wiesz, że włamywanie się jest przestępstwem? – zapytał Mszczuj.

– Do mojej babci się włamał. Oko za oko.

– Nie masz pewności, że to on.

Poczułam, że zaraz ugotuję się ze złości. Zsunęłam z ramion gruby czarny sweter.

– Zmarzniesz – dogryzł.

– Jak nie przestaniesz mówić, to zaraz dostaniesz w zęby – syknęłam.

– Ale potem pójdziemy coś zjeść? Głodny jestem.

Spiorunowałam go wzrokiem.

– No co? Myślałam, że idziemy do restauracji, więc nie zjadłem obiadu! – obruszył się.

W tej chwili w domu Bolesława zaczęły gasnąć światła. Syknęłam na Mszczuja, żeby siedział cicho. Zamarliśmy w bezruchu, starając się nie szeleścić krzakami, w których się ukryliśmy.

Kapłan wyszedł z domu i skierował się do garażu. Nawet nie zamknął za sobą drzwi na klucz. Najwyraźniej święcie wierzył, że nikt nie będzie miał czelności się do niego włamywać.

Gdy światła jego auta zniknęły daleko na końcu szosy, podbiegliśmy do drzwi i błyskawicznie wskoczyliśmy do środka. Ręka Mszczuja od razu skierowała się w stronę włącznika światła. Pacnęłam go po łapie.

– Zwariowałeś?! – syknęłam. – Nie możemy zapalać światła! Przecież wszyscy nas zobaczą przez okna. Ten stary piernik nie ma zasłon.

– Och, no tak – spieszył się wróż. – A masz latarkę?

– Mam.

Specjalnie kupiłam. Dwie cieniutkie latareczki na baterie. To był mój ostatni zakup za pieniądze od mamy. Miałam szczerą nadzieję, że zbyt szybko nie przyjedzie na kontrolę, żeby sprawdzić, czy kupiłam sobie porządną kurtkę i buty, na które fundusze miały być przeznaczone.

Mszczuj podszedł do regału z książkami, zajmującego całą ścianę salonu. Tuż obok stał wygodny fotel, który aż zapraszał, żeby zatopić się w miękkich poduszkach.

– Myślę, że nie znajdziemy jej na widoku – stwierdziłam i rzuciłam się do opukiwania podłogi. Byłam przekonana, że pod jakąś luźną klepką musi czaić się skrytka.

Odwrociłam głowę do Mszczuja, żeby go pogonić. Jak zauroczony wpatrywał się w moje pośladki obleczone lycrą. Pstryknęłam palcami.

– E! – ryknęłam. – Szukaj księgi!

Ocknął się.

– To ja pójde do sypialni. Może schował ją pod łóżkiem czy coś – mruknął.

Ja dalej skrupulatnie opukiwałam podłogę. Zawiedziona, musiałam się w końcu poddać. Dom nie był podpiwniczony, więc mogłam podarować sobie szukanie lochów. Nie miał też niestety strychu. Obmacałam wszystkie poduszki, zajrzałam pod krzesła, a potem zaczęłam przeszukiwać kuchenne szafki.

Mszczuj wszedł do kuchni i zajrzał do lodówki.

– I jak w sypialni? – zapytałam. – Nic nie było pod łóżkiem?

– Księgi nie było – odparł.

– A co było?

– Nie chcesz wiedzieć.

Od razu mnie zaciekawił.

– Chcę.

– Nie chcesz.

– Bo sama pójde sprawdzić.

– Nie! – Złapał mnie za rękę. – Bolesław ma tam dużo czasopism i gazet pewnego typu. Naprawdę... zawsze wiedziałem, że lubi kobiety. Jednak wydaje mi się, że chyba trochę przesadza w swoich fascynacjach.

Skapitulowałam. Miał rację. Wolałam nie oglądać kolekcji świerszczyków kapłana. Szczerze współczułam Mirce, która musiała pójść z nim na kolację.

– A szafy sprawdziłeś?

– Sprawdzalem. Nie było księgi.

– A co było?

Na jego policzkach pojawiły się rumieńce.

– Różne rzeczy.

Zaśmiałam się, ale chwilę później zakląłam. Naprawdę miałam nadzieję, że księga tu będzie. Bolesław wyglądał mi na tak zadufanego w sobie, że mógłby zostawić ją na wierzchu.

– To gdzie on ją schował? Przecież nie jest mała! Nie nosi jej cały czas przy sobie. Musi ją gdzieś trzymać! – zirytowałam się.

– Mnie się cały czas wydaje, że to nie on – powiedział Mszczuj. – To co teraz? Wracamy do domu? Wolałbym, żeby nas tu nie nakrył.

– Wracamy – burknęłam. – A czemu ty mieszkasz praktycznie w lepiance, a on ma prąd, bieżącą wodę i toaletę?

– Jest wyższy stopniem. Przewodzi kapłanom w całym okręgu. Spokojnie, też się kiedyś dorobię. Może jak już będę stary, to nawet zajmę jego miejsce?

– Fakt, przecież musi kiedyś umrzeć – zażartowałam, ale Mszczuj nie zaśmiał się w odpowiedzi.

W sumie to nie było nic śmiesznego. Żercy, tak jak szeptuchy, sprawowali często swoje funkcje aż do śmierci.

Już mieliśmy wychodzić, gdy Mszczujowi tak głośno zaburczało w brzuchu, że nawet ja to usłyszałam. Bez słowa podeszłam do lodówki Bolesława i wyjęłam kielbasę, którą zauważyłam wcześniej. Od jednej kielbasy naczelny kapłan nie zbiednieje. Podałam ją wróżowi. Jego oczy

zamieniły się w dwa spodki i aż się cofnął.

– Chyba żartujesz! – obruszył się.

– Ma tam całe pęto jałowcowej. Nie zauważy, że jednej brakuje. Nie narzekaj i jedz. Masz mnie dowieźć bezpiecznie do domu. Jeszcze z tego głodu zemdlejesz po drodze i rozbijemy się na pierwszym lepszym drzewie.

– Ale to kradzież!

– Zaliczyliśmy już włamanie – mruknęłam. – Kradzież kiełbasy dużo bardziej nas nie pogrąży w oczach bogów.

Pomyślałam o Swarożycu. Podejrzewałam, że wszyscy bogowie muszą być do niego choć trochę podobni. Niemożliwe, żeby tylko on był taki... ludzki.

– Poza tym bogowie też nie są bez skazy – dodałam z przekonaniem. – Myślę, że nikt nie będzie miał ci za złe.

Niechętnie przyjął jałowcową i od razu wbił w nią łapczywie zęby. Wyszliśmy z domu Bolesława i ruszyliśmy w stronę samochodu, który zaparkowaliśmy na poboczu pod miasteczkiem. Baliśmy się zostawiać go bliżej domu kapłana, więc czekał nas dość długi spacer.

– To musi być on – upierałam się. – Przecież to oczywiste!

– A może jutro pójdziemy na kolację? – zapytał Mszczuj, przetykając kolejny gryz suchej jałowcowej. Zupełnie nie słuchał moich wywodów, bo od kilkunastu minut wymieniałam wszystkie momenty, gdy Bolesław zachowywał się podejrzanie.

– Mszczuju, na litość! – zachnęłam się. – Ja tu o poważnych sprawach mówię!

Naburmuszony wzruszył ramionami. Podał mi pół kiełbasy.

– Gryza?

– A wiesz co? W sumie to chęć... – Nie zdążyłam skończyć, bo nagle gdzieś przed nami rozległ się pisk hamulców, po czym do naszych uszu dotarł huk.

Spojrzeliśmy po sobie ze strachem. Dźwięk dobiegał zza zakrętu, gdzie stało, ukryte w krzakach tuż za poboczem, auto Mszczuja.

– Ktoś we mnie wjechał? – zapytał poblady kapłan.

– Eee – bąknęłam.

– Jeszcze nie spłaciłem tego samochodu! To grat, ale na dobrą sprawę nawet nie mój grat! – Na jego twarzy pojawiła się panika i zanim zdążyłam w jakikolwiek sposób zareagować, rzucił się do biegu, machając kiełbasą jak uczestnik sztafety pałeczką. Jego dzwony furkotały zbyt szerokimi nogawkami, gdy sadił wielkie susy po asfalcie.

Pobiegłam za nim, a następnie wpadłam na jego plecy, gdy raptownie się zatrzymał. O mało sobie przy tym nie odgryzłam języka.

– Co do...? – mruknął.

Masując nos, wyjrzałam zza kapłana. Wzdłuż szosy nie stały latarnie, więc niestety było całkiem ciemno. Auto Mszczuja stało nietknięte w krzakach tam, gdzie je zostawiliśmy. Dramat rozgrywał się za to po drugiej stronie ulicy. Czyjś samochód zjechał gwałtownie na pobocze i walnął czołowo w drzewo. Reflektory rzucały długie pasma blasku na fragment drogi i zakrzaczone pobocze. Na szczęście drzewko nie należało do najrośniejszych. Pod wpływem uderzenia złamało się i mocno odgięło, najprawdopodobniej całkiem niezłe zamortyzowało starcie z autem. Spod maski

wydostawał się dym, a może raczej para. Prawdopodobnie doszło do uszkodzenia chłodnicy. Mimo wszystko wyglądało to dość przerażająco.

– O bogowie! – jęknęłam. – Trzeba pomóc!

Ruszyłam w stronę pojazdu, ale Mszczuj złapał mnie mocno za łokieć i syknął powoli:

– Nie-ru-szaj-się!

– Czyś ty oszalał?! – wybuchłam. – Tam człowiek leży. Może zrobił sobie krzywdę! Trzeba mu pomóc!

– Tam-za-sa-mo-cho-dem – wycodził.

Już miałam na niego wrzasnąć, ale zerknęłam w stronę, w którą spoglądał. Za autem wbitym w drzewo faktycznie coś majaczyło. Miało jakieś rozgałęzienia u góry, więc wydawało mi się, że to drzewo.

Tymczasem w samochodzie zapaliła się lampka nad siedzeniami. Silnik ucichł, gdy kierowca w przyływie rozsądku przekręcił kluczyk. Nie widziałam go dokładnie, ale na pewno się ruszał. Po chwili zauważyłam, że próbuje otworzyć drzwi po swojej stronie. Blokowały je gałęzie, dlatego zaczął się przeciskać na fotel pasażera.

Nagle dobiegło do nas parsknięcie. Był to dźwięk, który zwykle wydają konie, a w każdym razie skojarzył mi się z końmi.

– Mszczuju... co to jest? – zapytałam szeptem.

– Nie wiem, ale nas nie widzi.

– Stoimy na środku.

– Wiem.

Cień wyszedł zza samochodu. Niestety nie był drzewem ani nawet przerośniętym krzakiem, który nagle dostał nóg. Poboczem okrążył rozbity samochód i stanął w świetle reflektorów, pokazując się nam w całej okazałości.

Demon miał końską głowę z masywnymi zębami, które wyglądały, jakby służyły do czegoś więcej niż tylko skubanie zielonej trawki. Mocno umięśnione ciało posiadało ludzkie barki, ręce, a także klatkę piersiową. Zad i tylne kończyny wyglądały na końskie. Miał nawet kopyta. Ogon nie przypominał mi jednak niczego, co do tej pory widziałam. Najbliżej było mu chyba do lisiej kity. To, co początkowo uznałam za poruszające się na wietrze gałęzie, było w istocie jelenim porożem. Jedyne różnica polegała na tym, że w niektórych miejscach wyrastały z niego zielone listeczki.

– Jago... co to jest? – szepnął Mszczuj.

Istota siedziała przykucnięta na zadnich nogach i podpierała się ludzkimi dłońmi o asfalt. Cały czas parskła, mrużąc oczy przed światłem reflektorów. Kierowca chyba był zbyt oszołomiony, bo w ogóle nie zauważał zagrożenia. Po przecięnięciu się na sąsiednie miejsce szarpał się z drzwiami po stronie pasażera.

– Jeśli miałabym zgadywać, to jest bies.

– Bies?

– Bies.

Mieliśmy problem. I to bardzo duży problem. O ile z większością upirów i demonów można było nawiązać jako taki dialog, z biesem było to niestety niemożliwe. Nie powstał z tragicznie zmarłego człowieka, nie można się było nim stać wskutek klątwy. Bies po prostu sobie był. Po co bogowie go

stworzyli? Nic poza ich wrodzoną złośliwością nie przychodziło mi do głowy.

Równie dobrze moglibyśmy dyskutować z rozwścieczonym, toczącym pianę z pyska burkiem, który zerwał się z łańcucha. Bies od zawsze był postrzegany jako wcielenie zła. Ciekawiło mnie tylko, co porabiał w Hucie Nowej, ponieważ, zgodnie z moją wiedzą, powinien trzymać się borów dębowych lub niedostępnych ludziom bagien.

W zaistniałej sytuacji najlepiej byłoby, gdybyśmy się dyskretnie oddalili i zostawili biesowi biednego kierowcę na pożarcie. Mało etyczne rozwiązanie, ale z całą pewnością dla nas najbezpieczniejsze.

I niezwykle kuszące, jeśli mam być szczerą.

– Mam w bagażniku gaśnicę i łom – szepnął Mszczuj.

– Dobrze – odpowiedziałam.

Nie wiem jakim cudem chciał pokonać biesa za pomocą gaśnicy i łomu. Siedząca w kukki istota miała dobre trzy metry wysokości. Gdyby stanęła w pełnej krasie, pewnie okazałoby się, że mogłaby zajrzeć kominem do niejednej chaty. Niemniej, pomijając fakt zbrojenia się przed ewentualną potyczką, bardzo podobał mi się pomysł, żeby zejść ze środka drogi i skierować się w cień. Pociągnęłam Mszczuja za rękaw i kroczek po kroczeniu potuptaliśmy w stronę zalesionego pobocza, gdzie stał samochód bielińskiego kapłana.

Jeśli Mszczuj miał ochotę wdawać się w bójkę, jego sprawa. Ja jednak poważnie rozważałam szaleńczą ucieczkę z rozwianym włosiem i paniką wymalowaną na twarzy.

Drzwi w rozbitym aucie w końcu ustąpiły i ze zgrzytem otworzyły się na całą szerokość. Bies, stojący do nas profilem, uchylił swoją paszczę i westchnął głęboko, wypuszczając parę z pyska. Gdyby nie jego końska fizjonomia, byłabym wręcz pewna, że uśmiechnął się złośliwie.

Kierowca wytoczył się na asfalt, a następnie kopniakiem zamknął za sobą drzwi. Krzywa blacha nie chciała się domknąć, więc jeszcze raz z wściekłością uderzył w nią stopą. Oparł się ciężko o maskę i odwrócił w końcu w stronę biesa.

Jego wysoki wrzask było chyba słyhać na jakieś dobre kilka kilometrów.

Mszczuj zatrzymał się raptownie.

– Jaga....

– No?

– Poznałem samochód.

Ja też go poznałam i to już chwilę wcześniej. Głównie dlatego ucieczka i pozostawienie kierowcy na pastwę biesa wydawało mi się takim dobrym posunięciem.

– To samochód Bolesława! – Miałam wrażenie, że sceniczny szepc Mszczuja zaraz sprowadzi na nas kłopoty.

– Bywa.

Szarpnęłam go za rękaw. Pobocze było dosłownie na wyciągnięcie ręki. Wciąż jednak nie mogłam puścić się w jego kierunku biegiem, bo istniało niebezpieczeństwo, że bies dostrzeże nas kącikiem oka.

– Musimy mu pomóc! – zawołał Mszczuj gorączkowo.

– Musimy zejść z widoku!

Bolesław padł na kolana przed górującym nad nim biesem. Nie przestawał krzyżeć. Poczułam

ulgę, że był w samochodzie sam. Najwyraźniej zdążył już odwiedzić Mirkę do domu. Swoją drogą, strasznie krótko byli na tej kolacji. Bolesław zdecydowanie więcej czasu poświęcił na dokonywanie ablucji, psikanie się perfumami i przebieranie przed lustrem, niż finalnie spędził z piękną szeptuchą.

Bies zawisł nad przerażonym mężczyzną i zaśmiał się gardłowo. Przysięgam. On naprawdę się zaśmiał.

Nagle ciało demona zaczęło blednąć. Powoli zatracalo swoje kontury. Jedyne czerwone niczym u królików albinosów oczy wciąż jarzyły się wyraźnie. Bies przesunął się w kierunku Bolesława i wyciągnął w jego stronę łapska, które były już teraz tylko smużkami czarnego dymu.

Skamieniali przyglądaliśmy się, jak opar wciska się kapłanowi do nosa, ust i uszu. Bolesław podniósł do góry ręce, po chwili uniósł się nad ziemię i zaczął spazmatycznie drżeć, gdy kolejne fragmenty dymnego ciała biesa wsuwały się do jego wnętrza. Poczulałam, że robi mi się niedobrze.

Bolesław opadł na ziemię. Cały dym został już wtłoczony do jego wnętrza. Głowę miał opuszczoną, zwichrowana broda wisiała smętnie na jego piersi. Chwiał się i ciągle lekko dygotał.

– O ja piernicze! – wyrwało się Mszczujowi.

Opiętany kapłan uniósł raptownie głowę i wygiął ją nienaturalnie w naszą stronę. Nie miał już swoich oczu. Wpatrywały się w nas czerwone ślepie biesa. Bolesław odsłonił zęby i zawarczał niczym pies.

Odwrócił się i zaczął powoli iść w naszym kierunku. Z każdym krokiem jego ruch nabierał sprężystości i pewności.

– To się nam Bolesław zbiesił... – wyszeptałam.

Dotarliśmy do samochodu w momencie, gdy Bolesław stwierdził, że chodzenie na dwóch nogach wcale nie jest wygodne i opadł na czworaka. Mszczuj wysupłał z kieszeni kluczyki i oczywiście od razu wypuścił je z trzęsącej się ręki w wysoką trawę. Myślałam, że go trzasnę.

Opętany przez biesa stary kapłan doskoczył do auta. Po jego brodzie sunęły strużki śliny. Paznokcie zazgrzytały o lakier. Nie wiem, czy Mszczuja bardziej przestraszył stan karoserii, czy widok czerwonych ślepi biesa.

Złapał staruszka za ramiona i pchnął byle dalej ode mnie. Niechcący upuścił przy tym także kiełbasę, która z głośnym plaśnięciem upadła na asfalt i potoczyła się w stronę środka drogi. Ja w tym czasie rzuciłam się do przetrząsania wysokiej trawy. Macałam na oślep, ale nie potrafiłam odnaleźć kluczyków.

Mszczuj zwarł się w uścisku z Bolesławem. Zaczęli tarzać się po ziemi. Zbieszony kapłan kłapał zębami, aż mu sztuczna szczeka wypadła. A dokładniej obie za jednym zamachem: i górna, i dolna.

Odrobinę uspokojona, że przynajmniej nie przegryzie już Mszczujowi gardła, dalej przeczesywałam trawę.

Nagle usłyszałam zduszony chichot. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że opętany przez demona kapłan dostrzegł kiełbasę. Wypuścił z rąk Mszczuja i rzucił się na nią. Zaczął mieć jałowcową bezzębnymi dziąsłami, wydając przy tym bardzo niesmaczne dźwięki.

Poczułam pod palcami chłód metalu. Są! Rzuciłam się do bagażnika i czym prędzej go otworzyłam. W środku znajdowały się koc, łom i maleńka, przenośna gaśnica. Jeszcze nigdy nie miałam takiej w rękach, więc zaciekawiona od razu po nią sięgnęłam.

– Jaga! – zawołał Mszczuj.

Bolesław porzucił suchą jałowcową, której za żadne skarby nie mógł rozgryźć. Wbił we mnie swoje czerwone ślepie. Miały poziomą źrenicę jak oczy kozy lub owcy. Parsknął i uśmiechnął się, odsłaniając bezzębne dziąsła. Miałam wrażenie, że mnie rozpoznał.

Szedł w moim kierunku. Mszczuj rzucił się na niego i całym swoim chuchrowatym ciężarem ciała uderzył go w bok. Bies zaskrzeczał, uwolnił się spod Mszczuja i skoczył niczym mała prosto na mnie.

Tym razem to ja wrzasnęłam, ale wcale się tego nie wstydzę. Rzuciłam się do ucieczki dookoła samochodu. Bies cały czas był tuż za mną. Okrążyliśmy w ten sposób auto Mszczuja dwa razy, zanim opętany kapłan doszedł do wniosku, że najprościej będzie wspiąć się po masce, żeby wreszcie skutecznie mnie dopaść.

Już miał na mnie zeskoczyć, ale Mszczuj zasłonił mnie własnym ciałem. Upadli razem na ziemię. Mój wybawca uderzył głową o asfalt, ale ani myślał puścić potwora.

Bies złapał go za loki i zaczął szarpać. Najwyraźniej chciał skrócić mu kark, skoro rozszarpanie gardła nie wchodziło w grę. Na szczęście ciało nosiciela nie było zbyt wysportowane, więc póki co Mszczuj pozostawał w jednym kawałku.

Podążając za kolejnymi krokami instrukcji obsługi gaśnicy, najpierw usunęłam zawleczkę.

Nacisnęłam mocno dźwignię i usłyszałam puknięcie. Puściłam ją szybko, nakierowałam dyszę na Bolesława i nacisnęłam dźwignię jeszcze raz. Biały proszek poleciał prosto w jego ślepie.

Demon zawył przeraźliwie. Odskoczył od Mszczuja i usiadł na środku drogi. Odgiął głowę do góry i otworzył usta, przez które zaczął wylać buri dym. Ciało nieszczęśnika opanowały drgawki.

Podbiegłam do Mszczuja i pomogłam mu wstać.

– Kiełbasa! – krzyknął spanikowany. – Gdzie jest kiełbasa?!

– A po co ci kiełbasa? – zdziwiłam się.

Dostrzegł wreszcie obślinioną jałowcową i ją podniósł. Bolesław powoli przestawał się trząść. Ostatnie smużki dymu wydostawały się z jego uszu. Bies odzyskał swoje pierwotne ciało, przysiadł na zadnich nogach i uniósł górną wargę, odsłaniając końskie, żółte zęby. Jeszcze chwila i nas zaatakuje.

Bieliński kapłan stanął przede mną i zamachał kiełbasą. Czerwone spojrzenie demona podążyło za jego ręką. Wyglądał jak pies, który śledzi zabawkę.

– Dobry bies, dobry – zawołał. – Chcesz kiełbaskę? No jasne, że chcesz. Pyszna kiełbaska. Bardzo dobra kiełbaska.

Istota znowu parsknęła. Bolesław, całkiem już wolny od demonicznego pasażera na gapę, uniósł głowę i spojrzał na górującego nad nim potwora. Wrzasnął. Zirytowany głośnym dźwiękiem bies już się zamachnął łapskiem, żeby go uciszyć, ale Mszczuj rzucił z całej siły kiełbasą.

Demon, niczym przerośnięty burek, natychmiast za nią pobiegł. Jałowcowa niestety nie poleciała za daleko. Bies złapał ją jeszcze w powietrzu i kłapał zębiskami. Rozprawił się z nią w niecałe dwie sekundy.

Powoli odwrócił się w naszą stronę. Poczułam, że teraz moja kolej, żeby zamienić się w krwawą miazgę w jego szczękach.

– Chcesz jeszcze raz dostać po gałach?! He?! – krzyknęłam i wysunęłam w jego stronę czerwoną gaśnicę. – Uciekaj stąd! Poszedł! A kysz!

Bies parsknął, najwyraźniej rozbawiony. Dał krok w moją stronę. Mimo że nogi trzęsły się pode mną, jakby były z galarety, nie cofnęłam się. A nawet jeszcze wyżej uniosłam ręce.

– Ty przerośnięty koziołku matołku! Uciekaj stąd! A poszedł ty!

Nie miałam pojęcia, ile białego proszku zostało w gaśnicy. Biorąc pod uwagę jej niewielkie rozmiary, mogła być już całkiem pusta. Mimo to nacisnęłam dźwignię.

Odrobina pyłu prysnęła w stronę biesa. W jednej chwili przestał parskać. Jego pysk wykrzywiło przerażenie. Demon kwiknął, odwrócił się na pięcie i pobiegł do lasu.

Przyznam szczerze, tak mnie to zaskoczyło, że w pierwszej chwili nawet nie uwierzyłam. Domyślałam się, że pryśnięcie gaśnicą po oczach nie jest niczym przyjemnym, ale żeby trzymetrowy potwór tak po prostu uciekał z podkulonym ogonem... kto to słyszał.

– Bolesławie, jak się czujesz? – Usłyszałam głos Mszczuja.

– Ja, ja... zossałem zaatakowany! – wydusił niewyraźnie.

– Chodźmy do mojego samochodu – zaproponował Mszczuj.

Naczelnik kapłan miał zaczerwienione i łzawiące oczy. Pokasływał jak gruźlik. Całą brodę miał ubrudzoną białym pyłem gaśniczym.

– Ja... – wyjąkał. – Gdzie są moje sęby?

– Już ci podaję – zaoferował się Mszczuj.

Powstrzymałam odruch wymiotny, gdy podnosił je z ziemi i podawał staruszkowi. Ten natychmiast schował je do kieszeni koszuli. Całe szczęście! Już myślałam, że wsadzi je sobie z powrotem do ust.

– Odwieziemy cię do domu.

Mszczuj posadził oszołomionego kapłana na siedzeniu pasażera. Bez słowa wsunęłam się na tylną kanapę. Bolesław był tak rozbity, że w ogóle go nie zdziwiło, czemu zaparkowaliśmy w krzakach. Ruszyliśmy. Odwróciłam się i czujnie zerkałam przez tylną szybę, czy aby na pewno bies nie podąża naszym śladem. Ciągle ścisnęłam gaśnicę w dłoniach, gotowa ponownie wykorzystać ją jako straszak.

– Na wszystkich bogów – wyseplenił Bolesław. – To coś wyskoczyło mi pśed koła! Było olbsymie!

– To demon – powiedziałam.

Kapłan odwrócił się na przednim siedzeniu i wbił we mnie spojrzenie przekrwionych, zapuchniętych oczu.

– Stseliłaś mi gaśnicą w ocy! – zirytował się.

– Ale dzięki temu przegnałam biesa, który całkiem nieźle zadomowił się w twoim ciele – prychnęłam.

– Bies! – oburzył się. – Skąd bies?! Psecies to sły demon! Nigdy, jakem sywy, nie widziałem biesa! One nie hasają na Podhalu tylko?

Przyznam szczerze, że tego akurat nie wiedziałam. Uważnie przyglądałam się znękanemu Bolesławowi. Cholera... Wyglądał, jakby naprawdę nie wiedział, co się dzieje. No chyba, że był aż tak dobrym aktorem.

– Nie wiem, skąd się wziął – odparłam.

– To nie do pomyslenia! Tseba ostsec ludzi!

– Spokojnie, zajmiemy się tym.

Mszczuj zerknął na mnie w lusterku wstecznym. Dopiero teraz zauważyłam, że po jego czole płynie strużka krwi. Chyba oberwał mocniej, niż myślałam.

– Bogowie! – sapnął Bolesław. – Jak my ssie go posbedziemy?

– Proszę zostawić to mnie. Dam sobie z nim radę – oświadczyłam.

Co prawda nie miałam zielonego pojęcia, w jaki sposób można pozbyć się takiego demona. Niemniej mocno w tej chwili liczyłam na pomoc Swarożyca. Na pewno mi coś podpowie.

Bolesław wykręcił się na siedzeniu w moją stronę. Wbił we mnie nienawistne spojrzenie.

– Taka sama jak babka! Ona była takim samym zsiółkiem! Ten bies to na pewno twoja spraffka!

– Hola, hola! – oburzył się Mszczuj. – A niby skąd takie podejrzenia?

– A co tu niby robiliście? Psypadkiem psyjechaliscie?

– My... my... – zaczął Mszczuj.

Teraz już nie tylko krew, ale też pot płynęły mu po czole.

– ...byliśmy na randce – dokończyłam za niego.

Bolesław przyjrzał się krytycznie strojowi Mszczuja i mruknął coś pod nosem. Chyba zaczynał nam wierzyć. Ja z kolei zastanawiałam się nad jego słowami. Miałam niebywałe szczęście do spotykania istot nadprzyrodzonych. Fakt, że bies wyskoczył kapłanowi pod koła akurat tuż przy

naszym samochodzie, świadczył według mnie dość wyraźnie o tym, że bestia najzwyczajniej w świecie się tam na nas zaczęła.

A raczej na mnie.

Bolesław musiał być przypadkową ofiarą, a to niestety sugerowało, że nie jest w posiadaniu poszukiwanego przeze mnie artefaktu.

Najwyraźniej tajemniczy właściciel księgi już wiedział, że staram się go odnaleźć. Sprowadzanie rusalek nie zagrażało mi bezpośrednio, ale to też na pewno był atak. Teraz ja poczułam, że po czole płynie mi pot. Nie byłam do końca pewna, czy poradzilibyśmy sobie sami z Mszczujem, gdyby Bolesław nie pojawił się w okolicy. Jeśli biesowi udałoby się opętać bielińskiego kapłana, mogłabym nie mieć żadnych szans. Był dość chuchrowatej postury, ale jednak ważył więcej ode mnie i był dużo wyższy. Nie zapominajmy również o tym, że Mszczuj miał zęby, którymi mógłby rozszarpać mi gardło.

Odwieźliśmy Bolesława do domu, a potem wracaliśmy powoli do Bielin. Można powiedzieć, że staraliśmy się jechać czujnie. Chyba oboje nie mogliśmy pozbyć się wrażenia, że w każdej chwili zza jakiegoś drzewa może wyskoczyć na nas trzymetrowy potwór. Podjeżdżaliśmy już pod moją chatkę, gdy Mszczuj się odezwał:

- Chyba mamy już pewność, że to nie Bolesław.
- Chyba tak...
- Nie brzmisz, jakbyś była zachwycona tą informacją – zauważył.
- Bo teraz znowu nie wiem, kogo szukać.
- Ten bies tam na nas czekał, prawda?

Mszczuj zatrzymał auto obok mojej posesji i wyłączył silnik. Otoczyła nas cisza. Był środek nocy. Wszyscy w Bielinach spali.

- Obawiam się, że tak – odpowiedziałam cicho.
- Kapłan wpatrywał się w przednią szybę. Krew już przestała ciec po jego czole.
- Co teraz zrobimy?
- Ja to bym chętnie opatrzyła twoje czoło.
- E tam. Drobnostka. Do wesela się zagoi. – Zbagatelizował sprawę.

Nie stracił przytomności, mówił przytomnie, nie wymiotował. Raczej nic złego mu się nie stało. Zapaliłam lampkę pod sufitem. Sięgnęłam dłońmi do jego twarzy i obróciłam ją w swoją stronę. Rozcięcie miało może centymetr długości. Już się zasklepiło.

- Może ci zostać blizna – powiedziałam.
- Nabiorę szlachetności albo zapuszczę dłuższe włosy.
- Parsknęłam śmiechem. W odpowiedzi także się uśmiechnął. Oboje byliśmy wyczerpani.

- W sumie to cieszę się, że włamaliśmy się do Bolesława – oświadczył.
- Tak? Bo tej jałowcowej to za dużo się nie najadłeś.

– Może i nie, ale jakbyśmy do niego dzisiaj nie pojechali, bies pewnie napadłby na ciebie w domu. Zerknęłam na moją pogrążoną w mroku chatkę. Była mała. Raczej dostrzegłabym demona, gdyby się za nią skrył. Wystawałoby mu poroże lub zad. Niemniej jeśli znowu kogoś opętał, mógł się ukryć w innej postaci chociażby w wychodku.

- Myślisz, że jeszcze będzie za tobą łąził czy przepędziliśmy go raz na zawsze? – zapytał Mszczuj.

Miałam ochotę odburknąć, że to raczej ja go przepłoszyłam, ale w porę ugryzłam się w język.

– Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie mógł pobiec.

– A masz pomysł, jak się go pozbyć?

– Prawie – skłamałam.

– No tak...

Zapadła niezręczna cisza. Nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Pożegnać się i wyjść? Pocałować go w policzek? Pocieszyć, bo wyglądał, jakby miał się rozplakać? Zaproponować, że zrobię mu kolację? Czyli w przypadku moich domowych zapasów – ugotować jajka na twardo?

Na szczęście problem sam się rozwiązał. Mszczuj stwierdził, że pada z nóg i że będzie się zbierał. Po dżentelmeńsku zaczekał w aucie, aż wejdem do chatki i dopiero wtedy odjechał.

Mój dom nie był splądrowany. Poza potworem ważącym mniej niż pół opakowania cukru, który rozpruł mi z nudów poduszkę, nie czaiły się na mnie inne niebezpieczeństwa. A mimo to, gdy położyłam się spać, nie mogłam usnąć. Nieustannie miałam przed oczami czerwone ślepie demona.

Bałam się następnego ruchu posiadacza księgi.

Szłam sobie spacerowym krokiem po Kakoninie. Była to wieś graniczące z Bielinami. Praktycznie zlewały się ze sobą. Wzdłuż szosy ciągnęły się pola, a raczej ścierniska. Część z nich należała do gospodarzy z Bielin, ale przeplatały się z tymi przynależnymi do Kakonina.

Chłodny wiatr wkładał mi się podstępnie pod sweter, ale twardo parłam do przodu. Musiałam na własne oczy zobaczyć to, o czym ludzie gadali cały ranek w sklepie pani Bronki.

Podobno przez Kakonin przeszło tornado.

Im bliżej serca wsi, tym więcej zniszczeń widziałam. Połamane drzewa. Nie tylko poszczególne gałęzie, ale także całe pnie. Wystraszone psy ani myślały wychodzić ze swoich bud. Do tego nigdzie nie szwendały się wszędobylskie zwykle kury. Zupełnie jakby wszystkie zwierzęta z okolicy zniknęły.

Albo postanowiły się dobrze schować.

Na głównej drodze grupka mężczyzn usiłowała postawić do pionu furgonetkę, która leżała na boku. Część blachy była wygięta do środka, zupełnie jakby coś w nią uderzyło.

Oczywiście nie wiedziałam, czy nie sprzątnięto już na przykład ułamanej gałęzi, ale jak dla mnie wgniecenie całkiem nieźle przypominało odcisk dłoni. Bardzo dużej dłoni. Takiej, powiedzmy, pasującej do trzymetrowego demona.

Przystanęłam na poboczu i przez chwilę przyglądałam się niezgrabnym poczynaniom mężczyzn. Wyglądali, jakby mieli zamiar zaraz się poddać. Jeden z nich ściągnął koszulę i rzucił ją w złości na ziemię. Poznałam go od razu.

– Sławek! – zawołałam.

Wszyscy odwrócili się w moją stronę, ale tylko on się uśmiechnął. Przeprosił towarzyszy i podbiegł do mnie.

– Jaga! Jak wspaniale cię widzieć!

Wyciął mi w oba policzki i uściskał, zupełnie jakbyśmy z dziesięć lat się nie widzieli.

– A co ty tu robisz? – zapytał. – Szukasz mnie?

Jego oczy zamigotały niedopowiedzianą obietnicą. Kuszące, przyznaję. Zwłaszcza że było mi zimno, więc zaszybieć się z nim gdzieś w stodole na sianie nie byłoby bardzo przykrym pomysłem. Jednak nie po to tu przyszłam.

– Chciałam zobaczyć, co zrobiło sławetne tornado – odpowiedziałam.

– Tornado? – parsknął. – Jakie tam tornado!

Wskazałam palcem na przewrócony samochód.

– A to? Zmęczył się i postanowił położyć? – zakpiłam.

– To nie było tornado – zachnął się i ściszył głos. – Na litość wszystkich bogów. Jestem pλανetnikiem! Wiem wszystko o pogodzie.

– Skoro nie tornado, to co?

– Coś ci pokażę – zaproponował.

Odwrócił się do chłopów, którzy dyskutowali, czy warto do przewróconego samochodu wzywać

straż pożarną.

– Chłopaki! Zaraz wróć! Tylko szanowną szeptuchę poprowadzę!

Odpowiedziało mu kilka niewybrednych żarcików. Chyba już dobrze znali Sławka. Ja się za to zaczerwieniłam, bo czułam już pod skórą, że plotki z Kakonina na temat moich rzekomych powiązań z przystojnym wagabundą dotrą zaraz do Bielin.

Po drodze planetnik wdział z powrotem na siebie koszulę. Ale nie zapiął się pod szyję. Ciaśniej owinęłam się swetrem.

– Nie jest ci zimno? – zapytałam autentycznie zaciekawiona.

– Nie, w ogóle nie czuję zimna – wyjaśnił. – Gdybym był na nie wrażliwy, nie mógłbym pojedynkować się w chmurach ze zmijami. A tam, na górze, jest dużo, dużo zimniej niż tutaj. Wierz mi.

Zauważyłam, że wcale nie kierowaliśmy się w stronę centrum Kakonina. Minęliśmy je, by podejść pod wieś praktycznie od drugiej strony. Sławek zatrzymał się przy ułamanym drzewie.

– Kiedy tylko usłyszałam, co się stało w nocy, od razu poszedłem sprawdzić. Ja czuję... pogodę. Wiem, co się stanie. Umiem to przewidzieć, a nawet jak się bardzo postaram, jestem w stanie rozgonić chmury – powiedział.

– Czyli jeśli chciałabym kiedyś wyprawić przyjęcie pod gołym niebem, to powinnam się do ciebie zgłosić z zamówieniem na piękną pogodę? – zapytałam.

– Nie zawsze mi się udaje – zaznaczył. – Ale jeśli czegoś takiego byś potrzebowała, możesz na mnie liczyć. Wracając do zniszczeń. Przeszedłem przez cały Kakonin. Ślad ułamanych drzew ciągnie się aż od puszczy. W środku zresztą też je widać.

– No i?

– No i po pierwsze, co to za tornado, które łamie krzaki w lesie, a oszczędza drzewa? Po drugie, zwykle tornada nie zostawiają odcisków stóp.

Zeszliśmy z drogi na łąkę. Mężczyzna poprowadził mnie pod las, gdzie na ściernisku wyraźnie odznaczały się ślady dużych kopyt i kilka odcisków dłoni. Ukucnęłam i przyłożyłam swoją rękę do wgłębienia. Było kilkakrotnie większe.

– Nie wiem, co to – stwierdził Sławek. – Ale wyszło z lasu w tym miejscu. Poszło tam, następnie przebiegło przez wieś i rozplynęło się magicznie w powietrzu.

– Zniknęło? – podchwyciłam. – Pokaż mi to miejsce.

Na samym skrzyżowaniu nie było wielu śladów, ponieważ asfalt nie należy do zbyt miękkich podłoży. Kopyta masywnego demona jednak wyraźnie było widać na poboczu. Jeśli bestia nie stwierdziła nagle, że od tej pory będzie przechadzać się grzecznie środkiem drogi, aż dojdzie do Warszawy, to rzeczywiście musiała tutaj zakończyć swoją podróż.

Poza tym w powietrzu było czuć coś dziwnego. Nie byłam pewna, co to, ale pachniało jakoś inaczej.

– Czujesz? – zapytałam Sławka.

– Śmierdzi – potwierdził.

– Czym? Jakoś tak chemicznie jakby.

– Ja tam znawcą nie jestem, ale trochę jak palony plastik? Nie wiem.

Pośrodku skrzyżowania widać było nieduży czarny obszar. Zupełnie jakby spopielono tam coś

bardzo małego. Przesunęłam palcem po osadzie i powąchałam opuszki. Aż mnie odrzuciło. Niezidentyfikowany smród był bardzo silny.

Skrzyżowanie... a raczej rozstaj dróg. Bardzo ważne miejsce. To tu często na wędrowców czekało się zło. Tu zapalano światła, by wędrowcy nie pobłądzili. Tak, to zdecydowanie lokalizacja idealna do magii. Zwłaszcza tej czarnej.

Przy drodze w tym miejscu stał tylko jeden dom. Na płocie wisiała tabliczka informująca o profesji mieszkańca. Widać było, że gospodarz jest bogaty. Obok domu trwała budowa garażu. Najwyraźniej specjalnie po to, by gdzieś pomieścić dwa nowiutkie auta, które już czekały na podwórku. Tak samo dach domu pachniał nowością. Świeża dachówka aż kłuła w oczy czerwienią.

Komuś nagle zaczęło się bardzo dobrze powodzić. Poczułam mściwą satysfakcję. Zdradził się skurczybyk. Teraz zostawało mi tylko buchnąć mu księgę, a potem się zemścić.

– Czemu tak się przyglądasz? – zapytał Sławek.

– A... jakoś tak – zbyłam go. Postanowiłam nie mieszać go w swoje problemy. – Dzięki, że mi to pokazałeś. Bardzo mi pomogłeś.

– Wiesz, co to była za istota? I czemu zniknęła? Jeszcze nigdy nie spotkałem się z niczym, co dokonuje takich spustoszeń. To znaczy oczywiście spotkałem żmije, ale one nie pojawiają się bez deszczu i nie spacerują po drogach.

– To chyba był bies – odpowiedziałam.

Mężczyzna lekko pobałdł.

– Bies? We wsi? – przestraszył się. – A one nie są przypadkiem bardzo niebezpieczne?

Przypomniałam sobie stwora i jego atak na bezbronnego Bolesława. Wciąż miałam ciarki na samo wspomnienie pozbawionej człowieczeństwa twarzy kapłana. Nawet logiczne wydawało mi się już, dlaczego bestia nie zabijała ludzi pod swoją demoniczną postacią.

Gdyby tak robiła, bardzo szybko przestałaby być elementem folkloru, koszmarów i legend. Obecnie ludzie mieli bardzo dużo sposobów, by skutecznie wytropić i zabić zwierzynę. Bies nie miałby najmniejszych szans z bronią palną. A jeśli opętał człowieka, chociażby na chwilę, to człowiek popełniał zbrodnie i to jego potem karano.

Ciekawiło mnie, ilu morderców zabiło samodzielnie, a ilu zostało do zbrodni poprowadzonych za rękę właśnie w taki sposób. Ostatnio głośno było o amerykańskim mordercy, który twierdził w sądzie, iż opętał go chrześcijański diabeł. Chyba nazywano go Synem Sama. Diabeł katolików miał kopyta i rogi. Sporo go łączyło z naszym biesem. W sumie nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale dlaczego niby biesy miałyby mieszkać tylko na terenie Królestwa Polskiego? Równie dobrze mogły hasać po Ameryce i tam biesić ludzi.

– Jago... ja wiem, że może uznasz moje pytanie, a raczej propozycję za dziwną. Jednakże... – urwał.

Odwróciłam się od podejrzanego domu i spojrzałam na planetnika. Jąkanie się i wątpliwości zupełnie mi do niego nie pasowały. Posłał mi nieśmiały i lekko zakłopotany uśmiech.

– Wydaje mi się, że ostatnio zrobiło się w okolicy dość niebezpiecznie, nie sądzisz? – zapytał. – Demony nie powinny łązić po wsiach.

Okrąża temat, ale dobrze. Niech mu będzie.

– Nie powinny – zgodziłam się.

– Właśnie, to sytuacja potencjalnie niebezpieczna. – Pokiwał głową. – Poniekąd mam z niebezpieczeństwem kontakt na co dzień. Jednak wydaje mi się, że i tak wyjazd jest całkiem rozsądnym pomysłem. Po co więcej się narażać?

– Och, a nie mówiłeś przypadkiem, że zostaniesz do Szczodrych Godów? Możesz tak wcześniej opuścić swój... rewir? – zdziwiłam się.

– Idę za pogodą. – Wzruszył ramionami. – Ona często się zmienia. Ostatnio Stribog trochę miesza.

– Spotkałeś go kiedyś?

– Striboga? Boga wiatru? – Zaśmiał się. – Nie, nigdy nie dostąpiłem tego zaszczytu. Jednak niewątpliwie istnieje i sieje wiatr. To właśnie w taki sposób zostałem porwany w chmury, gdzie dostałem swoje moce. Znikąd pojawiła się zawieja, takie miniaturowe tornado, które wciągnęło mnie między chmury. Jednak Stribog nie uznał mnie za godnego na tyle, by pokazać mi swe oblicze.

– Może to i lepiej – mruknęłam i pomyślałam o Swaróżycu.

– Niemniej wracając do zmieniającej się pogody. Wiatry przesuną front burzowy na południe. Proponuję wyjazd – wypalił.

– Hę? Wyjazd?

– Co ty na to, żeby wyjechać razem ze mną? – zapytał. – Wiem, że moja propozycja jest dość nietypowa i przede wszystkim niespodziewana. W końcu nie znamy się zbyt długo. Może to lekkomyślne. Ale życie jest krótkie. Warto chyba czasem podjąć ryzyko?

Zakończył wypowiedź i odetchnął głęboko. Jego oczy błyszczały, a na ustach pojawił się przekorny uśmiech. Co jak co, ale czarować to Sławek umiał.

– Proponujesz mi wspólną ucieczkę? Jako para? – dopytałam.

– Tak.

– Ojej.

– Potraktuj to jako przygodę. Zapewniam, że w moim towarzystwie ci ich nie zabraknie. Oczywiście nie zagwarantuję ci spania na atlasowej pościeli, pewnie częściej będziemy gościć w stodołach. Wydaje mi się jednak, że to może być całkiem niezła zabawa. Ja się będę zajmował do pracy fizycznej, a ty możesz leczyć ludzi, wróżyć, czarować czy co tam szeptuchy robią.

Nie wiedziałam, co mam mu odpowiedzieć. Z jednej strony jego propozycja była niepokojąco interesująca. Aż dostałam gęsiej skórki na myśl o przygodach i wyzwaniach, które mogłyby na nas czekać. Życie obieżyświata na pewno było niezwykle ciekawe.

Jednak miałam obowiązki w Bielinach. Przecież od tylu lat upierałam się, że przejmę schedę po babci. Miałabym to rzucić ot tak? Bo przystojny płanetnik mnie o to poprosił? Babcia by mi chyba nie wybaczyła. O tym, co powiedziałyby moja mama, wolałam nawet nie myśleć.

A mimo to się wahałam. Oczywiście nie straciłam głowy dla Sławka. Musiałabym być skończoną idiotką, żeby rozważyć porzucenie całego swojego życia tylko dla niego. Płanetnik był jak chorągiewka na wietrze. To, że akurat teraz odpowiadało mu spędzanie ze mną czasu, nie znaczyło, że za tydzień nie zmieni zdania.

– Ja... ja muszę to przemyśleć – odpowiedziałam. – Nie umiem odpowiedzieć ci tak od razu.

– Jasne, całkowicie to rozumiem – przytaknął. – Ja już zrezygnowałem z pracy u gospodarza. Powiedziałem mu, że jutro z samego ranka wyjeżdżam dalej w świat.

– Nie miał pretensji?

– Żniwa się skończyły. Mało jest teraz w polu do roboty. Może my też umówimy się jutro? Dzisiaj będzie burza. Powinna potrwać całą noc. Będę miał ręce pełne roboty. Odeśpię i wpadnę do ciebie.

Zerknęłam na niebo, na którym nie było ani jednej chmurki. Stada jaskółek wirowały wysoko w powietrzu. Nic nie zwiastowało deszczu. Niemniej nie miałam powodów, by mu nie wierzyć. Kiwnęłam mu głową.

– I dobrze. To zobaczymy się wieczorem – powiedział. – Wtedy podasz mi swoją odpowiedź.

– Jesteśmy umówieni.

Następnie pożegnaliśmy się i każde poszło w swoją stronę. To znaczy Sławek poszedł, bo ja tylko udałam, że odchodzę. Zamiast tego okrążyłam podejrzany dom i przez pole weszłam na podwórko. Nie było żadnego psa, który rzuciłby mi się do nóg, spragniony mojej krwi. Mogłam spokojnie ominąć worki z cementem oraz palety z cegłami, by dojść do tylnych drzwi.

Staralam się skupiać na tym, co robię, ale nie mogłam pozbyć się z myśli Sławka. Kojarzył mi się z brakiem poczucia bezpieczeństwa, z niebezpieczną przygodą. Na litość wszystkich bogów, przecież go praktycznie nie znałam. Raptem kilka rozmów i trochę czasu w łóżku. Rzucać całe swoje życie dla kochanka?

A jednak się wahałam. Niby już teraz byłam panią swojego losu. Decydowałam, co robię, mieszkalam sama. Brzmiało pięknie, choć było tak naprawdę złotą klatką. Nie mogłam rozwinąć skrzydeł, bo musiałam dbać o ludzi, których zostawiła mi babcia. Czy tego chcieli, czy nie.

Syknęłam z bólu i złapałam się za nadgarstek. Znamię zapiekło, jakby ktoś przyłożył mi do skóry rozpalone żelazo. Uniosłam rękę przekonana, że zagojone oparzenie się otworzyło i zaczęło krwawić albo wręcz trawiły je właśnie płomienie. Nic bardziej mylnego. Było tylko lekko zaczerwienione.

– Jago, moja strażniczko ognia – przy moim uchu rozległ się przymilny szept swarnego boga. – Co też zamierzasz zrobić?

– Swarożyc?

Obróciłam się, ale wcale za mną nie stał. Mimo to poczułam zapach palonego drewna. Drzwi, do których się kierowałam, były na wyciągnięcie ręki. Zatrzymałam się jednak i schowałam pod załomem muru.

– Swarożycu? – szepnęłam. – Jesteś tu?

– Pragniesz opuścić Bieliny? – zapytał mnie głos.

Naprzeciwko mnie, trochę wyżej od mojej głowy, zapaliły się w powietrzu dwa pomarańczowe światełka. Wyglądały jak błędne ogniki.

Oczy... To były jego oczy.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – parsknęłam przerażona. Nie wiedziałam, że bóg może słyszeć moje myśli.

– Czuję, do czego rwie się twoje serce – odparł. – Źle ci tu ze mną?

– Jesteś bogiem. Możesz być wszędzie – odpowiedziałam wymijająco. – Dlaczego miałbyś być tylko tutaj?

– Czemu chcesz odejść?

Nie zdziwiło mnie specjalnie, że unikał odpowiedzi. Nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz. Jestem tylko człowiekiem. Nie było powodu, dla którego miałby mi zdradzać swoje tajemnice.

– Marzą mi się przygody – powiedziałam. – Chcę czegoś więcej. Chyba... nie wiem. Nie umiem ci

odpowiedzieć. To tylko głupi pomysł, pojedyncza myśl.

– Nie znam przyszłości, ale nie odchodź z Bielin. Tu czeka na ciebie jeszcze dużo przygód. Zwłaszcza ze mną. Masz na to moje słowo.

Jakoś nie poczułam się pocieszona. Zwłaszcza że wcześniej mnie oparzył. Ciekawe co by zrobił, gdybym jednak zdecydowała się wyjechać... Spaliłby mnie żywcem?

– Chyba wiem, kto ma księgę mojej babci – powiedziałam, żeby zmienić temat.

– Twoją księgę – poprawił mnie.

– Właściciel tego domu ją ukradł, a teraz jej używa. Możesz sprawdzić, czy jest w środku? Wolałabym na niego nie wpaść.

Ogniki zniknęły. Czekałam, modląc się, żeby nikt się nagle nie pojawił w zasięgu wzroku i nie zapytał, co robię na czyjejś posesji.

– Nikogo nie ma. Właściciel tego domu jest złodziejem? – Niski głos znowu rozległ się tuż obok mojego ucha. Poczułam, jak jeżą mi się włoski na karku. Było coś zbyt intymnego w takim szeptaniu do uszka.

– Tak myślę – odpowiedziałam. – A możesz jeszcze sprawdzić, czy w środku jest księga?

– Spróbuję.

Czekanie dłużyło mi się niemiłosiernie. Zaczęłam już sobie pluć w brodę, że powinnam była sama włamać się do środka, zamiast wyręczać się bogiem. Nagle usłyszałam pomruk grzmotu. Spojrzałam na niebo. Nie wiem skąd, ale nagle nadpłynęły na nie ciemne chmury.

Sławek miał rację.

– Moje ubożęta nic nie znalazły – powiedział Swaróżyc i zmaterializował się obok mnie.

Chyba nie chciał wzbudzać sensacji na wypadek, gdyby ktoś go zobaczył, bo był ubrany.

– Co teraz proponujesz? – zapytał.

– Proponuję, żebyś mi pomógł. Wolałabym, żeby stworzony przez złodzieja demon nie rozszarpał mnie na strzępy, zanim zdążę podejść bliżej.

– Dokąd idziemy?

Wyciągnął w moją stronę dłoń. Podałam mu swoją.

– Tam, gdzie powinien przebywać każdy szanujący się grabarz. Na cmentarz.

Z minuty na minutę robiło się coraz ciemniej, chociaż do wieczora zostało jeszcze kilka godzin. Zerwał się silny wiatr i w jednej chwili rozwiął szary dym, który otoczył mnie i boga, gdy przenosiliśmy się spod domu grabarza na bieliński cmentarz.

Nie mogłam uwierzyć, że to akurat grabarz jest mordercą. W głowie mi się to nie mieściło. Nie był kapłanem, nie zajmował się leczeniem. A mimo to musiał mieć w sobie coś, co pozwoliło mu korzystać z księgi. A jego motyw! O ile dobrze zrozumiałam całą sytuację, tworzył potwory, żeby ginęli ludzie, bo wtedy jako grabarz miał pracę i szybki zarobek. Pomyśleć, że to wszystko przez chciwość!

Cmentarz na pierwszy rzut oka wydawał się opustoszały, ale rosło na nim tyle cisów i głogów, że nie było niestety pełnej widoczności. Grabarz mógł się gdzieś ukrywać.

– Jesteś pewna, że go tu znajdziemy? – zapytał Swarożyc.

– Tak zakładam. To grabarz. Jeśli nie ma go w jego zakładzie, powinien być gdzieś tutaj.

– Co zrobisz, gdy już go znajdziemy?

– Nie mam żadnej broni – mruknęłam.

Niestety nie wpadłam na to przed wyjściem z domu.

– Może uda mi się go przekonać, żeby oddał księgę po dobroci?

Swarożyc zaśmiał się i posłał mi pełne politowania spojrzenie.

– A ty mi nie pomożesz? Nie jesteś zły, że tak długo wodził cię za nos? – Spróbowałam wziąć boga pod włos. – Że tak długo się ukrywał przed twoim wzrokiem?

Czarne węgle jego oczu na chwilę rozbłysły czerwienią.

– Chętnie bym go spopielił, ale masz prawo pierwszeństwa co do zemsty. Okradł cię. Nie tylko ze spadku, ale też z rodziny – odpowiedział.

Cholera. Miałam nadzieję, że może da się jednak przekonać i zrobi całą robotę za mnie, a ja potem tylko zgramę księgę.

– Pomóż mi – poprosiłam. – Nie pozwól, by zrobił mi krzywdę.

– Moja pomoc będzie miała cenę.

– Hola, hola, a nie miałeś mi już zawsze pomagać? Przecież jestem strażniczką twojego ognia – oburzyłam się.

– Jak na razie w ogóle mnie nie czcisz. Chcesz mnie opuścić. Pozwól mi zostawić na twojej skórze jeszcze jeden znak, żebyśmy zacieśnili nasze więzy. Wtedy ci pomogę.

– Już czujesz porywy mojego serca – zauważyłam. – Co będziesz czuł, gdy oznaczysz mnie po raz kolejny?

– Niewiele więcej. Nie mogę czytać twoich myśli, jeśli tego się obawiasz. Nie mogę zmusić cię, byś pokochała mnie lub kogokolwiek innego. Mogę rozdmuchać jedynie uczucie, które już jest gdzieś głęboko w tobie. Mogę zwiększyć ogień, który płonie w twoim sercu, podsycić gniew.

Szkoda, że nie wiedziałam, czy to duża, czy mała cena za jego pomoc.

– Ciągle nie rozumiem, dlaczego jestem dla ciebie ważna. Każdą szeptuchę otaczasz taką opieką?

– Nie.

– To czemu ja?!

– Masz w sobie coś, co mnie bardzo pociąga. Karmię się twoim gniewem, Jago. To dlatego nie mogę dopuścić, byś mnie opuściła.

Daleko na cmentarzu kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Coś lub ktoś szybko przebiegł między grobami. Zanim zdążyłam się lepiej przyjrzeć, schował się za jakimś nagrobkiem.

Przecucie podpowiedziało mi, że czekają mnie duże kłopoty.

– Dobrze – zgodziłam się. – Oznacz mnie i pomóż.

– Żądam czegoś jeszcze.

– Co?!

– Chcę, żebyś odprawiła jeden czar z księgi. Tylko jeden. Potem nie obchodzi mnie, co z nią zrobisz.

– Co to za czar?

– To urok, którego działanie widziałem dawno temu. Dostarczył mi wówczas rozrywki. Chętnie zobaczę go raz jeszcze.

– Pożałuję, że go rzuciłam? – Wolałam się upewnić. Mogło się okazać, że bóg ma dość specyficzne poczucie humoru i skończę zamieniona w brzozę.

– Ty? Nie.

– Aha...

– Zgadzasz się? Urok i znak na ciele. Tylko tyle za mą pomoc.

– A mam wybór? – mruknęłam.

– Zawsze jest wybór.

No chyba nie w tej sytuacji.

– Dobrze, niech ci będzie – warknęłam niezbyt zadowolona.

Swarożyc skinął głową, jakby nie dopuszczał w ogóle wcześniej możliwości, że postanowię inaczej. Wyciągnęłam w jego stronę dłoń, ale nie zwrócił na nią uwagi. Podeszedł bliżej i przygarnął mnie do siebie. Jego gorące ramiona mnie otoczyły. Pochylił się. Poczułam na policzku jego oddech.

– Nie bój się – powiedział.

Łatwo powiedzieć! Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi ze strachu. Na pewno musiał je słyszeć.

Pochylił się jeszcze bardziej. Odgarnął mój warkocz na plecy i zbliżył usta do karku. Poczułam muśnięcie jego oddechu tuż pod linią włosów. Po chwili ciepło jego warg sprawiło, że moje serce powoli zaczęło się uspokajać.

Tym razem znak ognia nie piekł aż tak bardzo. Uczucie ciepła spłynęło po moim kręgosłupie w dół pleców. Jednocześnie objęło moje piersi i brzuch. Poniżej pępka poczułam łaskotanie. Swarożyc dmuchnął na znak, lekko ćmiący delikatnym bólem oparzenia. Odsunął się, ale tylko odrobinę. Gdybym chciała, mogłabym go pocałować prosto w usta.

– Strażniczko mojego ognia – odezwał się schrypniętym głosem. – Teraz ci pomogę.

– Uff, a już myślałam, że chcesz się dalej całować – wydusiłam.

– Wystarczy, że poprosisz.

Trzeba było nie zaczynać...

Odsunął się ode mnie i ruszył ścieżką pomiędzy grobami. Podążyłam jego śladem. Wiatr coraz silniej targał drzewami. Ledwie mogłam utrzymać poły swetra. Miałam wrażenie, że chce zerwać ze mnie ubranie. Szarpał też moim warkoczem, wyciągając z niego pojedyncze pasma czarnych włosów. Z kolei na Swarożycu warunki pogodowe zdawały się nie robić najmniejszego wrażenia. Co prawda nie było widać jego dymnej otoczki, ale trzeba mu przyznać, że ani razu się nie zachwiał.

Dostrzegłam, że po cmentarzu biega kilka cieni. Początkowo myślałam, że to może grabarz chowa się za grobem, ale chyba powinniśmy się spodziewać większych kłopotów. Zauważyłam, że zostałam w tyle. Czym prędzej pobiegłam za bogiem i się z nim zrównałam.

Choć plecy miał proste i podążanie jego krokiem dodawało mi otuchy, to spacer ramię w ramię nie zapewniał już takiego komfortu psychicznego. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę inną emocję na jego twarzy niż leniwy spokój albo rozbawienie.

Teraz miałam okazję podziwiać zaniepokojenie.

To oczywiste, że sama zaczęłam się bardziej stresować. Do głowy od razu wpadło mi kilka pesymistycznych scenariuszy. Jeśli bóg się niepokoił, to znaczyło, iż pokonanie grabarza wcale nie będzie proste.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedział.

– Dobrze.

– Nie próbuj z nikim walczyć.

– Dobrze...

Czyli miałam rację. To nie były zwykłe cienie.

– Denerwuję się – wyznałam.

– Mnie nie zabiją – powiedział.

Ani słowem się nie zająknął, że ja też mogę liczyć na szczęśliwe zakończenie.

Nagle się zatrzymał. Z wrażenia aż się potknęłam. Cienie rozproszyły się po całym terenie cmentarzyska. Nigdzie nie widziałam grabarza.

Nagle zrozumiałam, że nawet nie wiedziałam, jak się nazywa. Wszyscy używali jego funkcji, gdy o nim wspominali. Zupełnie jakby jego praca stała się całym jego życiem. Cóż, trzeba w takim razie improwizować.

– Grabarzu!!! – krzyknęłam.

Swarożyc posłał mi pytające spojrzenie.

– Nie wiem, jak się nazywa – wyjaśniłam.

W odpowiedzi wzruszył ramionami. Najwyraźniej go to nie obchodziło.

– Wiem, że tu jesteś i że masz księgę mojej babki! Oddaj ją, a nie stanie ci się żadna krzywda! – zawołałam.

Usłyszeliśmy czyjś śmiech.

– To wy się miejcie na baczności! – odkrzyknął.

Oboje odwróciliśmy się w stronę, z której dobiegał jego głos, ale nikogo nie zobaczyliśmy. Musiał skrywać się za jakimś nagrobkiem.

– Nie wiem jak ty, grabarzu, ale ja przyprowadziłam ze sobą boga! – odpowiedziałam.

Znowu się zaśmiał. Nie uwierzył mi raczej. Odwróciłam się do Swarożycy z błagalnym wyrazem twarzy.

– Mógłbyś zrobić teraz coś boskiego, wiesz... zapłonąć, zacząć błyszczeć, urosnąć? – poprosiłam.

– Mam robić przedstawienie? – zapytał zdziwiony.

– Tak – potwierdziłam.

– Po co?

– Bo on mi nie wierzy, że przyprowadziłam boga, a ja mam ochotę sprawić, żeby się zlał w majtki ze strachu! – warknęłam. – Mógłbyś ruszyć cztery litery i pokazać mu, kim jesteś?!

– Przypominam, że odzywasz się do boga.

– Och, daj spokój! – zachnęłam się. – Trzeba było mnie nie oznaczać! Chciałeś, to masz babę na głowie! A teraz zrób coś boskiego!

– Jago, gdybym tylko nie miał do ciebie słabości...

Jego rude włosy i broda zaczęły świecić. Po chwili zamieniły się w prawdziwe płomienie, które okalały jego twarz. Oczy także zapłonęły. Płócienna koszula, najwyraźniej tylko po to, żebym ja się mogła pozachwycać, ponieważ nie sądziłam, by grabarz to docenił, zniknęła, a raczej spłonęła na proch.

– Spodnie też tak potrafisz zniszczyć? – zapytałam zaciekawiona.

Posłał mi szeroki uśmiech. Wyglądał przerażająco. Ledwie się powstrzymałam przed cofnięciem.

– Jeśli potem będziesz chętna, to ci pokażę – odparł. – Poprzednie strażniczki mego ognia nie narzekały, gdy moje ubrania płonęły.

Na końcu języka miałam uwagę, że babcia powiedziała mi o nim co nieco, ale się powstrzymałam. W sumie to mogła mi tego nie mówić. Życie pewnie byłoby wtedy znacznie przyjemniejsze, a rozmyślanie o rodzaju bielizny, którą miał pod spodniami Swarożyc, troszkę bardziej pikantne.

Z chmur zaczęły spadać pojedyncze krople deszczu. Gdy dotykały płomiennych włosów lub skóry boga, od razu zamieniały się z sykiem w parę wodną.

– Nie zgaśniesz? – zapytałam.

– Gdyby to było takie proste, Stribog już dawno by się mnie pozbył.

Zanotowałam w pamięci, że najwyraźniej się nie lubią z siewcą wiatru.

Zbliżyły się do nas cztery cienie. Po chwili wyszły zza grobów i zaprezentowały się w całej okazałości. Gdyby nie to, że od ciała boga pałało gorącem jak z pieca, podeszłabym do niego jeszcze bliżej. Istoty były przeraźliwie chude. Niewątpliwie rodzaju żeńskiego, bo okrywały je łachmaniaste suknie. Na głowach miały przewiązane przegniłe chusty. Ich ubrania też były bardzo stare i częściowo rozłożone. Same postaci zresztą nie wyglądały dużo lepiej. Miały ciemnobrązową, bardzo suchą skórę, która ciasno oblepiała kości. Była tak naciągnięta, że istoty nie mogły zasłonić wąskimi ustami długich żółtych zębów wyrastających im z krwistoczerwonych dziąseł.

– Co to? – wydusiłam.

– Baby cmentarne – odparł bóg.

Tak! Teraz je rozpoznałam. Były upirami włóczącymi się po cmentarzach. Mieszkały w starych grobach, których nikt już nie odwiedzał. Jadły trupie mięso i kradły ubrania nieboszczykom. Nie występowały powszechnie. Spotkać je można było głównie na mało uczęszczanych, starych cmentarzyskach. Jeśli kończyło im się trupie mięso do jedzenia, były w stanie zaatakować żywych, zamordować ich za pomocą swoich długich pazurów, a następnie pochować w jakimś wcześniej rozkopanym przez siebie grobie.

Zawsze mi się wydawało, że powinny być wzrostu klasycznej kobiety. W końcu były babami. One jednak były dużo mniejsze. Rozmiarami przypominały zgięte artretyzmem staruszki.

– To proste. Myślałem, że bardziej się postara – westchnął bóg.

Podszedł do pierwszego upira i złapał staruchę za gardło. Przeszorowała mu pazurami po piersi. Poleciały iskry, ale nic poza tym mu się nie stało. Po chwili odpadła jej głowa. Z szyi został tylko płonący kikut. Doleciał do mnie zapach palonego mięsa.

Inne baby cmentarne, oburzone zabiciem towarzyszki, rzuciły się na niego z wściekłością, młócąc w powietrzu łapami. Uskoczyłam przed jedną z nich.

Deszcz padał coraz mocniej. Był lodowaty. Miałam wrażenie, że zaraz zamienię się w sopel. Mokre ubrania przywarły do mojej skóry i potęgowały uczucie zimna. Z niepokojem przyglądałam się Swarożycowi. Z koniuszków jego palców wypływały płomienie. Niestety, szybko gasły, gdy tylko dosięgała ich woda.

– Płoń! – ryknął głębokim głosem.

Baba cmentarna, która już miała na mnie skoczyć, zaczęła się dusić. Kaszłała, a z jej gardła wydobywał się czarny dym. Nagle zgięła się w pół. Jej skóra zaczęła ciemnieć, aż w końcu pokryły ją płomienie. Uskoczyłam przerażona i usiadłam w kałuży. Swarożyc w tym czasie poradził sobie z pozostałymi dwiema demonkami.

Podał mi dłoń. Nie wahałam się. Przecież by mnie specjalnie nie oparzył. Gdy tylko wstałam, ruszyliśmy w dalszą drogę przez cmentarz. Puścił moją rękę. Gdzieś przed nami rozległo się rżenie konia. Od razu struchlałam, bo przed oczami stanęła mi sylwetka biesa. Skoro raz grabarzowi udało się go przywołać, to dlaczego nie miałby powtórzyć swojego popisowego numeru. Zaczęłam się zastanawiać, czy bies może opętać boga. Jeśli istniałaby taka możliwość, znalazłabym się w dużych kłopotach.

Myliłam się. To nie był bies. Na końcu alei pokazał się nam płonący kształt. Szybko przybliżał się w naszą stronę. Gdy był w odległości kilkunastu metrów, zrozumiałam, na co patrzę. To był koń. Płonący koń, a raczej ognisty koń!

Swarożyc pocmokał z dezaprobatą.

– Najwyraźniej nasz przyjaciel uznał, że będzie walczył z ogniem za pomocą ognia – powiedział. – Nie mógł się bardziej mylić.

Uskoczyłam z głównej alei, żeby oszalały z bólu trawiącego jego ciało rumak mnie nie stratował. Przez jego cienką skórę przebijały kości. On naprawdę płonął żywcem! Zatrzymał się gwałtownie przed bogiem i stanął dęba. Swarożyc uniósł do góry płonące dłonie.

– Spokojnie! Spokojnie! – Głęboki głos boga chrząścił delikatnie, zupełnie jakby poszczególne sylaby płonęły.

Nie mogłam patrzeć na cierpienie zwierzęcia. Nie wiem, czy grabarz stworzył konia za pomocą księgi, czy podpalił prawdziwe zwierzę. To nie miało znaczenia. Trzeba jak najszybciej zakończyć ten cyrk dziwadeł.

Puściłam się biegiem przez cmentarz. Pragnęłam zatłuc dziada gołymi rękami. Miałam wrażenie, że gniew mnie zaraz rozsadzi.

Niespodziewanie stopa wpadła mi do jakiegoś dołka. Wywinęłam jak długa i wpadłam prosto w głęboką kałużę. Podparłam się na łokciach i wystawiłam twarz z wody. Zakrztusiłam się błotnistą

deszczówką.

O bogowie! Opiłam się szlamu z cmentarza. O mało nie zwymiotowałam.

Odepchnęłam się od ziemi i usiadłam. Byłam przekonana, że wpadłam w jeden z grobów, z których wygrzebały się wcześniej cmentarne baby. Poruszyłam nogą, żeby sprawdzić, czy kostka jest cała. Trochę bolała, ale chyba nawet jej nie zwichnęłam.

– Dzień dobry – odezwał się dziecięcy głosik. Brzmiał słodko i niewinnie. Kojarzył się z dobrze wychowaną panienką.

Odwróciłam się w stronę, z której dobiegał. Czułam pod skórą, że nie spodoba mi się to, co zobaczę.

Dziewczynka była przeurocza. Miała białą sukieneczkę ozdobioną misterną koronką. Jej nóżki odziane w odświętne białe rajstopki nurzały się w błocie. Rozciągnęła czerwone usteczka w szerokim i szczerym uśmiechu. Wyglądała, jakby pomalowała się szminką, dobierając ją pod kolor maków w swoim wianku. Czarne włosy opadały jej mokrymi strąkami na ramiona.

Była śliczna. Jak z obrazka. Sprawiała wrażenie wcielenia niewinności. Cały efekt grzecznego dziecka psuł jednak metalowy pręt, który trzymała w jednej dłoni, i długa, pożółkła kość udowa, którą dzierżyła w drugiej.

Zrozumiałam, że nie wpadłam w miejsce noclegu cmentarnej baby, tylko do grobu, który rozkopano dla swojej rozrywki cicha.

Tak, cicha. Cicha była demonem morowego powietrza. Pomimo deszczu i dojmującego wiatru świetnie czułam trupi odór, który się dookoła niej unosił.

Cicha sprowadzała choroby. Dzieci lgnęły do niej ze względu na jej niewątpliwą urodę. Gdy tylko zbliżały się na odległość jej pręta lub laski, dotykała je nimi, a choroba, a następnie śmierć sphywała na dziecięce członki.

Przez chwilę poczułam ulgę. W końcu nie byłam już dzieckiem. Cicha atakowała tylko małych. Dorosłymi zajmowała się morowa dziewica machająca zakrwawioną chustką i wchodząca ludziom na plecy.

Cicha zaśmiała się. Brzmiało to jak najśłodsze i najprzyjemniejsze dla ucha dzwoneczki. Następnie dotknęła mojej stopy swoim metalowym prętem. Poczułam, jak moja skóra się rozgrzewa. W jednej chwili przestał mi doskwierać chłód.

– Nie jestem dzieckiem! – zawołałam płaczliwie.

Cicha wzruszyła wąskimi ramionkami.

– Ale jesteś niziutka – odparła.

Cholerny metr pięćdziesiąt w kapeluszu! Myślałam, że cicha kieruje się wiekiem, a nie wzrostem. Przeklęty demon!

Zakręciło mi się w głowie. Miałam coraz większe problemy z nabraniem powietrza. Czułam, jakby moje płuca zalewała wydzielina, której nie potrafiłam odkaszczać. Była gęsta i lepka. Zaczęłam się dusić. Topiłam się! Upadłam na plecy. Uniosłam dłonie do szyi, która spuchła od obrzmiałych węzłów chłonnych. Moje ręce pokryte były jakimiś ranami i pęcherzami. Coś się z nich sączyło. Jak przez mgłę usłyszałam wrzask cichej i zobaczyłam, że płonie.

Potem otoczyło mnie ciepło i światło.

Zaczęło mi się robić zimno. Wrażenie ciepła skupiło się tylko w trzech miejscach na moim ciele. Promieniowało na moim karku, brzuchu oraz na ustach.

Zatrzepotałam powiekami i z wysiłkiem je uchyliłam. Przez chwilę wydawało mi się, że to musi być jakiś dziwny sen. Wyraźnie widziałam twarz Swarożycy, jego zamknięte oczy i rude rzęsy rzucające cienie na złocistą skórę. Z bliska widziałam nawet delikatne piegi na jego policzkach.

Pocałunki słońca, tak moja babcia nazywała piegi.

Nagle świadomość uderzyła we mnie gwałtownie. Zrozumiałam, czym jest ciepło, które odczuwałam. Swarożyc właśnie mnie całował prosto w usta. Jego język wkraść się pomiędzy moje wargi i zmusił, bym je rozchyliła.

Mruknęłam coś niewyraźnie, ale tylko mocniej zacisnął dłonie. Jedną z nich trzymał pod moim karkiem, a drugą na brzuchu. Odetchnął. Poczulałam, jak żar wlewa się do moich ust i biegnie dalej do wnętrzości. Wrażenie ucisku w klatce piersiowej zaczęło ustępować.

Bóg odsunął się, a ja zakaszlałam. Spomiędzy moich warg wydobyła się smużka siwego dymu.

– Musiałem wypalić chorobę – powiedział.

– Serio? – jęknęłam przez łyzy. Miałam wrażenie, jakbym się nałykała dymu z ogniska. – A już myślałam, że usiłujesz mnie obudzić jak śpiącą królownę.

– Śpiącą królownę? – zdziwił się. – Kto to?

– Nieważne...

– Niepotrzebnie odchodziłaś ode mnie. Cicha mogła cię zabić – zauważył.

– A co z koniem? Poradziłeś sobie? – Spróbowałam zmienić temat.

Na środku piersi Swarożycy widniał przypalony odcisk końskiego kopyta. Wyglądał, jakby ktoś oznaczył go metalem, którym wypala się znamiona na krowich pośladkach. Brzydka rana.

– Tam leży.

Swarożyc kiwnął głową w stronę sterty końskich kości leżących pomiędzy grobami. W gardle poczułam gulę przerażenia. Kości wyglądały na całkiem świeże. Grabarz musiał zabić biednego zwierzaka, by przemienić go w demona.

– Chodź! – Bóg pomógł mi wstać.

Wciąż miałam słabe nogi. Czułam się, jakby dopiero co zesza ze mnie wielodniowa gorączka i skończyła się jakaś ciężka infekcja. Zastanawiało mnie, czym zaraziła mnie cicha. Roznosiła morowe powietrze, co mogło oznaczać kilka chorób. Raczej nie podejrzewałam, by zaraziła mnie dżumą, bo jej się już od wielu, wielu lat nie spotykało w Królestwie Polskim. Chociaż kto wie... Równie dobrze mogła to być cholera, tyfus czy czarna ospa. Cicha potrafiła roznosić praktycznie wszystkie choroby zakaźne.

Swarożyc trzymał mnie pod ramię. Zauważył, że delikatnie się chwieję. Gdy usiłowałam unieść się honorem, odparł, że nie będzie się znowu schylał, żeby jeszcze raz mnie podnosić.

Przeszliśmy na drugą stronę cmentarzyska. Teraz nic nas już nie atakowało. Rozglądałam się podejrzliwie, ale pomijając zawieruchę nad naszymi głowami i lodowaty deszcz, na cmentarzu

panował spokój.

– Jest za cicho – mruknęłam i zadrżałam.

Bóg ciaśniej otoczył mnie swoim ramieniem. Promieniowało z niego przyjemne ciepło. Najchętniej wtuliłabym się w niego i usnęła. Byłam wyczerpana.

– Jeszcze tylko kawałek – powiedział.

Przymknęłam oczy i pozwoliłam mu się prowadzić. Powieki uchyliłam dopiero wtedy, gdy się zatrzymał. Byłam zdezorientowana. Nigdzie nie widziałam grabarza. Przy starym, kamiennym grobowcu stała lampa naftowa, leżało trochę zamokłych świeczek, jakieś drewnienka, bryła gliny i... księga.

Miała metalową okładkę, tak jak mówił Sławek. W większości była srebrna, ale brzegi wzmocniono miedzianym pasem. Wryty na niej niezrozumiałe dla mnie słowa, to był jakiś bardzo stary dialekt. Poza tym na samym środku znajdował się symbol Welesa. Przypominał odrobinę odwrócone do góry nogami A.

Wyswobodziłam się z uścisku Swarożycy i opadłam na kolana. Dotknęłam księgi. Gdy tylko opuszki moich palców zbliżyły się do okładki, poczułam, jak przeskakuje pomiędzy nami iskra.

Podświadomość zaczęła mi szeptać nerwowo, że nie powinnam dotykać księgi, że wiedza w niej zawarta mnie przerasta i nie jest dla mnie przeznaczona.

– Uciekł – powiedział Swarożyc i ukucnął obok mnie.

– Przestraszył się nas? – zapytałam. – I porzucił księgę?

Tyle dla niej zrobił, tylu ludzi skrzywdził. Mimo wszystko wizja spotkania się oko w oko z bogiem musiała go nieźle przestraszyć, skoro wszystko zostawił i wziął nogi za pas.

Jeszcze raz zbliżyłam dłoń do księgi. Tym razem nie przebiegło mi po palcach wyładowanie elektryczne.

– Zniszczy się. – Zaniepokoiłam się, gdy dotarło do mnie, że leży co prawda na marmurowej płycie, ale przecież cały czas pada na nią deszcz.

– Jej nie można zniszczyć – zaprzeczył Swarożyc. – Została stworzona przez boga.

Odważyłam się otworzyć metalową okładkę. Strony wykonane były z grubego pergaminu. Poszczególne przepisy i uroki zapisano eleganckim charakterem pisma. Królowało w nim mnóstwo ozdobników i zawijasów, ale tekst był czytelny. Rozumiałam poszczególne słowa. Mimo że krople uderzały w litery, atrament ani myślał się rozmazać. Pobieźnie przekartkowałam księgę. Otworzyła się na sposobie wezwania biesa. Poniżej tekstu znajdowały się ilustracje. Z tego, co rozumiałam, grabarz wykonał glinianą figurkę z drewnianym porożem, a następnie tchnął w nią życie. By później pozbyć się potwora, musiał figurkę po prostu spalić na rozstaju dróg.

Zamknęłam księgę i przytuliłam ją do piersi. Spojrzałam na boga. Na jego ciele wciąż było widać piętno przypalanej skóry. Nie sprawiał jednak wrażenia, jakby go to bolało.

– Chcę wrócić do domu – powiedziałam.

Nie obchodziło mnie, gdzie pobiegł grabarz, co dalej planował. Jak dla mnie mógł uciec nawet do Ameryki Południowej. Pragnęłam jedynie schować dobrze księgę i położyć się do łóżka.

– Zabiorę cię tam. Najpierw musisz jeszcze spełnić swoją obietnicę – przypomniał mi Swarożyc.

– Zakłęcie? – Niechętnie odsunęłam od siebie księgę.

– Tak.

Wyjął mi ją z rąk i otworzył na właściwej stronie. Oczy rozszerzyły mi się ze zdziwienia.

– Komu chcesz to zrobić? – zapytałam.

– Grabarzowi.

– Od początku wiedziałeś, że nam ucieknie?

– Nawet gdyby sam tego nie zrobił, pozwoliłbym mu się wymknąć. Chcę zobaczyć działanie tego uroku. A grabarz już dawno przypieczętował swój los. Zrobił to w momencie, gdy podniósł rękę na Radomiłę, a potem się przede mną ukrywał.

– Ale oddał nam księgę. Co prawda nie po dobroci, jednak...

– Radomiła była strażniczką mojego ognia – przerwał mi. – Chcę ją pomścić.

– Czemu ja muszę wypowiedzieć zaklęcie? Ty nie możesz?

– Nie. W księdze jest zawarta wiedza Welesa, ale została przełożona na ludzki język. Ja nie mogę z niej korzystać.

Przyjrzałam się urokowi, który wskazał. Czułam, że to niewłaściwe. Nie chciałam być sędzią i jednocześnie katem grabarza. Dobrze wiedziałam, że żaden śmiertelnik go nie skaże za to, co zrobił, bo nikt by nie uwierzył, że można tworzyć demony, postacie z ludowych legend. Żadnej śmierci i żadnego nieszczęścia, które spowodował, nie uda mu się udowodnić. Jedynie ja znałam prawdę, a księga była tego dowodem.

– Czytaj – nakazał Swaróżyc.

– Ale potem chcę wrócić do domu – zastrzegłam płaczącym głosem.

– Moja piękna szeptucho. – Pogłaskał mnie po policzku. – Osobiście cię odprowadzę.

Zacząłam czytać. Kolejne słowa gładko wychodziły z moich ust. Nabierały mocy. Czułam, że zaczynają istnieć.

– Dobrze, bardzo dobrze – mruknął bóg.

Wypowiedzenie uroku całkowicie pozbawiło mnie sił. Na szczęście nie musiałam rzeźbić w glinie żadnych figurek ani rysować symboli w błocie. Wystarczył tylko mój głos. Jednak z każdym wygłoszonym słowem traciłam kolejne siły, zupełnie jakby księga je ze mnie wysysała.

Gdy skończyłam czytać, otoczył mnie kokon dymu Swarozyca. Zdążyłam jeszcze zobaczyć błysk burzy i usłyszeć potężny grzmot, od którego zadrżała ziemia, a chwilę później siedziałam na brzegu swojego łóżka. Miałam suche ubrania. Nadal były ubłocone, ale nie kapą z nich woda. Naprzeciwko mnie klęczał Swarozyc.

– Dobrze się spisałaś – powiedział.

Popchnął mnie delikatnie na pościel. Ciągłe trzymając księgę w objęciach, posłusznie się położyłam. Oczy same mi się zamknęły.

– Śpij, słodka szeptucho.

Poczułam, jak całuje mnie w czoło. Od razu usnęłam.

Spałam prawie cały dzień, nieruchomo, zupełnie jakbym na chwilę umarła. Gdy otworzyłam oczy, za oknem powoli zapadał zmierzch. Feluś siedział obok mnie na poduszce i wtulał swój pyszczek w moją szyję. Gdy tylko się poruszyłam, otworzył ślepka i zamiauczał przeraźliwie.

– Feluś – jęknęłam.

W głowie mi huczało. Czułam się tak, jakbym wczoraj przesadziła z alkoholem, a nie biegła w deszczu po cmentarzu. Odgięłam zdrętwiałe palce z księgi i usiadłam. Księga była bardzo ciężka. Wzbudzała we mnie jakieś dziwne obrzydzenie. Odłożyłam ją na pościel. Nie chciałam jej dotykać, jeśli nie musiałam.

Kot także ominął ją szerokim łukiem i zeskoczył na ziemię. Miaucząc ponagłajaco, poprowadził mnie do swojej miski. Zauważyłam, że były w niej resztki jedzenia, a spodeczek wypełniono świeżą wodą. Najwyraźniej ubożęta zadbały o mojego pupila, gdy byłam nieprzytomna.

Na szczęście złe samopoczucie szybko minęło i zdołałam się ogarnąć. Jadłam akurat kanapkę z jajkiem na twardo, cały czas zerkając czujnie na zawiniętą w prześcieradło księgę, gdy ktoś zapukał do moich drzwi.

Tak się przestraszyłam, że o mało nie wypuściłam z rąk jedzenia. Przed oczami stanęła mi wizja policji, która się dobija, żeby zamknąć mnie w więzieniu za uczynienie krzywdy grabarzowi. Pomysł bezsensowny, poza Swarozycem nikt przecież nie wiedział, co zrobiłam.

Feluś podniósł się z mojej poduszki i przeciągnął. Nie wydawał się zaniepokojony późnym gościem.

– Proszę! – zawołałam słabym głosem.

Gość chyba mnie nie usłyszał, bo nie wszedł do środka.

Dopiero teraz przypomniałam sobie, że dzisiaj wieczorem miał przyjść Sławek. Zmartwiłam się. Nie wiem, co powinnam mu powiedzieć. Serce rwało się do przygód, które mógł mi zaoferować. Z drugiej jednak strony wczorajszy dzień udowodnił mi, że przydałby mi się jakiś spokojny okres na odsapnięcie i dojdzie do siebie.

Z wysiłkiem dotoczyłam się na wciąż miękkich nogach do wejścia i otworzyłam drzwi. Po drugiej stronie zobaczyłam Mszczuja.

– Dobry wieczór! – przywitał mnie.

Miał zaróżowione od wiatru policzki i czubek nosa. Czapka wydziergana na drutach przez jedną z bielińskich gospodyń (poznałam po wzorku w truskaweczki) zsuwała mu się na oczy.

– Och, Mszczuj? – zdziwiłam się.

– Mogę wejść, Jago? Trochę zimno jest.

– Tak, tak! Oczywiście! Przepraszam, spodziewałam się kogoś innego i zupełnie mnie zaskoczyłeś!

Przepuściłam go, ale dla pewności wystawiłam jeszcze głowę przez okno. Nigdzie nie widziałam wysokiej sylwetki Sławka. Powiedział, że przyjdzie wieczorem, a teraz dopiero zmierzchało. Miał jeszcze trochę czasu, a ja mogłam się namyślić, co mu odpowiem.

Mszczuj tymczasem zdjął kurtkę, czapkę i szalik. Jego włóczkowy szal miał ten sam rzucik w czerwone truskaweczki.

– Widzę, że już włożyłeś zimowy komplecik? – Wskazałam na fragmenty garderoby.

Jego twarz pokryły czerwone rumieńce.

– Zimno się zrobiło. Po wczorajszej burzy całkowicie zmieniła się pogoda. A to dostałem w prezencie od jednej z gospodyń.

Bingo!

Podeszłam do niego i zanim zdążył zaprotestować, odgarnęłam mu z czoła włosy, żeby zobaczyć ranę od uderzenia w asfalt. Wyglądała dobrze. Wąskie rozcięcie pokrywał strup, a jego brzegi nie były zaognione.

– Jak się czujesz? – zapytałam. – Nie kręci ci się w głowie? Nie wymiotowałeś? Nie masz problemów z pamięcią?

– Wszystko jest dobrze – odpowiedział. – Chociaż po tym, czego byliśmy świadkami, wolałbym tak naprawdę mieć trochę problemów z pamięcią. Chyba do śmierci będę widział w koszmarach opętanego Bolesława.

– Napijesz się herbaty z sokiem malinowym? – zaproponowałam. – Rozgrzejesz się.

– A bardzo chętnie. Na kogo czekasz, jeśli mogę wiedzieć? Na jakiegoś pacjenta?

Przez chwilę unikałam odpowiedzi. Krzątałam się po kuchni. Nie mogłam jednak milczeć w nieskończoność. Postawiłam przed nami kubki i usiadłam na krześle naprzeciwko kapłana.

– Miał mnie odwiedzić pλανetnik – powiedziałam. – Mówił, że przyjdzie wieczorem, ale coś go nie widać.

Nie wydawał się zaskoczony tą rewelacją. Chyba zaczynał się powoli przyzwyczajać do tego, co dzieje się w Bielinach.

– Och, rozumiem. Strasznie to wszystko zagmatwane się zrobiło. Biesy, rusalki, pλανetnicy... Muszę ci powiedzieć, że tęsknię za czasami, kiedy jedynym moim zmartwieniem było, jak wymigać się od obiadu u którejś z gospodyń.

Zaśmiał się odrobinę niezscherze.

– Spokojnie. Teraz już więcej nic złego nie będzie się działo – zapewniłam go.

Oczy Mszczuja rozszerzyły się. Dłoń mu zadrżała, a odrobina herbaty pociekła po boku kubka.

– Czy ty...? Udało ci się...?

– Tak. Mam ją. – Kiwnęłam głową w stronę łóżka, gdzie zawinięta szczelnie w prześcieradło leżała księga mojej babki.

– Mogę?

Znowu kiwnęłam głową. Mszczuj podszedł powoli do łóżka, zupełnie jakby spodziewał się, że księga otworzy się i odgryzie mu rękę. Odwinął prześcieradło pod czujnym wzrokiem Felusia, który nie odstępował artefaktu nawet o krok. Nie dotykał go, ale księga w jakiś sposób go przyciągała, bo od razu polubił obok niej leżeć i mrużyć.

Mszczuj przesunął palcami po metalowej okładce. Nie wzdrygnął się, więc chyba nie poraził go prąd.

– Kto ją miał? – zapytał. – Gdzie ją znalazłaś?

– Na cmentarzu, przy najstarszych grobach, razem ze wszystkimi składnikami niezbędnymi do odprawiania uroków – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Poza księgą spotkałam tam kilka bab cmentarnych, cichą i ognistego konia. Gdyby nie pomoc boga Swaróżyca, to raczej byś teraz ze mną nie rozmawiał.

Mężczyzna zamarł. Z jego twarzy zniknęły niemalże wszystkie kolory.

– Nic ci nie jest? – wydusił.

– Miałam dość nieprzyjemne objawy po zetknięciu się z cichą, ale już jest dobrze – odpowiedziałam. – Cały dzisiejszy dzień przespałam.

– Och, to dlatego nic nie wiesz!

Wrócił spojrzeniem do księgi. Otworzył ją i przekartkował. Zawartość chyba mu się nie spodobała, bo szybko ją zamknął i z powrotem obwiązał prześcieradłem. Poczułam, jak siły znowu opuszczają moje ciało. I nawet herbata z malinami przestała pomagać. Najchętniej położyłabym się spać. Nie chciałam słuchać żadnych złych wieści.

– Na wszystkich bogów, o czym nie wiem? – jęknęłam. – Było więcej upirów i się rozlaży po Bielinach?

– Nie wiem, czy się nie rozlaży, ale grabarz nie żyje.

Nie zaskoczyła mnie ta wiadomość i Mszczuj prawdopodobnie odczytał to z mojej twarzy.

– To dlatego znalazłaś księgę na cmentarzu, prawda? – zapytał. – Domyśliłaś się, że to on?

– Wreszcie się domyśliłam. Poszłam wczoraj śladem biesa. Zniszczenia zaprowadziły mnie prościutko do domu grabarza.

– I wnoszę z twojej miny, że jego śmierć wcale cię nie smuci?

– Nie da się ukryć. To on zabił babcię i ukradł jej księgę – odpowiedziałam cicho. – Używał jej, by straszyć ludzi i zwiększyć swoje przychody. Więcej zgonów to więcej pogrzebów. Jego firma składała do grobów w prawie wszystkich okolicznych miejscowościach. Wydaje mi się, że nie tylko w Bielinach ludzie zaczęli nagle umierać albo znikać, ale trzeba by to sprawdzić.

– Popatrz no ty...

Mszczuj usiadł z powrotem przy stole i siorbnął herbaty. Kręcił głową, jakby nie mógł pojąć, że można posunąć się do czegoś takiego. Ja też tego zresztą nie rozumiałam.

– Ale dopadło go – skwitował z satysfakcją. – Dostał to, na co zasłużył.

Zasłoniłam się kubkiem i udawałam, że piję.

– Jeden z jego potworów musiał go dopaść. Może to ten bies? – gdybał. – Cały dzień dzisiaj

spędziłem w Kakoninie. Odnaleziono jego ciało. Leżał w swoim ogródku. Jego dom stał trochę na uboczu, więc oficjalnie nikt niczego nie słyszał. Razem z policją widziałem ciało.

Wzdrygnął się. Objął mocno kubek, żeby zająć czymś ręce.

– Zostało w sporej mierze zjedzone – dodał cicho. – Krew była wszędzie. Nie wiadomo na pewno, co to było. Między innymi po to się do ciebie zgłosiłem. Został na pewno zaatakowany w domu, próbował się bronić, a na koniec uciekać. To coś dopadło go w ogrodzie i po prostu dokończyło dzieła.

Przez chwilę pochrząkiwał nerwowo i popijał herbatę. Cieszę się, że nie musiałam tego oglądać. Widok musiał zrobić na nim ogromne wrażenie, bo tak zdenerwowanego jeszcze go nie widziałam. Nawet rusałki i bies nie wytrąciły go równie mocno z równowagi.

– W domu były ślady – dodał. – Ślady łapek. Gdyby nie fakt, że to trochę dziwne, powiedziałbym, że zjadły go żywcem szczury albo myszy.

Przed oczami stanął mi dumny Popiel. Swarozyc bardzo chciał zobaczyć działanie tego uroku, poza tym był przekonany, że będzie to słuszna kara dla mordercy. Może i miał rację.

– Ale nie ma takich demonów? Prawda? – zapytał Mszczuj. – Demonów, które udają myszy?

– Jest sporo upirów, które podróżują stadnie i mają małe rozmiary – odpowiedziałam wymijająco.

– Wiesz... nie współczuję mu, bo należała mu się kara. Ale ta śmierć... musiał strasznie cierpieć.

– Domyślam się.

– Na dodatek to nie wszystko! – westchnął Mszczuj. – Przyjdzie mi odprawić dwie ceremonie pogrzebowe.

– Dwie?

Poczułam, że robi mi się duszno. Przestraszyłam się, że mój urok wyrwał się spod kontroli i myszy zaatakowały kogoś jeszcze.

– Młody mężczyzna, niezwykle dziwna sprawa. Koroner powiedział, że obrażenia sugerują, jakoby spadł z wysokości. Co jest zastanawiające, bo został znaleziony w szczerym polu. Dodatkowo miał poparzone palce i wypalony tatuaż na ciele. Podobno jak człowieka trafi piorun, potem ma na skórze czerwony ślad przypominający trochę liście paproci. Osobiście go nie widziałem. To tylko relacja koronera, który podjechał do mnie, żeby powiedzieć o zmarłym.

– Brunet? – zapytałam głuchym głosem.

– Chyba brunet – potwierdził Mszczuj. – Znałeś go? Był najemnym pracownikiem. Zahaczył się u jednego gospodarza w Kakoninie. Znaleźli go martwego w dniu, w którym miał odejść z pracy i ruszyć w podróż.

– Ty też go znałeś. To był Sławek, szyłam mu kiedyś głowę – odpowiedziałam wymijająco.

– Och! Pamiętam! – Jego oczy rozszerzyły się. – Niósł wodę dla kółka gospodyń wiejskich. Myślisz, że to on?

– Nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

Zachmurzyłam się. Wychodziło na to, że nie miałam po co czekać na Sławka, bo on się nigdy nie pojawi. Życie planetnika zwykle jest dość krótkie. Wczorajsza burza była naprawdę potężna. Zapewne żmij, z którym stoczył walkę, musiał należeć do silnych bestii.

– Mszczuju, dzisiaj nie mam już siły, poza tym chciałabym jeszcze przejrzeć księgę babci, ale... przyjdiesz do mnie jutro rano i mi w czymś pomożesz?

– W czym?

– Chciałabym się pozbyć tej książki. Jest niebezpieczna. Lepiej, żeby nigdy nie trafiła w niepowołane ręce.

Pomimo swetra i pożyczonej od Mszczuja czapki w truskaweczki było mi przeraźliwie zimno. Pomyślałam, że nastał już czas, żebym pojechała w odwiedziny do domu. Przy okazji zabiorę resztę swoich ubrań. Miałam tam starą kurtkę. Nie była co prawda czarna, więc nie pasowała do żałoby, którą powinnam nosić po babci jeszcze przez kilka miesięcy, ale moja mama będzie musiała przelknąć takie bezczelne omijanie tradycji. Chciałam poprosić Mszczuja, żeby ze mną pojechał. Istniała szansa, że na jego widok ojciec i bracia zrezygnują z kąśliwych komentarzy. Poza tym był mi potrzebny pod ręką jakiś mężczyzna w razie nagłego pojawienia się Bratomiła na horyzoncie.

Mszczuj miał rację. Po burzy nastąpiła wczesna zima. Dziewanna zdecydowanie spakowała wszystkie manatki i pozwoliła Marzannie panoszyć się po Bielinach i okolicy. Trawy na łąkach pożółkły, a wszystkie kolorowe liście spadły z drzew. Zrobiło się ponuro, ciemno i zimno. Śniegu, który rozjaśniłby wszystko i dodał uroku puszczy, jak na razie nie było widać.

W skostniałych dłoniach trzymałam księgę babci. Szczelnie zawinęłam ją w worek foliowy, a następnie w prześcieradło. Prześcieradło miało pójść na stracenie. Worków jutowych niestety już nie posiadałam. Dodatkowo powkładałam pomiędzy warstwy prześcieradła kamienie. Całość była bardzo ciężka.

– Jesteś pewna, że chcesz się jej pozbywać? – zapytał towarzyszący mi Mszczuj.

Miał gołą głowę. Pomiędzy kasztanowymi lokami widziałam czubki jego uszu, które nabrały żywoczerwonego koloru od panującego mrozu.

– Tak. Lepiej żeby nikt, nawet ja, nie miał do niej dostępu – odpowiedziałam. – Zapomniałam ci coś powiedzieć. Znalazłam zaklęcie, które pozwoliło mi zdjąć klątwę z pani Czesi. Już nie jest zmorą.

– Musiała się ucieszyć.

– Żebyś wiedział! Wreszcie będą mogli spać z mężem w jednym łóżku.

– Mimo to chcą wyjechać?

– Tak, już kupili nową ziemię. Tu nie widzą dla siebie przyszłości. Poza tym Bieliny odrobinę źle im się kojarzą po tej całej klątwie.

Kapłan przyznał mi rację. Wcześniej opowiedziałam mu historię moich sąsiadów i nieszczęścia, które sprowadził na nich grabarz.

– Grunt, żeby byli szczęśliwi. A nie było w księdze jeszcze kilku jakichś przydatnych uroków? Jak już ją tam wrzucimy, raczej ciężko będzie ją odzyskać. Na pewno nie będziesz chciała jej z powrotem?

– Spokojnie. Dokładnie ją przejrzałam.

Wolałam mu nie mówić, że część zaklęć skrupulatnie sobie wynotowałam. To była moja tajemnica. Nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. A zwłaszcza Swarożyc, ponieważ duża część uroków mówiła o tym, jak zniewolić boga.

Nie byłam pewna, czy maczał swoje ogniste paluchy w śmierci Sławka. To mógł być zupełny przypadek. Nie oszukujmy się, walka z kilkudziesięciometrowym smokiem, nawet gdy ten bardziej

przypomina węża niż przerośniętą jaszczurkę, do łatwych nie należy. Płanetnikowi mogła się noga powinąć.

Niemniej Swarożyc na pewno nad jego losem nie płakał.

Co gorsza, mnie także wcale się nie zbierało na gorzkie łyzy. Nie pojechałabym z nim, nie porzuciłabym schedy po babci. Jeszcze przed drugim znakiem swarnego boga poważnie rozważałam taką możliwość. Teraz jednak zupełnie nie wchodziła w grę. Może miał na to wpływ sam Swarożyc i jego pocałunek. Moich uczuć nie mógł zmienić, ale skoro potrafił rozdmuchiwać emocje, to pewnie i moją miłość do Bielin mógł zwielokrotnić.

A co do zakłęb opisujących zniewolenie boga... On miał na mnie haczyk w postaci swoich ognistych znamion na zawsze pozostawionych na mojej skórze. Ja też chciałam mieć coś w zanadrzu, jeśliby się za bardzo rozochocił. Póki co zamierzałam grać w jego grę. Było w nim coś pociągającego i emocjonującego.

Mszczuj złapał mnie mocno za rękę. Weszłam kilka kroków w głąb bagna i z całej siły rzuciłam księgą. Zatoczyła łuk i upadła idealnie na środek mokradła. Przez chwilę leżała na powierzchni, ale dość szybko zaczęła się zatapiać. Bagno nie było takie chętne, by przyjąć skórę wilkołaka. Księga o wiele bardziej mu się podobała.

Kapłan wciągnął mnie z powrotem na brzeg. Nie puścił mojej ręki, a ja jej nie zabrałam. Patrzyliśmy w milczeniu, jak księga znika.

Nagle Mszczuj odetchnął głęboko przez nos.

– Czujesz? – zapytał.

– Co?

– Jakby dym. Ktoś chyba pali ognisko.

Tak, do mnie teraz też doleciał słaby zapach dymu. Nie gryzącego i nieprzyjemnego, tylko takiego, który kojarzy się z ciepłem i bezpieczeństwem. Poczułam widmową dłoń Swarożycy na moim ramieniu. Od razu przestałam odczuwać chłód. Od jego palców promieniował żar, który powoli rozlewał się na moje ciało. Był bardzo przyjemny.

Mszczuj odwrócił się i rozejrzał, ale niczego nie dostrzegł.

– Zjadłbym ziemniaczki z ogniska – westchnął rozmarzonym głosem.

– Jeśli zorganizujesz ziemniaki, to ja mogę w swoim ogródku rozpalić ognisko – zaproponowałam.

Ciepłe palce Swarożycy pogładziły mnie po plecach. W tym samym momencie dłoń Mszczuja mocniej ścisnęła moją. Uśmiechnęłam się.

Nie sądziłam, że zdołam tak się poczuć po tym wszystkim... ale... chyba po raz pierwszy, odkąd przyjechałam do Bielin, byłam naprawdę szczęśliwa.

Tu było moje miejsce.

Epilog

Szary poranek malował się za oknami, gdy Jarogniewa zakończyła swoją opowieść. Stojące na stoliku dwie opróżnione z nalewek butelki odbijały światło płomieni kominka. Pomimo nieprzespanej nocy Gosławie nawet przez myśl nie przemknęło, aby ziewnąć. Historia opowiedziana przez mentorkę ją urzekła.

– Twoje początki w Bielinach były okropnie burzliwe! – wykrzyknęła.

– Ano nie było łatwo.

– Wszystko i wszyscy byli praktycznie przeciwko tobie!

– Ano byli.

– To ja zaczęłam swoją pracę luksusowo – westchnęła. – Mieszkańcy mają do mnie zaufanie, interes się kręci, na biedę nie mogę narzekać.

Jaga machnęła ręką.

– Zdążyli cię poznać podczas stażu. Poza tym, jak się później okazało, nie tylko Bolesław rozpuszczał o mnie nieciekawe plotki, ale również grabarz. Ludzie im wierzyli, w końcu znali ich od dziesiątek lat. Ja byłam obca.

– A co z księgą? Później jeszcze z niej korzystałaś?

Gosławę najbardziej zainteresował ten fragment opowieści. Wizja potężnego artefaktu bardzo pobudzała jej wyobraźnię.

– Powiedzmy, że kiedyś nadszedł moment, gdy zawartość księgi była mi bardzo potrzebna – odparła wymijająco. – Ale to już zupełnie inna historia. Chodź ze mną.

Wstała z wysiłkiem z fotela. Po kilku godzinach spędzonych w jednej pozycji odrobinę zeszywniała w stawach. Podeszły z młodą szeptuchą do okna w kuchni.

– Spójrz tam, pod las – powiedziała Jaga. – Teraz mgła zasłania, ale tuż pod ścianą drzew, tam, gdzie ten wysoki świerk... widzisz świerk?

– Widzę, widzę.

– To tam jest bagno, w którym leży zatopiona księga. Jakbyś kiedyś jej potrzebowała, tam ją znajdziesz.

Gosia otworzyła szeroko oczy.

– Nie jestem pewna, czy zdołam ją wydostać z bagienka – mruknęła.

– Dla chcącego nic trudnego! A z podpowiedzi mogę tylko rzec, że utopca bardzo trudno utopić. Nawet w bagnie. – Mrugnęła porozumiewawczo.

– A skóra wilka? Też tam jest?

– Nie, już dawno jej tam nie ma. Też mi była potrzebna i musiałam ją wyciągnąć.

– Och, a do czego jej potrzebowałaś? – zaciekała się Gosia.

– Jedna z bliskich mi osób ciężko zachorowała. Jak się okazało, lykantropia całkiem nieźle radzi sobie z rozsianymi nowotworami. Tylko potem trzeba na kilka dni w miesiącu zamykać się w piwnicy. Niemniej to i tak mała cena za dalsze życie.

– A kto...?

– Nieważne, nieważne – zbyła ją Jaga. – Wracajmy do kominka. Mam dla ciebie prezent.

Zasiadły w fotelach. Gałgan wskoczył na kolana Jagi i zaczął dopominać się o pieszczoty. Starając się nie zrzucić zwierzaka, sięgnęła do swojej torebki i wyciągnęła mały pakunek obwiązany ozdobnym papierem w serduszka.

Zachwycona Gosia zaczęła rozpakowywać prezent. Oczyma wyobraźni widziała egzotyczną biżuterię zza granicy albo coś dla małego Garda.

Gdy odwinęła ostatnią warstwę papieru, jej oczom ukazała się złota... licówka Baby Jagi. Skamieniała, z lekką odrazą wpatrywała się w podarek.

– To... to... – zaczęła. – Nie spodziewałam się, ale... ale... po co?

– To przetopiona złota moneta, podarek mędrca dla młodego Siemowita.

– Och... i nosiłaś ją zawsze ze sobą.

– Tak jest! Na widoku! – Jaga była zachwycona własną pomysłowością. – Okazało się, że przetopienie zupełnie jej nie zaszkodziło. Za to potem, gdy zaczęłam ją nosić, cały interes ruszył z kopyta. Nikt mi więcej nie odmówił zapłaty za moją pracę. Zawsze miałam ten dar przy sobie. Polecam.

Przez myśli Gosławy przebiegło tylko jedno słowo: „obrzydliwe”. Jarogniewa szybko zinterpretowała minę swojej podopiecznej.

– Oczywiście zawsze możesz ją sobie przetopić na jakiś wisiołek czy kolczyki – dodała. – Może jakbyś ją dzisiaj miała, zdołałabyś mnie przekonać, że te twoje kaptcie nie są jednak takie wstrętne.

Gosia zaśmiała się.

– Dziękuję ci, Jago, to bardzo... cenny podarek. A powiedz mi jeszcze... dzisiaj usłyszałam od ciebie tylko mały ułamek twoich przygód, prawda?

– Oj, przecież to tylko kilka pierwszych miesięcy mojej roboty było. Dziewczyno! Co też tu się w Bielinach jeszcze działo. A zresztą nie tylko w Bielinach. Kiedyś żeśmy z Mszczujem musieli pojechać aż pod Giewont po pomoc, bo byśmy sobie nie poradzieli sami.

– Pod Giewont?

– Ano obudzić śpiących rycerzy. Ale nie martw się, poszli znowu spać. Obudzić ich można tylko wtedy, gdy królestwo tego potrzebuje.

– Opowiesz mi i tę historię?

– Może kiedyś, dziecko, może kiedyś. Ja się w najbliższym czasie już nie zamierzam ruszać z Bielin. Nie raz będzie okazja, żeby wspominać. A teraz chodźmy się położyć. Ta naleweczka nieźle huczy mi w głowie.

Podziękowania

Jaga nie powstałaby, gdyby nie mój kochany Mąż – Janek. Pisałam tę powieść w bardzo ważnym i trudnym dla mnie okresie życia. Gdyby nie Twoja pomoc i wsparcie, na pewno bym sobie nie poradziła. Scena z wilkołakiem także wyglądałaby zupełnie inaczej, a ból pleców całkiem rozłożyłby mnie na łopatki! Jak zawsze dziękuję mojej Rodzinie: Mamie i Babci. Mamo Barbaro, dzięki Twoim wskazówkom ostateczna wersja *Jagi* jest dużo lepsza. Nie wyobrażam sobie, że jakkolwiek moja powieść miałyby powstać bez Twojej czujnej redakcji. Cieszę się, że jesteś moją pierwszą recenzentką. Babciu – Tobie skradłam na potrzeby tej powieści imię oraz długi blond warkocz, który nosiłaś w młodości. Na Twoją część szeptucha z Huty Nowej otrzymała imię Mirosława.

Słowa podziękowania należą się także Rodzinie mojego Męża – Mamie Renacie, Tacie Piotrkowi, dwóm Szwagierkom, Gosi i Zuzi, oraz Dziadkom: Antoninie, Tadeuszowi i Zofii. Czuję się, jakbym Was znała od zawsze. Gdyby nie Wasz dom w Bielinach, rodzinne opowieści i życzliwość, seria *Kwiat paproci* nigdy by nie powstała. Babciu Tosiu – Tobie szczególnie dziękuję za przybliżenie mi, jak wyglądała Twoja młodość w Bielinach, gdy nie było bieżącej wody ani elektryczności. Mam nadzieję, że udało mi się dobrze opisać problemy młodej *Jagi*. Dziadku Tadku – Twoje opowieści o bielińskich bagnach już nigdy nie zostaną zapomniane. Całe szczęście, że zgubiłeś w nich tylko kalosze!

Matką chrzestną *Jagi* jest Agnieszka Trzeszkowska-Bereza. Ago, dziękuję Ci, że wierzyłaś w ten projekt i zagrzewałaś mnie do pisania. Jesteś redaktorką z prawdziwego zdarzenia! Cieszę się, że mogę z Tobą współpracować.

Za promocję jestem z kolei wdzięczna Małgosi Danowskiej oraz całej ekipie Grupy Wydawniczej Foksal. Małgosiu, o cyklu *Kwiat paproci* zrobiło się głośno dzięki Twoim genialnym akcjom promocyjnym!

Nie mogłabym oczywiście nie podziękować też Wam, drodzy Czytelnicy. Pisanie *Jagi* sprawiło mi wiele radości, jednak prawdą jest to, że gdyby nie Wy i Wasze ciepłe przyjęcie *Kwiatu paproci*, to nigdy nie zdecydowałabym się na opowiedzenie historii Jarogniewy. Mam nadzieję, że znajdziecie w niej swoje ulubione wątki, a także wyłapiecie wszystkie momenty, w których nawiązuję do historii Gosi i Mieszka. Dziękuję Wam, że od tylu lat ze mną jesteście!

Katarzyna Berenika Miszczuk

¹ Powszechne wierzenie z okolic Masłowa w województwie świętokrzyskim. Motowidło – przyrząd, przeważnie drewniany, do odmierzania i zwijania nici w motki.

² „Oj, chmielu, chmielu” – tradycyjna pieśń oczepinowa, śpiewana praktycznie na całym terenie Polski. Najprawdopodobniej pochodząca z czasów przedchrześcijańskich. Śpiewana jeszcze w XIX wieku na dworach szlacheckich i w domach chłopskich. W późniejszych latach zwyczaj ten kontynuowano tylko na wsiach. Uwspółcześniony tekst przepisano z książki: „Materiały do etnografii ludu polskiego z okolic Kielc”, pod red. ks. Władysława Siarkowskiego, Instytut Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach, Kielce 2000.

³ Fragment utworu oczepinowego, zaczerpnięty z rozdziału „Wesele”, z opracowania „Zwyczaje i obrzędy weselne we wsiach rzeszowskich”, Krzysztof Ruszel, Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, Rzeszów 2001.

Redaktor inicjująca: Agnieszka Trzeszkowska

Redaktor prowadząca: Anna Salwa

Redakcja: Ewa Pustelnik

Korekta: Julia Topolska, Joanna Dąbrowska-Resiak

Projekt okładki: Joanna Strękowska

Fotografie wykorzystane na okładce: © Joanna Czogala/Arcangel Images; © Borzykh Sergey/Shutterstock

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-7011-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo